

Amanda Quick

Alchemia

Prolog

Londyn, północ

Charlotte nigdy potem nie potrafiła sobie uświadomić, co ją obudziło o tej ciemnej godzinie nocy. Może jej uśpiony umysł zarejestrował skrzypnięcie podłogi lub też stłumiony męski głos. Jakkolwiek było, otworzyła oczy i gwałtownie usiadła w łóżku. Całą swoją istotą czuła, że zaraz stanie się coś złego.

Była w domu sama ze swoją młodszą siostrą, Ariel. Gosposia miała wychodne, a ich ojczym, Winterbourne, nigdy nie wracał z hulanki przed świtem. A jednak ktoś wszedł po schodach; słyszała na korytarzu powolne kroki. Odrzuciła kołdrę i stanęła drżąca na zimnej podłodze. Przez chwilę nie wiedziała, co robić dalej.

W korytarzu znów zatrzeszczała deska podłogowa.

Podeszła do drzwi, uchyliła je na kilka cali i wyjrzała. W ciemności, przed drzwiami sypialni Ariel, zobaczyła dwie męskie postacie otulone obszernymi płaszczami.

Jeden z osobników trzymał zapaloną świecę. W migotliwym świetle zobaczyła Winterbourne'a - jego grube rysy i wyraz twarzy świadczący o rozwiązłości.

- Załatw to szybko - ojczym bełkotliwie popędzał nieznajomego. - I zaraz potem wyjdź. Niedługo będzie świtać.

- Ależ ja chcę nacieszyć się tą wyjątkową przyjemnością. Prawdziwa dziewica, i to pochodząca z tak znakomitej rodziny, to rzadka okazja. Czternaście lat, powiadasz? Rozkoszny wiek. Winterbourne, zamierzam się nią delektować i nie będę liczył czasu.

Charlotte w ostatniej chwili powstrzymała okrzyk wściekłości i lęku. Głos drugiego mężczyzny przywodził na myśl bogate, głębokie brzmienie wspaniałego instrumentu muzycznego. Mimo, że obcy zaledwie cicho szeptał, odczuła obezwładniający urok i zniewalającą moc. Taki głos mógłby uspokoić dzikie zwierzę lub śpiewać hymny, a jednak był to najbardziej przerażający dźwięk, jaki w życiu słyszała.

- Oszalałeś? - rozłościł się Winterbourne. - Pospiesz się. To nie może trwać zbyt długo.

- Winterbourne, jesteś mi winien mnóstwo pieniędzy. Jeśli chcesz bym anulował twój dług, nie oczekuj, że zadowolę się zaledwie kilkoma minutami z tą kosztowną małą cnotką.

Potrzebuję co najmniej godziny.

- To niemożliwe - szepnął gorączkowo Winterbourne. - Starsza dziewczyna ma pokój w tym samym korytarzu. A musisz wiedzieć, że ta dziewczka jest bardzo pewna siebie. Nawet ja nie wiem, co zrobi, jeżeli ją obudzisz.

- To twój kłopot, nie mój. Ty jesteś panem tego domu, więc jakoś to załatw.

- Co, do diabła, zrobić, jeżeli się obudzi?

- Zamknij ją w pokoju. Zwiąż i zaknebluj. Bij, aż straci przytomność. Nie obchodzi mnie, jak to załatwisz, po prostu zadbaj, by nie zakłóciła mi przyjemności.

Charlotte cicho zamknęła drzwi i w przerażeniu powiodła wzrokiem po swojej sypialni, oświetlonej tylko blaskiem księżyca. Zaczerpnęła głęboko powietrza, otrząsnęła się z paniki i pobiegła do komódki stojącej przy oknie. Przez chwilę nie mogła poradzić sobie z zamkiem, ale w końcu go otworzyła. Odrzuciła na bok dwa leżące na wierzchu koce i sięgnęła na spód, gdzie przechowywała szkatułkę z pistoletem ojca.

Chwyciła szkatułkę, otworzyła ją drżącymi palcami i wyjęła ciężką broń. Pistolet był nie naładowany, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie miała prochu ani kul, brakowało jej też czasu, żeby ich poszukać.

Podeszła do drzwi, gwałtownie je otworzyła i wyszła na korytarz. Instynktownie wiedziała, że obcy, który zamierzał zgwałcić Ariel, był bardziej niebezpieczny niż ojczym. Czuła, że jeżeli okaże choć odrobinę strachu czy niepewności, nie mówiąc już o panice, która przenikała ją do szpiku kości, ten człowiek potrafi uzyskać nad nią przewagę.

- Stój albo strzelam! - powiedziała spokojnie.

Zaskoczony Winterbourne odwrócił się tak szybko, że aż się zachwiał. Płomień świecy oświetlił jego otwarte usta.

- Do diabła! To Charlotte!

Drugi mężczyzna odwrócił się o wiele wolniej. Jego szeroki płaszcz zawirował z cichym szelestem. Słaby płomień świecy Winterbourne'a nie sięgał twarzy nieznanego, osłoniętej szerokim rondem kapelusza i podniesionym kołnierzem.

- Ach - mruknął. - Starsza siostra, jak sądzę?

Charlotte uświadomiła sobie, że stoi w smudze księżycowego światła przedostającego się przez otwarte drzwi sypialni. Nieznajomy mógł widzieć zarys jej ciała okrytego tylko cienką koszulą nocną.

Z całego serca pragnęła, by pistolet, który trzymała w ręku, był naładowany. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie nienawidziła tak bardzo, jak tego osobnika. I nigdy jeszcze tak się nie bała.

Po raz pierwszy w życiu przydarzyła jej się chwila, w której wyobraźnia mogła wziąć górę nad rozumem. Jakaś pierwotna część jej umysłu była przekonana, że stoi przed nią nie najzwyczajniejszy człowiek, lecz potwór.

Wiedziona instynktem, milczała. Chwyciła pistolet oburącz, uniosła go powolnym precyzyjnym ruchem tak, jakby był naładowany, i odciągnęła kurek. W cichym korytarzu rozbrzmiał dźwięk, którego nie można pomylić z żadnym innym.

- Do diabła, dziewczyno, oszalałaś? - Winterbourne ruszył ku niej, ale zatrzymał się niepewnie w odległości kilku stóp. - Odłóż pistolet!

- Wyjdź! - Charlotte nie drgnęła. Całą uwagę skoncentrowała na potworze w czarnym płaszczu. - Obaj natychmiast stąd wyjdźcie!

- Winterbourne, wydaje mi się, że ona naprawdę ma zamiar strzelić. - Aksamitny głos potwora sączył się jak gęsty miód zaprawiony trucizną. Brzmiała w nim przerażająca nutka rozbawienia.

- Nie ośmieli się. - Winterbourne jednak cofnął się o krok. - Charlotte, posłuchaj. Chyba nie jesteś na tyle głupia, by sądzić, że możesz tak po prostu, z zimną krwią, zastrzelić człowieka? Powieszają cię.

- No to mnie powieszają. - Charlotte, niewzruszenie trzymała pistolet w górze.

- Winterbourne, chodźmy stąd - powiedział łagodnie potwór. - Ta smarkula zamierza umieścić kulkę w jednym z nas i, jak mi się wydaje, tym kimś będę ja. Żadna dziewczyna nie jest warta takich kłopotów.

- A co z moimi wekslami? - drżącym głosem spytał Winterbourne. - Obiecałeś, że mi je oddasz, jeżeli dam ci młodszą z dziewczyn.

- Więc musisz znaleźć inny sposób na spłacenie tego, co do mnie przegrałeś.

- Ależ ja nie mam żadnych innych środków. - W głosie Winterbourne'a brzmiała niekłamana rozpacz. - Do sprzedania nie pozostało już nic. Poszła cała biżuteria żony. Te trochę srebra stołowego, które jeszcze mam, nie wystarczy. A dom nie jest mój. Tylko go wynajmuję.

- Jestem pewien, że znajdziesz sposób na zwrócenie swojego długu. - Potwór wolno ruszył w kierunku schodów, cały czas bacznie obserwując Charlotte. - Postaraj się jednak, bym już więcej nie musiał stawać twarzą w twarz z aniołem zemsty tylko po to, by odzyskać swoje pieniądze.

Nieznajomy schodził ze schodów, ale Charlotte ani na chwilę nie przestała w niego mierzyć. Unikał światła świecy Winterbourne'a, cały czas trzymając się w cieniu. Charlotte pochyliła się nad balustradą i patrzyła, jak otwiera frontowe drzwi. Ku jej przerażeniu

zatrzymał się i spojrzał w górę.

- Panno Arkendale, wierzy pani w przeznaczenie? - Jego głos płynął ku niej z mroków nocy.

- Nie obchodzą mnie takie sprawy.

- Szkoda. Skoro pani właśnie udowodniła, że jest jedną z nielicznych osób, które mają moc kształtowania przeznaczenia, powinna pani poświęcić tej sprawie więcej uwagi.

- Proszę wyjść!

- Żegnam, panno Arkendale. Przynajmniej dobrze się ubawiłem.

Po raz ostatni zawirował płaszczem i wyszedł.

Charlotte znów mogła oddychać. Spojrzała na Winterbourne'a.

- Ty także, panie. Wyjdź albo strzelam.

Obrzmiała twarz Winterbourne'a wykrzywiła się z wściekłości.

- Ty głupia dziewczko! Wiesz, co zrobiłaś? Jestem mu winien cholerną sumę.

- Nie obchodzi mnie, ile do niego przegrałeś. To potwór. A ty chciałeś dać mu do zabawy niewinne dziecko. A więc też jesteś potworem. Wyjdź.

- Nie możesz mnie wyrzucić z mojego domu.

- Właśnie to mam zamiar zrobić. Wychodź albo pociągnę za cyngiel! Nie miej co do tego żadnych wątpliwości!

- Na Boga, jestem twoim ojczymem.

- Winterbourne, jesteś nędznym, godnym pogardy oszustem. A na dodatek złodziejem. Ukradłeś wszystko, co ojciec zostawił Ariel i mnie. Roztrwonileś to w jaskiniach hazardu. Myślisz, że po tym, co zrobiłeś, mogę odczuwać wobec ciebie jakąkolwiek lojalność? Jeżeli tak sądzisz, to chyba jesteś szalony.

Winterbourne'a ogarniała coraz większa złość.

- Gdy ożeniłem się z twoją matką, jej majątek stał się moją własnością. Wiesz, że tak stanowi prawo.

- Opuść ten dom.

- Charlotte, poczekaj, nie rozumiesz, w jakiej sytuacji się znalazłem. On zażądał, bym zwrócił dzisiaj mu dług karciany, a z tym człowiekiem nie ma żartów. Muszę to załatwić. Nie wiem, co ze mną zrobi, jeżeli go zawiodę.

- Wyjdź!

Winterbourne otworzył usta i natychmiast je zamknął. Popatrzył bezradnie na pistolet i nagle, mamrocząc z niezadowoleniem, pobiegł ku schodom. Trzymając się mocno poręczy zszedł na dół, minął hol i opuścił dom.

Charlotte stała nieruchomo u szczytu schodów, dopóki Winterbourne nie zamknął za sobą drzwi. Wtedy kilka razy głęboko odetchnęła i opuściła pistolet.

Cały świat wirował wokół niej. Turkot powozów przejeżdżających ulicą był odległy i nierzeczywisty. Znany tak dobrze widok holu i schodów wydał jej się jakąś iluzją.

Otrząsnęła się widząc, jak Ariel wychodzi ze swojego pokoju na końcu korytarza.

- Charlotte, słyszałam jakieś głosy. Dobrze się czujesz?

- Tak. - Charlotte schowała pistolet za siebie, by siostra go nie zauważyła. Powoli odwróciła się i uśmiechnęła się drżącymi ustami. - Wszystko w porządku, Ariel. To był tylko Winterbourne. Przyszedł pijany, jak zwykle. Trochę się pokłóciliśmy. Ale wyszedł i dzisiejszej nocy już nie wróci.

Ariel chwilę milczała, potem jednak poskarżyła się:

- Chciałabym, żeby mama tu była. Czasami boję się przebywać w domu.

Charlotte poczuła, że w oczach wzbierają jej łzy.

- Ariel, ja czasami też się boję. Ale niedługo będziemy wolne. Prawdę mówiąc, już jutro złapiemy dylizans do Yorkshire.

Podbiegła do siostry i położyła jej rękę na ramieniu. Drugą ręką wepchnęła pistolet głębiej w fałdy nocnej koszuli. Poczowała na udzie zimno żelaznej lufy.

- Sprzedałaś srebro i to, co zostało z biżuterii mamy? - spytała Ariel.

- Tak. Wczoraj dostałam pieniądze za ostatnią zastawę do herbaty. To już wszystko.

W ciągu roku, który upłynął od przedwczesnej śmierci ich matki w wypadku drogowym, Winterbourne, potrzebujący ogromnych sum na spłacanie karcianych długów, sprzedał najcenniejsze przedmioty z biżuterii Arkendale'ów i większość stołowego srebra. Gdy Charlotte zauważyła, co robi ojczym, zaczęła ukradkiem chować pierścionki, broszki i wisiorki. Udało jej się również ukryć przed ojczymem część srebrnej zastawy stołowej. Wszystko to przez kilka ostatnich miesięcy potajemnie sprzedawała.

Winterbourne był tak często pijany do nieprzytomności, że nawet nie uświadamiał sobie, ile cennych przedmiotów zniknęło z domu. Gdy przypadkiem zauważył brak jakiejś rzeczy, Charlotte mówiła mu, że sam to sprzedał po pijanemu.

- Myślisz, że będzie nam się podobało w Yorkshire? - spytała Ariel.

- O tak, będzie nam cudownie. Wynajmiemy mały domek.

- Ale z czego będziemy żyły? - Nawet w tak młodym wieku, a miała dopiero czternaście lat, Ariel odznaczała się już zadziwiająco praktycznym podejściem do życia. - Pieniądze za biżuterię mamy nie wystarczą na długo.

Charlotte uściskała siostrę.

- Nie martw się. Jakoś zarobię na utrzymanie.

Ariel zmarszczyła brwi.

- Czy będziesz musiała zostać guwernantką? Tak bym tego nie chciała. Wiesz, jakie ciężkie życie mają panie, które wybrały ten zawód. Płaci im się mało i często są okropnie traktowane. A na dodatek, gdybyś musiała mieszkać w cudzym domu, ja nie mogłabym być z tobą.

- Obiecuję ci, że znajdę inny sposób zarabiania.

Było tajemnicą poliszynela, że los guwernantek nie należał do przyjemnych. Oprócz niskiej pensji i upokarzającego traktowania były jeszcze narażone na niebezpieczeństwo ze strony panów z rodziny, którzy uważali guwernantkę za swoją zabawkę. Charlotte wiedziała, że musi znaleźć jakiś inny sposób, by zapracować na utrzymanie Ariel i swoje.

Ale rano wszystko się zmieniło.

Nadeszła wiadomość, że w Tamizie znaleziono lorda Winterbourne'a z podejrzanym gardłem, wrzuconego do wody. Według policji padł ofiarą jakiegoś rzezimieszka.

Dziewczęta nie musiały już uciekać do Yorkshire, chociaż przed Charlotte nadal rysował się problem znalezienia pracy.

Wiadomość o śmierci Winterbourne'a przyjęła z ulgą. Wiedziała jednak, że nigdy nie zapomni potwora o zniewalająco pięknym głosie.

Włoskie wybrzeże, dwa lata później, północ.

- Tak więc w końcu postanowiłeś mnie zdradzić - powiedział Morgan Judd. Stał w drzwiach starej zamkowej izby wykutej w skale, która służyła mu za laboratorium. - Szkoda. Mamy ze sobą dużo wspólnego. Razem moglibyśmy osiągnąć niewyobrażalne bogactwo i władzę. Niszczysz wielkie przeznaczenie. Ale ty nie wierzysz w przeznaczenie, prawda?

Baxter St. Ives zacisnął palce na zdradzieckim notatniku, który przed chwilą znalazł. Odwrócił się, by stawić czoło Morganowi.

Kobiety twierdziły, że Judd przypomina upadłego anioła. Jego czarne włosy układały się w naturalne loki, na modłę pozornie nie dbających o wygląd romantycznych poetów. Otaczały wysokie, świadczące o inteligencji czoło, pod którym jaśniały oczy o niespotykanym odcieniu błękitnego lodowca.

Głos Morgana mógł należeć do samego Lucyfera. Był cudownie bogaty, melodyjny,

głęboki, zniewalający i uwodzicielski, pełen subtelnych podtekstów i niewypowiedzianych, namiętnych obietnic. Był to głos solisty oksfordzkiej katedry albo aktora, który wzbudzał u słuchaczy dreszcz czytając na głos poezję. Tym głosem Morgan potrafił również zwabiać do swojego łóżka panie z towarzystwa. Wykorzystywał cudowną barwę swojego głosu tak samo, jak posługiwał się wszystkim i wszystkimi, gdy chciał osiągnąć jakiś cel.

Jego krew była równie błękitna jak lód jego oczu. Pochodził z jednej z najznamienitszych angielskich rodzin. Jednak pod wytwornym, arystokratycznym zachowaniem skrywał prawdziwe okoliczności swojego przyjścia na świat.

Z Baxterem łączyły go dwie okoliczności. Jedną było nieprawe pochodzenie, a drugą fascynacja chemią. I właśnie ta druga sprawa doprowadziła do dzisiejszej konfrontacji.

- Przeznaczeniem zajmują się romantyczni poeci i autorzy powieści. - Baxter poprawił na nosie okulary w złotej oprawce. - Ja jestem naukowcem. Nie interesują mnie takie metafizyczne nonsensy, ale wiem, że człowiek może zaprzedać duszę diabłu. Morgan, co sprawiło, że posunąłeś się tak daleko?

- Mówisz o umowie, którą zawarłem z Napoleonem? - Zmysłowe usta Morgana wykrzywiły się w grymasie chłodnego rozbawienia. Przeszedł dwa kroki po ciemnej izbie i zatrzymał się. Fałdy jego czarnego płaszcza zawirowały wokół błyszczących cholewek butów, przywodząc Baxterowi na myśl skrzydła wielkiego drapieżnego ptaka.

- Tak - przyznał Baxter. - Mówię o twojej umowie z Napoleonem.

- To bardzo proste. Robię to, co muszę, żeby wypełnić moje przeznaczenie.

- I po to, by wypełnić tę szaloną koncepcję wielkiego przeznaczenia, chcesz zdradzić swój kraj?

- Nie mam żadnych zobowiązań wobec Anglii. Ty zresztą też nie. To kraj rządzący się prawami i niepisanymi normami towarzyskimi, które uniemożliwiają ludziom takim jak ty i ja zajęcie należnego im miejsca w naturalnym porządku rzeczy. - Oczy Morgana rozbliły się w świetle świec. W głosie słychać było furję. - Baxter, jeszcze nie jest za późno. Przyłącz się do mnie.

Baxter podniósł notes.

- Chcesz, żebym ci pomógł w pracy nad uzyskaniem tych straszliwych mikstur, których Napoleon użyje jako broni przeciw naszym rodakom? Chyba naprawdę oszalałeś.

- Ja myślę rozsądnie. To ty jesteś skończonym głupcem. - Morgan wyciągnął pistolet spod pachy płaszcza. - Jeżeli nie rozumiesz, że przyszłość należy do Napoleona, to mimo okularów jesteś ślepy.

- Napoleon próbuje zdobyć zbyt wiele. To go zniszczy.

- On wie, czym jest wielkie przeznaczenie. I wie również, że wypełnić je może tylko ten, kto ma wolę i rozum, by je ukształtować zgodnie z własną wolą. Co więcej, on wierzy w postęp. Jest jedynym władcą w całej Europie, który rozumie potencjalne korzyści płynące z nauki.

- Wiem, że dawał duże sumy ludziom prowadzącym doświadczenia w dziedzinie chemii, fizyki i innych nauk przyrodniczych. - Baxter pilnie obserwował pistolet w ręku Morgana. - Ale to, co stworzycie w swoich laboratoriach, jest mu potrzebne do wygrania wojny. Anglicy będą okrutnie cierpieć i ginąć, jeżeli uda ci się wyprodukować duże ilości trujących gazów. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

Morgan roześmiał się. Jego śmiech rozbrzmiał jak niski, głęboki dźwięk dzwonu uderzanego przez utalentowanego dzwonnika.

- Nic.

- Odrzucasz honor tak samo jak rodzinny kraj?

- St. Ives, zadziwiasz mnie. Kiedy wreszcie nauczysz się, że honor to sport przeznaczony dla rozrywki tych, którzy urodzili się we właściwym łożu?

- Nie zgadzam się z tobą. - Baxter wpakował notatnik pod pachę, zdjął okulary i przecierał je chusteczką. - Honor to wartość, którą człowiek może zdobyć i wypracować. Lekko się uśmiechnął. - Czego nie da się powiedzieć o przeznaczeniu takim, o jakim mówisz.

Spojrzenie Morgana stwardniało. Baxter zobaczył w nim pogardę i przerażającą furję.

- Honor jest dobry dla ludzi, którzy dziedziczą władzę i bogactwo już w kołysce tylko dlatego, że ich matki miały dość rozumu, by zabezpieczyć się świadectwem ślubu, zanim rozłożyły nogi. Jest dobry dla takich, jak nasi arystokratyczni ojcowie, którzy zapisują tytuły i majątek prawowitym synom, a bękartów pozbawiają wszystkiego. Honor nie jest dla takich jak ty i ja.

- Morgan, wiesz, co jest twoją największą wadą? - Baxter ostrożnie z powrotem włożył okulary. - Pozwalasz sobie na zbytne uleganie emocjom. Chemik powinien stać twardo na ziemi.

- Niech cię diabli, St. Ives. - Morgan chwycił mocniej pistolet. - Mam już dość tych rozpaczliwie nudnych kazań. Mówisz o moich wadach, ale twoją jest to, że brakuje ci hartu ducha i odwagi, by zmienić własny los.

Baxter wzruszył ramionami.

- Jeżeli istnieje coś takiego jak przeznaczenie, to moje nakazuje mi być zwykłym nudziarzem do ostatniego dnia życia.

- Obawiam się, że ten ostatni dzień właśnie nadszedł. Może w to nie uwierzysz, ale

żałuję, że muszę cię zabić. Jesteś jednym z niewielu ludzi w całej Europie, którzy potrafiliby docenić moje olśniewające dokonania. Szkoda, że nie będziesz żył wystarczająco długo by zobaczyć, jak wypełniam swoje przeznaczenie.

- Przeznaczenie! Co za bzdura. Muszę ci powiedzieć, że ta twoja obsesja dotycząca metafizyki i okultyzmu jest następną wadą naukowca. Dawniej stanowiło to dla ciebie jedynie rozrywkę. Kiedy zacząłeś wierzyć w takie nonsensy?

- Głupiec. - Morgan starannie wycelował.

Czas minął. Nic już nie można było zrobić. Baxter rozpaczliwie chwycił ciężki świecznik i rzucił go, razem z palącą się świecą, na najbliższy stół laboratoryjny. Trafił w szklaną kolbę z jasnozielonym płynem. Płyn rozlał się po stole, dotarł do ciągle jeszcze palącego się knota świecy i rozpałił się z piekielnym hukiem.

- Nie! - krzyknął Morgan. - St. Ives, niech cię piekło pochłonie!

Pociągnął za cyngiel, ale patrzył na płomień, a nie na swój cel. Kula uderzyła w okno za Baxterem, tłukąc jedną z szybek.

Baxter, przyciskając notes do piersi, pobiegł do drzwi.

- Jak śmiesz wtrącać się w moje plany? - Morgan chwycił zieloną kolbę z półki i odwrócił się, próbując zablokować Baxterowi przejście. - Ty przekłety głupcze! Nie powstrzymasz mnie!

- Ogień szybko się rozprzestrzenia. Na miłość boską, uciekaj! - krzyknął Baxter.

Ale Morgan zignorował ostrzeżenie. Z twarzą wykrzywioną wściekłością rzucił w Baxtera otwartą kolbę.

W instynktownym odruchu Baxter zasłonił twarz ręką i odwrócił się. Kwas rozlał mu się po ramionach i plecach. Przez moment czuł tylko dziwny chłód, jak po zanurzeniu w lodowatej wodzie. Ale już po chwili kwas przeżarł materiał koszuli i zaczął palić mu skórę. Przeszył go straszliwy ból, tak silny, że prawie tracił zmysły. Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się, by skoncentrować myśli wyłącznie na ucieczce.

W kamiennej izbie ogień szybko się rozszerzał. Ciężki, gryzący dym gęstniał w miarę, jak pod wpływem gorąca pękało coraz więcej kolb i retort.

Morgan otworzył szufladę i wyjął z niej jeszcze jeden pistolet. Szybkim ruchem odwrócił się do Baxtera i wymierzył.

Baxter czuł, jak skóra zaczyna mu odchodzić od ciała niczym łupina owocu. Oczy miał zamglone z bólu, a dym jeszcze bardziej utrudniał orientację w przestrzeni. Zdołał jednak zauważyć, że płomień blokuje drogę do drzwi. W tamtym kierunku nie mógł uciekać. Kopnął ciężką dmuchawkę. Potoczyła się i uderzyła Morgana w nogę.

- Niech cię diabli! - warknął Morgan. Upadł na kolana, a jego pistolet z łoskotem uderzył w kamienną podłogę.

Baxter pobiegł do okna, wskoczył na szeroki parapet i spojrzał na dół. W słabej poświacie księżyca zobaczył dziko wzburzone morze. Wysokie fale załamywały się o kamienne podmurowanie zamku, wyrzucając w górę gejzery piany.

Rozległ się wystrzał z pistoletu.

Baxter skoczył w czarne głębiny. Zanurzając się słyszał jeszcze serię gwałtownych wybuchów.

Udało mu się ominąć skały, ale uderzając o wodę wypuścił z rąk notes Morgana Judda. Dowód zdrady pozostał na zawsze w morzu.

Gdy chwilę później wynurzył się wśród huczących fal, zorientował się, że zgubił również okulary. Ale nie potrzebował ich, by zobaczyć, jak wieża zamkowa, w której Morgan urządził sobie laboratorium, zamienia się w piekło płomieni. W nocne niebo były gęste, gryzące kłęby dymu.

Nikt nie mógł przeżyć takiego pożaru. Morgan Judd zginął.

I w tej przerażającej chwili Baxter uświadomił sobie, że to on przywiódł do śmierci człowieka, który na uniwersytecie był jego najbliższym przyjacielem. Baxter prawie uwierzył w przeznaczenie.

1

Londyn, trzy lata później

Panie St. Ives, nie pozostawia mi pan żadnego wyboru. Skoro pan nie rozumie, muszę powiedzieć to panu otwarcie. Niestety, prawda jest taka, że nie odpowiada pan wymaganiom, jakie stawiam swojemu plenipotentowi. - Charlotte Arkendale złożyła dłonie na blacie mahoniowego biurka i spojrzała krytycznie na Baxtera. - Przykro mi, że tracił pan czas.

Rozmowa nie szła najlepiej. Baxter poprawił na nosie okulary w oprawkach ze złotego drutu i przysięgł sobie, że nie zazgrzyta zębami, choć miał na to wielką ochotę.

- Wybaczy pani, panno Arkendale, ale miałem wrażenie, że pragnie pani zatrudnić osobę o pospolitej, nie przyciągającej uwagi aparycji.

- To prawda.

- O ile pamiętam, pani opis idealnego kandydata na to stanowisko brzmiał następująco: „osoba tak zwyczajna jak budyń waniliowy”.

Charlotte zmrużyła ogromne, intrygująco inteligentne, zielone oczy.

- Pan mnie niewłaściwie zrozumiał.

- Rzadko popełniam błędy, panno Arkendale. Jestem wyjątkowo dokładny i metodyczny. Błędy popełniają ludzie impulsywni, mający skłonność do odczuwania gwałtownych namiętności. Zapewniam panią, że ja do nich nie należę.

- W tej kwestii całkowicie się z panem zgadzam. Prawdą jest, że namiętne natury są niebezpieczne - przyznała szybko Charlotte. - W istocie, jest to jeden z problemów...

- Zechce pani pozwolić, bym przeczytał to, co pani napisała w liście do swojego plenipotentą, który właśnie odszedł na emeryturę.

- Nie ma potrzeby. Doskonale wiem, co napisałam do pana Marcle'a.

Baxter zignorował protest Charlotte. Z wewnętrznej kieszeni nieco pogniecionego surduta wyciągnął list. Czytał ten przekłety tekst tyle razy! Znał go już na pamięć, ale teraz udawał, że patrzy na zapisaną pięknym charakterem kartkę.

Jak Panu wiadomo, Panie Marcle, zamierzam zatrudnić na Pana miejsce nowego

plenipotenta. Musi to być osoba wyglądająca bardzo zwyczajnie. Potrzebuję człowieka potrafiącego załatwiać sprawy niepostrzeżenie. Chodzi mi o dżentelmena, z którym będę mogła często się widywać bez zwracania uwagi. Nie chcę, by nasze spotkania dawały powody do komentarzy.

Życzyłabym sobie również, żeby nowy pracownik, oprócz zwykłych kwalifikacji wymaganych na stanowisku plenipotenta, z którego Pan tak znakomicie wywiązywał się przez ostatnie pięć lat, miał pewne dodatkowe umiejętności.

Nie będę Pana obarczała dokładnym opowiadaniem o sytuacji, w jakiej się obecnie znalazłam. Wystarczy, jeśli powiem, że ze względu na ostatnie wydarzenia potrzebuję kogoś silnego i odważnego, na kim mogłabym w pełni polegać.

Jednak, jak zwykle, muszę brać pod uwagę koszty. Dlatego uznałam, że zamiast decydować się na zatrudnienie dwóch osób, jednej na stanowisko plenipotenta, a drugiej jako osobistego strażnika, co pociągałoby za sobą wypłacanie dwóch pensji, oszczędniej będzie zaangażować jedną osobę, która mogłaby wypełniać obowiązki związane z obu stanowiskami...

- Tak właśnie brzmiała treść mojego listu - Charlotte przerwała Baxterowi recytowanie tekstu. - Ale nie na tym polega problem.

Baxter uparcie kontynuował:

Dlatego byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby zechciał Pan zarekomendować mi dżentelmena nie tylko godnego szacunku, ale również takiego, który odpowiadałby moim wymaganiom co do obu stanowisk, i którego aparycja na dodatek byłaby tak samo nieciekawa jak budyń waniliowy.

- Panie St. Ives, nie rozumiem, dlaczego musi pan czytać mi na głos cały mój list.

Baxter, niezmiészany, czytał dalej:

Ten dżentelmen musi odznaczać się wysoką inteligencją, ponieważ będzie wykonywał dla mnie dochodzenia wymagające wielkiej delikatności. Poza tym, skoro będzie jednocześnie dbał o moje bezpieczeństwo, musi również umieć posługiwać się pistoletem na wypadek, gdyby wydarzenia przybrały zły obrót. A nade wszystko, jak pan rozumie, musi być wyjątkowo dyskretny.

- Panie St. Ives, wystarczy! - Charlotte chwyciła niewielki tomik oprawny w czerwoną skórę i uderzyła nim w biurko, by przyciągnąć uwagę Baxtera.

Baxter spojrział na nią znad listu.

- Panno Arkendale, wydaje mi się, że spełniam większość pani oczekiwań.

- Z całą pewnością spełnia pan niektóre. - Charlotte uśmiechnęła się chłodno. - Bez tego pan Marcle nigdy by mi pana nie zarekomendował. Niestety, nie ma pan jednej bardzo ważnej cechy.

Baxter starannie złożył list i schował go do kieszeni.

- Zgodnie z tym, co mówił mi Marcle, sprawa jest dla pani pilna.

- Tak. - W ogromnych oczach Charlotte odbił się niepokój. - Potrzebuję kogoś natychmiast.

- Więc może nie powinna pani być taka wybredna?

Charlotte zarumieniła się.

- Jednak, panie St. Ives, zatrudnię tylko taką osobę, która spełnia wszystkie moje wymagania, a nie tylko kilka z nich.

- Panno Arkendale, jestem pewien, że ja spełniam wszystkie... albo prawie wszystkie - dodał po chwili namysłu. - Jestem inteligentny, bystry i niezwykle dyskretny. Przyznaję natomiast, że pistolety mnie nie interesują. Są niecelne i nie można na nich polegać.

- Ach, no właśnie. - Charlotte rozjaśniła się słysząc te słowa. - Jeszcze jedno wymaganie, któremu nie potrafi pan podolać.

- Mam jednak pewną wiedzę na temat chemii.

- Chemii? - Charlotte zmarszczyła brwi. - Do czego mogłoby mi to być potrzebne?

- Nigdy nie wiadomo, panno Arkendale. Wiedza na temat nauk przyrodniczych czasami okazuje się bardzo przydatna.

- No tak, to oczywiście jest bardzo interesujące. Niestety, ja nie potrzebuję chemika.

- Nalega pani, by nowy pracownik nie ściągał na siebie uwagi. Ma to być człowiek stateczny, lecz pospolicie wyglądający.

- Tak, ale...

- Więc niech mi będzie wolno powiedzieć, że często właśnie tak mnie opisują: zwyczajny jak budyń waniliowy.

W oczach Charlotte rozbłysła irytacja. Zerwała się na nogi, wyszła zza biurka i zaczęła przemierzać pokój.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Nie rozumiem, dlaczego. - Baxter zdjął okulary. - Nawet moja ciotka twierdzi, że

doprowadzam do stanu absolutnego znudzenia wszystkich, którzy znajdują się w pobliżu mnie dłużej niż dziesięć minut. Panno Arkendale, zapewniam panią, iż nie tylko wyglądam na nudziarza, ale rzeczywiście nim jestem.

- Widocznie więcej osób w pana rodzinie ma słaby wzrok. Radziłabym, żeby pana ciocia sprawiła sobie okulary podobne do pańskich.

- Nawet za cenę życia ciocia nie używałaby okularów przy ludziach. - Polerując szkła, Baxter wspominał wyzywająco szykowną lady Rosalind Trengloss. - Nosi je tylko wtedy, gdy wie, że nikt jej nie zobaczy. Wątpię, czy jej pokojówka widziała ją kiedyś w okularach.

- Co tylko potwierdza moje podejrzenie, że już od jakiegoś czasu nie przyjrzała się panu z bliska; być może nawet od chwili, gdy był pan niemowlęciem noszonym w ramionach.

- Słucham?

Charlotte odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w twarz.

- Panie St. Ives, dobry wzrok ma wielkie znaczenie w sprawie, którą omawiamy.

Baxter starannie umieścił okulary z powrotem na nosie. Jakoś stracił wątek rozmowy. A to wcale nie wróżyło dobrze. Zmusił się do przestudiowania twarzy Charlotte na swój zwykły, chłodny, analityczny sposób.

Nie była podobna do większości znanych mu pań. W istocie, im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym bardziej był przekonany, że jest całkowicie wyjątkowa.

Ku własnemu zdumieniu, mimo tego, co o niej wiedział, odczuwał niechętny podziw. Była nieco starsza, niż się spodziewał. Słyszał, że ma dwadzieścia pięć lat.

Uczucia pojawiały się na jej twarzy z szybkością chemicznych reakcji zachodzących w probówce ogrzewanej nad dmuchawką. Oczy obramowane gęstymi brwiami i długimi rzęsami, stanowczy nos, wysokie kości policzkowe, a także wyraziste usta, świadczyły o silnym charakterze i niezłomnej woli.

Innymi słowy, pomyślał Baxter, diabelnie zdecydowana osobka.

Lśniące kasztanowe włosy rozczesane były przedziałkiem ponad wysokim, rozumnym czołem. Warkocze upięła w schludny kok, ale kilka loków wymykało się na skronie.

W pełni sezonu, który dostarczał w nadmiarze widoków głęboko wyciętych staników i pajęczych tkanin ukazujących tyle kobiecych kształtów, ile to tylko było możliwe, Charlotte ubrana była zadziwiająco skromnie. Miała na sobie żółtą muślinową suknię z wysokim stanem, długimi rękawami i białym kołnierzykiem. Żółte pantofelki z kozłowej skóry wyzierały surowo spod skromnej falbany dekorującej dół sukni. Baxter nie mógł nic poradzić na to, że uznał jej stopki pod delikatnymi, zgrabnymi kostkami za wyjątkowo pięknie wysklepione. Lekko przerażony kierunkiem, jaki przybrały jego myśli, oderwał od niej

wzrok.

- Proszę mi wybaczyć, panno Arkendale, ale chyba nie zrozumiałem, o czym pani mówi.

- Po prostu nie nadaje się pan na to stanowisko.

- Bo noszę okulary? - Baxter zmarszczył brwi. - Sądziłbym raczej, że to wzmacnia wrażenie, iż ktoś ma do czynienia z człowiekiem przywodzącym na myśl budyń waniliowy.

- Nie chodzi tu o pana okulary. - Charlotte nie wiedziała już, jak mu to wytłumaczyć.

- Wydawało mi się, że chodzi pani właśnie o to.

- Dlaczego pan nie słucha tego, co mówię?! Zaczynam podejrzewać, że pan po prostu celowo usiłuje źle mnie rozumieć. Powtarzam, nie ma pan odpowiednich kwalifikacji.

- Moim zdaniem, jestem jak najbardziej odpowiedni. Czy pozwoli pani przypomnieć sobie, że rekomendował mnie jej plenipotent?

Charlotte odsunęła te słowa machnięciem ręki.

- Pan Marcle już nie jest moim plenipotentem. Przypuszczam, że w tej chwili znajduje się w drodze do Devonu.

- Chyba rzeczywiście wspominał, iż szczęśliwie doznał do zasłużonej i spokojnej emerytury. Panno Arkendale, po rozmowie z nim odniosłem wrażenie, że pani jest raczej wymagającą pracodawczynią.

- Co takiego? - Charlotte zastygła w oburzeniu.

- Nieważne. Nie rozmawiamy tu o emeryturze Marcle'a. Teraz chodzi o to, że ostatnim pani zleceniem dla niego było znalezienie następcy. I on wybrał właśnie mnie.

- Panie St. Ives, podjęłam już decyzję. Pan się nie nadaje.

- Panno Arkendale, zapewniam panią, że zdaniem Marcle'a mam wszelkie kwalifikacje, by objąć stanowisko. Z prawdziwą przyjemnością napisał list z rekomendacjami, który pani przedstawiłem.

Elegancki, srebrnowłosy John Marcle właśnie się pakował, gdy otrzymał ostatnie zlecenie od Charlotte. Baxter doskonale wyliczył czas. A przynajmniej tak myślał do chwili, kiedy zaczął przekonywać wątpiącego Marcle'a, by go polecił pannie Arkendale.

Jednak Marcle, który był uczciwym człowiekiem, wcale się nie ucieszył, gdy nawinęła mu się łatwa okazja załatwienia tego, co nazwał „ostatnim problemem Arkendale”. Poczul, że jego obowiązkiem jest odwieść Baxtera od pochopnej decyzji.

- Panna Arkendale nie jest taka jak inne damy – powiedział bawiąc się piórem. - Czy jest pan całkowicie pewny, że chce się starać o to stanowisko?

- Całkowicie - odparł Baxter.

Marcle spojrzał na niego sponad gęstych, siwych brwi.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem, dlaczego pragnie pan zatrudnić się właśnie u panny Arkendale.

- Z najzwyczajszych powodów, panie Marcle. Potrzebuję pracy.

- Tak, tak, rozumiem. Ale na pewno ma pan wiele innych możliwości.

Baxter postanowił nieco ubarwić swoją historię. Zrobił poufną minę.

- Obaj wiemy, jak nudne bywają takie stanowiska... instrukcje dla doradców prawnych i rozmaitych agentów, zawieranie umów kupna i sprzedaży majątków, sprawy bankowe. Wszystko to jest tak mało inspirujące.

- Po pięciu latach pracy jako plenipotent panny Arkendale mogę pana zapewnić, że niewiele tam było zwykłej rutyny i nudy.

- Szukam czegoś ciekawego - powiedział Baxter entuzjastycznie. - A wydaje mi się, że ta praca nie będzie zwykłą rutyną. Przeczuję, że będzie stanowiła prawdziwe wyzwanie.

- Wyzwanie? - Marcle zmrużył oczy. - Tak, rzeczywiście, praca u panny Arkendale stanowi prawdziwe wyzwanie.

- Mówiono mi, że wpadłem w rutynę i sugerowano, bym poszukał sobie czegoś bardziej podniecającego. Mam nadzieję, że to stanowisko da mi taką okazję.

Marcle, zaalarmowany, otworzył oczy.

- Szuka pan podniet?

- Tak, proszę pana. Mężczyźni o moim usposobieniu rzadko zdarzają się takie okazje. - Baxter miał nadzieję, że nie przedobrzył. - Niestety, zawsze wiodłem spokojne życie.

I, co więcej, niezwykle sobie cenił swoją cichą egzystencję, pomyślał ponuro. Ta cholerna misja, którą ma poprowadzić na gorącą prośbę ciotki, zmusza go do zarzucenia spokojnego, uładzonego życia.

Jedynym powodem, dla którego dał się namówić, było to, że dobrze znał Rosalind, która choć miała słabość do dramatycznych spraw - ku swojemu głębokiemu żalowi nigdy nie wystąpiła na scenie - ale też nie ulegała zwariowanym pomysłom i bujnej wyobraźni.

Rosalind była prawdziwie zaniepokojona okolicznościami śmierci swojej przyjaciółki, Drusilli Heskett. Policja stwierdziła, że zastrzelił ją włamywacz, którego przyłapała u siebie w domu na gorącym uczynku. Jednak Rosalind podejrzewała, że morderczynią był nie kto inny jak Charlotte Arkendale.

Na prośbę ciotki Baxter zgodził się zbadać sprawę.

Dyskretnie zasięgnął informacji i dowiedział się, że tajemnicza panna Arkendale

zamierza zatrudnić nowego plenipotentę. Skorzystał więc z tej okazji i zgłosił swoją kandydaturę. Uważał, że jeżeli uda mu się dostać tę pracę, znajdzie się w idealnym miejscu do prowadzenia śledztwa. Przy odrobinie szczęścia w krótkim czasie pozna prawdę i będzie mógł wrócić do spokojnego azylu laboratorium.

Marcle ciężko westchnął.

- To prawda, że praca u panny Arkendale czasami może być podniecająca, ale nie jestem całkowicie pewien, czy panu podobałyby się tego rodzaju przygody.

- Pozwoli pan, że sam będę o tym decydował.

- Niech mi pan uwierzy, że skoro pragnie pan podnieć, lepiej udać się do jakiegoś domu gry.

- Nie lubię hazardu.

Marcle skrzywił się.

- Zapewniam pana, że w piekle zaznałby pan mniej szaleństwa niż uczestnicząc w sprawach panny Arkendale.

Do tej pory Baxterowi nie przyszło do głowy, że jego przyszła pracodawczyni może być kandydatką do domu wariatów.

- Sądzi pan, że ona jest szalona?

- Ile dam spośród pana znajomych szuka plenipotentę, który jednocześnie pełniłby funkcję osobistej ochrony?

Doskonałe pytanie, pomyślał żałośnie Baxter. Cała sprawa okazywała się coraz dziwniejsza.

- Mimo wszystko chciałbym się starać o to stanowisko. Rozumiem, że panna Arkendale szuka nowego plenipotentę, bo pan odchodzi na emeryturę. Ale czy zechciałby mi pan wyjaśnić, dlaczego ona potrzebuje również osobistej ochrony?

- Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? - Marcle odrzucił pióro na bok. - Panna Arkendale jest bardzo dziwną kobietą. Byłem jej plenipotentem od chwili śmierci jej ojczyma, lorda Winterbourne'a. I mogę pana zapewnić, że ostatnie pięć lat dłużyło mi się jak żaden inny okres w życiu.

- Jeżeli ta praca się panu nie podobała, to dlaczego pan nie zrezygnował? - Baxter obrzucił Marcle'a zaciekawionym spojrzeniem.

- Ona doskonale płaci - odparł Marcle i westchnął.

- Ach, tak.

- Jednak muszę wyznać, że każdy kolejny list z poleceniami wprawiał mnie w coraz większe zdenerwowanie. A czułem się tak, jeszcze zanim wpadła na pomysł, by do pracy

plenipotentą dodać obowiązki ochrony osobistej.

- Jakimi sprawami musiał się pan zwykle zajmować?

Marcle westchnął.

- Wysyłała mnie, bym wypytywał najdziwniejszych ludzi. Kiedyś kazała mi uzyskać informacje o pewnym dzentelmenie. W tym celu musiałem pędzić na północ kraju. Rozmawiałem z personelem najgorszych jaskiń gry i burdeli. Dowiadywałem się o sprawy finansowe ludzi, którzy byliby zaszokowani, gdyby o tym wiedzieli.

- Rzeczywiście dziwne.

- I bardzo niewłaściwe dla damy. Daję słowo, gdyby mi nie płaciła tak dobrze, zrezygnowałbym po pierwszym miesiącu pracy. Ale nigdy nie zażądała, bym służył jej za ochroniarza. Przynajmniej za to mogę być wdzięczny losowi.

- Nie wie pan, dlaczego uważa, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo?

- Nie mam pojęcia. - Marcle tak gwałtownie pochylił się ku Baxterowi, aż zatrzęszczało krzesło. - Panna Arkendale nie zwierzyła mi się w tej sprawie. Prawdę mówiąc, panna Arkendale nigdy mi się nie zwierzała. Na przykład właściwie nie wiem, skąd czerpie dochody.

Baxter doskonale potrafił kontrolować wyraz twarzy. Jako nieślubny syn bogatego hrabiego musiał się tego wcześniej nauczyć. I w tej chwili ta umiejętność bardzo mu się przydała. Zdołał okazać zaledwie słabe zainteresowanie słowami Marcle'a.

- Wydawało mi się, że matka panny Arkendale, lady Winterbourne, miała spory majątek po pierwszym mężu – powiedział ostrożnie. - Sądziłem, że odziedziczyły go panna Arkendale i jej siostra.

Marcle zmarszczył czoło.

- Panna Charlotte chce, żeby w to właśnie wierzono. Jednak mogę panu powiedzieć, że Winterbourne zmarnotrawił spadek prawie do ostatniego pensa, zanim pięć lat temu był łaskaw pozwolić się zabić jakiemuś opryszkowi.

Baxter zdjął okulary i zaczął je czyścić chusteczką.

- Więc, pana zdaniem, skąd pochodzą dochody panny Arkendale?

Marcle przyglądał się swoim paznokciom.

- Powiem panu prawdę. Mimo że przez pięć lat pomagałem inwestować i zarządzać jej pieniędzmi, nie wiem, z jakiego źródła je czerpie. I radziłbym panu postępować tak samo, jeżeli pan obejmie stanowisko. O pewnych sprawach wygodniej jest nie wiedzieć.

Baxter wolno włożył okulary z powrotem na nos.

- Fascynujące. Najprawdopodobniej jakiś daleki krewny zmarł i zostawił jej spadek,

który wyrównał to, co Winterbourne roztrwonił.

- Nie wydaje mi się - powiedział wolno Marcle. - Kilka lat temu uległem ciekawości i dyskretnie się rozpytałem. Panna Arkendale nie miała bogatych krewnych. Obawiam się, że źródło jej dochodów to jeszcze jedna z tajemnic, które ją otaczają.

Ale jeżeli Rosalind ma rację, nie stanowi to żadnej tajemnicy, pomyślał Baxter. Ta kobieta jest po prostu szantażystką.

Jakieś bębnienie przywiodło jego myśli z powrotem do chwili obecnej. Popatrzył na Charlotte, która zatrzymała się przy kominku. Stukała palcami o gzyms.

- Nie rozumiem, dlaczego pan Marcle sądził, że ma pan kwalifikacje, jakich wymagam - powiedziała.

Baxter miał dosyć dyskusji na ten temat.

- Chyba nie znajdzie pani wielu ludzi, którzy spełnialiby pani absurdalne wymagania.

- Ale z całą pewnością będzie mógł poszukać kogoś lepszego niż pan.

- Zapomniała pani, że Marcle jest już w drodze do Devonu? Czy zechciałaby mi pani powiedzieć, co we mnie tak bardzo pani nie pasuje?

- Poza brakiem umiejętności posługiwania się pistoletem? - spytała słodko.

- Tak, poza tym.

- Zmusza mnie pan, bym była bezwzględna. Chodzi o pana wygląd.

- A co, u diabła, jest złego w moim wyglądzie? Trudno o coś bardziej pospolitego.

Charlotte skrzywiła się.

- Niech pan nie opowiada głupstw. W żadnym wypadku nie przypomina pan budyniu waniliowego. Wprost przeciwnie, pana aparycja przyciąga uwagę.

- Co takiego?

- Musi pan bardzo dobrze zdawać sobie sprawę z tego, że okulary są marnym przebraniem.

- Przebraniem? - Baxter zastanawiał się, czy przyszedł pod zły adres, do niewłaściwej Charlotte Arkendale. Może nawet był w niewłaściwym mieście. - Do diabła, co według pani ukrywam?

- Przecież chyba nie sądzi pan, że te okulary maskują pana prawdziwy charakter.

- Mój prawdziwy charakter? - Baxter stracił cierpliwość. - Niech to szlag, a czym, według pani, się odznaczam? Bo moim zdaniem jestem najbardziej pospolitym nudziarzem, jakiego można sobie wyobrazić.

Charlotte rozłożyła szeroko ręce.

- Wygląda pan na człowieka o silnych emocjach, które pan jednak kontroluje dzięki

jeszcze silniejszej woli.

- Co takiego?

Oczy Charlotte zmrużyły się w ponurej determinacji.

- Mężczyzna taki jak pan nie może się spodziewać, że przejdzie nie zauważony. Pan będzie przyciągał uwagę załatwiając moje sprawy. A ja nie mogę się na to zgodzić. Potrzebuję kogoś, kto ginie w tłumie. Kogoś, czyjej twarzy nikt nie zapamięta. Nie rozumie pan? Pan wydaje się raczej... mówiąc szczerze, niebezpieczny.

Baxterowi zabrakło słów.

Charlotte założyła ręce na plecach i znów zaczęła przemierzać pokój.

- Jest całkiem oczywiste, że pan nigdy nie będzie traktowany jak nudny, zwykły plenipotent. Dlatego musi pan zrozumieć, że nie spełnia pan moich wymagań.

Baxter zdał sobie sprawę, że siedzi z otwartymi ustami. Ogromnym wysiłkiem woli udało mu się je zamknąć. Różnie go określano: bękart, ordynus, ale najczęściej mówiono o nim „prawdziwy nudziarz”. Jeszcze nikt nie powiedział, że jest zdolny do silnych uczuć. Nikt nie powiedział mu też, że jest niebezpieczny.

Przecież jest naukowcem. Chętnie się swoim chłodnym, beznamytnym podejściem do spraw, ludzi i sytuacji. Właśnie tę cechę doskonalił przez całe lata, od czasu gdy odkrył, że nieprawy syn hrabiego Eshertona i osławionej lady Emmy Sultenham na zawsze pozbawiony jest należnego mu dziedzictwa.

Był tematem domysłów i plotek od dnia urodzin. Wcześniej nauczył się szukać schronienia w książkach i pośród naukowej aparatury.

Chociaż z początku niektóre kobiety uważały, że romans z nieślubnym synem hrabiego może być podniecający, zwłaszcza gdy dowiadywały się, że jest bardzo majątny, uczucia nigdy nie trwały długo. Słabe płomienie powstałe podczas rzadkich związków paliły się krótko i szybko gasły.

A odkąd wrócił trzy lata temu z Włoch, jego romanse stały się jeszcze krótsze. Rany po kwasie na plecach i ramionach zagoiły się, ale ślady zostały.

Kobiety cofały się z obrzydzeniem widząc paskudne blizny, wyglądające tak, jakby ciało nie było pokryte skórą. Baxter nie miał im tego za złe. Nigdy nie był przystojny, a oszpecenie spowodowane kwasem nie poprawiało jego aparycji. Na szczęście zdołał wtedy uchronić twarz. Jednak zawsze, zanim się rozebrał i poszedł z kobietą do łóżka, upewniał się, że świece są pogaszone, a ogień w kominku jest zasłonięty ekranem.

Przy ostatniej takiej okazji, jakieś pół roku temu, o mało się nie zabił uderzając głową w ramę łóżka, gdy w atramentowej ciemności sypialni pewnej wdowy potknął się o własny

but. Incydent ten przyhamował jego zapał na całą resztę nocy.

Ale przeważnie zadowolenia i przyjemności szukał w swoim laboratorium. Tam, otoczony lśniąco czystością zlewkami, kolbami, retortami i dmuchawkami, mógł uniknąć pustej rozmowy i frywolnych zabaw arystokratycznego świata. W tym świecie nigdy nie czuł się dobrze. Jego bywalcy go nie rozumieli, a on znajdował go dręcząco powierzchownym i banalnym. W eleganckim świecie nigdy nie czuł się u siebie.

Baxter miał wyćwiczony umysł, więc zmusił go teraz do szybkiego myślenia. Charlotte odrzuciła jego kandydaturę na stanowisko swojego plenipotenty. Zachodziła zatem potrzeba znalezienia innego podejścia, by przekonać ją, żeby go zatrudniła.

- Panno Arkendale, wydaje mi się, że istnieje pewna sprzeczność między pani opinią na temat mojego charakteru a opinią wszystkich innych ludzi, którzy mnie znają. Czy mógłbym zaproponować, byśmy rozwiązali ten problem uciekając się do eksperymentu?

- Jakiego rodzaju miałyby to być eksperymenty? - spytała chłodno Charlotte.

- Chciałbym, żeby pani wezwała tutaj wszystkich swoich domowników i spytała ich o zdanie. Jeżeli zgodnie uznają, że mogę wypełniać obowiązki nie ściągając na siebie niczyjej uwagi, pani mnie zatrudni. Jeżeli uznają, że to pani ma rację, wyjdę i poszukam pracy gdzie indziej.

Charlotte wahała się chwilę, ale zaraz energicznie skinęła głową.

- Doskonale. To mi się wydaje całkiem logiczne. Przeprowadzimy ten eksperyment natychmiast. Poproszę tu siostrę i gospodynię. Obie są bardzo spostrzegawcze.

Sięgnęła do welwetowej taśmy od dzwonka, wiszącej obok kominka, i mocno pociągnęła.

- Czy pogodzi się pani z wynikiem eksperymentu? - spytał Baxter ostrożnie.

- Ma pan moje słowo. - Charlotte uśmiechnęła się, z trudem ukrywając triumf. - Załatwimy sprawę od ręki.

W holu rozległy się kroki. Baxter poprawił okulary i rozsiadł na krześle, oczekując na rezultat eksperymentu.

Był pewien, że może przepowiedzieć wynik. Znał swoje mocne strony lepiej niż ktokolwiek inny. Nikt nie potrafiłby go przewyższyć, gdy chodziło o to, by wyglądać tak zwyczajnie jak waniliowy budyń.

Dwadzieścia minut później Baxter schodził ze schodków przed frontowymi drzwiami domu Arkendale'ów jako człowiek szczęśliwy i triumfujący. Marcowe powietrze, godzinę

temu przenikające go chłodem, teraz wydało mu się świeże i ożywcze.

Nic tak nie uładza spraw, jak właściwie przeprowadzony eksperyment naukowy, pomyślał zatrzymując dorożkę. Nie było łatwo, ale jednak w końcu otrzymał stanowisko. Tak jak przewidział, Charlotte Arkendale była jedyną osobą w domu, a może nawet jedyną osobą w całym Londynie, która zauważyłaby go w tłumie.

Nie był pewien, co o niej samej mówi fakt, że miała opinię tak inną niż wszyscy, ale ostatecznie potwierdziło się zdanie Johna Marcle'a. Charlotte jest wyjątkową kobietą.

Nie tego się spodziewał po szantażystce i morderczyni.

2

Charlotte, nie rozumiem, czym się tak martwisz - Ariel zamilkła na chwilę i przyjrzała się z bliska półmiskowi z jajecznicą, który pani Witty postawiła na kredensie. - Pan St. Ives wygląda dokładnie tak, jak sobie życzyłaś. To zwykły plenipotent i nie będzie przyciągał uwagi załatwiając twoje sprawy. Wydaje mi się też, że ma doskonałą kondycję fizyczną. Nie jest może aż tak wysoki, jak mogłabym sobie życzyć, ale ma szerokie ramiona i robi wrażenie silnego. Sądzę, że gdyby zaistniała taka konieczność, potrafi cię obronić.

- A mnie się wydawało, że jest wystarczająco wysoki. - Charlotte zastanawiała się ponuro, dlaczego czuje się zobowiązana do ujmowania się za Baxterem i jego wzrostem. Co ją to obchodzi, że Ariel uważa Baxtera za zbyt niskiego? - Gdy rozmawiałam z nim, musiałam patrzeć do góry.

- To dlatego, że ty jesteś taka malutka. - Ariel uśmiechnęła się. - Oczywiście wyglądasz z tym bardzo ładnie.

- Oczywiście - skrzywiła się Charlotte.

- Ale tak naprawdę, pan St. Ives jest ode mnie wyższy zaledwie o niecały cal.

- Jesteś bardzo wysoka jak na kobietę. „I urocza, i wiotka jak wierzba, po prostu cudowna” - dodała w myślach Charlotte, uniesiona siostrzaną dumą. A może była to nawet matczyna duma. W końcu od śmierci matki była odpowiedzialna za siostrę.

I Ariel wyrosła na wspaniałą kobietę. Miała teraz dziewiętnaście lat. Z jasnymi włosami, niebieskimi oczami, klasycznymi rysami twarzy i tak... wyjątkowo wysoką sylwetką była żywym obrazem matki.

Przez ostatnie pięć lat Charlotte przeżyła wiele niepokojów i zmartwień. Wiedziała też, że nigdy nie potrafi zadośćuczynić siostrze za to, co utraciły. Ariel miała zaledwie jedenaście lat, gdy umarł ich wysoki, przystojny, kochający ojciec. Miała niewiele ponad trzynaście, gdy straciły piękną, żywiołową matkę. Potem Winterbourne roztrwonił majątek, który pozwoliłby Ariel dokonywać wyborów zgodnych z własną wolą, włączając w to mężczyznę, którego chciałyby poślubić.

Jedną z rzeczy, których Charlotte najbardziej żałowała, było to, że nie mogła ofiarować siostrze sezonu. Przy swoim wyglądzie i wykształceniu, o które najpierw dbała ich piękna, wyemancypowana matka, a potem kontynuowała jej rolę Charlotte, Ariel odniosłaby

oszołamiający sukces. I co więcej, uwielbiałyby operę, teatr, podniecenie balami i wieczorkami. Odziedziczyła po rodzicach zamiłowanie do sztuki i rozrywki. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, miałyby okazję spotykać ludzi towarzysko równych sobie. Mogłyby tańczyć walca z młodymi, przystojnymi mężczyznami.

Ariel utraciła tyle rzeczy, które powinna mieć.

Charlotte otrząsnęła się z tych myśli i zajęła umysł sprawami, które musi rozwiązać teraz. Zmusiła się do zrobienia tego, co zawsze, gdy rozmyślania mogły jej zagrozić depresją. Skoncentrowała się na przyszłości. A teraz przyszłość obejmowała również Baxtera St. Ivesa.

- Chciałabym być tak samo pewna co do pana St. Ivesa jak ty. - Charlotte oparła łokcie na stole i oparła brodę na rękach.

- Idealnie nadaje się na plenipotentę - oświadczyła Ariel.

Charlotte westchnęła. Jeszcze raz okazało się, że tylko ona wyczuwała w Baxterze o wiele więcej, niż można było spostrzec na pierwszy rzut oka. Wczoraj zarówno Ariel, jak i pani Witty, gosposia, wyraziły aprobatę dla następcy pana Marcle'a. Obie były tak pewne swojego wrażenia, że Charlotte prawie zaczęła wątpić w ostrzeżenia swojego instynktu.

Prawie, ale nie całkowicie. W końcu, jeśli chodzi o ocenę dżentelmenów, miała ogromne doświadczenie i jej intuicja rzadko zawodziła. Nie mogła przestać o tym myśleć.

Jednak konfundował ją fakt, że inni nie zauważali za okularami Baxtera jego płonącego spojrzenia. Twierdził, że zajmuje się chemią, ale według niej nie miał osobowości nowoczesnego naukowca. Jego bursztynowe oczy alchemika przywodziły na myśl legendarnych badaczy, szukających obsesyjnie mistycznej tajemnicy kamienia filozoficznego. Charlotte łatwo mogła wyobrazić sobie Baxtera pochylonego nad rozgrzanym tygielkiem, warzącego dekokty, które pozwoliłyby przemienić ołów w złoto.

W bursztynowej głębi jego oczu płonęła żywa inteligencją niezłomna determinacja i żelazna wola. O tych samych cechach świadczyły jego szorstko zarysowane, mocne rysy twarzy. Charlotte wyczuła w nim jeszcze coś więcej, coś, czego nie mogła dokładnie określić. Czyżby to był ślad melancholii? Kiedy teraz się nad tym zastanawiała, nie wydawało jej się to aż tak nieprawdopodobne.

Istniała odwieczna artystyczna tradycja przedstawiania mrocznych, pełnych tęsknoty emocji za pomocą alchemicznych symboli. Ludzie, którzy oddawali się nie mającym końca poszukiwaniom tajemnic natury, niezawodnie musieli czasami ulegać rozpacz i zwątpieniu.

Baxter St. Ives był najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego Charlotte kiedykolwiek poznała. Ale cechy, które ją w nim intrygowały, mogły również stanowić zagrożenie. Obawiała się, że przy swojej osobowości może nie być dość elastyczny jak na to,

czego wymagała od nowego pracownika. Szukała plenipotentą, który przyjmowałby polecenia bez dyskusji, a nie kogoś, kto nieustannie żądałby wyjaśnień i uzasadnień. A Baxter nie zechce potulnie poddawać się jej rozkazom. W najlepszym wypadku będzie jej z nim trudno.

- Mam nadzieję, że teraz, kiedy pan St. Ives dostał już pracę, będzie go stać na krawca.

- Ariel zachichotała niosąc talerz do stołu. - Surdut źle na nim leży, a kamizelka jest taka zwyczajna. Czy zauważyłaś, że nosi zwykłe spodnie za kolana, zamiast modnych obecnie spodni sięgających do butów?

- Zauważyłam.

Musiałyby być ślepa, gdyby nie dostrzegła sposobu, w jaki jego obcisłe spodnie gładko opinały umięśnione uda. Przypomniała sobie, jak siedział naprzeciwko niej, w pogniecionym niebieskim surducie, źle wyprasowanej lnianej koszuli, niemodnych spodniach i nie wypastowanych butach. Lekko zmarszczyła czoło.

- Jego ubranie było w doskonałym gatunku.

- Tak, ale okropnie niemodne, nawet jak na dżentelmena o jego pozycji. - Ariel ugryzła kęs kielbaski. - A fular zawiązał całkiem byle jak. Obawiam się, że nasz pan St. Ives nie ma w ogóle wyczucia mody.

- Modne ubranie nie jest najważniejsze u plenipotentą.

- Pewnie. - Ariel puściła do siostry oczko. - Jednak jego ubranie potwierdza, że jest tym, za kogo się podaje, czyli, dżentelmenem, który bardzo potrzebował pracy. Prawdopodobnie drugi syn ziemianina. Wiesz, w jakiej sytuacji na ogół się znajdują.

- Tak, wiem - potwierdziła Charlotte bawiąc się filiżanką.

Było ogólnie wiadome, że wielu drugich czy trzecich synów ubogich ziemian, nie mając nadziei na odziedziczenie farmy, musiało szukać pracy jako zarządcy cudzych dóbr.

- Nie przejmuj się - powiedziała Ariel. - Jestem pewna, że gdyby St. Ives nie miał odpowiednich kwalifikacji, nasz porządny, stary Marcle nie zarekomendowałby go nam.

Charlotte przyglądała się, jak siostra zajada jajka i kielbaski. Ona sama zwykle rano też cieszyła się zdrowym apetytem, ale dziś nie miała ochoty nawet na kawę.

- Ariel, nie wiem, co robić. Po prostu nie wiem.

- Charlotte, taki nastrój jest zdumiewający u ciebie. Rano przeważnie kipiś energią.

- Źle spałam.

W rzeczywistości Charlotte prawie w ogóle nie zmrużyła oka. Większość nocy przewracała się z boku na bok, ogarnięta przykrym niepokojem. Ariel miała rację: dziś rano naprawdę była w ponurym nastroju.

- Czy powiedziałaś już panu St. Ivesowi, dlaczego potrzebujesz ochrony osobistej? - spytała Ariel.

- Jeszcze nie. Prosiłam, żeby przyszedł po południu. Wtedy wyjaśnię mu, na czym będą polegały jego obowiązki.

Oczy Ariel rozszerzyły się ze zdumienia.

- To znaczy, że on nie ma pojęcia, dlaczego go zatrudniłaś?

- Tak.

Prawda była taka, że musiała przemyśleć sytuację. Potrzebowała czasu, by uzyskać pewność, że zagadkowy pan St. Ives jest odpowiednim człowiekiem, gdyż stawka w grze była wysoka. Ale im bardziej rozmyślała, tym mniej możliwości wyboru widziała przed sobą. Naprawdę nie wiedziała, jaką podjąć decyzję.

Ariel odłożyła widelec i uważnie przyjrzała się Charlotte.

- Może nie będzie chciał zostać, gdy dowie się, o co chodzi.

Charlotte zastanowiła się nad tym. Nie wiedziała, czy ma się czuć pocieszona, czy zaniepokojona taką perspektywą.

- Wszystko może się okazać o wiele prostsze, jeżeli pan St. Ives weźmie nogi za pas, kiedy się dowie, na czym będą polegały jego obowiązki.

Do pokoju weszła pani Witty niosąc dzbanek świeżej kawy na wielkiej, zniszczonej tacy.

- Lepiej by było, żeby nie uciekł, gdy się dowie, czego pani od niego chce, panno Charlotte. W Londynie nie ma aż tak wielu dżentelmenów skłonnych pomóc w śledztwie dotyczącym morderstwa.

- Wiem o tym - odparła Charlotte. - I przecież zgodziłam się przyjąć pana St. Ivesa.

- Tak, i dzięki za to Bogu. Nie podoba mi się to wszystko. Śledztwo w sprawie morderstwa jest czymś innym niż to, czym się na ogół zajmujemy.

- O tym też wiem. - Charlotte przyglądała się ponuro, jak pani Witty nalewa kawę.

Gospośia była kobietą robiącą wrażenie. Jej monumentalne kształty przywodziły na myśl jakąś starożytną boginię. Odkąd trzy lata temu zaczęła tu pracować, Charlotte nieraz była jej wdzięczna za silne nerwy. Niewiele gospodyń tolerowałoby pracodawczynię oddaną zawodowi, który ona sobie wybrała. A jeszcze mniej zgodziłyby się jej pomagać.

Równie mało jest gospoś tak dobrze ubranych jak pani Witty, pomyślała Charlotte. Ale też za niezwykle usługi trzeba płacić wyjątkowo dobrze.

- Ona ma rację - Ariel spoważniała. - To, co zamierzasz, może się okazać niebezpieczne.

- Nie mam wyboru - powiedziała spokojnie Charlotte. - Muszę odkryć, kto zabił Drusillę Heskett.

W swoim laboratorium Baxter z rozkoszą rozpakowywał nową dostawę szkła, dokładnie odpowiadającą jego zamówieniu. Nagle zapukano do drzwi.

- O co chodzi, Lambert? - Baxter wyjął ze skrzynki lśniąca nowością retortę, podniósł ją do światła i przez chwilę się nią zachwycił. - Jestem zajęty.

Drzwi otworzyły się

- Lady Trengloss, proszę pana - zaanonsował Lambert grobowym głosem.

Baxter niechętnie odłożył retortę i spojrzał na Lamberta. Kamerdyner miał zboląły wyraz twarzy, ale Baxter nie dopatrywał się w tym niczego nowego. Lambert zawsze wyglądał na zboląłego. W końcu miał już sześćdziesiąt sześć lat; w tym wieku większość ludzi jego zawodu od dawna korzystała z dobrze zasłużonej emerytury. Jak należało się spodziewać, Lambert odczuwał brzemień lat. Bardzo cierpiał na bóle stawów. Jego ręce były powykręcane, i chodził o wiele wolniej niż dawniej.

- Na pewno ciotka chce otrzymać pełny raport na temat mojej nowej kariery jako plenipotenta - powiedział Baxter, z rezygnacją godząc się na nieuniknioną rozmowę.

- Lady Trengloss wydała mi się troszkę podniecona, proszę pana.

- Wprowadź ją.

- Tak jest, proszę pana. - Lambert już miał odejść, jednak zatrzymał się. - Jeszcze o czymś powinien pan wiedzieć, proszę pana. Nowa gospodyni odeszła godzinę temu.

- Niech to szlag! - Baxter skrzywił się widząc drobną skazę na retorcie. - To już kolejna, co czyni trzy w ciągu ostatnich pięciu miesięcy.

- Tak, proszę pana.

- A ta na co się skarżyła? Od tygodni nie było w laboratorium większych wybuchów i na dodatek starałem się, by żadne szkodliwe wyziewy nie przedostawały się do holu.

- Pani Hardy, sądząc z tego, co wykrzykiwała, doszła do wniosku, że zamierza pan ją otruć.

- Otruć? - Baxter obruszył się. - Na Boga, co też jej przyszło do głowy! Diabelnie trudno utrzymać w domu gosposię, więc otrucie tej, którą już szczęśliwie mamy, byłoby z mojej strony bardzo nielogicznym postępkim.

Lambert lekko zakasłał.

- Chodziło chyba o butelki po chemikaliach, które wczoraj wieczorem znalazła w

kuchni.

- Niech to diabli, zostawiłem je tam tylko dlatego, że dla nowego doświadczenia potrzebowałem dobrego ciągu powietrza. Wiesz, że zawsze wtedy używam kuchni.

- Widocznie widok butelek ją zaniepokoił, proszę pana.

- Niech to szlag! No dobrze, nic na to nie poradzimy. Pojedź do agencji i znajdź nam nową gospodynię. Ciekawe, ile tym razem będę musiał zapłacić? Każda następna jest bardziej wymagająca niż poprzednia.

- Tak, proszę pana. - Lambert ruszył do drzwi i skrzywił się, przyciskając dłoń do biodra.

- Reumatyzm dziś mocno dokucza? - spytał Baxter.

- Tak, proszę pana.

- Przykro mi to słyszeć. Czy nowa kuracja daje jakieś rezultaty?

- Wydaje mi się, że odkąd chodzę do doktora Flatta, odczuwam pewną poprawę, ale niestety na razie ulga jest tylko chwilowa. Jednak doktor obiecuje, że w miarę postępów kuracji ból będzie ustępował.

- Hm... - Baxter wolał nie rozwijać tematu. Nie miał najmniejszego zaufania do doktora Flatta, który stosował zwierzęcy magnetyzm lub, jak to często nazywano, mesmeryzm. On sam, jako naukowiec, uważał to wszystko za szarlatanerię. Wybitne autorytety, takie jak Benjamim Franklin z Ameryki czy francuski chemik Antoine Lavoisier, kilka lat temu potępiły dzieło Mesmera. Jednak ich opinia w najmniejszym stopniu nie powstrzymała coraz liczniejszych naśladowców, którzy utrzymywali, że stosując rozmaite odmiany teorii doktora Mesmera uzyskują zadziwiająco korzystne wyniki leczenia.

- Lady Trengloss, proszę pana - przypomniał Lambert.

- Tak, tak, wprowadź ją. Im szybciej to załatwię, tym lepiej. - Baxter spojrzął na wysoki stojący zegar. - Za godzinę muszę być u mojej nowej pracodawczyni.

- Pracodawczyni? Tak ją nazywasz? - Lady Rosalind Trengloss szybkim krokiem wyminęła Lamberta i węgłowała do laboratorium. - Co za dziwne określenie dla tej kobiety.

- Nawet jeżeli to cię nie zachwyca, jednak w pełni oddaje rzeczywistość. - Baxter spojrzął ostro na ciotkę. - Dzięki tobie, madame, czy mi się to podoba czy nie, nareszcie uzyskałem dobrze płatne zatrudnienie.

- Nie miej do mnie pretensji, bo plan był twój. - Rosalind zdjęła czarno-srebrny czepek i z pełnym godności wdziękiem opadła na krzesło. Jej piękne, szpakowate włosy, elegancko uczesane, podkreślały szlachetność rysów, a w czarnych, błyszczących oczach malował się wyraz stanowczości.

Baxter spojrział na nią z mieszanymi uczuciami cierpkiego przywiązania i niechętniej niecierpliwości. Rosalind była młodszą siostrą jego zmarłej matki. Teraz miała sześćdziesiąt lat, ale zachowała wrodzone poczucie elegancji i olśniewający czar, z którym obie siostry przyszły na ten świat.

Emma i Rosalind Claremont zdobyły Londyn szturmem. Obie zawarły wspaniałe małżeństwa. Obie owdowiały nie mając jeszcze dwudziestu pięciu lat i żadna nie wyszła powtórnie za mąż. Zamiast tego jako bogate, piękne i utytułowane wdowy doskonale się bawiły. Dzięki towarzyskiej pozycji i urokowi gładko wywijały się ze skandali i plotek, które unicestwiłyby każdą inną kobietę.

- Musisz przyznać, że mam doskonałe kwalifikacje na plenipotentę. - Baxter uśmiechnął się ponuro widząc, że Lambert dla własnego bezpieczeństwa bezszelestnie ulatnia się z laboratorium.

Rosalind w zamyśleniu przechyliła głowę na bok.

- Może nawet tak jest. W końcu nabrałeś wielkiego doświadczenia zarządzając rodzinnym majątkiem.

- Owszem.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś wczoraj u Charlotte Arkendale.

- Jak do tej pory, bardzo niewiele. Wprowadzi mnie w obowiązki dopiero dzisiaj. Mam być u niej za niecałą godzinę.

Baxter usiadł przy biurku. Coś mu zatrzeszczało pod udami. Stwierdził, że właśnie zgniótł stronę z notatkami z doświadczenia, które niedawno przeprowadzał.

- Niech to szlag! - Podniósł kartkę i starannie ją wygładził.

Rosalind popatrzyła obojętnie na pomięte notatki, a potem bacznie przyjrzała się siostrzeńcowi.

- Tylko pobudziłeś moją ciekawość. Powiedz mi szczerze, jakie jest twoje pierwsze wrażenie po spotkaniu z panną Arkendale?

- Wydaje mi się, że ona jest... - Baxter zawahał się szukając odpowiedniego słowa - nadzwyczajna.

- Chcesz powiedzieć: diabelnie inteligentna?

- Tak.

- Zwodniczo chłodna i podstępna?

Baxter znów się zawahał.

- Ciociu, chciałbym ci przypomnieć, że nie masz żadnych dowodów na poparcie swoich oskarżeń.

- Ach. Więc mam nadzieję, że szybko je znajdziesz.

- Nie bądź tego taka pewna. Mogę wyobrazić sobie pannę Arkendale grającą wiele ról.

- „Między innymi, kochanki”. Nagle z nicości napłynęły obrazy, rozpalające i intensywne. Jego ciało zareagowało tak, jakby właśnie leżał w skotłowanej pościeli, pachnącej namiętnością i pożądaniem. Może zbyt długo już nie nawiązałem żadnego romansu, pomyślał pochmurnie. - Ale trudno mi wyobrazić ją sobie w roli szantażystki i morderczyni.

Rosalind bystro spojrzała na Baxtera.

- Czy zaczynasz mieć wątpliwości co do tego, czy powinniśmy realizować nasz plan?

- My? Wydaje mi się, że to ja mam prowadzić całe przedsięwzięcie.

- Baxter, nie łap mnie za słówka. Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

- Od początku mówiłem ci, że mam wątpliwości - przypomniał ciotce Baxter. - I to poważne wątpliwości. Przede wszystkim nie masz absolutnie żadnego dowodu na to, że Charlotte Arkendale szantażowała Drusillę Heskett, a co dopiero mówić o morderstwie.

- Któregoś wieczoru, gdy wypiliśmy butelkę porto, Drusilla zwierzyła mi się, że zapłaciła pannie Arkendale sporą sumkę. Gdy spytałam ją, dlaczego to zrobiła, nagle zmieniła temat. Nie myślałam o tym, aż do chwili gdy ją zamordowano. Wtedy przypomniałam sobie, jak bardzo tajemnicza była w tej sprawie. Baxter, nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności?

- Pani Heskett była twoją bliską przyjaciółką. Na pewno by ci powiedziała, gdyby ktoś ją szantażował.

- Niekoniecznie. Z natury rzeczy szantaż dotyczy spraw najbardziej intymnych i sekretnych. Szantażysta grozi, że poda do publicznej wiadomości coś, co ofiara przed wszystkimi ukrywa. I często szczególnie zależy jej na tym, by zwłaszcza najbliżsi przyjaciele nic nie wiedzieli.

- Jeżeli pani Heskett płaciła, to po co szantażysta miałby ją zabijać? Przecież to zlikwidowałoby źródło pieniędzy.

- Kto wie, jakim torem biegną myśli szantażysty? - Rosalind wstała z królewskim dostojeństwem i ruszyła do drzwi. - Może Drusilla przestała płacić? Baxter, chciałabym, żebyś odkrył, dlaczego ją zamordowano. Postanowiłam wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. Informuj mnie o wszystkim.

- Hm...

- A przy okazji. - Rosalind zatrzymała się przy drzwiach i ściszyła głos. - Naprawdę wydaje mi się, że powinieneś posłać biednego Lamberta na emeryturę. Zanim podejdziesz do drzwi, mija cała wieczność. Słowo daję, musiałam czekać prawie dziesięć minut.

- To, że tak wolno podchodzi do drzwi, jest dla mnie jedną z jego największych zalet. Większość ludzi rezygnuje i odchodzi, zanim się dowiedzą, że jestem w domu. Dzięki temu oszczędza mi sporo zamętu.

Baxter poczekał, aż Rosalind wyjdzie z laboratorium. Potem powoli podszedł do okna i przyjrzał się trzem doniczkom stojącym na parapecie. Przeprowadzał w nich jedno ze swoich doświadczeń dotyczących chemii rolnej: do jałowej ziemi dosypał minerały i chemikalia i zasiał zielony groszek.

Na razie w doniczkach nie było najmniejszego śladu życia.

Tykanie zegara w gabinecie wydawało się niezwykle głośne. Charlotte przybrała minę wyrażającą w jej mniemaniu zawodową kompetencję i spojrzała na Baxtera siedzącego po drugiej stronie biurka.

Przez cały dzień obawiała się tego spotkania. Obawiała się go, a jednocześnie wyczekiwała z niezrozumiałym uczuciem, które mogłaby określić jako nienaturalne podniecenie.

- Zanim wydam panu polecenia na najbliższe dni, chciałabym coś wyjaśnić. Nie mógł tego zrobić pan Marcle, ponieważ nie uważałam za stosowne informować go o moich osobistych sprawach.

- Ach, tak? - Baxter patrzył na Charlotte z uprzejmym zainteresowaniem.

- Muszę panu opowiedzieć, w jaki sposób zarabiam na utrzymanie.

Baxter zdjął okulary i przecierał szkła wielką białą chustką.

- Rzeczywiście, panno Arkendale, pani plenipotent raczej powinien to wiedzieć.

- Tak, chyba tak. Ale trochę trudno mi to wytłumaczyć.

- Słucham panią.

- Niektórzy ludzie mogliby uznać, że mój zawód ociera się o skandale, ale moim zdaniem jest to raczej powołanie.

- Coś takiego jak powołanie zakonne? - Baxter podniósł okulary do światła udając, że sprawdza, czy są czyste.

- Tak. - Charlotte trochę się uspokoiła. - To doskonałe porównanie. Widzi pan, panie St. Ives, świadczę bardzo szczególne usługi. Pomagam wyłącznie paniom, które niespodziewanie uzyskały trochę pieniędzy, na przykład dostały spadek czy też niezwykle hojne zaopatrzenie od wdzięcznego pracodawcy.

- Tak, słucham panią.

- Chodzi o porządne kobiety, już nie najmłodsze, które znalazły się same na świecie i zastanawiają się nad zamążpójściem.

Baxter starannie umieścił okulary z powrotem na nosie.

- I jakiego rodzaju są te usługi?

- Zasięgam informacji. W sposób bardzo dyskretny.

- Jakich informacji?

Charlotte zawahała się, ale po chwili mówiła dalej:

- Dotyczących dżentelmenów, którzy pragną je poślubić.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział Baxter spoglądając na Charlotte ze zdziwieniem.

- Widzi pan, czuję, że moim powołaniem jest pomaganie takim paniom w upewnieniu się, że mężczyzna, który prosi je o rękę, nie jest łowcą posagów, rozpustnikiem czy też człowiekiem pragnącym żyć na czyjś koszt. Pomagam im uniknąć niebezpieczeństw i pułapek czyhających na takie kobiety.

W gabinecie zaległo milczenie. Baxter bez słowa patrzył na Charlotte.

Charlotte najeżyła się. To tyle, jeśli chodzi o jej oczekiwania, że ten wyjątkowy zawód wyrzeze na nim korzystne wrażenie.

- Nie bardzo rozumiem? Przecież chyba nie jest pani detektywem w spódnicy?

- Nie. Zajmuję się niezwykle delikatnymi dochodzeniami, których nie potrafiłby wykonać żaden detektyw. I cieszę się, że potrafiłam uchronić sporo pań przed katastrofalnym związkiem z mężczyzną, który by je z całą pewnością zrujnował.

- Niech to szlag! Zaczynam rozumieć, dlaczego może być pani potrzebna ochrona osobista. Na pewno ma pani wielu wrogów.

- Bzdura. Prowadzę sprawy w całkowitej tajemnicy. Zawsze przestrzegam klientki, by rozmawiała o moich usługach wyłącznie z innymi paniami, którym mogłabym być użyteczna.

- Panno Arkendale, to zadziwiające. Do diabła, w jaki sposób wykonuje pani tę pracę?

- Zebranie niektórych informacji zlecam mojemu plenipotentowi. Pomagają mi również moja siostra i gosposia.

- Gosposia! - Baxter nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Pani Witty jest bardzo pomocna, gdy chodzi o przepytanie służby. A służba często wie o swoich pracodawcach o wiele więcej niż znajomi. Jak do tej pory wszystko układało się doskonale. - Charlotte wstała z krzesła, podeszła do okna i zapatrzyła się na swój niewielki ogródek. - Ale teraz stało się coś okropnego.

- Coś, co powoduje, że będzie pani potrzebowała nie tylko nowego plenipotentą, ale również ochrony osobistej?

- Tak. Do niedawna zajmowałam się wyłącznie kobietami o pewnej pozycji życiowej, godnymi szacunku, ale niezbyt bogatymi. Ale dwa miesiące temu przyszła do mnie nowa klientka, kobieta należąca do towarzystwa. Byłam niesamowicie podniecona, bo to mogło oznaczać, że być może zdołam świadczyć usługi również bogatym osobom.

- Niech to szlag! - szepnął Baxter.

Charlotte udała, że go nie słyszy. Teraz już nie miała odwrotu. Powiedziała mu zbyt wiele. Musi liczyć na to, że wszystko skończy się dobrze.

- Nazywała się Drusilla Heskett. Przeprowadziłam dochodzenie, o które mnie poprosiła, a potem zdałam jej raport. Zapłaciła mi i byłam pewna, że więcej o niej nie usłyszę. Miałam tylko nadzieję, że opowie o mnie swoim przyjaciółkom.

- I co się stało?

- W zeszłym tygodniu znaleziono ją zamordowaną w jej domu. Policja uznała, że zabił ją włamywacz przyłapany na gorącym uczynku. Tego wieczoru wszyscy służący mieli wychodne. Jednak ja mam pewne powody sądzić, że mordercą jest mężczyzna, w którego sprawie prowadziłam dochodzenie.

- Dobry Boże!

Charlotte odwróciła się i spojrzała na Baxtera.

- Muszę dowiedzieć się prawdy.

- Dlaczego? Co to panią obchodzi?

- Nie rozumie pan? Jeżeli mordercą jest człowiek, o którym zbierałam informacje i zarekomendowałam go jako uczciwego i szczerego, to w jakimś sensie jestem odpowiedzialna za jej śmierć. Muszę poznać prawdę.

- A dlaczego sądzi pani, że mordercą jest jeden z jej adoratorów? - spytał szybko Baxter.

- W dniu śmierci pani Heskett dostałam od niej list. Napisała, że w ostatnim czasie dwa razy o mało nie przejechał jej powóz, raz na ulicy, a raz w parku. Za każdym razem był to czarny faeton. Obawiała się, że to nie jest zwykły zbieg okoliczności, lecz zamach na jej życie.

- Niech to szlag!

- Nie widziała twarzy powożącego, ale doszła do logicznego wniosku, że któryś ze starających się o jej rękę po odmowie wpadł we wściekłość i chce ją zabić. Następnego rana dowiedziałam się o jej śmierci. Nie wydaje mi się, by to był zbieg okoliczności. Muszę odkryć prawdę.

- I spodziewa się pani po mnie pomocy w tym zwariowanym śledztwie?

- Tak, oczywiście. - Charlotte zaczynała się irytować. - Zgodził się pan pracować u mnie, a ja wyznaczyłam panu bardzo wysoką pensję. Oczekuję więc, że będzie się pan właściwie wywiązywał z obowiązków zarówno jako plenipotent, jak i ochrona osobista. To mi się wydaje całkiem proste i uczciwe.

- Tak samo proste i uczciwe jak teoria wyjaśniająca spalanie obecnością flogistonu - obruszył się Baxter.

- Słucham?

- Nic, nic. Po prostu przypomniała mi się stara absurdalna teoria flogistonu, wymyślona przez Niemców. Flogiston miał powodować zjawisko spalania. Chodzi tu o zjawiska chemiczne. Nie sądzę, by pani wiedziała coś na ten temat.

Charlotte zmarszczyła brwi.

- Wprost przeciwnie, panie St. Ives. Wiem doskonale, że kilka lat temu Lavoisier przeprowadził niezwykle doniosłe doświadczenia, które obaliły teorię flogistonu.

Baxter potrzebował dobrej chwili, by to przetrwać.

- Interesuje się pani chemią, panno Arkendale?

- Nie. - Charlotte skrzywiła się. - Ale w latach szkolnych kazano mi przeczytać *Rozmowy o chemii* Basila Valentine'a, zresztą tak samo jak wszystkim innym młodym Anglikom. I pozostało mi w pamięci kilka wiadomości.

- Ach, tak. - Baxter rzucił jej nieodgadnione spojrzenie. - Czy książka Valentine'a wydała się pani okropnie nudna?

- Chemia nie jest moim ulubionym przedmiotem. - Charlotte uśmiechnęła się przepaszająco. - Mam inne zainteresowania.

- Wcale się nie dziwię.

- Może wrócilibyśmy do sprawy morderstwa pani Heskett? - zaproponowała poważnie Charlotte.

- Tak, oczywiście. Proszę mi powiedzieć, panno Arkendale, jak zamierza pani szukać mordercy?

- Pani Heskett w ostatnim miesiącu odmówiła ręki czterem mężczyznom. Jeden z nich, pan Charles Dill, zmarł dwa tygodnie temu na atak serca, więc nie musimy się nim zajmować. Pozostali trzej to lordowie Lennox, Randeleigh i Esly. Zamierzam przeprowadzić rozmowę z nimi wszystkimi. Ale najpierw musimy zbadać miejsce zbrodni.

Baxter zamrugął jak sowa.

- Zbadać miejsce zbrodni?

- Zamierzam przeszukać dom Drusilli Heskett.

- Słucham?

- Doprawdy, panie St. Ives, musi pan słuchać uważniej. Nie może pan oczekiwać, że będę powtarzała każde słowo. Chcę przeszukać dom pani Heskett. Wiem, że teraz nikogo tam nie ma. A pan będzie mi towarzyszył i postara się być użyteczny.

Baxter patrzył na Charlotte tak, jakby nagle zmieniła się w stworzenie z innego świata.

- Niech to szlag!

3

Czytała *Rozmowy o chemii* i znała obaloną teorię flogistonu. Mogła rzucić nazwisko Lavoisiera w zwykłej rozmowie. W jej gabinecie znajdowało się sporo doskonałych książek z wielu dziedzin, i na pewno wszystkie je przeczytała. No i co z tego, pomyślał Baxter. Zainteresowania intelektualne wcale nie świadczą o tym, że ktoś nie jest szantażystą.

Wielu wykształconych łajdaków z wyższych klas potrafi rzucać mądre uwagi na naukowe tematy. Wykształcenie wcale nie świadczy o czystości serca i o uczciwości. Na przykład Morgan Judd był jednym z najinteligentniejszych i najbardziej czytanych ludzi, jakich znał.

W tej chwili stał na ciemnej ulicy i usiłował zobaczyć coś we mgle. Męczyły go niemiłe przecucia. Okolica była spokojna i zasiedziała. Bardzo szacowna. Nie wybudowano tu dużych rezydencji, ale domy niewątpliwie należały do ludzi posiadających spore dochody.

Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że w tak nieprzyjemną noc pozwolił wyciągnąć się z domu, by szukać wskazówek dotyczących morderstwa.

Charlotte była albo absolutnie szczerą albo całkowicie szaloną, a może wykorzystywała go do ochrony, by osiągnąć, własne cele. Dama wplątana w szantaż i morderstwo z całą pewnością potrzebowałaby plenipotentą-ochroniarza.

Baxter powstrzymał westchnienie. Nie był dobry w tego typu sprawach. W jego laboratorium życie było o wiele prostsze i bardziej logiczne. Ale teraz znajdowali się tu, przed ciemnym domem Drusilli Heskett.

- Mamy szczęście, że opadła mgła, prawda, panie St. Ives? - Kaptur płaszcza i gruby, wełniany szalik tłumili głos Charlotte. - Dzięki temu możemy załatwić naszą sprawę niepostrzeżenie. A nawet jeżeli ktoś nas zauważy, nie będzie mógł nas rozpoznać.

Baxtera irytował jej optymizm. Spojrzał na nią ze złością, ale w grubym płaszczu stanowiła tylko niewyraźny kształt. Sam też był dobrze zamaskowany. Podniósł kołnierz palta i opuścił rondo kapelusza, więc jego twarz znajdowała się w głębokim cieniu.

Słabe gazowe latarnie, które niedawno zainstalowano w tej części miasta, nie mogły przeniknąć mgły. Baxter wiedział, że dopóki pozostaną z dala od krótkiego rzędu tych latarni, nikt ich nie zauważy. Jednak wolał raz jeszcze spróbować przekonać swoją nową pracodawczynię, żeby nie podejmowała tak ryzykownej akcji.

- Byłoby dobrze, gdyby pani przemyślała to wszystko, zanim tam wejdziemy, panno Arkendale. Mówiłem już, że ta wyprawa może się okazać bardzo niebezpieczna. Jeszcze nie jest za późno, by stąd odejść. Powóz, który wynająłem, czeka niedaleko stąd.

- Panie St. Ives, ani słowa więcej - powiedziała ostro Charlotte. - Próbuje mnie pan odwieść od mojego projektu, od chwili gdy zaczęłam o nim mówić. Zaczyna mnie to nużyć. Nie zatrudniłam pana po to, by mnie pan deprimował.

- Czuję się w obowiązku doradzać pani.

- Nie są mi potrzebne pana rady. No, już dość. Nie możemy tracić czasu na pana ostrzeżenia i ponure przepowiednie. Idziemy.

- Jak pani sobie życzy, panno Arkendale.

Charlotte otworzyła niską, żelazną furtkę znajdującą się w pewnej odległości od głównego wejścia i ruszyła w dół po kamiennych schodkach prowadzących do kuchni.

Wejście dla dostawców i służby znajdowało się poniżej poziomu ulicy. Wokół snuły się pasma mgły. Postać Charlotte osłonięta szerokim płaszczem zniknęła w ciemności jak duch, zanim Baxter zdążył wymyślić następne argumenty czy ostrzeżenia.

Ruszył szybko i dogonił ją, gdy zatrzymała się przed kuchennymi drzwiami.

- Proszę mi to zostawić, panno Arkendale.

- Bardzo dobrze, ale proszę, żeby pan już nas więcej nie opóźniał.

- Nie miałem tego zamiaru. Niech pani się odsunie.

- Po co?

- Panno Arkendale, teraz z kolei ja muszę panią ostrzec, że nie możemy tracić czasu na niepotrzebne pytania. Skoro już wpakowaliśmy się w tak idiotyczne przedsięwzięcie, najważniejsze jest, byśmy to załatwili szybko.

- Oczywiście, panie St. Ives. - Charlotte odsunęła się i stała szurając lekko butem po kamiennym schodku. - Proszę, niech pan zaczyna.

Baxter nie przewidział, że poniżej poziomu ulicy będzie aż tak ciemno. Potrzebował światła, ale wolał nie zapalać latarni, którą ze sobą przyniósł, póki nie znajdą się w domu. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął małą szklaną fiolkę i stłukł ją. Pojawiło się jasne, mocne światło. Osłonił je ciałem. W świetle oglądał zamek w drzwiach kuchennych.

Charlotte krzyknęła ze zdziwienia.

- Co to było?

- Ostatnio poświęciłem trochę czasu na wynalezienie sposobu uzyskiwania chwilowego oświetlenia. - Baxter wyjął z kieszeni komplet stalowych igieł. - Teraz pracuję nad tym, by świeciło dłużej niż kilka sekund.

- Ach, tak. - W cichym głosie Charlotte zabrzmiał podziw. - Nadzwyczajne. Skąd pan ma te narzędzia?

- My, plenipotenci, musimy mieć wiele umiejętności, jeżeli nie chcemy być bezrobotni. - Baxter nauczył się używać wytrychów jeszcze przed wyjazdem do Włoch, bo wiedział, że będzie musiał otwierać wiele drzwi w zamku Morgana Judda.

Światło powoli bladło. Baxter wybrał igłę, włożył ją do zamka i z zamkniętymi oczami zaczął nią delikatnie poruszać. Usłyszeli cichutki trzask i w tej samej chwili zgasło światło stworzonego przez Baxtera związku fosforu.

- Doskonała robota, panie St. Ives.

- Zależy od punktu widzenia. - Baxter pchnął drzwi i ostrożnie wszedł do kuchni. - Na przykład nowy właściciel tego domu niekoniecznie podzielałby pani opinię. Mógłby nawet okazać wielkie niezadowolenie z powodu naszego małego aktu włamania. Ja na jego miejscu na pewno nie byłbym zadowolony.

- Mówiłam panu, że wszystko sprawdziłam. Dom jest pusty i tak pozostanie do przyjazdu spadkobiercy pani Heskett. Jest to jakiś daleki krewny, zamieszkały gdzieś w Szkocji i, na dodatek, bardzo słabego zdrowia.

- Gdzie jest służba?

- Po morderstwie wszyscy odeszli. Nie miał kto im płacić pensji. Jesteśmy tu całkiem sami.

- Jeżeli nadal zamierza pani szukać śladów, lepiej się pospieszmy. - Baxter zamknął kuchenne drzwi i zapalił latarnię. - Kazałem stangretowi przyjechać po nas za pół godziny, jeżeli do tej pory nie wrócimy.

- Pół godziny? - W przyćmionym, złocistym świetle latarni Baxter widział wyraźnie, że Charlotte z dezaprobatą zmarszczyła czoło. - W tak krótkim czasie nie zdążymy sprawdzić całego domu.

Baxter szybko rozejrzał się po kuchni.

- Im szybciej skończymy, tym lepiej.

- Czy znów mam panu przypomnieć, że nie pan jest tu szefem? Pracuje pan u mnie i to ja będę wydawała polecenia.

Baxter szybko minął Charlotte i wszedł do holu. Otworzył jakieś drzwi, za którymi znajdował się salonik, wyraźnie oddany do użytku gospodyni.

- Najlepiej będzie, jeżeli zaczniemy od sypialni na piętrze, a potem zejdziemy na dół.

- Niech pan posłucha, panie St. Ives...

- Panno Arkendale, proszę nie marnować czasu. - Baxter pobiegł na górę po dwa

stopnie naraz. - Pierwszą zasadą przy włamaniach jest szybkość i skuteczność. A teraz, ponieważ ja trzymam latarnię, proponuję, byśmy pracowali razem.

- Niech pan na mnie zaczeka. - Charlotte wbiegła lekko po schodach. - Daję słowo, gdy tylko to wszystko się skończy, będziemy musieli przeprowadzić poważną rozmowę na temat pana obowiązków.

- Kiedy tylko pani zechce, panno Arkendale. Oszczędzilibyśmy trochę czasu, gdyby mi pani powiedziała, czego pani tu właściwie zamierza szukać.

- Sama chciałabym to wiedzieć - odparła lekko zasapana Charlotte. - Mam nadzieję, że natkniemy się na coś użytecznego.

- Właśnie tego się obawiałem. - Baxter zatrzymał się na górze schodów i oświetlił korytarz latarnią. - To chyba sypialnie. Może zaczniemy od ostatniej?

Charlotte stanęła obok niego i usiłowała przeniknąć wzrokiem cienie korytarza.

- Tak chyba będzie najlogiczniej.

- Zawsze powoduję się logiką, panno Arkendale.

- Ja również, panie St. Ives. - Charlotte uniosła wysoko brodę i pomaszerowała do drzwi przy końcu korytarza.

Weszli do sypialni. Baxter postawił latarnię na stole. Patrzył, jak Charlotte, z powagą i napięciem, zręcznie otwiera i zamyka szuflady. Zdał sobie sprawę, że cokolwiek chce osiągnąć, nie jest to dla niej zabawa.

- Czy mogę spytać, od kiedy pracuje pani w tym zawodzie? - Baxter stanął przed szafą i otworzył ją.

- Zaczęłam krótko po tym, jak zamordowano mojego ojczyma. - Charlotte zajrzała do szuflady toaletki. - Razem z siostrą znalazłyśmy się prawie bez pieniędzy. A kobiety nie mają wielu możliwości wyboru pracy. Mogłam albo zostać guwernantką, co nie zapewniłoby mi wystarczających dochodów na dwie osoby, albo wymyślić sobie jakieś zajęcie.

Baxter odepchnął rząd sukien, by zajrzeć na dno szafy.

- A w jaki sposób wpadła pani na ten właśnie pomysł?

- Z powodu ojczyma - odparła chłodno Charlotte. - Lorda Winterbourne'a. Był to chciwy łajdak, który zauroczył naszą matkę, gdy owdowiała. Przekonał ją, że pragnie otoczyć opieką zarówno ją, jak i mnie i siostrę, ale w rzeczywistości pragnął tylko położyć łapę na jej pieniądzech.

- To się zdarza dość często.

- Moja biedna matka umarła kilka miesięcy po ślubie z Winterbourne'em. Nie sądzę, by zdawała sobie sprawę, jakim był łajdakiem. A okazał się egoistą i okrutnikiem. Ani siostra,

ani ja nie żałowałyśmy go, gdy zginął.

- Wydaje mi się, że bez niego jest wam lepiej - zauważył Baxter przeszukując kolejną szufladę.

- O wiele lepiej. - Charlotte uklękła przed łóżkiem, by pod nie zajrzeć. - Jest mnóstwo takich godnych pogardy kłamców, panie St. Ives. A kobiety znajdujące się w podobnym położeniu jak moja matka są całkowicie bezbronne. Mają bardzo mało możliwości dowiedzenia się, jakim człowiekiem naprawdę jest kandydat na męża, i jaka jest jego sytuacja finansowa.

- Tak więc pani to dla nich bada. - Baxter podszedł do okna, odchylił ciężką zasłonę i zerknął na dwór. - Czy odkryto mordercę pani ojczyrna?

- Nie. - Charlotte wstała i rozejrzała się po pokoju szukając schowków. - To był jakiś nieznanany rzezimieszek.

Jak dogodnie, pomyślał Baxter.

- Morderstwo biednej Drusilli Heskett jest już drugim pani kontaktem z nienaturalną śmiercią w ciągu stosunkowo krótkiego czasu. Większość ludzi przeżywa całe życie nie stykając się z taką zbrodnią nawet raz, nie mówiąc już o dwóch wypadkach.

Charlotte gwałtownie odwróciła się i spojrzała Baxterowi w oczy.

- Co pan sugeruje, panie St. Ives?

-Nic, po prostu stwierdzam fakt. Żaden naukowiec nie potrafi powstrzymać się przed zauważaniem dziwnych zbiegów okoliczności i niezwykłych związków między wydarzeniami. - Baxter już miał puścić zasłonę, gdy nagle spostrzegł lekkie poruszenie po drugiej stronie ulicy. Lampy gazowe rzuciły akurat dość światła, by można było zauważyć jakiś cień przemykający pośród mgły. Baxter pomyślał, że to zapewne służący wracający do domu po spełnieniu poleceń. A może ten ktoś, tak samo jak on i Charlotte, nie powinien się tu znajdować?

- Panie St. Ives, czy coś się stało? Dlaczego stoi pan przy oknie?

- Tylko sprawdzałem ulicę. - Cień zniknął. Baxter opuścił zasłonę. - W tym pokoju chyba już nic nie znajdziemy. Może pójdziemy do następnego?

- Tak, oczywiście. Chciałabym przeszukać sypialnię pani Heskett. - Charlotte chwyciła latarnię i pospieszyła do drzwi, rzucając Baxterowi ostre spojrzenie wyrażające dezaprobatę. Przy szybkim ruchu jej płaszcz zawirował, jakby podkreślał irytację właścicielki.

Baxter powoli poszedł za Charlotte.

Kilka minut później, gdy przeszukiwali następną sypialnię, Charlotte aż sapnęła ze

zdziwienia.

- Znalazła pani coś?

Charlotte klęczała pochylona i wyciągała jakiś przedmiot spod wielkiej szafy z lustrem.

- Co pan o tym sądzi, panie St. Ives? - Wyciągnęła księgę oprawną w skórę i szybko ją otworzyła.

- Co to jest? - Baxter podszedł do Charlotte. - Dziennik?

- Nie. To blok akwarelek. - Charlotte odwróciła parę stron pokazując delikatne, pastelowe rysunki. - Na pewno należał do pani Heskett. - Nagle zamilkła i bacznie się przyjrzała jednemu z rysunków. - Dobry Boże!

Baxter uniósł pytająco brwi i szybko zajrzał do bloku.

- Pani Heskett musiała mieć szczególne zamiłowanie do klasycznych posągów - stwierdził z rozbawieniem.

- Widzę - odparła sucho Charlotte. - To przeważnie greccy i rzymscy bogowie. Na jej rysunkach są, hmm, powiedziałabym... doskonale wyposażeni.

- Rzeczywiście.

Oboje w milczeniu przyglądali się nagim męskim postaciom odwzorowanym w bloku. Charlotte opanowała zmieszanie.

- Widziałam kilka takich posągów w British Museum, ale chyba można powiedzieć, że pani Heskett pozwoliła sobie na pewną swobodę artystyczną przy niektórych szczegółach anatomicznych.

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

Charlotte zamknęła głośno blok.

- No dobrze, zostawmy to. Nie interesuje nas jej wybór modeli. Ważne jest to, że blok był schowany pod szafą.

- I co w tym dziwnego? Wiele pań lubi malować akwarelami.

- To prawda. Moja siostra Ariel też to uwielbia. - Charlotte uniosła głowę, oczy jej błyszczały. - Ale nie chowa swoich rysunków pod szafą.

Baxter nagle pojął rozumowanie Charlotte.

- Chwileczkę, panno Arkendale. Radziłbym nie wyciągać nieuzasadnionych wniosków. Nie wydaje mi się, by pani Heskett celowo schowała blok. Na pewno został tam wepchnięty przypadkowo przez któregoś ze służących pakujących rzeczy po jej śmierci.

- Nie sądzę. Uważam, że został celowo ukryty.

- Jeżeli tak, to może schowano go ze względu na rodzaj rysunków. Może pani Heskett

nie chciała, by jej służba zauważyła, że lubi rysować postacie z wyolbrzymionymi fallusami.

Charlotte zamrugała. Odwróciła wzrok i wydawała się bardzo zajęta chowaniem bloku pod płaszczem.

- Tak czy owak, chcę starannie obejrzeć te rysunki. Zabiorę blok ze sobą. - Nie dała rady schować bloku pod płaszczem, więc mocno przycisnęła go do piersi.

Baxtera zdziwiło jej nagłe poruszenie. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to przez niego jest zażenowana. Rozbawiła go myśl o nieugiętej panie Arkendale zawstydzonej wypowiedzianym głośno słowem fallus.

- Panno Arkendale, czuję się zmuszony do zwrócenia pani uwagi, że jeżeli zabierze pani stąd ten blok, będzie to uczynek, który niektórzy nazwaliby kradzieżą.

- Bzdura. Tylko go pożyczę na jakiś czas.

- Pożyczysz pani?

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci mojej klientki - przypomniała mu ostro. - Potrzebne mi są wszystkie dostępne informacje.

- A jakich informacji może pani dostarczyć blok pełen rysunków nagich posągów?

- Na razie nie wiem. - Ruszyła szybko do drzwi. - Chodźmy. Został nam do przeszukania jeszcze parter.

Baxter cicho zaklął i poszedł za nią. Ale niemiłe mrowienie w karku kazało mu się zatrzymać. Wrócił do okna, leciutko odchylił zasłonę i spojrzął na ulicę. Widok był taki sam, jak z poprzedniego pokoju. Mgła zgęstniała. Lampy gazowe stanowiły już tylko drobne punkciki światła w ciemnych oparach. Baxter czekał długą chwilę wypatrując poruszających się cieni, ale nie zauważył najmniejszego ruchu.

- Panie St. Ives, czekam na pana - zawołała cicho Charlotte z korytarza. - Musimy się spieszyć.

Baxter puścił zasłonę i wyszedł na korytarz. Nie zobaczył nikogo na ulicy, ale jakoś nie odczuł ulgi. Zszedł za Charlotte na parter.

Niedługo potem zamykał już ostatnią szufladę biurka. Wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki.

- Panno Arkendale, musimy już iść.

- Jeszcze chwileczkę. - Charlotte, stojąc na palcach, wkładała z powrotem książki na półkę. - Prawie skończyłam.

- Nie możemy dłużej zwlekać. - Baxter wziął latarnię.

Charlotte obrzuciła niespokojnym spojrzeniem półkę z książkami.

- A jeżeli przegapimy coś ważnego?

- Pani nawet nie wie, czego szukamy, więc skąd będziemy mogli wiedzieć, czy coś przeoczyliśmy? - Wziął ją za ramię i delikatnie pociągnął na korytarz. - Chodźmy już.

Spojrzała na niego, nagle zaniepokojona.

- Stało się coś złego?

- Czy pani tego nie rozumie? - Pociągnął ją po schodach do kuchni. - Wystarczająco złe jest już to, że po północy zabawiamy się przeszukiwaniem domu kobiety, którą dopiero co zamordowano. Na dodatek zamierza pani zabrać stąd należący do niej przedmiot. Wiele osób pomyślałoby w tej sytuacji, że jednak jest się czym przejmować.

- I po co od razu taki sarkazm? Gdy spytałam, czy stało się coś złego, nie miałam na myśli pana wcześniejszych zastrzeżeń co do mojego planu. W pewnej chwili wydało mi się, że coś wzbudziło pana obawy.

Baxter spojrzał na Charlotte zdumiony jej spostrzegawczością. Bo przecież miała rację. Od chwili gdy zauważył mężczyznę kryjącego się w cieniu po drugiej stronie ulicy, czuł się coraz bardziej nieswojo.

Minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio odczuwał ten bardzo nieprzyjemny, zimny dreszcz. Dokładnie mówiąc, trzy lata.

Jako naukowiec nie chciał nazywać tego doznania przecuciem, ale okoliczności, w których ostatnio go doświadczał, mocno wryły mu się w pamięć. Miał blizny świadczące o tym, jak blisko śmierci wówczas się znalazł.

- Niech pan uważa, bo oboje spadniemy ze schodów - szepnęła Charlotte. - Będzie nam trudno wydostać się stąd, jeżeli połamiemy nogi.

- Jesteśmy już prawie w kuchni - odpowiedział Baxter, gdy minęli salonik gospodyni.
- Teraz zgaszę latarnię. Musimy przyzwyczaić się do ciemności, bo inaczej po wyjściu stąd nie będziemy nic widzieli. Niech pani się mnie trzyma.

- Nie może pan zaczekać z gaszeniem latarni, aż będziemy na ulicy?

- Nie. Wolałbym, żeby nikt nas nie zauważył.

- Ale przecież w tej mgle nie można nas zobaczyć - argumentowała Charlotte.

- Zapewne nikt nie rozpoznałby naszych twarzy, ale światło latarni byłoby widoczne.
Jest pani gotowa?

Charlotte rzuciła Baxterowi dziwne, pytające spojrzenie. Pomyślał, że będzie się dalej upierać w sprawie latarni, ale coś, co widocznie zauważyła w jego twarzy, przekonało ją, bo milczała. Mocniej chwyciła blok rysunkowy i szybko skinęła głową.

Baxter zgasił światło. W jednej chwili ogarnęła ich całkowita ciemność.

Polegając na swojej pamięci, Baxter ruszył do drzwi. Otworzyły się lekko, z jednym

tylko cichym trzaskiem. Niewyraźny blask ulicznych latarni, rozproszony przez mgłę, troszkę rozjaśniał przestrzeń przed domem.

Charlotte postawiła stopę na pierwszym schodku, ale Baxter chwycił ją za ramię i mocno przytrzymał. Posłusznie zatrzymała się czekając, aż da znak, że można bezpiecznie iść dalej.

Na szczęście tym razem nie stawiała żadnych pytań. Baxter był jej wdzięczny za milczenie. Przez chwilę stał, uważnie nasłuchując. Gdzieś z daleka dochodził turkot powozów, ale w pobliżu chyba nie było nikogo. Delikatnie popchnął Charlotte. Pobiegnęła po schodkach, a Baxter pospieszył za nią. Gdy doszli do ulicy, poprowadził ją do miejsca, gdzie zostawił powóz.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zmaterializował się przed nimi jakiś cień. Z mgły wyszła na nich tęga postać - krępy mężczyzna ubrany w płaszcz stangreta i kapelusz o szerokim rondzie. Światło pobliskiej latarni zaśniło na wielkim pistolecie o długiej lufie, który trzymał w dłoni wielkiej jak bochenek chleba.

- No i co my tu mamy? - odezwał się zgrzytliwym głosem. - Coś jakby parka elegantów wtykająca nos w nie swoje sprawy.

Baxter usłyszał, jak Charlotte niespokojnie wciąga powietrze, ale nie krzyknęła.

- Zostaw nas! - rozkazał.

- Nie tak szybko. - Było na tyle jasno, że widzieli czarne dziury tam, gdzie opryszek powinien mieć zęby. - Wyszliście z mojego domu i nie zamierzam wam pozwolić zabrać niczego, co należy do mnie.

- Twój dom? - Charlotte popatrzyła na niego w zdumieniu.

- Jak śmiesz?! Wiem, do kogo należał ten dom jeszcze niedawno.

- Hm... panno Arkendale - powiedział cicho Baxter - to może nie być najlepsza pora na...

- Mówię wam, że to mój dom - burknął mężczyzna. - Trzy dni temu go przyuważyłem i od tego czasu mu się przyglądam.

- Po co? - spytała Charlotte.

- Oczywiście po to, by się upewnić, że właściciel jest nieobecny i nie wróci niespodziewanie w środku nocy.

- Dobry Boże, jesteś zawodowym włamywaczem!

- Zgadza się. Jestem zawodowcem. - Twarz mężczyzny rozjaśniła się z dumy. - Nigdy mnie jeszcze nie złapano. Jestem bardzo ostrożny. Zawsze upewniam się, że właściciele wyjechali z miasta, zanim pójde się obłowić. Do tego domu chciałem wejść właśnie dziś, no i

co widzę? Parkę modnisiów przywłaszczających sobie mój łup.

Baxter powiedział cicho:

- Mówiłem, żebyś nas zostawił w spokoju. Nie będę tego powtarzał.

- To dobrze. Nie mam teraz czasu na wysłuchiwanie nudnych kazań. - Mężczyzna spojrzał drwiąco na Baxtera i zwrócił swój bezzębny uśmiech w stronę Charlotte. - No, pani Wścibska, co pani tu ma? Może trochę srebra? Kilka błyskotek ze szkatułki na biżuterię? Cokolwiek to jest, należy do mnie. Proszę mi to oddać.

- Nie wzięliśmy z domu nic wartościowego - oświadczyła Charlotte.

- Przecież jednak coś musieliście zabrać. - Mężczyzna zauważył blok. - Co to jest?

- Książka. Do niczego się panu nie przyda.

- Książki mnie nie interesują, ale interesuje mnie to, co pani schowała pod płaszczem. Założyłbym się, że ma tam pani śliczne świeczniki i może jeszcze jakiś naszyjnik. Proszę rozpiąć płaszcz.

- Na pewno tego nie zrobię - odparła Charlotte z lodowatą pogardą.

- Patrzcie, jaka pyskata. No dobrze, pokażę wam, co się dzieje, gdy ktoś odbiera mi zarobek.

Mężczyzna z zadziwiającą szybkością podniósł pistolet i jak maczugą uderzył w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą znajdowała się głowa Baxtera. Ale Baxter zdążył się uchylić. Sięgnął do kieszeni po fiolkę, zbił ją i rzucił prosto w twarz napastnika.

W zetknięciu z powietrzem związek fosforowy zapalił się ostrym, oślepiającym błyskiem. Opryszek zawył i niezręcznie odskoczył do tyłu wciskając pięści w oczy. Pistolet ze szczękiem spadł na bruk.

Baxter postąpił do przodu i uderzył mężczyznę pięścią w szczękę. Włamywacz, ciągle jeszcze oślepiiony nagłym rozbłyskiem światła, od siły uderzenia okręcił się w kółko.

- Oślepiłeś mnie ty diabelski pomioście! Jestem ślepy!

Baxter nie widział potrzeby zapewniania go, że jest to tylko chwilowy efekt. Chwycił Charlotte za ramię.

- Chodźmy. Słyszę powóz.

- To nieuczciwe - jęczał opryszek. - Ja odkryłem ten pusty dom. On jest mój. Sami szukajcie domu dla siebie.

Charlotte obejrzała się na obrażonego rzezimieszka.

- Zawiadomimy policję, że kręcisz się w tej okolicy. Lepiej zaraz stąd odejść.

- Wystarczy. - Baxter zauważył już odległe latarnie powozu. Pociągnął Charlotte. - Mamy własne kłopoty.

- Nie chcę, by ten łajdak sądził, że może bezkarnie kraść w domu pani Heskett.
- A dlaczego nie? Przecież my zrobiliśmy to samo.
- Zabranie bloku rysunkowego to zupełnie co innego - odparła zdyszana Charlotte.

Baxter ciągnął ją tak szybko, że się zasapała.

- Hmm...

Powóz był już prawie przy nich.

- Panie St. Ives, muszę powiedzieć, że szalenie zaimponował mi sposób, w jaki pan sobie poradził z tym rabusiem. Sprytnie pan postąpił używając światła. Doprawdy, bardzo sprytnie.

Baxter nie zwrócił uwagi na jej pochwały. Z napiętą uwagą czekał, aż powóz wychynie z mgły. Pierwsze pojawiły się konie, para szarych zjaw nabierających kształtu pośród wirujących oparów. Za nimi wyłoniła się bryła powozu. Stangret, wynajęty w remizie Severdges razem z powozem i końmi, wiele razy już pracował dla Baxtera i był przyzwyczajony do jego ekscentryczności.

Baxter od lat był stałym klientem remizy. Uważał, że o wiele rozsądniej i oszczędniej jest w razie potrzeby posyłać do Severdges, niż samemu trzymać powóz i konie. W zamian za status stałego klienta i szybkie wnoszenie opłat, cieszył się solidną usługą i miał zapewnioną dyskrecję.

- Czy coś się stało, proszę pana? - spytał stangret zatrzymując konie.

- Nic, z czym nie potrafilibyśmy sobie poradzić. - Baxter otworzył drzwiczki, chwycił Charlotte w pasie i wstawił ją do powozu. - Jedziemy do domu panny Arkendale.

- Tak jest, proszę pana.

Baxter wskoczył do powozu, zamknął drzwiczki i opadł na siedzenie naprzeciwko Charlotte. Pojazd ruszył.

Upewniwszy się jeszcze, że zasłony na okienkach są zaciągnięte, spojrział wreszcie na Charlotte. W bladym świetle latarni jej oczy mocno błyszczały z podniecenia.

- Panie St. Ives, nawet trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna za pomoc - powiedziała. - W niebezpiecznej sytuacji zachował się pan szlachetnie, bohatersko i reagował pan niezwykle szybko. Wszystkie moje wątpliwości co do pana kwalifikacji całkowicie się rozwiały. Pan Marcle miał rację przysyłając pana do mnie.

Baxtera nagle ogarnęła złość. Charlotte mogła dziś zginąć. A teraz siedziała tu, entuzjastycznie trąkając i chwając go, jakby był służącym, który wyjątkowo dobrze wypełnił swoje obowiązki. W takiej sytuacji każdy rozsądny mężczyzna straciłby panowanie nad sobą.

- Cieszę się, że jest pani zadowolona z moich usług, panno Arkendale.

- Och, tak, proszę pana. Jestem bardzo zadowolona. Będzie pan naprawdę doskonałym plenipotentem.

- Ale, z zawodowego punktu widzenia - kontynuował Baxter bardzo spokojnie - postąpiła pani wyjątkowo lekkomyślnie. Takie szaleństwo jest niewybaczalne. A z mojej strony pozwalanie pani na przeszukanie domu Drusilli Heskett było karygodną bezmyślnością.

- Nie prosiłam pana o pozwolenie.

- Ten opryszek mógł panią zranić, a może nawet zabić.

- Dzięki panu nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Naprawdę nie wiem, jak dałabym sobie dziś radę bez pana. - Oczy Charlotte błyszczały. - Panie St. Ives, jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie przyszedł mi na ratunek. Byłam poruszona. Przecież o takich właśnie rzeczach czytuje się w gotyckich powieściach albo w poematach Byrona.

- Niech to szlag! Panno Arkendale...

- Zachował się pan cudownie. - Charlotte niespodziewanie przysunęła się do Baxtera, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go uściśnęła.

Otoczyły go poły jej płaszcza i Baxtera nagle ogarnęła fala gorącego, ponętnego, nieziemsko rozkosznego zapachu lekkich kwiatowych perfum Charlotte, ziołowego aromatu mydła i nieopisanej, jedynej w swoim rodzaju kobiecej woni jej ciała.

Poczuł się tak, jakby go wrzucono do jednego z jego laboratoryjnych szklanych gąsiorów i jakby jakaś niewidzialna pompa wyssała całe powietrze pozostawiając mu do wdychania tylko zapach Charlotte. Z szybkością błyskawicy przeszła go narastająca żądza. Zapach Charlotte wywołał w nim alchemiczną reakcję. Starożytni wierzyli, że za pomocą ognia można przemieniać zwyczajny ołów w prawdziwe złoto. Teraz Baxter dowiedział się, że ogień płonący w jego krwi potrafi przemienić złość w pożądanie.

Bo pożądał Charlotte. Chciał ją mieć teraz, jeszcze dziś w nocy. Nigdy w życiu nie pragnął kobiety aż tak bardzo.

Charlotte już odsuwała się od niego, ale wziął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy, zdumiony siłą tej żądzy.

- Proszę mi wybaczyć, panie St. Ives - odezwała się zażenowana i uśmiechnęła się niepewnie. Jej spojrzenie pobiegło ku jego ustom. - Nie chciałam wprawiać pana w zakłopotanie. Po prostu byłam tak podniecona tym wszystkim, że nie wiedziałam, co robię.

Baxter milczał. Nie przychodziła mu do głowy żadna rozsądna odpowiedź.

Zrobił jedyną rzecz, którą mógł zrobić. Pocałował Charlotte.

4

Przez chwilę nie rozumiała, co się dzieje. Wiedziała tylko, że Baxter ją całuje. A potem oprzytomniała. Kocha się z nią... tutaj, w powozie!

Płomień szalonej, choć okiełznanej namiętności, który spostrzegła w jego oczach już przy pierwszym spotkaniu, teraz rozgorzał wielkim ogniem. I oślepił jej zmysły tak, jak nagle światło oślepia wzrok; czuła się jak człowiek, który nagle znalazł się w bajkowej, zaczarowanej sali, całej obwieszanej lśniącymi lustrami odbijającymi masę zapalonych świec. Przeszywał ją dreszcz lęku i niepokoju, chociaż jednocześnie ogarnął ją zachwyty. Nie dostrzegła drzwi magicznej sali i nie wiedziałaby, jak uciec, jeżeli okazałoby się to konieczne, ale czy naprawdę chciała stąd uciec?

Usta Baxtera poruszały się na jej wargach, pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Czuła mięśnie jego ud. Były napięte, twarde, i napierały na nią nieustępliwie.

Zalała ją fala nieznanego ciepła, ze źródłem gdzieś poniżej talii. Od stóp do głów przebiegł ją dreszcz. Nigdy w życiu nie zareagowała na nic ani na nikogo w tak dziwny sposób.

- Charlotte. - Głos Baxtera był cichy, ale zniewalający. Słysząc w nim było pragnienie, natarczywą prośbę i ból samotności.

Chwyciła go za ramiona i z własnej woli rozchyliła wargi.

Baxter na chwilę uwolnił jej usta, lekko unióśł głowę i popatrzył na nią z intensywnością, która powinna wzbudzić w niej lęk. Światło latarni zajarzyło się na złotych oprawkach okularów. W bursztynowych oczach płonął ogień.

Oczy alchemika, pomyślała.

Gwałtownym, niecierpliwym ruchem Baxter odrzucił okulary na ławkę.

- Niech to szlag! Co ty mi zrobiłaś?

Charlotte potrząsnęła głową, niezdolna do odwrócenia wzroku. Zdała sobie sprawę, że z całej siły trzyma go za ramiona, jakby w obawie, że gdy go puści, wpadnie w otchłań bez dna.

- Chciałam pana spytać o to samo.

- Niech to szlag! - Baxter znów dotknął wargami jej ust.

Wsunął rękę pod kaptur i objął Charlotte za szyję. Jego palce były gorące i silne.

Intymność pieścioty oblała ją nową falą podniecenia.

Baxter przyciągnął ją bliżej, tak że leżała na jego udach. Objął ją jeszcze mocniej, odsunął płaszcz, schylił głowę i zaczął całować szyję.

Charlotte cichutko sapnęła czując dłoń Baxtera na piersi. Ciepło jego dłoni przenikało przez cienki wełniany materiał sukni, ale nie miała siły się odsunąć. Jej ciało przeszło nagle pożądanie. Chwyliła go za klapy płaszcza.

- Panie St. Ives...

Ręka Baxtera ruszyła powoli w dół, po wypukłości piersi, zatrzymała się na biodrze i delikatnie się zacisnęła.

- O mój Boże - Charlotte szepnęła, wstrząśnięta.

Jego twarda, mocna męskość napierała na jej udo. Zapadając się w nową falę doznań Charlotte zamknęła oczy. Ogarniał ją rozkoszny trans. Może właśnie w ten sposób czują się uczestnicy sesji mesmeryzmu?

Włożyła ręce pod płaszcz Baxtera, rozpaczliwie pragnąc go mieć jak najbliżej siebie. Pod materiałem jego lnianej koszuli wyczuła gładkie, prężne mięśnie piersi. Ciepło i zapach podziały jak narkotyk. Nagle zapragnęła więcej, dużo więcej.

Baxter podciągnął jej skotłowaną spódnicę i poły płaszcza nad kolana. Zadrżała, gdy dotknął wewnętrznej strony jej ud. Pocierał gołą skórę nad podwiązką.

Powóz zwalniał.

Charlotte zmartwiała. Wróciła rzeczywistość.

- Niech to szlag. - Baxter szybko się wyprostował, przechylił nad Charlotte, podniósł okulary z siedzenia, gdzie przedtem je rzucił, i odsunął zasłonę w oknie. - Już prawie dojechaliśmy. Do diabła, jak to się stało, że jechaliśmy tak szybko? Chciałem pani powiedzieć kilka rzeczy jeszcze dziś.

- Ja też mam panu parę rzeczy do powiedzenia. - Charlotte z trudem się opanowała. Czowała się niezręcznie, kręciło jej się w głowie. Była też zawstydzona i brakowało jej tchu. - Nawet nie omówiliśmy wydarzeń tej nocy.

- Rzeczywiście. - Baxter spojrzał na nią ponuro. Usiadł w kącie ławki i usiłował się pozbierać. - Jutro do pani przyjdę.

Te krótkie słowa wprawiły ją w zakłopotanie. Dopiero co ten mężczyzna namiętnie ją całował, a teraz traktuje ją tak, jakby go obraził. Ale zaraz pomyślała, że na pewno też jest wstrząśnięty siłą uczuć, które na krótko ich ogarnęły.

A przecież ją też zaskoczyły te namiętne pieścioty, ale to ona, jako pracodawczyni Baxtera, powinna zapanować nad sytuacją. Baxter z całą pewnością teraz sobie wyrzuca, że

pozwoił dojść do głosu nie kontrolowanym porywom.

Pochyliła się, by dotknąć jego ręki uspokajającym gestem.

- Niech pan się nie martwi, panie St. Ives. Nie winię pana o to, co się stało. Taka nieprzewidziana reakcja często się zdarza po przeżyciu jakiegoś niebezpieczeństwa. Wszystkiemu winne jest spotkanie z tym rzezimieszkiem.

- Tak pani sądzi?

- Tak, oczywiście. To jedyne wytłumaczenie. Groźba ataku może otworzyć tamę gwałtownym namiętnościom.

- Ma pani dużo doświadczenia w takich sprawach?

- Nie, niespecjalnie - przyznała Charlotte. - Ale czytałam sporo Byrona, więc wiem, że to, co się nam przydarzyło, nie jest wcale takie niezwykle. Niebezpieczeństwo... pobudza wszystkie zmysły.

- Dobry Boże! Wyciąga pani wnioski na podstawie dzieł jakiegoś cholernego poety?

Charlotte poczuła się lekko zraniona jego oczywistą pogardą.

- Byron pisze bardzo przekonująco o nieokiełzanych namiętnościach. Wydaje mi się, że dogłębnie je rozumie. Można się wiele nauczyć zarówno z jego dzieł, jak i z wierszy innych romantycznych poetów.

- Gdyby to, co pani mówi, nie było takim nonsensem, mógłbym się szczerze uśmieć.

- Panie St. Ives, ja się tylko staram logicznie wytłumaczyć wydarzenia, które tak wyraźnie pana zakłopotają.

Baxter spojrzał w dół, na rękę Charlotte, która nadal spoczywała na jego dłoni. Gdy z powrotem podniósł wzrok, w jego oczach dostrzegła niebezpieczny błysk.

- Dziękuję, panno Arkendale, ale chyba potrafię sam się uporać z własnymi odczuciami. Nie musi pani uciekać się do swojej dziwacznie pojętej logiki. Jeżeli kiedykolwiek miałbym szukać wyjaśnień i natchnienia w dziełach jakiegoś przeklętego poety, oznaczałoby to, że nadaję się już tylko do domu wariatów.

Charlotte szybko zabrała rękę. Baxter był w paskudnym humorze. Dziś wieczorem już nie warto próbować go uspokajać.

- Bardzo dobrze - powiedziała starając się, by zabrzmiało to pogodnie i spokojnie. - Jestem pewna, że rano oboje nie będziemy już pamiętać o tej sprawie.

Baxter przez chwilę milczał. Usłyszeli kroki stangreta na bruku.

- To się jeszcze zobaczy - powiedział w końcu.

Charlotte zaczerpnęła głęboko tchu.

- Jutro, gdy pan do mnie przyjdzie, porównamy nasze spostrzeżenia z domu pani

Heskett.

- Dobrze.

- Będę już dokładnie wiedziała, co zawiera jej blok rysunkowy. Może znajdę jakąś wskazówkę.

- Wątpię. - Baxter pochylił się i wziął Charlotte pod brodę. - Niech pani uważnie posłucha tego, co mam do powiedzenia. Przed pójściem spać sprawdzi pani, czy wszystkie okna są pozamykane, a drzwi zaryglowane.

Charlotte zamruwała.

- Oczywiście, panie St. Ives. Zapewniam pana, że zawsze sprawdzam drzwi i okna przed pójściem spać. Nabrałam tego zwyczaju już dawno temu. Ale wątpię, by dzisiejszej nocy coś się mogło stać. Ten opryszek, który nas zaatakował, nie mógł we mgle śledzić naszego powozu.

- Może pani ma nawet rację, ale proszę postąpić dokładnie tak, jak mówiłem. Czy to jasne?

Charlotte instynktownie czuła, że nie byłoby właściwe pozwolić Baxterowi, by uzyskał nad nią przewagę.

- Doceniam pana troskę, ale to ja jestem pana pracodawczynią. Mimo że zgadzam się, by dawał mi pan rady, musi pan zrozumieć, że sama kształtuję swoje opinie i podejmuję decyzje.

- Charlotte, zrobi pani więcej, niż tylko uprzejmie wysłucha moich rad - powiedział Baxter z rozwścieczającym spokojem. - Będzie się pani do nich stosowała.

W tej chwili otworzyły się drzwi powozu. Charlotte, świadoma obecności stangreta czekającego grzecznie w cieniu, ograniczyła się do uniesienia brwi.

- Dziś wieczorem okazał się pan doskonałym pomocnikiem, ale nie wątpię, że są również inne osoby o podobnych kwalifikacjach, które mogłabym zatrudnić na pana miejsce. Jeżeli zamierza pan zachować tę pracę, musi pan okazać przynajmniej odrobinę szacunku dla swojego pracodawcy.

W oczach Baxtera rozbłysło rozbawienie.

- Charlotte, grozisz mi, że mnie wyrzucisz? Po wszystkim, co się właśnie zdarzyło? Jestem zdumiony.

Jego cichy śmiech doprowadził ją do takiej furii, że bała się odpowiedzieć mu w obecności stangreta. Bez słowa zebrała spódnicę, by wysiąść z powozu.

Stangret uprzejmie podał jej rękę. W słabej poświacie powozowych latarni nie była pewna wyrazu jego twarzy, ale przysięgłaby, że zauważyła iskierkę kpiącej sympatii.

Baxter wysiadł za Charlotte, wziął ją za ramię, odprowadził do drzwi, a potem odebrał jej klucz i włożył do zamka.

- Dobranoc, panie St. Ives. - Charlotte weszła do holu i odwróciła się do niego. Postarała się o chłodny, władczy uśmiech, właściwy dla pracodawcy zamierzającego udzielić pochwały podwładnemu, który dobrze się spisał. - Chciałabym jeszcze raz podkreślić, że ten dramatyczny pokaz pana zawodowych umiejętności sprawił mi prawdziwą przyjemność.

- Dziękuję. - Baxter oparł swoją wielką rękę na framudze drzwi i przyglądał się Charlotte badawczo. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Co takiego?

- Może zechciałaby pani rozważyć zwracanie się do mnie moim chrzestnym imieniem. W tych okolicznościach chyba nie ma sensu zachowywać się tak formalnie.

Charlotte wpatrywała się w niego nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Wyraźnie zadowolony z jej reakcji, Baxter wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi.

Dwadzieścia minut później, wchodząc do swojej biblioteki, Baxter ciągle jeszcze kipiał z gniewu. Wprost trudno mu było uwierzyć, że do tego stopnia stracił zimną krew.

- Niech to szlag!

Podszedł do małego stolika stojącego obok kominka i chwycił kryształową karafkę. Przecież panuję nad swoimi emocjami, powiedział sobie zawzięcie. Jestem naukowcem, czcicielem logiki, rozsądku i opanowania.

Nalał koniaku do szklanki. Trzymać uczucia na wodzy nauczył się tak dawno, że nawet już nie pamiętał, kiedy to było. Niemal od urodzenia rozumiał, że jest to konieczne i zgodnie z tym postępował. Nawet podczas swoich krótkotrwałych związków z kobietami nie pozwalał, by namiętność przeważała nad rozsądkiem. Na własne oczy widział, jakie szkody może poczynić folgowanie emocjom.

Wychylił wielki łyk mocnego koniaku i z przyjemnością poczuł, jak go rozgrzewa.

A jakby już i bez tego nie było wystarczająco źle, na dodatek Charlotte z nieposkromionym uporem wmawia mu, że potrafi znaleźć wyjaśnienie jego zachowania w ckliwej, melodramatycznej poezji Byrona.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji chciałby już tylko zamknąć się w laboratorium i nigdy więcej z niego nie wychodzić.

Rzucił się na swój ulubiony fotel i wpatrzył w płomień na kominku. Przypominały mu Charlotte, bo zarówno ogień, jak i Charlotte podsycaly subtelne reakcje chemiczne

mogące go spalić na popiół, gdyby nie miał się na baczności.

Baxter zamknął oczy, ale groźba całopalenia nie zniknęła. Oczami duszy zobaczył znów włosy Charlotte lśniące czerwonym płomieniem w świetle latarni. Miał ochotę zanurzyć palce w ich niebezpiecznym ciepłe. Jego ręka mocniej zacisnęła się na szklance.

Jednak, jak teraz sobie przypominał, w powozie nie tylko on stracił panowanie nad sobą. Odpowiedź Charlotte była jednoznaczna. Gdyby stangret nie zatrzymał powozu, ten wieczór skończyłby się całkiem inaczej.

Miał przed oczami żywy obraz miękkich ud Charlotte owiniętych wokół jego talii, jej drobnych paznokci wbitych w jego plecy.

Wypił następny łyk koniaku świadomy, że ciągle jeszcze czuje smak Charlotte i jej zapach. Jego dłoń pamiętała kształt jej cudownie sztywnej brodawki.

To będzie długa noc.

Logika i rozsądne rozumowanie niewiele mu dziś pomogą. Wiedział, że nie będzie w stanie przepędzić wspomnienia Charlotte w swoich ramionach, bo było ono zbyt mocne i zniewalające.

Jednak gdy ją zobaczy następnym razem, musi zachować zimną krew. Nie pozwoli, by opanowanie znów go opuściło.

Popatrzył na szklanekę i zobaczył, że jest już prawie pusta. Odstawił ją na stolik i wtedy zauważył złożoną kartkę. Od razu przypomniał sobie, co to jest: list, który dostał parę godzin wcześniej, gdy wychodził do Charlotte.

List był od wdowy po jego ojcu, lady Maryann Esherton. To już trzeci, który napisała do niego w ostatnim tygodniu.

- Niech to szlag.

Z rezygnacją wziął list i złamał pieczęć. Treść była taka sama jak w poprzednich dwóch. Maryann pisała krótko, nie wdając się w uprzejmości:

Drogi Baxterze!

Muszę się z Tobą zobaczyć. Sprawa jest bardzo pilna. Proszę, żebyś przyszedł do mnie w pierwszej wolnej chwili.

Twoja oddana

Lady E.

Baxter zgniótł papier i wrzucił go w ogień, podobnie jak dwa poprzednie. Wdowa po jego ojcu często miewała urojone zmartwienia; na ogół najbardziej przejmowała się

pieniężmi, a już zwłaszcza majątkiem Eshertonów. Ojciec Baxtera zlecił mu zarządzanie spadkiem do chwili, gdy syn Maryann, Hamilton, skończy dwadzieścia pięć lat. Takie załatwienie sprawy nie podobało się Maryann. Hamiltonowi zresztą też nie. A Baxter niestety jeszcze przez kilka lat musi zajmować się tą niewdzięczną sprawą, zanim będzie mógł przekazać rządy swojemu przyrodniemu bratu.

Niecierpliwie odepchnął od siebie ten problem. Rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu, splótł ręce i oddał się rozmyśleniom o ostatnich wydarzeniach. Cokolwiek można było o nich pomyśleć, jedna rzecz wydawała mu się oczywista: sytuacja stała się niebezpieczna, a Charlotte znajdowała się w samym środku tego zamieszania.

W czarno-szkarłatnym pokoju węgiel pod fajerką powoli się dopalał. Intensywny, korzenny zapach ziół wyostrzył zmysły mężczyzny. Jego umysł dostroił się do umysłów istot metafizycznych. Był gotowy.

- Odczytaj karty, kochana - szepnął.

Wróżka odkryła pierwszą kartę.

- Złoty gryf.

- Mężczyzna...

- Jak zawsze. - Wróżka popatrzyła na niego ponad niskim stolikiem. - Strzeż się. Gryf stanie na twojej drodze.

- Czy zdoła zakłócić moje plany?

Wróżka odkryła następną kartę, zawahała się.

- Feniks. - Wzięła do ręki jeszcze jedną kartę, położyła ją awersem do góry. - Czerwony pierścień.

- No i?

- Nie. Złoty gryf może stanowić przeszkodę, ale w końcu ty zwyciężysz.

Uśmiechnął się.

- To dobrze. A teraz opowiedz mi o kobiecie.

Wróżka odkryła kolejną kartę.

- Kobieta o oczach czystych jak kryształ. Szuka.

- Ale nie znajdzie.

Wróżka potrząsnęła głową.

- Nie. Nie znajdzie tego, czego szuka.

- W końcu jest tylko kobietą. Nie sprawi kłopotu.

Również wróżka nie będzie sprawiała kłopotu, gdy już to wszystko się skończy, pomyślał. Kiedy nadejdzie czas, zrobi z nią, co trzeba. Jednak teraz jest użyteczna; trzeba tylko trzymać ją na wodzy jej własnej namiętności.

Ariel, co myślisz o tym rysunku? - Charlotte popchnęła blok Drusilli Heskett przez biurko. - Wiesz więcej o modzie w sztuce niż ja. Czy widziałaś kiedyś coś takiego?

Ariel przerwała nalewanie następnej filiżanki herbaty. Popatrzyła na blok otwarty mniej więcej w środku. Jej oczy rozszerzyły się na widok szkicu nagiego posągu.

- Hm, nie - odparła sucho. - Chyba nigdy w życiu nie widziałam nic podobnego.

Charlotte spojrzała na nią karcąco.

- Nie chodzi o posąg. Spójrz na ten mały rysunek w rogu. Koło, a w środku trójkąt. I trzy małe postacie w kątach trójkąta.

- Tak, widzę. - Ariel potrząsnęła głową. - Nie przypomina to żadnych modnych rysunków, które widziałam w „La Belle Assemblée” czy w „Ackermann's Repository of the Arts”. Może jakiś inny magazyn dla pań drukuje tego rodzaju obrazki.

- To może być egipskie albo rzymskie.

- Nie sądzę. - Ariel obwiodła palcem niedbale naszkicowany rysunek. - Widziałam mnóstwo dekoracji wzorowanych na starożytnej sztuce egipskiej i rzymskiej. Każda krawcowa i każdy dekorator w Londynie korzystają z nich. A odkąd stał się modny starożytny Zamar, widzieliśmy mnóstwo delfinów i muszelek. Ale ten rysunek nic mi nie przypomina. Dlaczego on cię interesuje?

- Ponieważ Drusilla Heskett postanowiła go skopiować w swoim bloku, w którym poza tym są wyłącznie szkice nagich posągów.

Ariel spojrzała z zaciekawiona na siostrę.

- Ale to nie jest akwarela. Ten rysunek zrobiony jest piórem i atramentem.

- Tak. I jest całkowicie odmienny od reszty zawartości bloku.

- Rzeczywiście. - Ariel uśmiechnęła się niepewnie. - Ciekawa jestem, czy pani Heskett to typowa przedstawicielka eleganckiego świata, w którym zamierzasz szukać klientek. Była chyba szczególnie zainteresowana męskimi postaciami.

- Tak, ale jej zainteresowania już nie są takie ważne. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego umieściła w bloku właśnie ten rysunek.

- A co to za rdzawa plama na okładce? - spytała Ariel. - Farba wodna?

- Może. - Charlotte dotknęła plamy palcem. - A jeżeli to zaschnięta krew?

- O Boże!

- Może pani Heskett nie umarła od razu i miała jeszcze czas, by wsunąć blok pod szafę? - szepnęła Charlotte.

- Nigdy się tego nie dowiesz.

- Chyba nie. - Rozmyślając nad nowymi możliwościami, Charlotte przygryzła dolną wargę.

Ariel wzięła do ręki filiżankę, ale zanim zaczęła pić, jeszcze raz spojrzała na siostrę.

- Musisz odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących śledztwa. Jest jednak pewne pytanie, które ja chciałabym ci zadać.

- Słucham.

- Co stało się zeszłej nocy, gdy pojechałaś przeszukać dom Drusilli Heskett?

- Opowiedziałam ci wszystko zaraz po powrocie. Pan St. Ives i ja znaleźliśmy blok rysunkowy, a potem, gdy wychodziliśmy już z domu, napadł na nas jakiś włamywacz. To wszystko - odparła Charlotte i usiadła wygodnie.

- Dziś rano, gdy się obudziłam i zaczęłam o tym wszystkim myśleć, zastanowił mnie sposób, w jaki opisałaś zachowanie pana St. Ivesa.

- Jak ci mówiłam, był cudowny. - Charlotte rozpromieniła się.

- Charlotte, na ogół nie określasz nikogo słowem cudowny, zwłaszcza gdy mówisz o mężczyźnie.

Charlotte zarumieniła się.

- Ale tym razem to właśnie słowo pasuje idealnie. Pan St. Ives okazał się mądry i zaradny, ma szybki refleks i jest zdumiewająco odważny. Na samą myśl o tym, co by się stało, gdyby nie poszedł tam ze mną, przechodzą mnie dreszcze.

- Więc okazał się doskonałym plenipotentem?

- Tak, doskonałym. Pan Marcle miał całkowitą rację polecając go.

- Pocałował cię, prawda? - spytała cicho Ariel.

- Dobry Boże, co ty mówisz? Dlaczego miałabym całować się z panem Marcle'em? - Charlotte sięgnęła po herbatę. - To bardzo miły człowiek, ale jest co najmniej trzydzieści lat starszy ode mnie i nie wydaje mi się, by był specjalnie zainteresowany kobietami.

- Charlotte, przecież nie mówię o panu Marcle'u, lecz o panu St. Ivesie.

Charlotte poczuła, że na policzki wypływa jej nowa fala gorącego rumieńca.

- Myślisz, że pan St. Ives mnie pocałował? Skąd taki dziwaczny pomysł?

- Gdy przyszedłam do twojego pokoju w nocy, żeby spytać o wasze przygody, wyglądałaś... - Ariel zawahała się, szukając odpowiedniego słowa - ... inaczej.

- To znaczy jak?

- Byłaś podniecona. Twoja twarz promieniała. - Ariel pomachała ręką. - Ubranie miałaś trochę nie w porządku. I patrzyłaś tak dziwnie.

- Ariel, to już naprawdę zbyt wiele. Przeżyłam przerażające spotkanie z niebezpiecznym opryszkiem. Jak można wyglądać po czymś takim?

- Nie wiem, jak zwykle kobiety wyglądają po tym, gdy unikną napadu, ale wiem, jak ty wyglądasz.

- O czym ty mówisz? Nigdy przedtem nie zostałam zaatakowana przez żadnego opryszka.

- Jednak kiedyś już musiałaś odpierać napad i doskonale to pamiętam. - Ariel cicho odstawiła filiżankę na spodeczek. - Pięć lat temu. Tej nocy, po której znaleziono Winterbourne'a z podciętym gardłem. Tamtej nocy słyszałam, co mówiliście na korytarzu. Użyłaś pistoletu tatusia, by wyrzucić z domu Winterbourne'a i jego kompana od hazardu.

Charlotte popatrzyła w zdumieniu na siostrę.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że rozumiałaś, co się wtedy stało.

- Zrozumiałam to dopiero o wiele później, gdy byłam starsza. Ale już tamtej nocy wiedziałam, że znalazłaś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. I widziałam wyraz twoich oczu, gdy było po wszystkim. Nie był taki sam jak wczoraj.

- Ariel, przykro mi. Nie chciałam, żebyś się dowiedziała, jaki Winterbourne był podły.

- A ten drugi był o wiele gorszy, prawda?

Na samo wspomnienie Charlotte zadrżała.

- Był potworem. Ale od tamtej pory minęło już wiele lat. I obie wyszłyśmy z tego bez szwanku.

- Jednak teraz chodzi o to, że doskonale pamiętam twoje zachowanie w tamtej sytuacji. Byłaś chłodna i posepna.

Charlotte potarła skronie.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Byłam przerażona. Nie pamiętam z tamtej chwili żadnych innych uczuć.

- Ostatniej nocy też musiałaś się bać, ale nie byłaś chłodna. Twoje oczy błyszczały. Prawdę mówią, byłaś podniecona, ożywiona, wprost żywiołowa.

- Ariel, powiedz wreszcie, o co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że pan St. Ives cię pocałował. Jestem tego całkowicie pewna.

Charlotte jęknęła i wyrzuciła ręce w powietrze w geście poddania.

- No dobrze, pocałował mnie. Oboje byliśmy podekscytowani wydarzeniami. Przeżyte

niebezpieczeństwo czasami działa tak dziwnie na zmysły.

- Naprawdę?

- Tak - odparła stanowczo Charlotte. - Poeci ciągle o tym piszą. Nawet osoba z natury opanowana, chłodna, i bez skłonności do przeżywania silnych uczuć, po przerażającym wydarzeniu może ulec zmysłom.

- Nawet osoba taka jak pan St. Ives?

- Mówiłam o sobie. - Charlotte uśmiechnęła się ze skruchą. - Pan St. Ives oczywiście też jest człowiekiem zimnym i opanowanym, jednak on, w przeciwieństwie do mnie, musiał nad tym pracować i osiągnął to dzięki sporej dozie samodyscypliny.

Ariel rozchyliła usta ze zdziwienia.

- Co takiego?

- Pod surową, stanowczą powłoką ukrywa się mężczyzna o niebezpiecznych namiętnościach.

- Pan St. Ives? Według ciebie ukrywa niebezpieczne namiętności?

- Z początku nie byłam przekonana, czy powinnam go zatrudnić, ale teraz okazało się, że jego temperament nie będzie stanowił dla nas żadnej przeszkody - powiedziała Charlotte z udawanym ożywieniem. - Z całą pewnością dobrze się spisze.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona, ale zaczynam mieć wątpliwości. Charlotte, skoro pan St. Ives cię pocałował, sprawy zaczynają przybierać całkiem inny obrót. Co ty naprawdę o nim wiesz?

- O co ci chodzi? - Charlotte popatrzyła na siostrę w osłupieniu. - Pan Marcle bardzo go chwalił w liście polecającym.

- Tak, ale same nie przeprowadziłyśmy żadnego dochodzenia. Nawet nie próbowałyśmy dowiedzieć się o nim chociaż tyle, ile dowiadujemy się na zlecenie klientek.

- Nie bądź śmieszna. W takich sprawach mogę całkowicie zdać się na swój instynkt. Przecież wiesz o tym.

- Mój instynkt też jest niezawodny. I zaczynam mieć wątpliwości co do pana St. Ivesa.

- Naprawdę nie masz się czym przejmować.

- Ależ Charlotte, przecież pozwoliłaś, by cię pocałował.

- No i co z tego? - Charlotte złożyła ręce na blacie biurka. - To był tylko pocałunek.

- Na ogół nie całujesz się z dżentelmenami.

Charlotte wiedziała, że z tą uwagą nie może polemizować. Ariel mówiła prawdę. Doświadczenie matki z lordem Winterbourne'em i praca polegająca na zagłębieniu w mroczne tajemnice niegodziwych dżentelmenów mających tak zwane uczciwe zamiary, nie

pozostawiły jej wielu złudzeń co do mężczyzn.

Jednak nie oznaczało to, że nie drzemały w niej romantyczne marzenia i naturalne skłonności właściwe zdrowej, młodej kobiecie. Miała dobre wspomnienia o małżeństwie rodziców i czasami dałaby wiele, by doznać takiego samego szczęścia, jakie matka przeżyła z ojcem.

Z drugiej strony wiedziała doskonale, że małżeństwo jest dla kobiety wielkim ryzykiem. Nie pragnęła małżeństwa, zresztą biorąc pod uwagę jej wiek i sytuację, nawet nie miała na nie nadziei. Czasami igrała jednak z myślą o dyskretnym romansie.

Niestety, łatwiej było rozmyślać o takich rzeczach, niż je wprowadzić w czyn. Przede wszystkim, przy swoim trybie życia nie poznawała nikogo odpowiedniego.

Nie przebywała w towarzystwie. Nie dostawała zaproszeń. Tych kilku godnych szacunku dżentelmenów, których poznała przez ostatnie lata, nie obudziło w niej gorących uczuć. W większości, jak Marcle, byli po prostu za starzy, a żaden z mężczyzn w stosownym wieku nie zainteresował jej.

Poza tym nie warto mieć romansu bez prawdziwej namiętności. Po co narażać się na ryzyko bez nadziei na ekscytujące emocje i podniecające metafizyczne doznania, o których tyle pisali poeci.

Na przykład takie doznania, jakich doświadczyła wczoraj wieczorem, gdy Baxter ją pocałował.

Ta myśl zmroziła Charlotte. Czyżby rozważała możliwość nawiązania romansu z Baxterem St. Ivesem?

Popatrzyła na dziwny rysunek w bloku Drusilli Heskett. Nie wiedziała, co oznaczał. Nie wiedziała też, co oznaczają jej uczucia dla Baxtera.

5

Panno Patterson, dama w pani położeniu musi zachować wyjątkową ostrożność. - Charlotte uśmiechnęła się do kobiety siedzącej po drugiej stronie biurka. Zgodnie z jej teorią, chwalenie przezorności klientek było bardzo korzystne dla interesów. - Mądrze pani zrobiła sprawdzając, czy wrażenie, jakie wywarł na pani pan Adams, nie było fałszywe.

- Mówiłam sobie, że muszę być ostrożna.

- Oczywiście. Ale z przyjemnością mogę panią poinformować, że nasze badania nie wykazały niczego, co kazałoby wątpić w uczciwość pana Adamsa czy też w solidność jego sytuacji finansowej.

- Nie muszę chyba pani mówić, z jaką ulgą to słyszę. Nie wiem, jak pani dziękować. - Palce Honorii Patterson, milutko zaokrąglonej kobiety o ładnej twarzy i ciepłym spojrzeniu, zwolniły kurczowy chwyt na torebce, którą trzymała na kolanach.

Honorii roztaczała atmosferę słodkiej, delikatnej kobiecości i macierzyńskich uczuć, co nadawało jej pozór słabości. Jednak Charlotte nie dała się omamić. Wiedziała, że żadna kobieta, która potrafiła zachować zdrowy umysł i optymizm po dziesięciu latach pracy jako guwernantka, nie może być wrażliwym kwiatusem.

Honorii była typową klientką, jakie zgłaszały się do Charlotte. Miała prawie trzydzieści lat i nigdy nie była zamężna. Od siedemnastego roku życia musiała na siebie pracować, a teraz niespodziewanie otrzymała całkiem przyzwoity spadek.

Oczywiście na wieść o jej szczęśliwym losie natychmiast otoczył ją wianuszek adoratorów. Większość z nich odrzuciła bez większych wahań. Guwernantka szybko uczy się nie ufać miłym słówkom dżentelmenów. Ale jeden z nich, William Adams, wdowiec po trzydziestce z dwojgiem dzieci, nie tylko wzbudził jej zainteresowanie, lecz także przypadł jej do serca.

Jak wyjaśniła, lata, które spędziła na wtłaczaniu zasad logiki i rozsądku młodym podopiecznym, jej również dały ciężko zapracowaną mądrość i ostrożność. O Charlotte opowiedziała jej przyjaciółka prowadząca agencję zatrudnienia guwernantek.

- Jestem szczęśliwa, że mogłam się pani przydać - powiedziała Charlotte - i że wiadomości są dobre.

- Uwielbiam pana Adamsa - wyznała Honorii czerwieniąc się. - A dzieci są wprost

urocze. Ale wie pani, jak to jest. Kobiety w zaawansowanym wieku muszą sobie stawiać pytanie o prawdziwe intencje mężczyzny. W końcu świat uważa, że już odeszliśmy do lamusa.

Do lamusa.

Charlotte westchnęła. Ona sama miała dwadzieścia pięć lat. Gdzie podział się ten cały czas? Wydawało się jej, że dopiero wczoraj z rozpaczą zastanawiała się, w jaki sposób zarobić na siebie i siostrę. Całą energię poświęciła pracy i pięć lat minęło jak jedna chwila.

Nie żałowała, że przekroczyła już wiek, który w towarzystwie uważany jest za właściwy do zamążpójścia. Interesy szły coraz lepiej i musiała przyznać, że ta poprawa nastąpiła wtedy, gdy przestała wyglądać, jakby dopiero co opuściła szkolną ławę. Jednak czasami przychodziło jej na myśl, że być może wiele straciła nie poznając nigdy dreszczyku prawdziwej namiętności.

Sama się przeraziła swoim rozmarzeniem. Przecież nie była samotna. Praca dawała jej wielkie zadowolenie. Była niezależna. Czego więcej mogłaby chcieć? Może naprawdę ostatnio czytała zbyt wiele poezji?

Mimo to wolałaby, żeby Ariel poszła jej śladem. Praca była oczywiście ważna, i Ariel okazywała prawdziwe zainteresowanie ich dochodzeniami, ale Charlotte nie chciała, by siostra poświęciła pracy wszystko, tak samo jak ona. Nie było już tak naglącej potrzeby. Miały wystarczający dochód, by żyć wygodnie, chociaż nie luksusowo. A jeżeli jej plany przyciągnięcia klientek z eleganckiego świata przyniosą efekty, będą mogły pozwolić sobie nawet na trochę luksusu.

Dałaby wiele, by zapewnić Ariel niewinne rozrywki, jakie powinny być udziałem młodej kobiety. Gdyby los ułożył się inaczej, ona też miałaby do nich prawo z racji swojego dziedzictwa. Ten zaawansowany wiek, o którym wspomniała Honoria, przyszedł zbyt wcześnie.

Z wprawą nabytą dzięki doświadczeniu Charlotte odsunęła od siebie te niewczesne myśli. Zmusiła się do skoncentrowania uwagi na klientce.

- Panno Patterson, wrażliwa, inteligentna kobieta musi być ostrożna w takich sytuacjach - powiedziała rażno.

- W końcu zdaję sobie sprawę, że nie jestem żadną pięknoscią - wyjaśniła Honoria tonem, który świadczył, że dawno już pogodziła się z rzeczywistością.

Ja też nie, pomyślała Charlotte z nieznanym dotąd żalem. Wczoraj wieczorem namiętność Baxtera z całą pewnością spowodowana była przeżyciami, które były ich udziałem. Zapewne teraz, gdy stymulujące efekty niebezpieczeństwa minęły, już nie będzie

mu się tak podobać.

- Tak więc rozumie pani, że to wszystko oraz spadek, który otrzymałam po kuzynie, zmusiło mnie do zasięgnięcia informacji o panu Adamsie.

- Oczywiście, rozumiem.

- Nigdy nie spodziewałam się, że wyjdę za mąż. Wmawiałam sobie, że teraz, gdy stałam się finansowo niezależna, będę całkowicie zadowolona z życia. Jednak pojawił się pan Adams i nagle otworzyły się przede mną inne możliwości. Mamy wiele wspólnych zainteresowań.

- Cieszę się pani szczęściem.

Nie po raz pierwszy klientka Charlotte po otrzymaniu dobrych wiadomości stawała się gadatliwa. Przy pierwszej rozmowie kobiety zawsze mówiły najmniej, jak tylko się dało. Były zdenerwowane i zażenowane. Gdy częstowała je herbatą, filiżanki grzechotały o spodeczek. Dłonie w rękawiczkach trzepotały gorączkowo. Na twarzach malował się uroczysty wyraz.

Gdy wiadomości były złe, najczęściej płynęły łzy. Na takie przykre chwile Charlotte trzymała w szufladzie biurka pudełko z czystymi lnianymi chusteczkami.

Jednak gdy wiadomość była dobra, klientki często wpadały w euforię. Niektóre rozwodziły się w nieskończoność o świeżo odkrytych cnotach adoratora.

Na ogół Charlotte słuchała i wydawała zachęcające pomruki. Zadowolone klientki bez oporu płaciły rachunek i dyskretnie polecały Charlotte znajomym. Mogła więc pozwolić sobie na to, by nie żałować im czasu podczas końcowego spotkania.

Ale dzisiejszego popołudnia Charlotte też odczuwała niewytłumaczalną potrzebę rozmowy.

- Naprawdę raduje mnie pani szczęście, panno Patterson. I cieszę się, że mogłam potwierdzić pani dobrą opinię o panu Adamsie. Ale musi pani zdawać sobie sprawę, że kobieta zawsze ponosi pewne ryzyko, gdy przychodzi do małżeństwa.

- Ryzyko? - spytała zaskoczona Honoria.

- Zrobiłam, co było w mojej mocy, by dowiedzieć się, czy pan Adams nie jest pijakiem. Nie przegrywa w karty. Nie uczęszcza do domów publicznych. Wiem, że ma przyzwoity dochód i sądzę, że odznacza się statecznym, spokojnym charakterem.

- Czyli jest wspaniałym dżentelmenem. - Honoria rozpromieniła się.

- Tak. Ale chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że nie mogę w pełni zagwarantować, iż po ślubie pan Adams nadal pozostanie takim ideałem.

- Nie rozumiem.

Charlotte impulsywnie pochyliła się ku Honorii.

- Za rok mógłby na przykład zechcieć opuścić panią i dzieci, by szukać przygód na południowych morzach. Albo mógłby znudzić się nowym małżeńskim życiem i zacząć za dużo pić. Mógłby popaść w melancholię, uprzykrzając pani życie. Jest wiele spraw, które w małżeństwie mogą pójść źle.

- Tak, oczywiście, z całą pewnością ma pani rację. - Honorria zastygła w niewygodnej pozycji, a w jej oczach pojawiła się troska. - Wiem, że nie mogę mieć żadnych gwarancji.

- No właśnie. A jednak zamierza pani wyjść za mąż.

Honorria zmarszczyła czoło.

- Co tak panią nagle wzburzyło, panno Arkendale? Czy coś się stało?

- Nie. Po prostu zastanawiam się, dlaczego pani zależy na małżeństwie z panem Adamsem. Zupełnie jakby nie było alternatywy.

- Mówiłam pani, że żaden inny dżentelmen nie wzbudził mojego zainteresowania.

- Nie o to mi chodzi. Panno Patterson, czy mogę zadać pani pytanie bardzo osobistej natury?

Honorria spojrzała na drzwi, jakby oceniała odległość.

- Co takiego chciałaby pani wiedzieć?

- Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem, czemu nie zastanowiła się pani nad nawiązaniem dyskretnego związku z panem Adamsem. Dlaczego od razu ryzykować małżeństwo?

Honorria popatrzyła na nią przeciągle. Przez chwilę Charlotte obawiała się, że w niewybaczalny sposób ją obraziła. W milczeniu przeklinała swoją impulsywność. W końcu musi dbać o pracę. Nie może sobie pozwolić na obrażanie klientek.

- Chodzi pani o romans? - spytała Honorria otwarcie.

Charlotte zaczerwieniła się.

- Wydaje mi się, że to najlepsze rozwiązanie. Młoda dama nie mogłaby nawiązać romantycznego związku nie wywołując skandalu, ale kobieta... uhm, dojrzała, ma więcej swobody. Oczywiście, jeżeli zachowuje się dyskretnie.

Honorria przyglądała się Charlotte z namysłem. Potem dziwny uśmiezek uniósł kąćki jej warg.

- Panno Arkendale, czy nie wydaje się pani, że zbyt długo już wykonuje pani swój zawód?

- Nie rozumiem, co pani chce przez to powiedzieć.

- Sądzę, że badając życie mężczyzn nabrała pani dość cynicznego wyobrażenia o

świecie, a zwłaszcza o mężczyznach. Może przestała pani rozumieć, jakimi pobudkami kieruje się kobieta zlecając takie dochodzenie.

- To znaczy?

- Romans może niektórym odpowiadać. - Honoria poprawiła wiązanie czepka i wstała.

- Ale pan Adams i ja pragniemy czegoś więcej.

- Nie rozumiem.

- Trudno to ubrać w słowa, panno Arkendale. Jeżeli pani intuicyjnie nie zna odpowiedzi na swoje pytanie, wątpię, czy potrafiłabym to pani wyjaśnić. Powiem tylko, że zawierając małżeństwo ludzie mają nadzieję.

- Nadzieję?

- I zaufanie. I wizję przyszłości. - Honoria popatrzyła na Charlotte z litością. - Romans nie może dać nam żadnej z tych rzeczy, prawda? Z samej swojej natury jest to bardzo ograniczony związek. A teraz, jeśli pani wybaczy, muszę już iść. Dziękuję pani za załatwienie mojej sprawy.

Charlotte zerwała się na równe nogi, nękana pytaniami, które ją rozsadzały. Nagle zapragnęła dowiedzieć się, co takiego według Honorii Patterson jest w małżeństwie, że warto zaryzykować zwiążanie się z takim mężczyzną jak Winterbourne.

A Charlotte wiedziała, że mogło być jeszcze gorzej. Istniały rzeczy płynące z samych głębin koszmaru. Co było warte ryzyka małżeństwa z takim potworem jak ten, który pięć lat temu pojawił się w mrokach korytarza przed drzwiami sypialni Ariel?

Charlotte zdała sobie sprawę, że Honoria zatrzymała się przy drzwiach. Na jej twarzy malowała się troska.

- Panno Arkendale, źle się pani czuje?

- Nie, wszystko w porządku, dziękuję. - Charlotte dla uspokojenia wzięła głęboki oddech. Co się z nią dzieje? Mocno oparła dłonie na blacie biurka, by zachować równowagę. Całą siłą woli zmusiła się do zawodowego uśmiechu. - Przepraszam panią. Wezwę gospodynię, żeby odprowadziła panią do drzwi.

Właśnie sięgała po welwetową taśmę dzwonka, gdy rozległo się ostre pukanie i w gabinecie objawiła się dostojna postać pani Witty.

- Jest tu pan St. Ives, proszę pani. Mówi, że był umówiony.

Chorobliwe rozważania i pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi, opuściły Charlotte w mgnieniu oka. Baxter jest tutaj. Bez powodzenia usiłowała opanować ogarniającą ją radość.

- Dziękuję, pani Witty. Panna Patterson właśnie wychodziła. Zechce ją pani

odprowadzić do drzwi?

- Tak, proszę pani. - Pani Witty odsunęła się i spojrzała wyczekująco na Honorię.

Honorcia wyszła na korytarz z ożywieniem, którego nie było w niej, gdy chwilę wcześniej tu wchodziła.

Charlotte pomyślała, że ma jeszcze jedną doskonałą okazję, by przeprowadzić eksperyment w sprawie przydatności Baxtera jako plenipotenta.

- Ach, panno Patterson, jeszcze chwilę, jeśli można.

Szybko podbiegła do drzwi gabinetu i wyjrzała na korytarz. Stał tam Baxter, owiany jak zwykle aurą kamiennego spokoju, który tak intrygował, a zarazem denerwował Charlotte. Reszta ludzi mogła interpretować jego niewzruszony wygląd jako zwykłą cierpliwość statecznego, raczej nudnego osobnika, ale ona wiedziała, że to coś zupełnie innego. Tak wyrażała się jego wewnętrzna siła i panowanie nad sobą.

Na jego widok zaczęła trochę szybciej oddychać. Miał na sobie niewymyślnie skrojony niebieski surdut, lekko pognieciony, ale podkreślający mocną linię ramion. Zwyczajnie zawiązany fular, tradycyjne spodnie i buty doskonale do niego pasowały. Najwyraźniej nie przejmował się modą. Był człowiekiem o głębszych zainteresowaniach.

W tej chwili napotkał jej wzrok. Jego oczy rozbłysły za szklami okularów. Ogarnęło ją nieprzyjemne odczucie, że Baxter doskonale wie, o czym ona myśli. Poczula na policzkach ciepło rumieńca, co ją zażenowało. Przecież jest kobietą w zaawansowanym wieku, a na dodatek kobietą światową, więc jak może się rumienić?

- Czy chciała pani coś jeszcze, panno Arkendale? - spytała grzecznie Honorcia.

Charlotte postąpiła krok na korytarz.

- Tak. Zanim pani wyjdzie, panno Patterson, chciałabym pani przedstawić pana St. Ivesa. To mój plenipotent.

- Panie St. Ives - wymruczała Honorcia.

- Panno Patterson. - Baxter krótko się skłonił.

Charlotte uważnie przyglądała się Honorii. Na jej twarzy nie odbiła się nawet najmniejsza iskierka zdziwienia czy zainteresowania ani nic, co wskazywałoby, że podejrzewała, iż Baxter jest kimś więcej niż tym, czego się po nim spodziewano, czyli zwykłym plenipotentem.

Zadziwiająco, pomyślała Charlotte. Przyłapała się na tym, że chce pokiwać głową, ale zapanowała nad sobą i tylko się uśmiechnęła.

- Pan St. Ives jest mi wielce pomocny. Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez niego.

- Pochlebia mi pani, panno Arkendale.

- W najmniejszym stopniu, panie St. Ives. Doceniam pańską pracę.

- Miło mi to słyszeć.

Honorcia grzecznie uśmiechnęła się do nich obojga.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść. Mam sporo spraw do załatwienia. - I wyszła nie oglądając się za siebie.

Charlotte poczekała, aż pani Witty zamknie drzwi. Wtedy wróciła do gabinetu i skinęła ręką Baxterowi, zapraszając go do siebie.

- Proszę wejść, panie St. Ives. Mamy wiele do przedyskutowania.

- Pani jeszcze nie wie wszystkiego, panno Arkendale - powiedział Baxter wchodząc do gabinetu.

Charlotte nic nie odpowiedziała, tylko poprosiła panią Witty o przyniesienie herbaty.

Gdy gospodyni wyszła, Charlotte zamknęła drzwi, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Baxterem.

- Panna Patterson nie miała żadnych wątpliwości, gdy jej pana przedstawiałam. Uznała pana za zwykłego plenipotentą.

- Mówiłem pani, że nie będzie mi trudno odegrać tę rolę. - Baxter lekko wykrzywił usta. - Tylko pani ciągle powątpiewa w moją umiejętność wyglądaną jak budyń waniliowy.

Charlotte zdziwił ponury ton jego głosu.

- O co panu chodzi?

Baxter podszedł do okna.

- Zeszłego wieczoru, po powrocie do domu, wiele myślałem o tej całej sytuacji.

- Ja też.

- Wątpię, byśmy doszli do takich samych wniosków.

- Panie St. Ives, nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Muszę pani wyjaśnić pewne sprawy.

- Jakie sprawy? - Charlotte odczuła niepokój. Może Baxter już żałuje tego krótkiego wybuchu namiętności? - Proszę pana, dziś zachowuje się pan dość dziwnie. Czy stało się coś złego?

- Niech to szlag! Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa. Charlotte, niech pani zrozumie, że jest to raczej niezwykle zajęcie dla damy. Zresztą dżentelmeni też na ogół nie oddają się takiej działalności.

- Ach, tak. - Charlotte uciekła się do poczucia dumy. - Jeżeli pan się rozmyślił, to oczywiście ma pan prawo zrezygnować z tej pracy.

- Obawiam się, że nie mogę dłużej odgrywać roli pani plenipotenty, nawet jeżeli idzie

mi to całkiem nieźle.

Skończone. Tak szybko. Zanim jeszcze zdążyłam go dobrze poznać. Baxter zaraz wyjdzie. Silne poczucie straty zaniepokoiło Charlotte. To śmieszne. Zaledwie zna tego człowieka. Musi opanować emocje.

- Może zechciałby pan to wyjaśnić? - powiedziała rażno.

- Chyba najlepiej zacząć od początku. - Baxter w końcu spojrział na nią. Nie potrafiła nic wyczytać z jego oczu. - To nie był przypadek, że zgłosiłem się do pracy u pani. Już wcześniej odnalazłem Johna Marcle'a, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe o pani sytuacji finansowej.

- Dobry Boże! - Charlotte poczuła gęsią skórę. Powoli opadła na krzesło. - Dlaczego?

- Moja ciotka przyjaźniła się z Drusillą Heskett. Poprosiła mnie, żebym wykrył sprawcę morderstwa. Ślad prowadził prosto do pani, a właściwie nawet stanowiła pani jego początek.

- Mój Boże.

- Ciotka sądziła, że to pani zabiła Drusillę.

- Niech to szlag! - Charlotte powtórzyła ulubione przekleństwo Baxtera. Nie wiedziała, co spodziewała się usłyszeć, ale na pewno nie to. Przez chwilę zabrakło jej słów.

- Tak, wiem - mruknął Baxter. - Ostrzegałem, że trudno to będzie wyjaśnić.

- Zaraz, zaraz. Czy dobrze zrozumiałam? Pana ciotka sądzi, że to ja zabiłam biedną panią Heskett? Ale co ją naprowadziło na taki pomysł?

- Fakt, że pani Heskett niedawno zapłaciła pani sporą sumę.

Charlotte poczuła się obrażona.

- Zapłaciła mi za pracę, którą dla niej wykonałam. Mówiłam panu, że na jej zlecenie badałam życie kilku panów, którzy pragnęli ją poślubić.

Baxter podrapał się po głowie.

- Teraz już o tym wiem, ale ciotka nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Drusilla Heskett zachowała dyskrecję, tak jak pani prosiła. Nie powiedziała ciotce, za co pani zapłaciła. Po morderstwie ciotka Rosalind wyciągnęła bardzo logiczny jej zdaniem wniosek.

- Rozumiem. A co pana ciotka pomyślała o tym, że pani Heskett zapłaciła mi pewną sumę pieniędzy?

- Uznała, że pani ją szantażowała.

- Szantaż - mruknęła Charlotte i schowała twarz w ręce. Wyobraziła sobie, że jej ciężko wypracowana kariera legnie w gruzach przez podłe plotki, że może być łajdaczką. - To z minuty na minutę staje się coraz gorsze. Od nieprawdopodobieństwa przeszliśmy do tych

dziwacznych pomysłów.

- Tak. - Baxter powoli podszedł do biurka.

Charlotte podniosła głowę i ze smutkiem patrzyła, jak mocno Baxter zaciska dłonie na mahoniowym oparciu krzesła. Z jakiegoś powodu nie mogła oderwać oczu od jego dużych, zręcznych rąk.

- Niech pan mówi dalej. Wydaje mi się, że to jeszcze nie wszystko.

- Gdy ciotka już uznała, że pani jest szantażystką, nie było jej trudno dojść do wniosku, że jest pani również morderczynią.

- Oczywiście, nie było trudno. Wiem, jak jeden fałszywy wniosek może prowadzić do następnego.

- Pani i ciotka na pewno doskonale byście się rozumiały. Obie myślicie w ten sam nieobliczalny sposób.

- Proszę mówić dalej, panie St. Ives. Skończmy już z tym.

- Więc, jak powiedziałem, logiczne rozumowanie doprowadziło mnie do pana Marcle'a.

- Co pan zamierzał?

Baxter wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że ponieważ chodzi tu o szantaż, logicznym posunięciem będzie zacząć od strony finansowej.

Charlotte milcząco zgodziła się z tym tokiem rozumowania.

- Jak pan się dowiedział, że zatrudniałam Johna Marcle'a?

- To nie było trudne. Ja też mam plenipotentę.

Charlotte skrzywiła się.

- Tak, oczywiście.

- Kazałem mu skonsultować się z moimi bankierami, którzy z kolei dowiedzieli się, kim jest pani bankier. Dowiedziałem się nie tylko o tym, że pan Marcle jest pani plenipotentem, ale również, że szuka pani kogoś na jego miejsce.

- I zgłosił się pan do mnie. - Charlotte wolno wypuściła powietrze z płuc. - Diabelnie sprytnie z pana strony.

Baxter zawahał się, a potem dodał dziwnie obojętnym tonem:

- Mam trochę doświadczenia w takich sprawach.

- Jakich sprawach? W pracy jako plenipotent, czy w szpiegowaniu?

- W obu. - Baxter spojrział w dół, na swoje dłonie, mocno zaciśnięte na oparciu krzesła. Gdy znów podniósł oczy, wzrok miał posepny. - Jeśli chodzi o sprawy finansowe, od

wielu lat zarządzam wielkim majątkiem.

- Tak? - Charlotte pomyślała, że dziś spotyka ją jeden wstrząs po drugim.

- Dwoma, prawdę mówiąc. Własnym i mojego przyrodniego brata.

- Ach, tak. - Charlotte przełknęła ślinę. - A jeśli chodzi o szpiegostwo?

Na twarzy Baxtera odmalował się ból.

- Wolałbym nie używać słowa szpieg.

Charlotte popatrzyła na niego przeciągle.

- Szpiegostwo raczej nie cieszą się zbyt dobrą opinią, prawda? Podła, łajdacka banda, całkowicie pozbawiona poczucia honoru.

- Rzeczywiście. - Mocna linia jego podbródka jeszcze bardziej zeszywniała. - Są potrzebni, ale nikt ich nie szanuje.

Charlotte poczuła się okropnie. Baxter zasłużył na okrutną zniewagę, ale mimo wszystko żałowała, że tak go potraktowała.

- Przepraszam - powiedziała gwałtownie. - Dżentelmeni nie zajmują się szpiegostwem.

- Nie, rzeczywiście nie. - Baxter nawet nie próbował się bronić.

- Jednak człowiek honoru - dodała bardzo delikatnie - mógłby oddać się do dyspozycji władz, gdy trzeba przeprowadzić sekretną misję.

- Zapewniam panią, że nie byłem ochotnikiem - powiedział sucho Baxter. - Władze zainteresowały się moją znajomością chemii. Wysoko postawiony dżentelmen zgłosił się do mojego ojca i spytał, czy zechciałbym pomóc w pewnym śledztwie. Ojciec przyszedł z tym do mnie i przyjąłem zlecenie.

- Kim jest pana ojciec?

- Był czwartym hrabią Esherton. - Dłonie Baxtera połuźniły chwyt na oparciu krzesła.

- Umarł dwa lata temu.

- Esherton. - Charlotte osłupiała. - Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że jest piątym hrabią Esherton? To już naprawdę byłoby zbyt wiele!

- Nie, Charlotte. Nie jestem hrabią. Jestem nieślubnym synem.

- Dzięki Bogu choć za to.

Baxtera zaskoczyła jej reakcja.

- Hrabią Esherton jest teraz mój przyrodni brat Hamilton.

- Sprawia mi to prawdziwą ulgę.

Brwi Baxtera uniosły się ponad oprawką okularów.

- Naprawdę?

- Tak. Inaczej sprawy byłyby jeszcze bardziej skomplikowane. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to hrabia w moim otoczeniu. - Nagle uderzyła ją pewna myśl. - Jak się nazywa pana ciotka?

- Lady Rosalind Trengloss.

- Dobry Boże, jeszcze jedna utytułowana osoba! - Charlotte zmarszczyła brwi. - Trengloss... Chyba Drusilla Heskett kiedyś mówiła mi o niej.

- Jak już wspomniałem, przyjaźniła się z moją ciotką.

Charlotte ze znużeniem skinęła głową.

- Rozumiem teraz, dlaczego pana ciotka prosiła, by dowiedział się pan czegoś na mój temat. Na jej miejscu zrobiłabym to samo.

- Jest pani bardzo wyrozumiała. - Baxter ponuro uśmiechnął się.

- Czy mam rozumieć, że opowiedział mi pan o tym wszystkim, bo teraz pan już sądzi, że jednak nie jestem szantażystką ani morderczynią?

- W ogóle nigdy nie byłem o tym przekonany.

- Jestem panu niewymownie wdzięczna.

- Jednak powstały pewne wątpliwości. W takich wypadkach zawsze staram się badać w sposób jak najbardziej logiczny wszystkie podejrzenia tak długo, aż przekonam się, że są nieuzasadnione.

- Bardzo naukowe podejście. - Charlotte uważnie oglądała swoje pióro. - I jakież to dowody mojej niewinności pan odkrył, panie St. Ives?

- Przede wszystkim pani nie znała domu Drusilli Heskett.

- No i co z tego? - Charlotte spojrzała na niego ostro.

- Pani Heskett została zamordowana we własnym domu. Ściśle mówiąc, w sypialni.

- Tak, wiem o tym.

- Gdy wczoraj weszliśmy na piętro, pani się zawahała. Nie wiedziała pani, która sypialnia należała do niej, aż do chwili gdy w jednym z pokoi znaleźliśmy jej osobiste rzeczy.

- Rozumiem - Charlotte przełknęła ślinę. - To bardzo logiczne.

- Zatem nie wiedziała pani, co użytecznego można znaleźć w domu. Natknęła się pani na blok rysunkowy, ale poza tym nie była pani pewna, co innego mogłoby stanowić jakąś wskazówkę pomocną dla odkrycia tożsamości mordercy. Z całą pewnością nie poszła pani tam po to, by ukryć jakiś dowód, który mógłby wskazywać na panią.

Bez wątpienia powinna być zadowolona, że logiczne rozumowanie Baxtera oddaliło od niej podejrzenie, jednak nie wiadomo czemu czuła się rozżalona. Ale, w końcu, czego mogła się spodziewać? Że Baxter raz na nią spojrzy i uwierzy jej na pierwszy rzut oka?

Śmieszne.

- Tak więc - powiedziała starając się zachować z godnością - stwierdził pan, że nie jestem winna i zamierza pan przestać u mnie pracować, by móc się zająć własnymi sprawami.

- Niezupełnie.

- W tej sytuacji to całkiem zrozumiałe. Nie musi pan już prowadzić śledztwa dotyczącego mojej osoby. Może pan równie dobrze... - Charlotte zamilkła, bo dotarło do niej znaczenie słów Baxtera. - Co pan miał na myśli mówiąc „niezupełnie”?

Baxter puścił wreszcie oparcie krzesła i zaczął przemierzać pokój. Zatrzymał się przed biblioteczką i stanął plecami do Charlotte.

- Charlotte, chciałbym nadal z panią pracować.

Przygnębienie opuściło ją jak ręką odjął.

- Naprawdę?

- Sprawa, która nas połączyła, nie została rozwiązana - stwierdził Baxter. - Morderca pani Heskett pozostaje nieznany, a zarówno pani, jak i moja ciotka, pragniecie dowiedzieć się, kim on jest.

- Tak. - Charlotte nagle poczuła się bardzo podniesiona na duchu. - Tak, rzeczywiście, chcemy poznać rozwiązanie. I z całą pewnością prawdziwe jest stare powiedzenie, że co dwie głowy, to nie jedna.

- Jednak musi nastąpić drobna zmiana w naszej spółce.

- Zmiana? - Charlotte poczuła, że przeszył ją delikatny, ostrzegawczy dreszcz.

Baxter założył ręce za plecy.

- Obawiam się, że nie będę mógł nadal występować jako pani plenipotent.

- Przyznaję, miałam wątpliwości co do pana kwalifikacji na to stanowisko. Nie pozbyłam się ich nawet wtedy, gdy siostra i moja gospodyni upierały się, że są nieuzasadnione. Jednak, jak sądzę, reakcja panny Patterson w chwili, gdy jej pana przedstawiłam świadczy o tym, że będzie pan zdolny dobrze odegrać swoją rolę.

- Charlotte - powiedział ostrożnie Baxter - chodzi o to, że nasze śledztwo z całą pewnością doprowadzi nas do kręgu znajomych Drusilli Heskett.

- Tak, oczywiście. Ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to stanowić jakąś trudność.

- Znajomi pani Heskett są jednocześnie znajomymi mojej ciotki. Oni mnie znają. - Usta Baxtera wykrzywiły się w chłodnym grymasie. - A ci, którzy mnie nie znają, przynajmniej o mnie słyszeli. W końcu jestem bękartem Eshertona. Nie mogę obracać się nie zauważony w eleganckim świecie.

- Rzeczywiście. - Myśli Charlotte goniły jak oszalałe. - Musimy znaleźć jakieś inne

wytłumaczenie przyczyn, dla których będziemy często widziani razem.

- Spędziłem większą część nocy szukając tego wytłumaczenia. - Baxter na chwilę zamilkł. - Chyba przeanalizowałem wszystkie możliwości.

- Wszystkie? - spytała Charlotte uśmiechając się zachęcająco.

- I znalazłem tylko jeden powód, który towarzystwo może zaakceptować widząc nas często razem.

- Jestem naprawdę ciekawa, co pan wymyślił.

- Narzeczeństwo.

Przez długą chwilę oszołomiona Charlotte nie mogła złapać tchu.

- Co takiego? - udało jej się w końcu wyjąkać.

- Ogłosimy zaręczyny. - Baxter posłał jej krzywy, niepewny uśmiešek. - I w tych okolicznościach naprawdę muszę nalegać, by zwracała się pani do mnie po imieniu.



Bxter oczekiwał wybuchu ze strony Charlotte. Jednak mimo że doskonale znał zachowanie ulotnych substancji, takiej reakcji nie przewidział.

Charlotte siedziała nieruchomo. Jej oczy najpierw otworzyły się szeroko, potem przymknęły. Dwa razy rozchyliła usta, ale nie przedarł się przez nie żaden dźwięk.

I wreszcie wybuchnęła.

- Zaręczyny?! - Ruszyła do przodu z większą mocą niż lawa z Wezuwiusza. Czując się pewnie zabarykadowana za swoim biurkiem, popatrzyła na Baxtera w absolutnym oszołomieniu. - Czy pan oszalał?

- Może i tak. - Baxter przez króciutką chwilę dziwił się, że jej reakcja tak go zasmuca. Przecież powinien się tego spodziewać. Dlaczego, do diabła, miałaby być zachwycona odgrywaniem roli jego narzeczonej?

Jednak biorąc pod uwagę, że większość nocy spędził w stanie podniecenia, miał nadzieję zobaczyć w jej oczach troszkę mniej zdziwienia i szoku. W końcu nie tylko on uległ wczoraj namiętności.

- To szalona propozycja. - Charlotte z widocznym wysiłkiem próbowała się opanować. - Skąd panu przyszedł do głowy taki pomysł?

- Chyba wyjaśniłem to dostatecznie jasno. - Przecież powołał się na logikę. Charlotte była kobietą wystarczająco inteligentną, by tak jak on - przeanalizować problem i znaleźć rozwiązanie. - Jeżeli mamy prowadzić śledztwo wśród znajomych mojej ciotki, nie mogę występować jako pani plenipotent. Nikt w to nie uwierzy. Potrzebujemy prawdopodobnie brzmiącego powodu, dla którego często przebywamy razem.

- Prawdopodobny powód - powtórzyła jak odurzona.

- Tak. - Baxter nagle odczuł potrzebę ruchu, miał ochotę zacząć przemierzać gabinet. Niezadowolony z siebie zmusił się do pozostania na miejscu. Bezmyślne chodzenie po pokoju jest przecież objawem braku kontroli nad uczuciami. A on nigdy nie tracił nad nimi panowania. Jednak, z drugiej strony, taki stan uczuć jak obecny był dla niego całkowitą nowością. No dobrze, może i doznaje niezwykłych uczuć, ale byłoby fatalnie, gdyby pozwolił

sobie na to, by im ulegać.

- Według pana to prawdopodobny powód?

- Będę rad słysząc, że znalazła pani coś lepszego.

- Musi istnieć jakiś inny prawdopodobny powód. - Charlotte bębniła palcami po biurku. - Chwileczkę, niech pomyślę.

- Proszę się nie spieszyć. - Uczucie niepokoju rosło. By jakoś się z nim uporać, Baxter wziął książkę ze stolika. Bezmyślnie spojrzął na słowa wypisane na okładce. Gdy zobaczył nazwisko Byrona, cicho zaklął i odłożył tomik tak szybko, jakby to był rozgrzany metal.

- Moglibyśmy udawać, że poznaliśmy się dzięki wspólnemu zainteresowaniu chemią - powiedziała wolno Charlotte. - Powiedzielibyśmy, że spotkaliśmy się na wykładzie w jednym z towarzystw naukowych.

- To wyjaśniałoby tylko, jak się poznaliśmy i dlaczego ze sobą rozmawiamy, gdy przypadkiem spotkamy się w towarzystwie, ale nic więcej.

- Jest jeszcze jedna możliwość.

Charlotte wyraźnie chce znaleźć inne wyjście, pomyślał ponuro. Najwidoczniej całkowicie odrzuca pomysł zaręczyn, nawet nieprawdziwych.

Rzuciła mu szybkie, badawcze spojrzenie, a potem wbiła wzrok w globus stojący na oknie.

- Moglibyśmy dać do zrozumienia znajomym pana ciotki, że łączy nas... romantyczny związek.

- Wydawało mi się, że właśnie na tym polegał mój plan.

- Chodzi mi o potajemny związek. - Charlotte mocno się zarumieniła i nadal wpatrywała się w globus. - Moglibyśmy udawać, że mamy romans.

- Niech to szlag! Chce pani, by ludzie myśleli, że mamy potajemny romans?

Charlotte lekko uniosła brodę.

- Takie rozwiązanie wydaje mi się całkiem rozsądne.

- Ja tak nie uważam.

- Dlaczego? - Spojrzała ukradkiem na Baxtera i jej rumieniec jeszcze się pogłębił. - Och, nie! Chyba nie zamierza pan dać mi do zrozumienia, że kobiety pana nie interesują? Zawsze wiedziałam, że pan Marcle nie miał tego rodzaju inklinacji, to znaczy wobec kobiet, ale po ostatniej nocy ja... hm... byłam pewna, że pan ma. Inklinacje. Tego rodzaju.

- Zdecydowanie mam takie inklinacje - powiedział Baxter spokojnie. - Ale nie daję im upustu w towarzystwie.

- Nie rozumiem.

Baxter westchnął. Ta rozmowa była jeszcze gorsza, niż się obawiał.

- Nie prowadzę swoich romansów na oczach eleganckiego światka. Mówiąc bez ogródek, nie jestem moim ojcem.

- Ach tak...

Wyraźnie było widać, że Charlotte nadal nic nie rozumie.

- Charlotte, ci, którzy mnie znają, wiedzą bardzo dobrze, że nigdy nie afiszowałem się z kochanką, a już zwłaszcza gdy chodzi o stosunkowo młodą kobietę, która nigdy nie była zamężna. To byłoby całkowicie wbrew moim zasadom.

- Chyba zaczynam rozumieć pana położenie. W sercu jest pan dżentelmenem. To bardzo szlachetne z pana strony troszczyć się o moją reputację, ale zapewniam pana, że plotki w najmniejszym stopniu mnie nie interesują.

- Jeżeli zamierza pani kontynuować swoją pracę po tym, jak już wyświełimy zagadkę morderstwa, byłoby o wiele lepiej, gdyby pani jednak przejmowała się plotkami. - Może nie był to najlepszy argument, ale w tej chwili nic innego nie przyszło mu na myśl.

Oczy Charlotte rozszerzyły się.

- Dobry Boże, nie pomyślałam o tym aspekcie sprawy. Pan naprawdę sądzi, że plotki na temat romansu między nami mogłyby mi zaszkodzić w pracy?

Baxter zobaczył, że trafił w sedno, więc bez litości drażył dalej.

- Towarzystwo jest bardzo zmienne, a w takich sprawach zachowuje się z wyjątkową hipokryzją. Musi pani wiedzieć, że damy, wśród których zamierza pani szukać nowych klientek, znane są z tego, że pod względem moralności od innych wymagają o wiele więcej niż od samych siebie.

- Rozumiem, co pan chce powiedzieć. - Charlotte wpatrywała się w swoje dłonie. - Moja gospodyni, pani Witty, opowiadała mi o eleganckich damach, które same miały wiele romansów, ale bez żadnych skrupułów wyrzucały pokojówkę, która zaszła w ciążę ze stangretem.

- Właśnie o to chodzi. Takie panie bez wątplenia nie chciałyby zlecać pracy kobiecie, która miała nie ukrywany romans z mężczyzną w moim położeniu.

- W pana położeniu?

- Jak ciągle pani przypominam, jestem nieślubnym synem.

- I to nieślubnym synem, który bardzo dba o to, by nie stać się tematem plotek.

- Może pragnę ich uniknąć, bo żyję wśród nich od urodzenia.

- Tak, oczywiście. - Charlotte opadła na krzesło. - Proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie pomyślałam o pana uczuciach. Musiał pan przeżywać ciężkie chwile.

- Powiedzmy, że nie przepadam za skandalami. - Baxterowi nie spodobało się współczucie, które zobaczył w oczach Charlotte. W końcu poddał się niepokojowi, który zagrażał mu cały czas. Celowo podszedł do okna. - Miałem tego więcej niż dosyć przez ostatnie trzydzieści dwa lata.

- Nie wątpię.

Baxter zacisnął rękę na parapecie.

- To, co pani powiedziałem podczas pierwszej rozmowy, było prawdą. Jestem tak pospolity jak budyń waniliowy. Co więcej, to mi odpowiada. Ciężko się napracowałem, by osiągnąć spokój i uporządkowaną egzystencję, która nie wymaga, bym przebywał w towarzystwie. Nauczyłem się unikać sytuacji mogących sprowokować zainteresowanie mną i wywołać plotki. Ponad wszystko cenię sobie prywatność.

- To całkowicie zrozumiałe.

Baxter patrzył na mokry od deszczu ogródek, ale przed oczami przewijały mu się sceny z własnego życia.

- Nie mieszkam skandalicznych romansów z olśniewającymi wdówkami. Nie pozwalam, by namiętności wprowadzały chaos do mojego życia. Nie wplątywałem się w związki, które mogłyby mnie zmusić do tego, bym musiał bronić czci mojej kochanki o świcie, z pistoletem w ręku. Nie doprowadzam do dzikich awantur z kochanką pośrodku zatłoczonej sali balowej, podczas gdy mój pięcioletni syn przygląda się temu z galerii.

- Jestem tego pewna.

Baxter zacisnął jeszcze mocniej dłoń na parapecie.

- Nie płodzę nieślubnych dzieci, które musiałyby pięściami bronić się przed drwinami kolegów. Nie płodzę dzieci którym, z powodu urodzenia z nieprawego łoża, odmawia się rodzinnego majątku i tytułu.

- Krótko mówiąc, panie St. Ives, pana osobiste życie nie jest w niczym podobne do życia pana rodziców. Czy właśnie to chce mi pan powiedzieć?

- Tak. - Niech to szlag. Co go napadło? Siłą woli otrząsnął się ze wspomnień. Nigdy nie zamierzał opowiadać Charlotte o tym wszystkim. W ogóle nigdy z nikim nie rozmawiał o swoich najbardziej osobistych przeżyciach.

- Podziwiam pana.

Baxter odwrócił się tak gwałtownie, że strącił łokciem globus. Złościąc się na siebie za tę niezwykłą niezręczność, która świadczyła o absolutnej utracie kontroli nad sobą, zdążył go jeszcze chwycić, zanim spadł na podłogę.

- Niech to diabli! - Czując się jak kompletny idiota, skoncentrował się na starannym

ustawieniu globusa na parapecie. Potem spojrział na Charlotte, która uważnie się w niego wpatrywała. - Na miłość boską, dlaczego pani miałaby mnie podziwiać?

- Bo jest pan obdarzony silną wolą i osobowością. Stworzył pan sobie własne zasady postępowania. I chociaż nie ma pan tytułu, który z racji urodzenia powinien się panu należeć, jest pan człowiekiem honorowym i odważnym.

Szczerść tych słów wprost go zaszokowała. By ukryć zmieszanie, złożył ręce na piersi i oparł się ramieniem o ścianę.

- Jest pani bardzo uprzejma.

- Pod tym względem mamy sporo wspólnego. - Charlotte zaczęła się bawić srebrnym kałamarzem stojącym na biurku. - Nie tylko nieślubne pochodzenie powoduje, że ludzie uważają, iż ukradzono im prawnie należne dziedzictwo. Drugi mąż matki zabrał nam prawie wszystko, co powinno być nasze.

- Winterbourne.

- Tak. - Usta Charlotte wykrzywiły się w złym grymasie. - Zawsze, gdy myślę o tym, co Ariel straciła z jego powodu, o tym wszystkim, czego nigdy nie będę mogła jej dać, chciałabym... sądzę, że pan mnie rozumie.

Baxter bacznie jej się przyglądał.

- Ponieważ w tej chwili rozmawiamy tak szczerze, chciałbym powiedzieć, że ja też panią podziwiam.

- Naprawdę? - Charlotte rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Wiem, że kobiety nie mają wielu możliwości pracy, szczególnie gdy muszą zająć się również młodszą siostrą. Pani osiągnięcia prawdziwie mi imponują.

Charlotte posłała mu nieśmiały uśmiech; była zdziwiona.

- Dziękuję, panie St. Ives. Taki komplement w pana ustach to rzeczywiście ogromna pochwała.

- A zatem, ponieważ naprawdę panią podziwiam - Baxter szedł teraz za ciosem - jestem pewien, że pani rozumie, dlaczego nie chcę pozwolić, by pani sobie zniszczyła reputację.

Chwila wzajemnego zrozumienia minęła tak, jakby była tylko iluzją wyczarowaną przez magika.

- Próbuje pan mną manipulować? - spytała Charlotte z błyskiem wściekłości w oczach.

- Próbuję tylko przekonać panią za pomocą logiki i rozsądku. Jeżeli ma pani rację sądząc, że Drusillę Heskett zamordował jeden z jej adoratorów, może to być człowiek

obracający się w towarzystwie. Mam rację?

- Tak, wszyscy poza jednym należeli do towarzystwa - przyznała niecierpliwie Charlotte. - Tym wyjątkiem był pan Charles Dill ale, jak już panu mówiłam, on umarł na serce prawie dwa tygodnie przed tym, nim została zamordowana pani Heskett.

- Rzeczywiście. Tak więc mordercą może być człowiek, w którym moje niecodzienne zachowanie mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Charlotte otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, potem szybko je zamknęła i tylko wymruczała;

- Może ma pan rację.

- Zatem, biorąc pod uwagę moje osobiste skłonności do unikania skandali i plotek, a także pani pragnienie, by nie zrujnować szans na rozwój interesów, została nam tylko jedna możliwość. Ogłosimy zaręczyny. To nam da idealny powód dla wspólnego przebywania w towarzystwie przez cały czas, kiedy będziemy kontynuować dochodzenie.

W pokoju zaległa chwila napiętego milczenia.

- My? - spytała w końcu Charlotte.

- Pani nadal zamierza odkryć mordercę pani Heskett, prawda?

- Tak. Była moją klientką i być może została zabita dlatego, że nie udało mi się zdobyć jakiejś ważnej informacji. - Charlotte głęboko wciągnęła powietrze. - Jestem jej to winna.

- Nie zgadzam się z panią. Nie jest jej pani nic winna. Ale rozumiem, że nie będę mógł pani odwieść od tego zamiaru.

- Nie, nie może mnie pan powstrzymać.

- Jak już wyjaśniłem, ja też muszę przeprowadzić dochodzenie, bo obiecałem to ciotce. - Oczy Baxtera napotkały spojrzenie Charlotte. - A skoro dążymy do tego samego celu, najlepszym rozwiązaniem jest współpraca.

Charlotte powoli pokiwała głową w geście niechętniej rezygnacji i niewiary.

- Panie St. Ives, wszystko, co w panu wyczułam podczas pierwszego spotkania, okazuje się prawdą.

- To znaczy? - Baxter zmarszczył brwi.

- Pan jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Zaręczony? Z Charlotte Arkendale? - Ręka Rosalind zadrżała i uderzyła delikatną filizanką do herbaty o spodek. - Nie wierzę. Nie mogłeś się zaręczyć z taką kobietą. Chyba

oszałałeś.

- Sam się nad tym zastanawiam - przyznał Baxter.

- Kpiny sobie urządzasz? - Rosalind spojrzała gniewnie na siostrzeńca. - Nigdy nie rozumiałam twojego dziwnego poczucia humoru. Opowiedz mi ze szczegółami, co się właściwie dzieje.

- Wydawało mi się, że już to wyjaśniłem. Jeżeli naprawdę chcesz, żebym dalej prowadził dochodzenie, jest to najlogiczniejszy sposób postępowania.

Baxter przeszedł przez pokój, by przyjrzeć się nowo zainstalowanemu okapowi nad kominkiem. Wymyślny fryz był w stylu zamaryjskim, tak jak zresztą wszystko w pokoju. Rosalind niedawno zmieniła cały wystrój. Egipski salon, z tapetami w hieroglify, palmami, dziwnymi posążkami i sztucznymi kolumnami, ustąpił miejsca dworskiej scenie Zamaru.

Rosalind często zmieniała dekoracje w swoim domu. Dorastając tutaj przy matce i ciotce, Baxter bawił się w etruskiej willi, uczył się w chińskim ogrodzie, ćwiczył szermierkę w greckiej świątyni, ale, na szczęście, nie został pogrzebany żywcem w rzymskim grobowcu.

W dniu, w którym zamieszkał samodzielnie, ustanowił kardynalną zasadę dla swojego domu: żadnych zmian dekoracji tylko po to, by dostosować się do nowej mody.

Gdy tak patrzył na pozłacany gzyms kominka, przyszło mu do głowy, że zawsze musiał opierać się zmianom i całemu zamieszaniu przez nie powodowanemu. W dzieciństwie największe wstrząsy następowały natychmiast po wybuchu silnych emocjonalnych burz między jego rodzicami. Rodzice byli ekspertami w wyszukanej sztuce kłótni między kochankami i namiętych pogodzeń. Wprost pragnęli takich scen, a szło im szczególnie dobrze, gdy mieli widownię. Nie przejmowali się tym, że widownię stanowił czasami jedynie mały chłopczyk.

Baxter lękał się nieuniknionych walk, rozpaczliwie czekał na pojednanie, a między jednym a drugim cierpiał od okrucieństwa kolegów.

Od najmłodszych lat usiłował wykorzenić z siebie nawet najmniejszy ślad gwałtownej natury swoich rodziców, którą być może odziedziczył. Postanowił, że jego życie będzie tak zamknięte dla silnych emocji, jak mocno zapieczętowana jest kolba zawierająca trujące substancje.

Wmówił sobie, że jedyną podniętą, jaka go bawi, jest ta, której doświadcza w laboratorium. Ale teraz Charlotte zakłóciła jego kontrolowany, uporządkowany świat i obawiał się, że nie starczy mu siły, by odmówić sobie przeprowadzenia paru ryzykownych eksperymentów.

Jeżeli nie będzie ostrożny, świat wybuchnie mu prosto w twarz.

- Czy masz absolutną pewność, że panna Arkendale jest niewinna?
- Tak. - Baxter odwrócił się od fryzu kominka. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Sama to zrozumiesz, gdy ją poznasz.
- Skoro tak uważasz - powiedziała niepewnie Rosalind.
- A teraz nie mam wielkiego wyboru. Ona jest tak samo zdecydowana odkryć mordercę Drusilli Heskett jak ty. A skoro nie potrafię jej od tego odwieść, jestem więc zmuszony pracować razem z nią.
- I zamierzasz posłużyć się fikcyjnymi zaręczynami po to, by móc się z nią często pokazywać?
- Nie ma innego sposobu.
- Rosalind nie była przekonana. Położyła rękę na elegancko wygiętym oparciu zamaryjskiej sofy i bacznie przypatrywała się Baxterowi.
- Nie wiem, co powiedzieć.
- To dobrze, bo nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła. I nie zwierzaj się swoim przyjaciółom, nawet tym najbliższym. Nikt nie może wiedzieć, że nasze narzeczeństwo jest oszustwem. Rozumiesz? Nie mów tego nikomu.
- To ma być spisek? Naprawdę, Baxter, trudno mi uwierzyć, że wymyśliłeś taki dziwaczny plan.
- Wprost przeciwnie, Rosalind. Znam cię bardzo dobrze i podejrzewam, że będziesz się doskonale bawiła. To właśnie rodzaj gry odpowiadającej twojemu zamiłowaniu do melodramatu.
- Rosalind udało się przybrać obrażoną minę.
- Jak możesz tak mówić o własnej ciotce!
- Weź pod uwagę, że mordercą może być któryś z dżentelmenów należących do kręgu twoich znajomych.
- A w ogóle to czy jesteś pewien, że szukasz mężczyzny? - Rosalind wzruszyła ramionami. - Drusillę mogła zamordować również kobieta.
- Pani Heskett napisała do Charlotte list, w którym twierdziła, że ktoś chce ją zabić. Sądziła, że może to być jeden ze starających się, rozwścieczony odmową.
- Coś podobnego! Baxter, to może być fascynujące przedsięwzięcie.
- Byłem pewny, że w końcu dojdiesz do takiego wniosku. Charlotte i ja musimy od czegoś zacząć, więc zamierzamy w pierwszej kolejności zająć się adoratorami pani Heskett. Ostatnim odrzuconym był lord Lennox.
- Lennox. - Rosalind zmarszczyła brwi. - Drusilla przez jakiś czas go uwielbiała.

Wychwalała pod niebiosa jego wigor.

- Wigor?

- Drusilla ceniła wigor u dżentelmenów - wyjaśniła Rosalind z rozbawieniem. - Ceniła go również u lokai, stangretów czy masztalerzy. Mówiąc bez ogródek, Drusilla uwielbiała wszystkich mężczyzn, którzy potrafili jej sprostać w łóżku.

- Ach, tak. - Baxter zdjął okulary i wyjął chusteczkę z kieszeni. - Czyli przyjmując, że zabił ją któryś z jej kochanków, możemy mieć bardzo długą listę podejrzanych.

- Chyba nie. Niewielu miałoby powody, by ją zabijać. Baxter, może mogłabym ci w czymś pomóc?

- Tak, rzeczywiście chciałbym cię prosić o przysługę.

- Co takiego?

Baxter włożył z powrotem okulary.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zabrała moją narzeczoną na zakupy.

- Na zakupy?

- Jej siostrę również. Rachunki przyślij mnie.

Oczy Rosalind rozbliły.

- Dobry Boże, Baxter, zadziwiasz mnie. To takie niepodobne do ciebie. Zaczynasz mówić jak twój ojciec.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Będę się pilnował.

Trzy dni później Charlotte stała na progu zatłoczonej sali balowej i uśmiechała się z nie ukrywaną przyjemnością.

- Panie St. Ives, muszę panu powiedzieć, że niezależnie od tego, jaki okaże się wynik naszej pracy, będę dozgonnie wdzięczna pana cioci.

Baxter spojrzał na nią popijając szampana.

- Mojej ciotce?

- Dzięki lady Trengloss moja siostra odniosła nadzwyczajny sukces. Wiem, że nie w tym celu tu przyszliśmy, ale jestem zachwycona. Ariel miała partnerów do wszystkich tańców. Niech pan tylko na nią spojrzy. Jest jak brylant najczystszej wody, prawda?

Baxter zmarszczył brwi szukając Ariel wśród tańczących. Nietrudno było ją dostrzec. Była wyższa niż większość kobiet na parkiecie. Zobaczył, że wiruje w szalonym walcu z młodym człowiekiem, na którego twarzy malowało się oszołomienie.

- Wydaje mi się, że dobrze się bawi - zauważył Baxter.

- Tak. Rodzice byliby z niej tacy dumni. Lady Trengloss miała rację twierdząc, że Ariel powinna nosić stroje w kolorach złotym i niebieskim. Jest jej w nich doskonale.

W tym momencie Baxter zdał sobie sprawę, że Charlotte wygląda pięknie w swojej żółto-kanarkowej sukni. Podkreślała ciemne płomienie jej włosów i zieleń oczu. Kwadratowy dekolt schodził nisko, ukazując kremową skórę ramion i dając wyobrażenie o łagodnej wypukłości piersi. Na głowie miała olśniewającą egretę z złotym piórem, wdzięcznie falującym przy każdym ruchu.

Baxter pierwszy raz widział ją w czymś innym niż w zapiętej pod szyję sukni z długimi rękawami. Nie był znawcą mody, ale i tak dla niego była najpiękniejszą kobietą na sali.

Wypił następny łyk szampana.

- Niebieski i złoty nie są złe, ale ja wolę złoty.

- W złotym Ariel wyglądałaby okropnie.

Baxter rzucił jej ukośne spojrzenie.

- Mówiłem o pani sukni.

- Ach. - Charlotte uśmiechnęła się promiennie. - Dziękuję panu. A pan świetnie wygląda w bieli i czerni, panie St. Ives. Te kolory pasują do pana.

Baxter nie wiedział, czy ma to potraktować jak komplement. Nagle poczuł się zmuszony do wytłumaczenia się z ograniczonego wyboru wieczorowych strojów.

- Jak pani mówiłem, rzadko obracam się w towarzystwie.

- Mówił pan nawet, że go unika.

- Zatem nie ma sensu zamawiać zbyt wiele wieczorowych ubrań.

- Postępuje pan bardzo praktycznie trzymając się czerni.

- Nie zwracałem ostatnio szczególnej uwagi na modę dotyczącą wiązania fularów.

- Tak, oczywiście, miał pan ważniejsze zajęcia.

- Cholernie głupio bym się czuł z fularem zawiązanym w tak skomplikowany sposób, że nie można poruszać głową.

- Prostota ma swoje zalety - odparła uprzejmie Charlotte.

Baxter czuł, że z każdą chwilą coraz mocniej się pogrąża. Rozejrzał się po sali szukając tematu do rozmowy i przynajmniej raz odczuł prawdziwą ulgę widząc nadciągającą ciotkę. Holowała za sobą lorda Lennox.

- Czas zabierać się do pracy - powiedział cicho Baxter. - Ten mężczyzna, który idzie za Rosalind, to ostatni adorator Drusilli Heskett.

- Ten z łysą głową i krzaczastymi wąsami to Lennox?

- Tak. Wydawało mi się, że powinna go pani od razu rozpoznać.

Charlotte zmarszczyła niechętnie czoło.

- Nigdy go nie widziałam. Na ogół nie muszę wiedzieć, jak wygląda mężczyzna, po to by odkryć, czy nie jest rozpustnikiem albo hazardzistą.

- No tak, rzeczywiście nie ma takiej potrzeby.

Charlotte zagryzła wargi z namysłu, i po chwili powiedziała:

- Jednak myślałam, że jest młodszy.

- Dlaczego?

- Tak by wynikało z opisu pani Heskett.

- A co o nim mówiła? - spytał Baxter.

- Coś w tym rodzaju, że Lennox w sypialni zachowuje się jak prawdziwy ogier.

Mówiła, że ma wigor.

Baxter zakrztusił się ostatnim łykiem szampana.

- Ach, tak. Więc dlaczego go porzuciła?

- Wydawało jej się, że jest dla niej za stary. Nie była pewna jak długo zachowa taką kondycję.

- Rzeczywiście, nie jest młodzieniaszkiem. Jego dwie córki są już zamężne, a spadkobierca, najmłodsze dziecko, ma jakieś dwadzieścia jeden lat. Przed chwilą widziałem go przy bufecie.

- Spadkobiercę Lennox'a?

- Tak. Ma chyba na imię Norris. Rozmawiał z Hamiltonem. Przyjaźnią się.

- A kto to jest Hamilton?

- Przepraszam. - Baxter starannie odstawił pusty kieliszek na tacę przechodzącego obok lokaja. - Powiniennem powiedzieć piąty hrabia Esherton.

- Och, tak. Pański brat.

- Mój przyrodni brat.

- Tak, oczywiście. - Charlotte odwróciła się, by pozdrowić Rosalind gorącym uśmiechem. - Dobry wieczór, lady Trengloss.

Rosalind wprost promieniała. Gdy napotkała wzrok Baxtera, puściła do niego oczko. Baxter zdusił pomruk wściekłości. Zgodnie z tym, czego oczekiwał, ciotka doskonale się bawiła. Pociągnęła Lennox'a przed Charlotte takim ruchem, jakby wręczała jej nagrodę.

- Moja droga, pozwól, że ci przedstawię mojego przyjaciela, lorda Lennox'a.

- Milordzie - szepnęła Charlotte.

Baxter z trudem opanował zdziwienie widząc, jak Charlotte wytwornie dyga.

Wdzięcznemu ukłonowi towarzyszyło równie wdzięczne skinienie głową. Mówiło to bardzo wiele o jej przeszłości i wychowaniu. Rzeczywiście, przewidywano dla niej o wiele wyższą pozycję towarzyską niż ta, którą osiągnęła.

- No, no, no, miło mi panią poznać, moja droga. - Lennox pochylił błyszczącą głowę nad urękawiczoną dłonią Charlotte. - Pozwolę sobie powiedzieć, że wygląda pani uroczo. Wprost zjawiskowo. Jaśniejąca jak sama wiosna.

- Dziękuję, milordzie - szepnęła Charlotte.

Lennox rzucił Baxterowi domyślne spojrzenie spod krzaczastych brwi.

- St. Ives, już najwyższy czas, żebyś znalazł sobie żonę. Mężczyzna w twoim wieku powinien mieć ciekawsze zajęcia niż ślęczenie w brudnym laboratorium nad jakimiś chemikaliami, nie sądzisz?

- W istocie. - Baxter starał się unikać wzroku Charlotte.

- Ulotne substancje, chemikalia. - Lennox przysunął się do Baxtera i zniżył głos tak, żeby Charlotte i Rosalind go nie słyszały. - Gdybym był na twoim miejscu, całkowicie bym ich unikał teraz, gdy zamierzasz się ożenić. Nigdy nie wiadomo, czy podczas jakiegoś wybuchu nie uszkodzisz sobie czegoś o żywotnym znaczeniu. Pomyśl, jak byś się wstydził, gdybyś kładąc się do łóżka w noc poślubną nagle odkrył, że jakiś cholerny eksperyment oderwał ci jaja.

- Zachowam w pamięci pańską radę - powiedział Baxter.

- Bardzo słusznie, St. Ives. - Lennox klepnął Baxtera w ramię. - Pozwolisz, że zakręcę się po parkiecie z twoją uroczą narzeczoną?

Baxter pomyślał, że najchętniej by na to nie pozwolił. Obraz Charlotte w ramionach innego mężczyzny, nawet na tyle starego, by mógł być jej dziadkiem, był zadziwiająco niemiły. Jednak dostrzegł błysk w jej oczach i zrozumiał, że lepiej zachować swoją opinię dla siebie.

- Wydaje mi się, że moja narzeczona z radością z panem zatańczy. - Baxter poprawił okulary. - Czyż nie, Charlotte?

- Z prawdziwą przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie, lordzie Lennox. - Charlotte delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Doskonale. - Lennox z galanterią poprowadził ją na parkiet. - No, to zabierajmy się do roboty.

Baxter patrzył za nimi, aż zniknęli w tłumie tańczących.

- Nie krzyw się tak, Baxter - mruknęła Rosalind. - Ludzie pomyślą, że zamierzasz wyzwać biednego Lennox.

- Gdybym kiedykolwiek z powodu kobiety wyzwiał jakiegoś mężczyznę na pojedynek, tego samego dnia przestałbym studiować chemię i zająłbym się alchemią.

- Czasami doprowadzasz mnie do rozpacz. Nie masz żadnych namiętności? Żadnej wrażliwości? Uczuć? Nie, nie fatyguj się odpowiadaniem na to pytanie. - Rosalind przyglądała się tańczącym. - Naprawdę myślisz, że Lennox mógł zabić biedną Drusillę?

- Raczej nie. Przede wszystkim, jemu nie mogło chodzić o pieniądze. A poza tym, moim zdaniem, to nie jest typ mordercy.

Rosalind spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Więc dlaczego tracisz czas na to małe przedstawienie dziś wieczorem?

- Już ci mówiłem. Charlotte jest przekonana, że Drusilla Heskett pisząc list miała na myśli któregoś z niedawno odrzuconych adoratorów. Lennox jest jednym z nich. Musimy postępować metodycznie i kierować się logiką.

- Chyba masz rację. Zresztą i tak w tej chwili mamy tu tylko Lennox. Odkryłam, że Randleigh i Esly wyjechali na jakiś czas na wieś. Wracają dopiero pod koniec miesiąca.

- Zleciłem mojemu plenipotentowi, by dowiedział się o nich jak najwięcej.

- Jednak ich także nie potrafię sobie wyobrazić jako morderców.

- Ja też nie - przyznał Baxter.

Rosalind spojrzała na niego z namysłem.

- Wiesz, gdy już jesteśmy przy logice, postąpiłbyś bardzo rozsądnie, gdybyś zatańczył ze swoją narzeczoną.

- Od lat nie tańczyłem. I nigdy nie byłem w tym dobry.

- Nie o to chodzi, Baxter. - Po prostu... - Rosalind zamilkła przyglądając się komuś, kto się do nich zbliżał. Uśmiechnęła się chłodno. - Jeśli chodzi o ludzi, którzy mogą mieć motyw do popełnienia morderstwa, właśnie nadchodzi lady Esherton.

Baxter rozejrzał się i zobaczył Maryann. Nagle przypomniał sobie, że napisała do niego trzy razy w ciągu ostatniego tygodnia. Niech to szlag.

- Ze mną nie ma o czym rozmawiać - powiedziała Rosalind - więc pewnie chce przywoździć ciebie. Wybacz, ale po drugiej stronie sali widzę drogą przyjaciółkę. - Odwróciła się i wmieszała w tłum.

- Tchórz - mruknął Baxter.

A więc sam musi stawić czoło wdowie po swoim ojcu.

Maryann miała teraz pięćdziesiąt dwa lata. Gdy wychodziła za ojca Baxtera, miała osiemnaście, a on czterdzieści trzy. Było to jego drugie małżeństwo. Z pierwszego nie urodziły się dzieci, więc rozpaczliwie pragnął dziedzica.

Maryann, królowa sezonu, miała starających się na pęczki, ale popychana przez ambitnych rodziców zastawiła sidła na Eshertona. On natomiast potrzebował dziewiczej żony o nieskalanej reputacji i pochodzącej z rodziny, która nigdy nawet nie otarła się o skandal. Była to partia sezonu. Na ślub zbiegli się wszyscy, nawet długoletnia kochanka hrabiego, lady Emma Sultenham.

Maryann - panienka o delikatnych rysach, szarych oczach i włosach koloru miodu, była całkowitym przeciwieństwem Emmy. Baxter czasami zastanawiał się, czy ojciec wybrał ją na żonę właśnie dlatego, że w niczym nie przypominała olśniewającej czarnowłosej i ciemnookiej kochanki, czy też po prostu dlatego że lubił różnorodność.

Dwa lata po ślubie hrabiego Emma, która wówczas miała trzydzieści siedem lat i sądziła, że już nie będzie mogła mieć dzieci, powiła kochankowi pierwotnego syna. Esherton prawdziwie się ucieszył i dla uczczenia radosnego wydarzenia wydał huczne przyjęcie. Niestety, nic nie mogło zmienić faktu, że Baxter jest dzieckiem nieślubnym i w związku z tym nie ma prawa do tytułu.

Minęło jeszcze dziesięć lat, zanim Maryann w końcu udało się dać małżonkowi spadkobiercę. Baxter doskonale się orientował, że te lata nie były dla niej łatwe. Hrabia nie ukrywał miłości do swojego nieprawego syna ani namiętności do Emmy.

Dziś Baxterowi nie spodobała się ponura determinacja, którą zobaczył w oczach Maryann. Szykowały się kłopoty. Jak zwykle, gdy był zmuszony spotkać się z nią, przypomniał sobie przyrzeczenie, które złożył umierającemu ojcu i które teraz zmuszało ich do utrzymywania kontaktów, mimo wielkiej niechęci, jaką do siebie czuli.

Ojciec wymógł na Baxterze przysięgę, że będzie się opiekować Hamiltonem, aż do chwili gdy ten skończy dwadzieścia pięć lat. Scena ta jak żywa stała mu teraz przed oczami tak, jakby wydarzyła się zaledwie wczoraj. Stał z jednej strony łóżka wielkiego łoża pod baldachimem, Maryann i Hamilton stanęli z drugiej strony.

- Nadeszła chwila, w której muszę się pożegnać z moimi wspaniałymi synami. - Arthur, czwarty hrabia Esherton, chwycił dłonie Baxtera i Hamiltona. - Jestem dumny z was obu. Różnicie się między sobą jak dzień i noc, ale w żyłach was obu płynie moja krew. Hamiltonie, czy ty mnie słuchasz?

- Tak, ojcie. - Hamilton spojrzał na Baxtera oczami pałającymi urazą.

Wzrok hrabiego przesunął się na Baxtera.

- Jesteś starszym bratem Hamiltona. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Trudno byłoby mi zapomnieć, że jesteśmy spokrewnieni, ojcie. - Baxtera ogarnęło uczucie dziwnej nierzeczywistości. Nie mógł uwierzyć, że ten wielki, żywiołowy, istniejący

od zawsze w jego życiu mężczyzna, który go spłodził, teraz umiera.

Drżąca ręka Eshertona szybko uściśnęła dłoń Baxtera.

- Jesteś odpowiedzialny za niego i za jego matkę.

- Wątpię, by czegoś ode mnie potrzebowali - Baxter poczuł słabość potężnej kiedyś dłoni ojca i musiał zamrużyć, by powstrzymać łzy.

- Mylisz się - szepnęła chrapliwie Arthur. - Zapisalem to w testamencie. Ty, Baxter, masz tę solidność, która jest potrzebna do zarządzania majątkiem. Do licha, synu, od urodzenia jesteś stateczny i można na tobie polegać. Hamilton jest zbyt młody, by zarządzać majątkiem. Ty się tym zajmiesz do chwili, kiedy on skończy dwadzieścia pięć lat.

- Nie. - Maryann pierwsza zdała sobie sprawę ze znaczenia słów męża. Przycisnęła dłonią pierś. - Panie, nie rób tego!

Arthur odwrócił głowę na poduszce, by spojrzeć na żonę. Mimo osłabienia udało mu się wykonać coś, co było cieniem słynnego złośliwego uśmiechu Eshertonów.

- Moja droga, dziś jesteś jeszcze piękniejsza niż w dniu naszego ślubu.

- Esherton, proszę. Nie rób tego!

- Niepotrzebnie się martwisz, Maryann. Przecież zostawiam Baxterowi zarząd majątku tylko dopóki Hamilton nie będzie trochę starszy.

Zaszokowane spojrzenie Maryann napotkało oczy Baxtera.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Obawiam się, że owszem, istnieje taka potrzeba. Moja słodka, Hamilton jest podobny do mnie. Potrzebuje czasu, by nauczyć się panować nad sobą. Nie rozumiem, dlaczego moi synowie są tak do siebie niepodobni, ale tak właśnie jest. - Esherton gwałtownie się rozkaszał.

Baxter poczuł, że ojciec zanurza się troszkę głębiej w czekającą go ciemność.

- Ojciec...

Arthur opanował atak kaszlu i opadł wyczerpany na poduszki.

- Baxterze, wiem, co robię. Hamilton jeszcze przez kilka lat będzie potrzebował twojej opieki i rad.

- Ojciec, proszę - szepnęła Hamilton. - Nie chcę, żeby Baxter zarządzał moimi pieniędzmi i decydował w moim imieniu. Jestem wystarczająco dorosły, by zająć się dobrami Eshertonów.

- Tylko kilka lat. - Arthur zachichotał ochryple. - W ten sposób będziesz miał okazję wyszumieć się. Kto mógłby zaopiekować się tobą lepiej niż starszy brat?

- Przecież on nie jest moim prawdziwym bratem - nalegał Hamilton. - Jesteśmy

zaledwie przyrodnim rodzeństwem.

- Na Boga, jesteście braćmi! - Przez chwilę w bursztynowych oczach hrabiego zabłysła dawna siła. Spojrzał płomiennym wzrokiem na Baxtera. - Rozumiesz mnie, synu? Hamilton jest twoim bratem. Jesteś za niego odpowiedzialny. Chcę, żebyś mi złożył przysięgę.

Baxter mocniej chwycił dłoń ojca.

- Rozumiem. Proszę, uspokój się, ojczu.

- Na Boga, przysięgnij!

- Przysięgam - powiedział spokojnie Baxter.

Hrabia opadł na poduszki.

- Stateczny i opanowany. Pewny jak wschód słońca. - Zamknął oczy. - Wiedziałem, że mogę na tobie polegać i że zaopiekujesz się rodziną.

Maryann podeszła bliżej i Baxter otrząsnął się ze wspomnień.

- Dobry wieczór, Baxter.

- Maryann.

- Nie odpowiedziałeś na moją prośbę o rozmowę. Wysłałam trzy listy.

- Byłem zajęty innymi sprawami - powiedział Baxter z lodowatą uprzejmością, którą wypracował sobie już dawno temu na takie okazje. - Jeżeli chodzi o pieniądze, to przecież wiesz, że dałem bankierom instrukcje, by honorowali żądania mieszczące się w granicach rozsądku.

- To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Ale, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym porozmawiać z tobą na osobności. Czy moglibyśmy wyjść do ogrodu?

- Może innym razem. Zamierzam zaprosić moją narzeczoną do następnego walca.

Maryann zmarszczyła brwi.

- Więc to prawda, że się zaręczyłeś?

- Tak. - Baxter spostrzegł Charlotte w ramionach Lennox. Wirowali bardzo szybko po parkiecie. Wigor.

- Hm... Chyba muszę ci pogratulować.

- Nie ma potrzeby, byś nagle zmieniła swoje zachowanie w stosunku do mnie.

Maryann zagryzła wargi.

- Baxter, proszę. Muszę z tobą porozmawiać o Hamiltonie. Bardzo się martwię o niego. A jak dobrze wiesz, twój ojciec mi powiedział, że zawsze mogę na ciebie liczyć, gdy będę potrzebowała pomocy.

Baxter powoli odwrócił głowę od parkietu i napotkał niespokojny wzrok Maryann. Nie miał wyboru. Złożył ojcu przysięgę. Leciutko skłonił się przyjmując to, co nieuniknione.

- Chyba masz rację. Najlepiej będzie, jeżeli wyjdziemy porozmawiać do ogrodu.



Słyszałam, że był pan znajomym biednej pani Heskett. - Charlotte ku swojemu żalowi poczuła brak tchu. Nie było łatwo dorównać lordowi Lennoxowi. Tańczył bardzo żwawo, a ona nie miała wprawy. - Co za straszna rzecz z tym morderstwem. Człowiek się zastanawia, ku czemu zmierza świat, prawda?

- Tak, oczywiście. Szokujące zdarzenie. - Lennox porwał Charlotte w wielkim, posuwistym wirze, który przemieścił ich przez pół sali. - Pani ją też znała?

- Nie byliśmy bliskimi przyjaciółkami, ale kilka razy się spotkałyśmy. Mówiła mi o panu.

- Uwielbiałem ją. Chciałem się ożenić. Niestety, odrzuciła propozycję. Nie mogłem uwierzyć, gdy dowiedziałem się, że zabił ją jakiś przeklęty opryszek. Przerazające.

- Tak. Mówił pan, że ją uwielbiał?

- Drusillę? Boże, tak. Szalenie lubiłem z nią przebywać. Była dobrym kompanem. Ta kobieta miała wigor, jeżeli wie pani, co mam na myśli.

- To samo mówiła o panu, milordzie.

- Naprawdę? - Na twarzy Lennox'a odbiło się zadowolenie. - Miło to usłyszeć. Będzie mi jej brakowało, chociaż odrzuciła moje oświadczyzny. - Puścił oczko. - Dru dała mi do zrozumienia, że gdy już dobrze osiadzie w małżeństwie, nie miałyby nic przeciw temu, żeby od czasu do czasu zrobić skok w bok.

- Ach, tak?

- Tamtego wieczoru umówiłem się z nią, że ją odwiedzę.

Charlotte spojrzała mu w oczy.

- Był pan u niej tego wieczoru, kiedy została zabita?

- Nie. Miałem do niej pójść, ale w ostatniej chwili przysłała mi liścik mówiący, że jest chora i nie będzie w stanie mnie przyjąć. Często się zastanawiałem, co by się stało, gdybym jednak do niej poszedł.

- Tak, to ciekawe. - Charlotte spostrzegła, że zaraz zderzą się z inną parą, mężczyzną w niebieskim surducie i kobietą w jasno-lawendowej sukni. - Lordzie Lennox, może

powinniśmy...

- Dru miała głowę na karku. - Lennox wykonał zwinny obrót i wyminał zagrażającą im parę. - Rozumiała, że mimo małżeństwa można się od czasu do czasu zabawić.

- W istocie. - Charlotte kątem oka zobaczyła mijającą ich o włos lawendową suknię. Uśmiechnęła się z ulgą do Lennox'a i zastanawiała się, jak najlepiej kontynuować tę interesującą rozmowę.

Kłopot polegał na tym, że Lennox rzeczywiście chyba był taki, jak to wykazało jej wcześniejsze dochodzenie. Pogodny z natury, dobrze sytuowany. Nie mogła go sobie wyobrazić jako mordercy. Jednak Drusilla wymieniła go w swoim ostatnim liście.

- Widzę, że pani narzeczony idzie do ogrodu z lady Esherton - powiedział Lennox i puścił się w następny posuwisty szus. - Niech pani nie będzie zazdrosna. Staruszek wyciął St. Ivesowi paskudny numer, zostawiając mu w rękach sznurki do rodzinnej sakiewki.

Charlotte przypomniała sobie, co Baxter mówił o zarządzaniu majątkiem swojego przyrodniego brata. Do tej pory była pewna, że taka decyzja została podjęta wyłącznie ze względu na umiejętności Baxtera.

- Chce pan powiedzieć, że stary hrabia nakazał to w testamencie?

- To nie jest żadną tajemnicą. Esherton wyznaczył Baxtera na wykonawcę testamentu do chwili, gdy Hamilton ukończy dwadzieścia pięć lat. Gdyby mnie kto pytał, była to bardzo rozsądna decyzja. Wszyscy widzą, że Hamilton jeszcze nie wydorósł. Wdał się w ojca. Stary hrabia w młodości był niezłym hulaką. - Lennox zamyślił się i dopiero po chwili kontynuował. - Ale gdy się nad tym zastanowić, z wiekiem wcale się nie zmienił. Był rozpustnikiem aż do dnia śmierci.

- Ach, tak?

- Ale w sprawach majątku nie zachowywał się głupio - mówił dalej Lennox. - Gdy uzyskał spadek, miał już prawie trzydzieści lat i całkiem dobrze sobie radził. Baxter odziedziczył w tych sprawach rozum ojca, a stary o tym wiedział. Jednak stawia to St. Ivesa w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji. Takie układy zawsze powodują wiele uraz.

- Tak, to prawda.

Lennox nagle się zachmurzył.

- Hamilton nie jest jedynym młodym człowiekiem, który zbyt popuszcza sobie cugli. Teraz wszyscy młodzi arystokraci zanadto szumią. Mój syn, Norris, też daje mi powody do zmartwienia. On i Hamilton to serdeczni przyjaciele.

- Pewnie nie są bardziej szaleni niż inni młodzi mężczyźni - powiedziała ostrożnie Charlotte. - Zbyt szybko powożą, za dużo piją, ryzykują złamanie karku w głupich

awanturach?

- Chciałbym, żeby tylko o to chodziło - odparł Lennox. - Widzi pani, jestem za tym, by mężczyźni wyszumiali się za młodu. Do diabła, ja też sobie używałem będąc w ich wieku. Prawie dałem się zabić w pojedynku o baletniczkę z opery. Przeboksowałem kilka rund ze słynnym wówczas Bykiem Keeleyem. Szmuglowałem francuski koniak. Ot, takie rzeczy.

- Korzystał pan z młodości.

- Tak, takie były w tamtych czasach zwykłe, staromodne rozrywki młodzieży. - Lennox znów posuwił się z Charlotte po parkiecie. - Ale dzisiejsza młodzież podejmuje o wiele większe ryzyko niż ja w ich wieku.

- To znaczy?

- W naszych czasach hazard jest o wiele niebezpieczniejszy. - Lennox mówił teraz bardzo poważnie. - Niedawno przyjaciel Norrisa, młody Crossmore, przegrał cały majątek w lokalu zwanym „Zielony Stolik”. Wrócił do domu i wpakował sobie kulę w łeb.

- Okropne.

- Ostrzegłem Norrisa, że jeżeli nie będzie się pilnował, wyślę go w długą podróż na kontynent.

- Pomogło?

- Norris wie, że nie będę tolerował żadnych nonsensów. Jednak dla młodego Hamiltona składa się dość niefortunnie, bo nie ma ojca, który mógłby mu przykrócić cugli. Esherton zostawił ten obowiązek St. Ivesowi, razem z zarządem dóbr.

Rozległ się jeszcze jeden akord i muzyka umilkła. Charlotte była zasapana. Dygnęła przed Lennoxem i uprzejmie się uśmiechnęła.

- Dziękuję, milordzie. Potrzebowałam trochę gimnastyki.

- Pomaga utrzymać wigor - zapewnił, odprowadzając ją z parkietu. - Przynieść pani lemoniady albo szampana?

- Nie, dziękuję. Chyba pójdę poszukać lady Trengloss.

- Ach tak, urocza Rosalind. Cudowna kobieta. - Lennox przez chwilę tęsknie się zamyślił. - Musi jej brakować siostry.

- Matki pana St. Ivesa?

- Tak. Emma umarła cztery lata temu. Za młodu ona i Rosalind były duszą towarzystwa. Z nimi nikt się nie nudził. Ale z nich dwóch Emma była bardziej żywiołowa. Jej romans z Eshertonem trwał aż do dnia jej śmierci. Mówię pani, naprawdę trudno uwierzyć, że St. Ives jest ich synem.

- Dlaczego?

- Charakter młodego Baxtera jest całkowitym przeciwieństwem charakteru rodziców. Och, ma w sobie dużo ze starego Eshertona. Nikt nie mógłby się pomylić widząc jego oczy, a po matce ma ciemne włosy. Ale brakuje mu jej poczucia humoru i blasku. Do tego absolutnie nie wdał się w rodzinę St. Ives, która ma swój niepowtarzalny styl.

- Tak?

- Przecież pani wie, co mówi się o mężczyznach z tej rodziny. Postępują zawsze stylowo. Hamilton się w nich wdał, ale Baxter wygląda tak, jakby utrzymywał się z pracy jako plenipotent.

- Wygląd może być mylący, milordzie.

- Tak, tak, oczywiście. Dziękuję za taniec.

Charlotte ruszyła do francuskich okien otwartych szeroko, by wpuścić trochę powietrza do przegrzanej sali balowej. Wyszła na wielki taras, oświetlony kolorowymi lampionami. Tu i ówdzie ukryte w cieniu pary szeptały do siebie i cicho się śmiały. Dalej był już tylko pograżony w nocnej czerni ogród.

Nie widziała nigdzie Baxtera, ale była prawie pewna, że nie wrócił do sali balowej. W świetle księżycy słabo majaczyły przyszczyżone żywopłoty i gęste krzewy. Baxter musiał tam gdzieś być. Nie przepadał za towarzystwem. Ukrycie się w samotności, aż do chwili gdy trzeba będzie wychodzić, było całkiem w jego stylu.

Charlotte zeszła po kamiennych schodkach i ruszyła ścieżką prowadzącą w głąb ogrodu. Jej pantofelki z kozłej skórki nie czyniły najmniejszego hałasu. Nocne powietrze było rześkie. Objęła się, by zachować trochę ciepła. Nie będzie mogła zostać tu długo bez płaszcza.

Zatrzymała się nagle, bo usłyszała cichy, zatroskany głos jakiejś kobiety. Po lewej stronie przy żywopłocie stała jeszcze jedna para. Charlotte już miała iść dalej, gdy rozpoznała charakterystyczny, szorstki głos Baxtera.

- Niech mnie diabli, jeżeli wiem, czego ode mnie oczekujesz w tej sprawie, pani. Hamilton ma dwadzieścia dwa lata. - Baxter zawahał się na chwilę, potem dodał sucho: - I w końcu to on jest hrabią Eshertonem.

- On jeszcze w tylu sprawach zachowuje się jak chłopiec. - W głosie kobiety brzmiała rozpacz. - I jest taki podobny do ojca. Baxter, musisz coś z tym zrobić. Po śmierci hrabiego Hamilton stał się bardzo uparty i samowolny. Miałam nadzieję, że mu to minie, gdy oswoi się z myślą o stracie ojca. Ale ostatnio on i jego najbliższy przyjaciel Norris...

- Spadkobierca Lennox?

- Tak. Obaj nawiązali nowe znajomości i obawiam się najgorszego. Wieczorami nie

chodzą już do swoich dawnych klubów. Hamilton mówił mi, że odkryli coś bardziej interesującego. Ten lokal nazywa się „Zielony Stolik”.

- Wielu młodych ludzi woli kluby utworzone specjalnie dla nich niż te, do których uczęszczali ich ojcowie.

- Tak, ale obawiam się, że ten nowy klub to po prostu jaskinia hazardu.

- Maryann, uspokój się. Hamilton nie może przegrać dóbr Eshertonów podczas jednej nocy ostrej gry. Jak wiesz, będę zarządzał majątkiem jeszcze przez następne trzy lata.

- Nigdy nie sądziłam, że będę dziękowała Bogu za przezorność jego lordowskiej mości w tej sprawie. Muszę jednak się przyznać, jak bardzo mnie cieszy, iż Hamilton nie ma jeszcze dostępu do swojej fortuny. Jest przecież tyle niebezpieczeństw czyhających na młodego człowieka z jego charakterem.

- Na przykład?

- Nie wiem. - Maryann podniosła głos. - I to jest najgorsze, Baxter. Nie wiem, jakie ryzyko podejmuje mój syn. Słyszy się okropne rzeczy o tym, co dzieje się w takich lokalach.

- Jesteś przewrażliwiona.

- Nie. Jestem przerażona. Opowieści, które słyszy się o deprawacji i rozpuszczeniu wśród młodych arystokratów, przerażyłyby każdą matkę. Na przykład słyszałam o ludziach, którzy celowo zażywają opium, by wprowadzić się w trans.

- Może jacyś poeci zabawiają się w ten sposób, ale jest ich na pewno niewiele.

- Kto wie, co naprawdę dzieje się w nowym klubie Hamiltona? Mówię ci, mój syn ostatnio nie jest sobą. I nie słucha mnie. Ty musisz z nim porozmawiać.

- A dlaczego sądzisz, że mnie posłucha?

- Baxter, w tobie pokładam ostatnią nadzieję. Ojciec na twoje barki złożył odpowiedzialność za Hamiltona, aż do chwili gdy osiągnie dojrzałość. Nie możesz temu zaprzeczyć. Wszyscy słyszeliśmy polecenia, które dał ci jego lordowska mość umierając.

- To dziwne, prawda? - powiedział Baxter refleksyjnym tonem. - Nawet z grobu ojciec potrafi wprowadzić zamieszanie do naszego życia. Ciekawe, czy dobrze się bawi przyglądając się tym dramacikom, które wyreżyserował.

- Nie wyrażaj się z takim brakiem szacunku o jego lordowskiej mości. Baxter, polegam na tobie. Musisz powstrzymać Hamiltona, zanim wpadnie w prawdziwe kłopoty.

Charlotte usłyszała łkanie, które zaraz zostało stłumione, potem szelest jedwabnej sukni i cichy odgłos kroków na trawie. Szybko wycofała się w cień. Maryann wyszła na ścieżkę i pobiegła ku oświetlonemu tarasowi.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Baxter odezwał się:

- Usłyszała pani wszystko, czy też mam streścić najważniejsze wątki rozmowy?
- Panie St. Ives - Charlotte przez chwilę nie mogła odróżnić w ciemności postaci Baxtera. Potem jego cień odłączył się od głębokich cieni rzucanych przez wysoki żywo płot, i ruszył w jej kierunku. Gdy Baxter przechodził przez miejsce dobrze oświetlone księżycem, zobaczyła na jego twarzy ostry, nieustępliwy wyraz.
- Charlotte, musi pani wreszcie kiedyś zacząć zwracać się do mnie po imieniu.
- Proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie zamierzałam podsłuchiwać.
- Ale zrobiła to pani.
- Gdy usłyszałam rozmowę, nie mogłam się już wycofać tak, żeby pan mnie nie zauważył.
- Niech się pani nie przejmuję. - Baxter zatrzymał się przed nią. - Jesteśmy w końcu partnerami, prawda?
- Tak, ale to nie daje mi prawa wtrącania się w pana prywatne, rodzinne sprawy.
- Niech pani się wtrąca do woli. Od lat moje rodzinne sprawy stanowią rozrywkę dla towarzystwa. Skończyła pani przesłuchanie biednego Lennox'a?
- Charlotte westchnęła.
- Chyba dziś już nic więcej się nie dowiem. Powiedział mi, że tego wieczoru, kiedy pani Heskett została zamordowana, miał u niej być, ale w ostatniej chwili przysłała mu list z wiadomością, że jest chora i nie może go przyjąć.
- Hm. Wątpię, by mówił o tym, gdyby był winny.
- Ja też. Nie mogę go sobie wyobrazić jako mordercy.
- Zgadzam się z panią. Jeżeli jest pani zadowolona, to już pójdziemy. - Baxter wziął ją pod rękę i ruszyli w kierunku domu. - Mam dość życia towarzyskiego na dziś. Jeżeli pozwolę sobie na więcej takich wyczynów, zagraża mi śmierć z nudów.
- Rozumiem, ale Ariel doskonale się bawi. Nie chciałabym jej prosić, żeby już wychodziła. Nie ma jeszcze nawet północy.
- Rzeczywiście, i tak naprawdę, dla towarzystwa noc dopiero się zaczęła. Mam pomysł. Poprosimy, by ciotka zajęła się nią aż do świtu.
- Nie chciałabym fatygować lady Trengloss.
- To dla niej żadna fatyga. Doskonale się bawi naszymi zaręczynami i wprowadzaniem Ariel w świat. - Weszli do jasno oświetlonej sali balowej. - Zaraz odnajdę Rosalind i załatwię z nią sprawę.
- A ja poszukam Ariel i powiem jej, że może zostać z pana ciotką. Na pewno znów jest na parkiecie. Chyba nie opuściła ani jednego tańca. - Charlotte stanęła na palcach, by znaleźć

siostrę w tłumie.

- Widzę ją - powiedział Baxter.

- Rzeczywiście. Jest tam. - Charlotte uśmiechnęła się widząc, jak Ariel wdzięcznie wiruje przy dźwiękach walca. - Tańczy z bardzo przystojnym młodym człowiekiem, który nosi niemożliwie skomplikowany fular. Kto to może być?

- Ma na imię Hamilton - odparł sucho Baxter. - To hrabia Esherton. Mój przyrodni brat.

Pół godziny później powóz zatrzymał się przed domem Charlotte. Baxter z wysiłkiem otrząsnął się z ponurych myśli, które go ogarnęły podczas tej krótkiej podróży. Popatrzył na siedzącą naprzeciwko Charlotte i sam siebie sklął za to, że tak szybko kończy wieczór.

To prawda, że nie miał ochoty zostać dłużej na balu, zwłaszcza po nieprzyjemnej rozmowie z Maryann, ale nie chciał też rozstawać się z Charlotte.

Jednak byli już przed jej domem. Wieczór dobiegł końca i nie mieli czasu ani na rozmowę... ani na nic innego.

Pięknie zmarnował ostatnie pół godziny. Jak na mężczyznę, który szczyci się logicznym postępowaniem i sprawnym intelektem, czasami zachowywał się jak ostatni idiota. Charlotte wyrzała przez okno.

- Panie St. Ives, chyba już dojechaliśmy.

- Niech to szlag! - Baxter usłyszał, jak stangret schodzi z kozła. Charlotte uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Baxter zastanawiał się, o czym może teraz myśleć. W chwilach takich jak ta był szczególnie ostro świadomy swojej nieznamomości przeciwnej płci. Wiedział tylko, że nie chce jeszcze żegnać się z Charlotte.

- Och, Charlotte...

Drzwi powozu otworzyły się. Baxter nie potrafił wymyślić żadnej wymówki, by odwlec to, co nieuniknione.

Z cichym szelestem spódnicy Charlotte wyszła z powozu. Baxter niepewnie ruszył za nią. Wziął ją pod rękę i odprowadził do drzwi.

Głupiec. Cholerny, przeklęty głupiec. Stracił całe pół godziny. Mógł spędzić ten czas trzymając Charlotte w ramionach. Zamiast tego ponuro rozmyślał o przeszłości i chwili obecnej. To wina Maryann. Lady Esherton popsowała mu nastrój. Jak zawsze.

Charlotte wyjęła klucze z torebki wyszywanej paciorkami.

- Panie St. Ives, czy zechciałby pan wstąpić na lampkę koniaku?

Baxter, zagłębiony w ponurych rozmyślaniach, był pewien, że źle usłyszał. Jednak zdał sobie sprawę, że Charlotte patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Koniak? - Odebrał jej klucze i otworzył drzwi palcami, które nagle stały się niezdarne.

- Wiem, że jest późno, ale mamy mnóstwo do omówienia. - Charlotte szybko weszła do ciemnego holu i odwróciła się do Baxtera. - Przy tym całym zamieszaniu podczas przygotowań do balu nie miałam jeszcze okazji pokazać panu rysunku, który znalazłam w bloku pani Heskett.

Chce rozmawiać z nim tylko o pracy.

- Panie St. Ives, czy coś się stało?

Baxter uświadomił sobie, że ciągle jeszcze stoi na schodkach przed drzwiami.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Och, obraziłam pana poczucie przyzwoitości, prawda? - Spojrzała na niego przepraszająco. - Zapewniam pana, że nie zamierzam psuć pańskiej reputacji. Jeżeli pan wejdzie na chwilę, nie dowie się o tym nikt prócz stangreta. Pani Witty spędza noc u kuzynki i wróci dopiero rano.

- Ach, tak?

Charlotte uśmiechnęła się kpiąco.

- I w końcu jesteśmy przecież zaręczeni. Krótko mówiąc, panie St. Ives, pana cnota jest przy mnie całkiem bezpieczna.

Śmiała się z niego.

- Chętnie napiłbym się koniaku. Dużą lampkę. - Baxter wkroczył do holu wykładanego kafelkami i bardzo starannie zamknął frontowe drzwi.

Przez okna wpadała księżycowa jasność. Baxter mógł widzieć, jak Charlotte zdejmuje wieczorową narzutkę, odkłada ją na wieszak, a potem podchodzi do kinkietów i je zapala. Nie potrafił oderwać oczu od wypukłości jej piersi delikatnie falujących w rytm kroków. Chwilę później rozbłysło ciepłe światło, podkreślające jedwabistą skórę jej ramion. Niczym w pracowni alchemika lampa wydobyła ogień płonący w ciemnych włosach kobiety, której tak pożądał, a płomień zmienił żółtą atlasową suknię w złoto. Charlotte odwróciła się, by na niego spojrzeć. I wtedy, za sprawą alchemii, jej oczy przemieniły się w klejnoty o niezgłębionej magii.

- Panie St. Ives, proszę do gabinetu. Pokażę panu rysunek pani Heskett.

- Oczywiście - oszołomiony Baxter ze zdziwieniem usłyszał swoją odpowiedź.

Gdy tak szedł za Charlotte do gabinetu, ogarnęła go ogromna tęsknota. Wdzięczne

kołysanie jej bioder rozpalało mu w żyłach krew.

- Koniak jest na stoliku przy oknie - zawołała Charlotte zapalając lampę.

Jasny blask światła w gabinecie przyciągał Baxtera z czarodziejską mocą. Zawahał się na progu. Wejście do tego pokoju nie było chyba rozsądne. Z całą pewnością nie byłby to rozważny, logiczny postępek.

- Niech to szlag. - Gwałtownie pociągnął węzeł fularu i przekroczył próg zaczarowanego świata.

- Nie dosłyszałam, co pan mówił.

- Nic ważnego. - Baxter podszedł do kominka, rozpałił ogień, a potem ruszył do stolika, na którym stała karafka.

- Wyrwałam z bloku kartę, na której był ten dziwny rysunek - powiedziała Charlotte pochylając się nad szufladą biurka. - O ile mogłam stwierdzić, jest jedyny w swoim rodzaju, chociaż inne też przyciągają uwagę.

- Rzeczywiście. - Baxter przyglądał się uroczemu zaokrąglonemu tyłeczкови pochylonej Charlotte. - Przyciągają uwagę.

- Za każdym razem, gdy chciałam porozmawiać o tym rysunku z Ariel, ona zajmowała się tylko nagimi posągami. A pani Witty wcale nie zachowywała się lepiej.

- A co z panią, Charlotte? Panią też interesują nagie posągi?

- Potrafię skoncentrować myśli na pracy. - Charlotte wyprostowała się i położyła kartkę na biurku.

- Rzeczywiście. - Baxter starannie nalał koniak do dwóch kieliszków. - Ja też mam tę umiejętność.

Spojrzał na nią, trzymając w rękach napełnione kieliszki. Siedziała za biurkiem. Zastanawiał się, czy Charlotte zdaje sobie sprawę z tego, jak światło lampy podkreśla wypukłość jej piersi i pogłębia tajemniczy wyraz oczu.

- Wynik przesłuchania Lennox rozczarował mnie. - Charlotte zmarszczyła brwi. - Bardziej przejmował się ryzykiem, na jakie w obecnych czasach wystawieni są młodzi mężczyźni z towarzystwa, niż śmiercią Drusilli Heskett.

Baxter postawił koniak przed Charlotte. Nie zwrócił uwagi na stronę z bloku rysunkowego.

- Wygląda na to, że Lennox i Maryann mają te same zmartwienia.

- Wydaje mi się, że każde pokolenie rodziców martwi się niebezpieczeństwami, na które mogą być wystawione ich dzieci.

- Na pewno. - Baxter zdał sobie sprawę, że jeżeli jeszcze przez chwilę będzie tak

popijał koniak i przyglądał się odkrytym ramionom i wdzięcznie zarysowanym piersiom Charlotte, nie powstrzyma się przed dotknięciem jej.

Zmusił się, by podejść do okna mając nadzieję, że widok ogrodu skąpanego w świetle księżyca ochłodzi mu rozgrzaną krew. Ale jedyne, co zobaczył, to odbicie Charlotte w szybie.

- A jeśli chodzi o lady Esherton - powiedziała uprzejmie - co pan zrobi w sprawie swojego brata?

Baxter zeszywniał.

- To jest ostatnia rzecz, o jakiej chciałbym teraz rozmawiać.

- Ach, tak? Wspomniałam o tym tylko dlatego, że chyba rozmyślał pan o tej sprawie przez całą drogę do domu.

- Charlotte, niech się pani nie przejmuję moimi osobistymi sprawami. Poradzę sobie z nimi.

- Tak, oczywiście. - Charlotte zawahała się, a potem, jakby nie mogła się powstrzymać, dodała miękko: - Oni mają rację.

- Kto? - spytał nieprzytomnie Baxter widząc w szybie, jak Charlotte podnosi kieliszek i pije łyk koniaku.

- Lennox i lady Esherton. - Charlotte delikatnie odstawiła kieliszek na biurko. - Młodzi ludzie wystawieni są na wiele niebezpieczeństw.

- Charlotte, nie chciałbym pani obrazić, ale pani jest ostatnią osobą, która rozumie, czym jest niebezpieczeństwo. Proszę sobie przypomnieć, że to właśnie pani poczuła potrzebę zatrudnienia plenipotentą, który jednocześnie spełniałby rolę osobistego strażnika.

- Ja jestem dojrzałą kobietą i wiem, co mi może grozić. Ale sprawy mają się zupełnie inaczej, gdy chodzi o młodych ludzi.

Coś w jej głosie przyciągnęło uwagę Baxtera.

- Powiedziała to pani tak, jakby myślała o jakiejś konkretnej sprawie.

Przez długą chwilę Charlotte milczała. Znow wzięła kieliszek i zaczęła się nim bawić.

- Zanim mój ojczym został zamordowany, przyprowadził do domu potwora.

- Potwora? - Baxter powoli odwrócił się do niej.

- Winterbourne przegrał do niego wielką sumę. - Charlotte patrzyła w swój koniak tak, jakby widziała w nim przeszłość. - Nie mogąc spłacić długu, chciał dać mu do zabawy Ariel.

- Dobry Boże, Charlotte! I co się stało?

- Wzięłam pistolet ojca i zmusiłam Winterbourne'a i potwora do opuszczenia domu. - Kieliszek w jej dłoni drżał. - Więcej już nie wrócili.

Baxter wyobraził sobie, jak Charlotte stawia czoło obu mężczyznom, mając do obrony

tylko pistolet. Poczł dreszcz wściekłości i lęku.

- Jest pani bardzo odważna.

Wydawało się, że go nie usłyszała.

- Rano znaleziono Winterbourne'a martwego. Policja stwierdziła, że nieznany rzezimieszek poderzwał mu gardło. Nie wiem, co naprawdę się stało, gdy obaj wyszli z naszego domu, ale wiem, że ojczym bał się tej bestii. Czasami zastanawiałam się, czy potwór nie zabił go w odwecie za to, że nie spłacił długów zaciągniętych przy hazardzie.

- Każdy mężczyzna, który oddaje młodą kobietą na pastwę potwora by odzyskać swoje weksle, zasługuje na śmierć.

- Tak. - Charlotte podniosła wzrok i spojrzała Baxterowi w oczy. - Niech pan nie sądzi, że choćby przez chwilę żałowałam śmierci, Winterbourne'a albo że czułam się winna, bo zmusiałam go do wyjścia z domu. Nie to mnie martwi.

Baxtera nagle oświeciła błyskawica intuicji. Poczł ukryty strach drzemiący pod stanowczą, niezależną osobowością Charlotte. I nie był to rodzaj olśnienia, jaki spływa na człowieka w momentach, kiedy raptem, po wykonaniu udanego doświadczenia, objawia się jakaś cząstka wielkiej naukowej prawdy. Ta wiedza, która nagle na niego zstąpiła, była natury o wiele bardziej osobistej niż cokolwiek, co zdołał odkryć w swoim laboratorium.

- Rozumiem panią - powiedział spokojnie. - Niepokoi panią to, że mimo upływu tylu lat nie potrafi pani zapomnieć, że potwór ciągle jeszcze gdzieś istnieje.

- Tak właśnie jest. Nie potrafię o tym zapomnieć. Czasami wspomnienie nawiedza mnie we śnie. Budzę się w środku nocy, o tej samej godzinie, o której obudziłam się wtedy. We śnie widzę siebie w ciemnym korytarzu przed sypialnią siostry. Mam w ręku pistolet, tak jak wtedy. Ale tym razem potwór wie, że pistolet jest nie naładowany.

- Chryste. - Baxter poczł, że cały kostnieje. - Chce pani powiedzieć, że miała pani wtedy nie nabitą broń?

- Od lat przechowywałam go w komódce. Nie miałam ani kuli, ani prochu. Na korytarzu było bardzo ciemno, a żaden z nich, ani Winterbourne, ani potwór, nie wiedzieli, że pistolet jest nie naładowany. Ale gdy o tym śnię, potwór się śmieje, bo zna prawdę. Wie, że tym razem nie mogę go powstrzymać.

Baxter postąpił krok do przodu.

- Charlotte...

- I w moim śnie wiem, że nie zdołam obronić siostry.

- Charlotte, to tylko sen. - Baxter się zawahał. - Sam mam taki sen, który nawiedza mnie od czasu do czasu i jest na tyle przykry, że budzę się w środku nocy.

Popatrzyła mu w oczy.

- Sny bywają trudne do zniesienia.

- Tak. - Baxter postawił kieliszek na stoliku. - Porozmawiajmy o czymś innym.

- Oczywiście. O śledztwie.

- Nie, nie o śledztwie. Przyjemnie się pani tańczyło walca?

- Z Lennoxem? - Charlotte skrzywiła się. - Chyba już rozumiem, czemu Drusilla Heskett miała zwyczaj porównywać go do ogiera.

Baxter uniósł brew, a Charlotte zachichotała.

- Jego lordowska mość rzeczywiście odznacza się wigorem. Gdy orkiestra przestała grać, czułam się tak, jakbym właśnie spędziła rześki poranek pokonując przeszkody na grzbiecie narowistego konia.

Baxter przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Czy już mówiłem, że wygląda pani dziś uroczo? - Charlotte zamruwała.

- Słucham?

- Jednak wydaje mi się, że nie stanąłem na wysokości zadania i nie powiedziałem pani żadnego komplementu. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Niech pan się nie przejmuję, panie St. Ives. - Charlotte złożyła dłonie na biurku i uśmiechnęła się olśniewająco. - Nie jesteśmy kochankami, lecz partnerami w pracy.

- Jest jeszcze coś, co zaniedbałem. - Baxter stanął za biurkiem i położył dłonie na odkrytych ramionach Charlotte. Jej skóra była ciepła i nieprawdopodobnie miękka.

- Co takiego?

- Nie poprosiłem pani o taniec. - Delikatnie pociągnął ją tak, że musiała wstać. - Czy sądzi pani, że gdybyśmy teraz zatańczyli razem walca, potrafiłaby pani mówić do mnie po imieniu?

W świetle lampy oczy Charlotte były bardzo zielone. Uśmiechnęła się i powoli objęła Baxtera za szyję.

- Nie wiem. Niech mnie pan zaprosi do tańca, to się przekonamy.

- Charlotte, zatańcz ze mną.

- Z przyjemnością z tobą zataczę, Baxterze.

Właśnie tego pragnął przez cały wieczór. Tego potrzebował. Pochylił głowę i dotknął wargami jej ust.



Bxter przeprowadza jakiś eksperyment. Charlotte zrozumiała to natychmiast, gdy tylko jego usta dotknęły jej warg. Pocałunek był inny niż ten, którego doświadczyła w powozie. Nawet gdy przyciągał ją bliżej i zacieśniał uścisk, czuła, że coś go powstrzymuje. Było to tak, jakby zamierzał obserwować swoje działania i kontrolować wynik. Zastanawiała się, czy sądzi, że może regulować własne pożądanie tak samo, jak reguluje płomień, na którym podgrzewa ulotne substancje.

Razem ze zrozumieniem przyszedł gniew. Ona nie jest jakąś ciekawą substancją, którą należy przebadać w laboratorium. Zaciśnęła mocniej ramiona i przytuliła się do Baxtera. Nagle zapragnęła pokazać mu, że nie może pozostać obojętnym obserwatorem własnych namiętności.

Jeżeli to jest eksperyment, oboje grają w nim rolę.

- Charlotte - usta Baxtera poruszały się na jej wargach smakując, próbując, badając. Ujął jej głowę, włożył palce we włosy, rozluźnił szpilki. - Powiedz jeszcze raz moje imię.

- Baxter. - Ogarnęło ją podniecenie, tak żywe i gorące, że wątpiła, by on nie czuł tego samego.

- Jeszcze raz. - Obwiał kciukami linię jej policzków.

- Baxter.

- Rozchyl dla mnie usta.

Posłuchała. A potem cichutko westchnęła ze zdziwienia, bo poczuła na dolnej wardze delikatne ukąszenie.

- Nie zranię cię - szepnął.

- Wiem. - Przyciskała się do niego, zapraszając do głębszego pocałunku.

Baxter mocniej wbił palce w jej włosy. Szpilki z leciutkim łoskotem spadły na biurko. A potem powiódł rękami niżej, zatrzymując się na moment na jej odkrytych ramionach.

- Jesteś taka miękka. - Przeniósł usta za jej ucho. - Wszystko w tobie jest takie gładkie i miękkie.

Charlotte położyła mu ręce na piersi, z rozkoszą wyczuwając pod wykrochmaloną

koszulą prężne mięśnie.

- A w tobie wszystko jest mocne i twarde.

Baxter uniósł głowę. Zdjął okulary i rzucił je na biurko, gdzie już leżały jej szpilki do włosów.

Spojrzała mu w oczy i przez chwilę nie mogła zaczerpnąć powietrza. Bez przesłony okularów alchemiczny płomień w jego bursztynowych oczach gorzał niczym płynne złoto. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale płomienie fascynowały ją i przyciągały.

- Chcę poczuć w dłoniach twoje piersi. - Baxter delikatnie pociągnął za króciutkie rękawki sukni.

Bluzka się rozpięła obnażając Charlotte do pasa. Zadrżała, gwałtownie świadoma, że w świetle lampy widać jej sterczące brodawki. Odczuwała ból, rozkoszny, budzący dreszcze. Krzyknęła cichutko czując na sobie dłonie Baxtera.

- Jesteś piękna. - Jego głos był tak cichy i chrapliwy, że ledwo go słyszała.

Przeciągnął palcami po jej nabrzmiąłych piersiach. Zabrakło jej tchu. Gdyby tak bardzo nie pragnęła wciągać jego odurzającego, męskiego zapachu, chyba w ogóle przestałaby oddychać. Ogarnęło ją jedno wielkie pragnienie. Zgniatając w dłoniach jego koszulę, odchyliła głowę do tyłu.

- Baxter, to nieprawdopodobne.

- Tak. - Pochylił głowę i wziął w usta brodawkę jej piersi.

- Och, Boże.

Szybko rozwiązała jego fular i drżącymi palcami zaczęła rozpinać koszulę.

Baxter zastygł.

- Zostaw.

Nie zwróciła na to uwagi. Rozpięła koszulę do końca i włożyła pod nią ręce.

- Niech to szlag. - Baxter się nie poruszył. Czekał na nieunikniony cios.

Charlotte radośnie go dotykała, smakując ciepło i siłę jego ciała. Jej palce przebiegły przez twarde, kręcone włoski piersi, a potem objęła go i rozłożyła płasko dłonie na jego plecach.

Poczuła nierówności skóry i od razu zrozumiała, co to jest. Baxter miał okropne blizny.

Teraz ona zastygła. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Byłeś ranny.

- Trzy lata temu. - Spojrzenie miał ponure i nieruchome. - Już dawno się zagoiło.

- Co się stało?

- Kwas.

- O mój Boże. Wypadek w laboratorium?

W jego uśmiechu nie było ani odrobiny wesołości.

- W pewnym sensie.

- Tak mi przykro. Musiało cię straszliwie boleć.

- Teraz już nie boli. Ale blizny są obrzydliwe. Zaraz się ubiorę. - Odstąpił krok do tyłu.

- Nie trzeba. - Powoli zdjęła lnianą koszulę z jego ramion i rzuciła ją na dywan. Zobaczyła blad różowe bruzdy na jego prawym ramieniu. Zamknęła oczy zdając sobie sprawę, jaki ból musiał wtedy odczuwać.

- Charlotte...

- Przecież chyba nie sądzisz, że blizny mnie odstraszą. Jedyne, co się liczy, to fakt, że wyzdrowiałaś. - Delikatnie dotknęła szramy na jego ramieniu. Potem stanęła na palcach i pocałowała to miejsce. Baxter zadrżał. Powiodła ustami po jego szyi i dotarła do ust.

- Charlotte. - Gwałtownie przytulił ją do siebie.

Przez chwilę w uścisku Baxtera nie wyczuwała chłodnej, badawczej ciekawości eksperymentatora. Płomień, który w nim gorzał, rozpałał i ją. Istniała tylko ostra, bolesna zmysłowość jego pocałunku, w której za chwilę całkiem się zatraci.

Radośnie poddała się tej pożodze.

Baxter chwycił ją w talii, uniósł do góry i zaczął całować jej piersi.

- Baxter. - Charlotte westchnęła czując jego zęby na brodawce. Uchwyciła się go z całej siły ogarnięta rozpaczliwą potrzebą bliskości.

Poniósł ją na sofę. Zanim zorientowała się, co się dzieje, cały pokój zawirował jej w oczach. Baxter położył się na niej. Był ciężki. Ciężar jego ciała wcisnął ją w welwetowe poduszki sofy. Na gołej skórze nad podwiązkami czuła materiał jego szelek.

I czuła także moc jego nabrzmiałej męskości. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Baxter uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Pragnę cię.

W jego tęczęwkach, jak w tyglu alchemika, płonęło płynne złoto. Spojrzała w nie i zatraciła się.

Żaden mężczyzna, nawet tak chłodny, doświadczony eksperymentator jak Baxter, nie potrafiłby patrzeć na kobietę z tak nagłą żądzą i nadal pozostać tylko zimnym naukowcem. Wsunęła palce w jego włosy i nawet nie próbowała ukryć zdziwienia.

- Jeszcze nigdy nie doświadczyłam tak silnych uczuć.

- Cieszę się. - Pocałował ją zgłodniałymi ustami.

Poczuła, że jego ręka przesuwana się po jej nodze, wślizguje się pod spódnicę i palce zaciskają się wokół łydki. Wbiła paznokcie w twarde mięśnie jego pleców.

Baxter jęknął. Jego ręka wcisnęła się między jej uda i przycisnęła wilgotne, pulsujące miejsce. Włożył palce głębiej i delikatnie wciskał je poza mały wzgórek.

Charlotte zadrżała czując tę niezwykłą inwazję.

- Proszę. - Wygięła się wbrew swojej woli, czekając na to, co dalej nastąpi. - Nie przerywaj.

Baxter bardzo wolno wysunął palec i znów go wsunął. Jednocześnie kciukiem muskał malutki guzełek w rozwidleniu jej ud.

- Baxter. - Nie potrafiła już nawet myśleć. Była świadoma jedynie odczuć. Przywarła do niego, milcząco prosząc, by skończył z tą torturą, ale jednocześnie nie potrafiła się od niego odsunąć. - Baxter.

Przychylił głowę ku jej piersiom. Jego palec poruszał się gdzieś w niej. Nie wchodził głębiej, lecz ciągle powtarzał tę samą pieśczętę.

Odczuła gwałtowne napięcie. Nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się doświadczyć tak nagłego, obezwładniającego pragnienia. Intuicyjnie wiedziała, że takie uczucie nie może narastać w nieskończoność. Musi się jakoś rozładować.

Przywarła do Baxtera jeszcze mocniej.

Musi istnieć jakieś rozładowanie.

Jeżeli nic się nie zdarzy, rozpadnie się na kawałki.

Bez żadnego uprzedzenia zaczęła gwałtownie, nieprzytomnie drzeć.

- Baxter.

Usłyszała własny jęk, bo spadała z jakichś niebosiężnych szczytów.

Pływała w nieokreślonych sferach, w których była jedyną stałą bryłą, a Baxter mocno ją trzymał. Powoli stawała się świadoma trzasku ognia na kominku, poduszek pod plecami.

Nadal czuła na sobie ciężar Baxtera. Gdy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła, że przygląda się jej z niezwykłą uwagą.

- To było zdumiewające - szepnęła. - I cudowne.

- Tak. - Baxter uśmiechnął się i pocałował ją w czoło.

- Ale ty nie odczuwałeś tego, co ja - powiedziała, dotykając jego policzka.

- Nie tym razem. - Baxter wyplątywał się ostrożnie z jej skotłowanych spódnic. - Będą jeszcze inne okazje. - Chwilę milczał, dotknął jej ust szorstkim palcem. - A przynajmniej mam taką nadzieję.

- Baxter, poczekaj. Gdzie idziesz?

- Musimy porozmawiać.

Baxter wstał i poszedł przez pokój, by podnieść leżącą na podłodze koszulę. Światło ognia w kominku wydobyło z mroku blizny. Jak bardzo musiało go to boleć, pomyślała Charlotte. Dzięki Bogu, kwas nie uszkodził mu oczu. Gdyby ich dotknął, Baxter byłby niewidomy.

Patrzyła, jak podnosi koszulę i wkłada ją zręcznymi, wyćwiczonymi ruchami. Potem podszedł do biurka, gdzie leżały jego okulary, i szybko włożył je na nos.

Bez słowa zbliżył się do kominka wpatrując się w płomień.

Charlotte, zaalarmowana nagłą zmianą jego nastroju, powoli usiadła. Zaczęła zapinać górę sukni.

- Baxter, co się stało?

- Nic. - Chwycił pogrzebacz i zaczął podsycać ogień. - Jednak chciałbym, żebyśmy dokładnie się porozumieli, zanim posuniemy się dalej.

Charlotte przyglądała się Baxterowi. Jego ciemne włosy były potargane w miejscach, gdzie przeczesywała je palcami. Blask ognia oświetlał jego ostre rysy, reszta postaci ginęła w ciemności. Znowu odczuła tę samą niepewność, która ją ogarnęła, gdy widzieli się po raz pierwszy.

- W jakiej sprawie mamy się porozumieć? - spytała ostrożnie.

- Charlotte, czy zgodzisz się mieć ze mną romans? - Wypowiedział to bezbarwnie, głosem całkowicie wypranym z wszelkich uczuć.

- Romans? - Palce Charlotte nagle tak zeszywniały, że ledwo mogła sobie poradzić z tasiemkami sukni. - Z tobą?

- Wydaje mi się, że nawzajem się przyciągamy.

- Tak, ale... - Zamilkła niepewna, co powiedzieć. Przecież niedawno sama rozważała taką możliwość.

- Z doświadczenia wiem, że uczucia tego rodzaju są szczerze, lecz po jakimś czasie błędna.

- Ach, tak? - Nie mogła temu zaprzeczyć. Trudno liczyć na to, że namiętność bez miłości przetrwa długo. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Znajomość tego faktu pozwoliła jej osiągnąć zawodową pozycję. Tylko prawdziwa miłość daje trochę pewności i bezpieczeństwa w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu. - Sądysz, że płomień, które płoną w nas w tej chwili, za jakiś czas wygasną.

- Z moich obserwacji wynika, że przyzwyczajenie i nuda obracają najgorętszy nawet

ogień w popiół.

- Tak kończyły się twoje poprzednie związki z kobietami?

- Jestem chemikiem, a nie poetą. - Baxter założył ręce do tyłu. - I z upływem czasu ta różnica staje się coraz bardziej widoczna.

- Nie rozumiem.

- Wyrażając się bardziej dosadnie, gdy już pierwsze fizyczne zauroczenie mija, kobiety uważają mnie za trochę nudnego.

- Kobiety uważają, że jesteś nudny? - Tego było już za wiele. Charlotte poddała się złości, która na krótką chwilę rozproszyła jej smutny nastrój. - Przestań! Nie opowiadaj mi takich nonsensów. Jeżeli nie jesteś zainteresowany długotrwałym związkiem, miej przynajmniej odwagę to powiedzieć. Nie spodziewaj się, że uwierzę, iż twoje poprzednie związki skończyły się, bo zanudziłeś swoje kochanki na śmierć.

Baxter przyglądał się jej w całkowitym oszołomieniu.

- Zapewniam cię, że to prawda.

- Bzdura. - Charlotte poderwała się z sofy i poprawiła spódnicę. - Szukasz wymówek.

Nie spodziewałam się tego po tobie.

Baxter gwałtownie się odwrócił, by stawić jej czoło.

- Nie szukam wymówek. Staram się być uczciwy.

- Coś takiego! - Wyprostowała się dumnie. - A co z pana cenną reputacją, panie St.

Ives?

- Tak się składa, że nasza gra w fikcyjne zaręczyny dostarcza doskonałej przykrywki dla romansu.

Charlotte cała kipiała z gniewu.

- Ta gra, jak pan ją łaskawie nazywa, została wymyślona przez pana i ma trwać tylko do chwili, kiedy odkryjemy mordercę Drusilli Heskett.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mogłaby trwać dłużej.

- Na ogół zaręczyny trwają rok.

- Panno Arkendale, nie chciałbym zastanawiać się nad czasem trwania pani poprzednich związków, ale moje trwały przeciętnie dwa miesiące albo nawet mniej.

- Nie wystawia to panu najlepszego świadectwa.

- Jednak taka jest prawda. No więc? - Baxter zmrużył oczy. - Co pani postanawia? Jest pani zainteresowana romanssem ze mną czy nie?

Charlotte drżała, tym razem już nie z namiętności, lecz z oburzenia. Uniosła brodę.

- Na pewno nie oczekuje pan natychmiastowej odpowiedzi. Przemyślę sprawę i w

odpowiednim czasie przekazać panu swoją decyzję.

- Niech to szlag! - Baxter gwałtownie wyciągnął rękę i wskazał sofę. - Po tym, co się tu stało, musi pani dziś jeszcze przemyśleć sprawę?

Charlotte uśmiechnęła się chłodno.

- Jak często doradzam moim klientkom, nie należy podejmować ważnych osobistych decyzji w chwili, gdy człowiek znajduje się pod wpływem namiętności.

Baxter zacisnął usta. Bez słowa ruszył ku Charlotte.

Charlotte zebrała całą energię. Popychanie Baxtera aż do granic jego opanowania stanowiło ryzyko, ale fizycznie na pewno nic jej od niego nie groziło. Całą swoją istotą wiedziała, że jej nie uderzy. Jednak, mimo wszystko, ta sytuacja zawierała w sobie cień nieprzewidywalności.

Zanim zorientowała się, co Baxter zamierza zrobić, w holu zatrzeszczała podłoga. Charlotte zamarła.

Baxter również zastygł. Spojrzał na zamknięte drzwi i zmarszczył czoło, patrząc pytająco na Charlotte.

- Służąca?

- Nie. - Wpatrzyła się w drzwi. - Mówiłam panu, że dałam gosposi wychodne na całą noc. I to nie może być Ariel. Słyszeliśmy przedtem turkot powozu.

Kroki załomotały na korytarzu. Charlotte uświadomiła sobie, że ktoś biegnie do tylnych drzwi domu.

- Niech to szlag! - Baxter rzucił się do przodu. - Zostań tutaj. - Szarpnięciem otworzył drzwi i wybiegł z pokoju.

Charlotte chwyciła ciężki srebrny świecznik, zebrała spódnicę i pobięła za nim.

W holu panowała całkowita ciemność. Ktoś zgasił kinkiety, które zapaliła po przyjściu do domu. Jedyne światło przedostawało się przez drzwi gabinetu.

Kroki rozbrzmiały na tyłach domu. Kroki dwóch osób. Baxtera i obcego.

Charlotte wpatrywała się w atramentową czerń holu. Poczula zimny dreszcz, gdy otwarły się tylne drzwi, wpuszczając do korytarza trochę księżycowego światła. Obcy wybiegł z domu i zniknął w ogrodzie.

Charlotte podbiegła do drzwi i usiłowała coś wypatrzyć w ciemności. Ale nie było najmniejszej oznaki, że ktoś ukrywa się w krzakach.

- Baxter, gdzie jesteś?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Ogarnęła ją panika. Włamywacz z całą pewnością jest uzbrojony. Nie usłyszała wystrzału z pistoletu, ale wielu rzezimieszków chętniej

posługiwało się cichym ostrzem. Wizja Baxtera rannego, być może umierającego pośród krzewów róż, zmusiła ją do przekroczenia progu.

- Baxter! Och, Boże, gdzie jesteś? Baxter, odezwij się!

- Przecież kazałem ci zostać w gabinecie. - Baxter zmaterializował się w ciemnościach. Jeszcze przed chwilą go tu nie było, a teraz już stał przed nią. Światło księżyca oświetliło jego twarz i zabłysło w okularach.

- Nic ci nie jest?

- Nic. - Wziął ją za ramię i poprowadził z powrotem do domu. - Ale nie złapałem go. Zniknął w uliczce na tyłach ogrodu. Znał drogę. Musiał wcześniej obejrzeć sobie okolicę i zaplanować ucieczkę. Zachowywał się tak, jakby dokładnie wiedział, którądy można się wydostać.

- Dzięki Bogu, że go nie złapałeś. Mógł mieć nóż albo pistolet.

- To miło, że tak się o mnie troszczysz.

- Chyba nie jest to najlepsza chwila na sarkastyczne uwagi.

- Przepraszam. - Pociągnął ją do domu. - Czasami, gdy wieczór był zbyt ekscytujący, mam zwyczaj uciekania się do sarkazmu.

Charlotte postanowiła zignorować tę uwagę. Baxter o mało co nie stoczył walki z opryskiem. Miał prawo być zdenerwowany.

- Dobry Boże - szepnęła, gdy zamykał drzwi. - Właśnie coś mi przyszło do głowy. Po przyjeździe nie słyszeliśmy żadnych odgłosów w holu ani na schodach. To oznacza, że gdy wróciliśmy do domu, włamywacz musiał już tu być.

- Bardzo możliwe.

- Jakie to okropne. - Charlotte zadrżała. - Pomyśleć, że był tutaj, słyszał wszystko, co ty i ja... co my... - Nie mogła się zdobyć na skończenie zdania.

- Sądzę, że musiał być na schodach w chwili, gdy mu przeszkodziliśmy. - Baxter zapalił kinkiet. - A z ucieczką zaczekał, aż zajmiemy się własnymi sprawami.

- Myślisz, że nas podsłuchiwał?

Baxter obojętnie wzruszył ramionami.

- Może i tak. - Pochylił się, by dokładnie obejrzeć zamek w drzwiach. - Ale z całą pewnością o wiele bardziej mu zależało na ucieczce niż na zabawie w podglądacza.

- Ciekawe, czy udało mu się coś ukraść. - Spojrzała ostro na Baxtera, który badał drzwi. - Co robisz?

- Próbuję się dowiedzieć, jak on się tutaj dostał. Gdy wróciliśmy, drzwi frontowe były zamknięte na klucz, więc musiał wejść tędy. - Baxter wyprostował się zamyślony. - Ale ten

zamek też nie został uszkodzony i żadne okno nie jest wybite. Widocznie dobrze zna swój fach.

- To straszne. Miałam w domu zawodowego kryminalistę. - Charlotte zadrżała i potarła ramiona. - Muszę rozejrzeć się i zobaczyć, czego brakuje. Mam nadzieję, że nie ukradł srebrnej zastawy do herbaty, którą mam po matce, ani połączanego zegara.

- Pójdę z tobą. - Baxter ruszył do schodów. - Mignął mi tylko w ciemności, ale nie wydaje mi się, by niósł coś ciężkiego, bo wtedy nie mógłby się poruszać tak szybko. Może będziesz miała szczęście i okaże się, że nic nie zabrał.

- Baxter?

Obejrzał się niecierpliwie, bo myślał już tylko o tym, co ma zaraz zrobić.

- Co takiego?

- Dziękuję ci. - Charlotte uśmiechnęła się niepewnie. - Zachowałeś się bardzo odważnie przepędzając tego opryszka.

- To należało do moich obowiązków służbowych, panno Arkendale.

W szkarłatnym pokoju dopalały się zioła. Zmysły mężczyzny wyostrzyły się. Nadszedł czas.

- Odczytaj karty, kochana.

Wróżka położyła na stole pierwszą kartę.

- Żółty gryf.

- Jest uparty.

Wróżka odkryła następną kartę.

- Dama z oczami czystymi jak kryształ.

- Co za utrapienie.

Wróżka wzięła z talii kolejną kartę.

- Srebrny pierścionek. - Podniosła wzrok. - Gryf i dama sprzymierzyli się.

- Trzeba ich rozdzielić. Zajmę się tym. - Pochylił się do przodu. - A co z feniksem?

Wróżka zawahała się. Potem odkryła następną kartę i położyła ją na stoliku.

- Feniks odniesie zwycięstwo.

- Tak. - Był zadowolony.

Gdy wróżka zadrżała z namiętności, położył ją na dywanie. Dobrze znał słabości gryfa. A jedną z nich była dama o oczach czystych jak kryształ, kobieta, która teraz należała do gryfa.

Nie ma lepszego sposobu na zniszczenie honorowego mężczyzny niż odarcie z czei kobiety, którą przysiągł chronić.

Włamywacz? - Ariel przestała nakładać jajecznicę na talerz i obejrzała się zdumiona na Charlotte. - Niemożliwe. Mówisz, że był tu, w domu, gdy wróciłaś z panem St. Ivesem?

- Tak. - Charlotte niespokojnie bawiła się serwetką wspominając tę część zdarzenia, o której nie chciała informować siostry. Ariel wcale nie musiała wiedzieć, co ona i Baxter robili, zanim włamywacz im przeszkodził. - Weszliśmy z panem St. Ivesem do gabinetu, by przedyskutować wyniki dochodzenia, i usłyszeliśmy, że ktoś jest w holu. Wiesz, że ta deska koło kuchennych drzwi skrzypi, gdy się na nią stanie.

- Tak, wiem. I co się stało? Ukradł coś?

- Na szczęście nie. Pan St. Ives pobiegł za nim i wygonił go do ogrodu.

- St. Ives wygonił go? - Ariel ze zdumienia pochyliła głowę na ramię.

- Tak. Jest bardzo odważny i szybko biega. Ale włamywacz miał fory i zniknął w ciemności.

- Szybko biega? - Ariel przez chwilę była zaintrygowana tym określeniem. - Nie pomyślałabym nigdy, że pan St. Ives potrafi szybko biegać. Och, nieważne. Powiedz, co było dalej.

- Już nie ma wiele więcej do opowiadania. Gdy włamywacz uciekł, przeszliśmy z panem St. Ivesem po wszystkich pokojach. Sprawdziliśmy, czy nie zabrał czegoś ze sreber czy innych cennych przedmiotów, ale niczego nie brakowało. Pan St. Ives uważa, że przepłoszyliśmy go, zanim zdążył coś zabrać.

- Dzięki Bogu. - Ariel oszołomiona usiadła. - To zadziwiające. Jakiś opryszek musiał zauważyć, że w domu nikogo nie ma, i skorzystał z okazji.

- Chyba tak.

- Jakie to szczęście, że nie byłaś sama, gdy usłyszałaś go w holu.

- Tak.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym zaraz po moim powrocie z balu? - spytała Ariel.

- Nie stało się nic złego, więc pomyślałam, że nie warto nie kłaść się spać i czekać na ciebie tylko po to, aby ci o tym opowiedzieć. - I nie warto mówić ci o tym, że po wyjściu Baxtera nie mogłam zasnąć przez długie godziny, tylko nasłuchiwałam, czy podłoga w holu nie trzeszczy, uzupełniła Charlotte w myśli.

Ale nie tylko nasłuchiwała hałasów. Myślała również o Baxterze. Po wypadku z

włamywaczem jego nastroj zmienil się. Znów stal się panem swoich uczuć. Już nie rozmawiali więcej o romansie. Charlotte nie wiedziała, czy ma odczuwać ogromną ulgę czy też ogromne rozczarowanie.

- Było już bardzo późno, gdy lady Trengloss odwiozła mnie do domu swoim powozem - przyznała Ariel. - Chyba jeszcze nigdy w życiu nie położyłam się tak późno spać. Jej lordowska mość powiedziała mi, że podczas sezonu większość osób z towarzystwa nie kładzie się przed świtem.

Charlotte posmarowała grzanekę dżemem agrestowym.

- Dobrze się bawiłaś?

Na policzkach Ariel wykwitł rumieniec.

- Cudownie. Czulałam się tak, jakbym weszła do innego świata.

- Mama kochała ten świat. - Charlotte poczuła przyływ żalu, który ogarniał ją zawsze, gdy przypominała sobie dobre czasy przed Winterbourne'em. - Pamiętasz, jak lubiła sezon?

- Wyglądała pięknie wychodząc wieczorem - oczy Ariel zamglily się. - A ojciec był taki przystojny. Uwielbiałam stawać w oknie i patrzeć, jak odjeżdżają powozem. Wyobrażałam sobie, że są księciem i księżniczką z bajki.

W pokoju zapanowała cisza. Charlotte siłą woli odepchnęła od siebie myśli o przeszłości. Czula, że Ariel robi to samo. Nie warto przypominać sobie, jak ta bajka się skończyła.

- Zauważyłam, że tańczyłaś z hrabią Eshertonem – powiedziała Charlotte.

Ariel zaczerwieniła się.

- Potem jeszcze raz mnie poprosił. Doskonale tańczy. I rozmowa z nim jest bardzo interesująca.

- Jest przystojny.

- Tak. I jest dżentelmenem w każdym calu. Szkoda, że nie mogłam przetańczyć z nim wszystkich walców. Ale to oczywiście dałoby temat do plotek.

- Oczywiście.

- Koło trzeciej wyszedł do klubu i potem już go nie spotkałam.

Charlotte zaniepokoiła się widząc radosne podniecenie w oczach Ariel. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała nawet, czy trzeba coś mówić. Jej siostra była rozsądną młodą kobietą, o wiele bardziej zrównoważoną niż większość panien w jej wieku. Charlotte marzyła o tym, by Ariel mogła wziąć udział w rozrywkach sezonu. Chyba nie stanie się nic złego, jeżeli ją do tego zachęci. Wszystko i tak skończy się zbyt szybko.

Pomyślała, że takiej rady może udzielić również sobie. Na wspomnienie namiętnych pieszczot ogarnęła ją fala miłego ciepła. Perspektywa romansu z Baxterem była bardzo nęcąca.

A potem przypomniała sobie jego chłód, gdy poprosiła go, by został jej kochankiem, i to, jak świadomie uwiódł ją na sofie, podczas gdy sam zachował pełne panowanie nad sobą. Była po prostu przedmiotem doświadczenia. Nie podobało jej się to.

Do pokoju jadalnego weszła pani Witty.

- Jakaś pani, panno Charlotte. Mówi, że ma bardzo pilną sprawę.

- Klientka? - Charlotte spojrzała na zegar i zmarszczyła brwi. - Jest dopiero jedenasta. Nie umawiałam się z nikim na przedpołudnie.

- Może ta pani jest bardziej zdenerwowana niż inne - zgadywała pani Witty. - Wygląda tak, jakby musiała szybko wyjść za mąż, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

- Sądzi pani, że jest w błogosławionym stanie? - spytała zdziwiona Charlotte.

- Niczym owca na wiosnę - odparła radośnie pani Witty. - Gdybym była na jej miejscu, nie traciłabym czasu na dowiadywanie się o mężczyznę, który mi proponuje ślub. Złapałabym go, zanim zdążyłby zmienić zdanie.

- Charlotte, jeśli chcesz, ja mogę z nią porozmawiać - zaproponowała Ariel.

Pani Witty spojrzała na Charlotte.

- Chciała rozmawiać z panią, panno Charlotte. Powiedziała, że nie może mówić z nikim innym.

- Proszę ją wprowadzić do gabinetu, pani Witty. - Charlotte wstała od stołu. - Zaraz do niej pójde.

- Dobrze, panno Charlotte.

- Jeszcze jedno - powiedziała szybko Charlotte. - Pani Witty, muszę panią poprosić o przysługę. Wiemy, że służba pani Heskett miała wychodne w noc morderstwa, ale czy zechciałaby pani porozmawiać z gospodynią? Może coś wiedzieć o planach pani Heskett na tamten wieczór. Będzie pani wiedziała, gdzie jej szukać?

- Tak, poradzę sobie.

- Charlotte, gdybyś mnie potrzebowała, będę tutaj. - Ariel podeszła do kredensu, by wziąć sobie dokładkę. - Lady Trengloss mówiła, że muszę się wzmocnić przed dzisiejszymi zajęciami towarzyskimi. Jej zdaniem sezon wymaga od damy wigoru.

Charlotte wyszła z jadalni. Zatrzymała się jeszcze przed lustrem w holu, upewniła się, że ma w pełni profesjonalny wygląd kobiety interesu, i otworzyła drzwi gabinetu.

Dama siedząca przed biurkiem była mniej więcej w jej wieku. Całkiem ładna,

pomyślała Charlotte, z tymi jasnobrązowymi włosami i delikatnymi rysami twarzy.

Była również bez wątpienia w błogosławionym stanie. Jej niebieski obszerny płaszcz opinał się na zaokrąglonym brzuszku.

- Panna Arkendale? - Przybyła spojrzała na Charlotte niespokojnie oczami zaczerwienionymi od niedawnego płaczu.

- Tak. - Charlotte uśmiechnęła się uspokajająco i cicho zamknęła drzwi. - Obawiam się, że moja gospodyni nie podała mi pani nazwiska.

- Bo się jej nie przedstawiłam. - Kobieta dotknęła powiek wilgotną chusteczką. - Nazywam się Juliana Post. I przysłam tu, ponieważ słyszałam, że jest pani zaręczona z panem Baxterem St. Ivesem. Czy to prawda?

Charlotte zatrzymała się w połowie drogi do biurka.

- Tak, to prawda. Dlaczego pani o to pyta?

Juliana Post zaczęła szlochać w chusteczkę.

- Bo ja byłam jego kochanką. I teraz noszę jego dziecko. Jego bękart. Baxter zniszczył mnie, panno Arkendale. Pomyślałam, że warto, by pani wiedziała, jakim on jest łajdakiem.

Charlotte oszołomiona przyglądała się Julianie, która siedziała z opuszczoną głową.

- O czym, do licha, pani mówi?

- Panno Arkendale, on obiecał ożenić się ze mną. - Juliana wstała. - Powiedział, że się pobierzemy. Właśnie tak przekonał mnie, bym mu uległa. Ale gdy dowiedział się o ciąży, zostawił mnie. Nie mam żadnej rodziny i nie wiem, co się ze mną stanie.

- Jeżeli próbuje pani wyciągnąć ode mnie pieniądze...

- Nie, nie o to mi chodzi. - Juliana szlochając pobiegła do drzwi.

- Panno Post, proszę zaczekać. Chciałabym pani zadać kilka pytań.

- Nie zniosę mówienia o tym. - Juliana zatrzymała się w drzwiach i spojrzała gorzko na Charlotte. - Przysłam tu, bo uważałam, że moim obowiązkiem jest ostrzec panią, iż St. Ives jest bękartem nie tylko z urodzenia, ale również z charakteru. Ja już jestem zgubiona, panno Arkendale. Ale pani może się jeszcze uratować. Niech pani uważa albo spotka panią taki sam zły koniec jak mnie.



Charlotte usłyszała, jak za Juliana Post zatraskują się frontowe drzwi. Pobiegła do holu i wyjrzała przez okno. Zdążyła jeszcze zobaczyć, że Juliana wsiada do dorożki z łatwością zadziwiającą u kobiety w zaawansowanej ciąży. Czym prędzej chwyciła z wieszaka słomkowy czepek z szerokim obramowaniem i codzienny wełniany płaszcz.

Z kuchni wyłoniła się pani Witty. Wycierała ręce o czysty fartuch okrywający jej nową suknię z bombazyny.

- Co się dzieje? - spytała unosząc brwi.

- Popędzę za tą kobietą. - Charlotte jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i zbiegła ze schodków. - Muszę wiedzieć, gdzie jedzie.

- To szaleństwo! - zawołała pani Witty stając w drzwiach. - Odjechała dorożką. Nie złapie jej pani na piechotę.

- Ruch jest tu tak gęsty, że jeżeli się pospieszę, nie stracę dorożki z oczu. - Charlotte wcisnęła czepek na głowę i pobiegła.

- Przecież nie będzie mogła jej pani śledzić zbyt długo! - krzyknęła jeszcze pani Witty.

Charlotte nie słuchała. Widziała, że zwraca uwagę przechodniów, ale nie przejmowała się ich rozbawionymi uśmiechami. Wiedziała, że ludzie, którzy ją znają, uważają ją za raczej dziwną, natomiast nieznajomi tylko wzruszą ramionami na widok kobiety torującej sobie drogę wśród eleganckich pojazdów, dorożek i chłopskich wozów, tłoczących się o tej porze na jezdni.

Odrapana dorożka zakreśliła na dalekim krańcu ulicy. Charlotte zdała sobie sprawę, że może pobiec na skróty przez park. Zawróciła i wpadła przez żelazną bramę na niewielki skwer. Przytrzymując czepek wybiegła, zadyszana, bramą po drugiej stronie.

Pani Witty miała rację. Długo nie da rady tak biec. Dorożka Juliany zdobywała przewagę.

Charlotte rozejrzała się po ulicy czując narastającą rozpacz. Niedaleko zobaczyła wózek z kwiatami, powożony przez chłopca w wieku około piętnastu lat. Popędziła w tamtą stronę machając ręką, by przyciągnąć jego uwagę.

Gdy dobiegła, chłopiec spojrział na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Chce pani kupić kwiaty?

- Nie, ale dobrze ci zapłacę, jeżeli pozwolisz mi wsiąść i pojedziesz za tamtą dorożką.

- Tato chyba nie byłby zadowolony, proszę pani.

- Mówię, że dobrze ci zapłacę. - Charlotte chwyciła spódnice i zaczęła wdrapywać się na wózek. - Jeżeli mi pomożesz, kupię od ciebie te wszystkie kwiaty.

- No, nie wiem...

- Pomyśl tylko, będziesz miał wolną całą resztę dnia, a gdy wrócisz po południu do domu, twój tato się ucieszy, że sprzedałeś cały towar.

Chłopiec nadal nie był przekonany.

- Kupi pani wszystko?

- Tak. - Charlotte usiadła i uśmiechnęła się zachęcająco. - Kocham kwiaty.

Chłopiec wahał się jeszcze przez chwilę, potem wrzucił ramionami.

- Tato zawsze mówi, że bogaci ludzie są dziwni.

Energicznie potrząsnął lejcami. Zdziwiony pulchny konik ruszył rażnym truchtem. Charlotte usiłowała odzyskać oddech.

Kwadrans później wózek z kwiatami wjechał do uboższej dzielnicy. Charlotte zobaczyła, że dorożka Juliana zatrzymuje się przed niewielkim domkiem.

- Dziękuję ci - powiedziała do chłopca. - Nie musisz na mnie czekać, sama wrócę do domu.

- A... co z moimi kwiatami?

- Pamiętam, co ci obiecałam. - Charlotte zebrała suknię i zeskoczyła z wózka. - Podam ci mój adres. Zawieź tam kwiaty i powiedz mojej gospodyni, że ma kupić wszystkie, do ostatniej łodyżki.

- No dobrze. - Chłopiec przyglądał się jej z zaciekawieniem. - Jest pani pewna, że nie mam na panią poczekać?

- Tak. Potem znajdę jakąś dorożkę. - Uśmiechnęła się i naskrobała na kartce swój adres. - To bardzo miło, że się o mnie troszczysz, ale już teraz dam sobie radę.

- Jeśli pani tak uważa. - Chłopiec zacmokał na kucyka.

Charlotte poczekała, aż wózek trochę się oddalił, i dopiero wtedy podeszła do małego domku, w którym zniknęła Juliana. W głowie układała sobie najrozmaitsze wyjaśnienia swojej wizyty. W końcu zdecydowała, że wejdzie do środka i wymyśli coś na poczekaniu.

Weszła po schodkach i zastukała kołatką. Przez chwilę nic się nie działo; wreszcie usłyszała ciężkie kroki i tęga gospodyni otworzyła drzwi.

- Słucham?

- Proszę powiedzieć swojej pani, że przyszedłam – oznajmiła stanowczo Charlotte.

Gospościa przyglądała się jej podejrzliwie.

- Ma pani umówioną wizytę?

Dziwne pytanie, pomyślała Charlotte. Gospościa mogła spytać, czy jest oczekiwana, ale słowa „umówiona wizyta” przywodziły na myśl spotkanie w interesach. Jej klientki umawiały się na wizytę.

- Tak - odparła bez wahania. - Mam umówioną wizytę. Jestem umówiona.

- Troszkę za wcześnie - mruknęła gospościa odsuwając się od drzwi. - Panna Post na ogół nie przyjmuje klientek przed południem.

- Dla mnie zrobiła wyjątek. - Charlotte szybko weszła do holu, w obawie, że gospościa się rozmyśli i zamknie jej drzwi przed nosem. - To pilna sprawa.

Gospościa popatrzyła z namysłem, ale nie zrobiła żadnej uwagi. Zamknęła drzwi.

- Pani godność?

Charlotte podała pierwsze nazwisko, które przyszło jej do głowy.

- Jestem panią Witty.

- Bardzo dobrze. Proszę tędy. Powiem pani Post, że pani tu jest, pani Witty.

- Dziękuję.

Charlotte z ciekawością rozejrzała się po holu. Boazeria błyszczała od niedawnego woskowania. Kafelki podłogi były czyste i wypolerowane. Pod ścianą stała pięknie inkrustowana mosiądzem mahoniowa szafka. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Juliana Post, choć nie jest specjalnie bogata, nie jest też na pewno nędzarką. Wprost przeciwnie: jak na kobietę, której mężczyzna dopiero co całkowicie zrujnował życie, radziła sobie całkiem dobrze.

Gospościa otworzyła drzwi przy końcu holu.

- Proszę wejść, pani Witty. Pójdę po pannę Post.

Charlotte weszła do małego saloniku i, oszołomiona, zatrzymała się na progu.

Znalazła się w dziwnym pokoju, udekorowanym w orientalnym stylu. Wszystkie przedmioty były w różnych odcieniach szkarłatu i czerni. W powietrzu unosił się mocny zapach kadzidła, chociaż ogień w kominku był wygaszony.

Mimo że dochodziło dopiero południe, tutaj równie dobrze mogła być północ. Ciężkie kotary z czerwonego welwetu całkowicie zasłaniały okna, nadając salonikowi nienaturalną ponurość. Na ścianach wisiały draperie w czerwono-czarne pasy. Jedyne światło dochodziło z dwóch niskich świeczników w kształcie lotosu.

W pokoju nie było krzesel, lecz na czerwono-czarnym dywanie rozłożono sporo szkarłatnych poduszek wykończonych czarnymi frędzlami. Przed kominkiem stała niska szkarłatna sofa.

Pośrodku pokoju, na małym hebanowym stoliku, leżała talia kart.

- Pani Witty? - odezwała się Juliana Post stając w drzwiach. - Niestety, nie przypominam sobie, byśmy były umówione, ale mogę panią przyjąć.

Charlotte zdjęła czepek i powoli się odwróciła.

Juliana zdążyła już się przebrać. Miała teraz na sobie suknię z lejącego się szkarłatnego materiału, a na szyi kilka sznurków paciorków.

- Nie umawiałam się - powiedziała Charlotte.

Juliana zastygła.

- Pani? - W jej oczach na moment zabłysnął strach. - Co pani tu robi? Jak mnie pani znalazła?

- To nie było trudne. - Charlotte spojrzała na nagle wyszczuploną talię Juliany i uśmiechnęła się ponuro. - Sądzę, że już nie martwi się pani tym, że została wyrzucona na ulicę i jest zrujnowana?

Juliana spiekła raka.

- Panno Arkendale, byłoby lepiej, gdyby pani stąd odeszła.

- Nie zamierzam odejść, póki nie otrzymam wyjaśnień.

- Nie mam nic do wyjaśnienia.

Charlotte przez długą chwilę nie odzywała się. Potem podeszła do hebanowego stolika.

- To nie są takie karty, jakimi gra się w wista.

- Nie.

Charlotte pochyliła się i podniosła talię. Obejrzała wymyślne koszulki, a potem przyjrzała się dziwnym figurom. Kiedyś, dawno temu, widziała takie karty podczas balu maskowego.

- Przepowiada pani przyszłość?

Juliana przyglądała się jej ostrożnie.

- Czytam z kart, by móc doradzać młodym damom w sprawach miłości i małżeństwa.

- Za wynagrodzeniem.

- Oczywiście - odparła Juliana z chłodnym uśmiechem.

- Gdy pani gosposia otworzyła mi drzwi, sądziła, że jestem umówiona na wizytę. Czy mogła pomyśleć, że przyszedłam tu, by postawiła mi pani karty?

- Tak.

Charlotte rozejrzała się znacząco po pokoju.

- Muszę przyznać, że dobrze to pani urządziła. Stworzyła pani bardzo intrygującą atmosferę.

- Dziękuję.

- Wygląda na to, że praca przynosi pani dochody.

- Daję sobie radę. - W oczach Juliany zabłysła ponura złość. - Stałam się bardzo modna wśród pewnych grup bogatych młodych dam. Niektóre z nich bawi wróżenie z kart. Są też takie, które traktują to poważnie, ale wszystkie mi płacą za rozrywkę, której im dostarczam.

- Od dawna się pani tym zajmuje?

- Zaczęłam krótko po tym, jak mój drogi opiekun przepuścił resztki mojego dziedzictwa. - Juliana uśmiechnęła się cynicznie. - Miałam wtedy osiemnaście lat. Gdy pieniądze się rozeszły, uznał, że nie jestem mu już potrzebna w domu.

- Chyba pani opiekun wyszedł spod tej samej sztancy co mój ojczym. - Charlotte odłożyła karty na stolik. - Panno Post, chyba mamy ze sobą coś wspólnego.

- Bardzo wątpię.

- Byłam zmuszona do zarabiania z tych samych przyczyn co pani, i też podjęłam pracę, która zaspokaja potrzeby kobiet. - Charlotte uśmiechnęła się nieśmiało. - I obydwu nam udało się uniknąć zwykłego losu kobiet, które znajdują się w takim położeniu. Ani pani, ani ja nie zostałyśmy guwernantkami ani nie musiałyśmy iść na ulicę.

- Proszę, niech pani już idzie - szepnęła Juliana. - Nie powinna pani tu przychodzić.

- Kobiecie nie jest łatwo dawać sobie radę samodzielnie, prawda?

Juliana oparła dłonie na biodrach. Przy tym ruchu ostro rozdzwoniły się małe dzwoneczki, przyszyte do jej szkarłatnej sukni.

- Niech się pani nie wydaje, że zmusi mnie do wyjawienia czegokolwiek. Nic pani nie powiem.

- Chętnie zapłacę za informacje.

Juliana parsknęła niewesołym śmiechem.

- Jest pani bardzo głupia sądząc, że na całym świecie jest dość pieniędzy, by opłacić odpowiedzi na pani pytania.

- Więc jest pani aż tak lojalna w stosunku do osoby, która wynajęła panią do zagrania roli wypędzonej kochanki?

- Zawarłam umowę i dotrzymałam jej. Reszta mnie nie obchodzi. Jestem zmuszona

nalegać, by pani natychmiast wyszła.

Charlotte nagle zrozumiała, co powoduje Juliana. Z wrażenia aż zabrakło jej tchu.

- Pani się boi?!

- Bzdura.

- Czego się pani boi? Może mogłabym pomóc?

- Pomóc? - Juliana popatrzyła niedowierzająco. - Przecież pani nie ma pojęcia, co się tu dzieje.

- Panno Post, myślę, że w innych okolicznościach mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

- Na miłość boską, dlaczego pani tak sądzi?

- Wydaje mi się to oczywiste - powiedziała spokojnie Charlotte. - Podejrzewam, że łączy nas wiele wspólnych zainteresowań i że mamy takie same problemy. Na przykład, czy wysyła pani rachunki klientkom dopiero po spotkaniu, czy też żąda pani, by płaciły z góry?

- Proszę, by mi zapłaciły natychmiast po rozmowie. - Juliana zmarszczyła czoło. - Już dawno zauważyłam, że jeśli wysyłam rachunek do domu, klientki na ogół zapominają o zapłacie.

- Ja też nauczyłam się tego, gdy tylko zaczęłam pracować.

Juliana zawahała się, ale w końcu spytała:

- A czym dokładnie pani się zajmuje?

- Chce pani powiedzieć, że nic o mnie nie wie?

- Wiem tylko, gdzie pani mieszka i że jest pani zaręczona z Baxterem St. Ivesem. Wynajęto mnie do odegrania pewnej roli i zrobiłam to. Na tym cała sprawa miała się skończyć.

- Rozumiem. No więc, skoro nasza sytuacja życiowa jest mniej więcej podobna, nie mam nic przeciwko opowiedzeniu pani o mojej pracy. Jednak przeważnie staram się zachowywać wielką dyskrecję.

Juliana, mimo że czuła się niezręcznie, była wyraźnie zaciekawiona.

- Jakie usługi pani świadczy?

- Bardzo dyskretne. Panie, które otrzymały propozycję małżeństwa, czasami szukają u mnie pomocy. Prowadzę dochodzenia dotyczące panów, którzy wyrazili pragnienie poślubienia tych pań.

- Dochodzenia? Nie rozumiem.

- Staram się sprawdzić, czy kandydaci na mężów nie są łajdakami, hazardzistami albo łowcami posagów. Krótko mówiąc, panno Post, upewniam się, że panie, które proszą mnie o pomoc, nie popełnią błędu poślubiając mężczyznę takiego jak pani opiekun albo mój ojczym.

- To zadziwiające. Sama pani prowadzi dochodzenia?

- Mam pomocników.

Juliana, choć niechętnie, uległa fascynacji.

- A w jaki sposób zdobywa pani informacje?

- Istnieją pewne możliwości. Na przykład sporo można dowiedzieć się od służby domowej czy obsługi kasyn i domów publicznych. - Charlotte uśmiechnęła się cierpko. - W takich miejscach nikt nigdy nie krępuje się pracowników, więc sporo widzą.

- To prawda. - Juliana w zdumieniu potrząsnęła głową. - Dochodzenia w sprawie dżentelmenów. Co za sprytnie posunięcie.

Mimo niecodziennej sytuacji, Charlotte nie mogła się powstrzymać przed skromnym uśmiechem dumy.

- Bardzo cenię ten komplement, bo przecież pani też nie są obce trudności i radość płynące ze stworzenia sobie samodzielnego źródła utrzymania.

Usta Juliany zacisnęły się.

- Ale taka praca wydaje mi się również dość niebezpieczna.

- W sumie nie mogę powiedzieć, bym napotkała kiedyś jakieś specjalne trudności. - Aż do teraz, dodała w myślach.

Juliana wydawała się zaniepokojona. Spojrzała do tyłu przez ramię, jakby oczekiwała, że ktoś się tam zmaterializuje. A potem szybko podeszła do Charlotte i zniżyła głos.

- Mówiła pani, że w innych okolicznościach mogłybyśmy być przyjaciółkami.

- Tak.

- Więc, mówiąc jako osoba, która mogłaby być pani przyjaciółką, dam pani pewną radę. Nie wiem, co naprawdę panią łączy z Baxterem St. Ivesem, ale jedno wiem na pewno. Lepiej będzie, jeżeli zerwie pani z nim wszelkie stosunki, jakiegokolwiek one są.

Charlotte zeszywniała.

- Dlaczego pani to mówi?

- Nie mogę powiedzieć nic więcej. - Juliana skinęła ręką w kierunku drzwi. - A teraz musi pani natychmiast stąd wyjść. I niech pani już nigdy tu nie wraca. Nigdy.

Charlotte uderzył nie ukrywany strach malujący się w oczach Juliany.

- Bardzo dobrze. - Odwróciła się i powoli ruszyła do drzwi. - Ale gdyby pani zmieniła zdanie albo doszła do wniosku, że moja pomoc może się przydać, proszę mnie natychmiast o tym powiadomić. Ma pani mój adres. - Położyła rękę na klamce.

- Panno Arkendale.

- Tak?

- Pani nie uwierzyła w to małe przedstawienie dziś rano, prawda? - Juliana spojrzała jej prosto w oczy. - Ani przez chwilę.

- Nie, nawet przez chwilę w to nie wierzyłam.

- Czy mogę spytać, dlaczego? Czyżbym była aż tak złą aktorką?

- Odegrała pani swoją rolę bardzo przekonująco - odparła uprzejmie Charlotte. - Ale znam dobrze pana St. Ivesa i wiem, że nie należy do ludzi, którzy by porzucili swoje jeszcze nie narodzone dziecko.

Juliana skrzywiła się.

- Biorąc pod uwagę charakter pani pracy, jest pani zdumiewająco naiwna. Dam pani jeszcze jedną radę. Nie wolno ufać mężczyźnie, który wzbudza w nas namiętność. Tacy mężczyźni to niebezpieczni czarodzieje.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z ryzyka. Widzę je każdego dnia podczas pracy. Życzę miłego dnia, panno Post. - Charlotte wyszła z przepojonego wonią ziół pokoju i szybko zamknęła drzwi.

Pozwoliła sobie na głębszy oddech dopiero gdy znalazła się na ulicy.

Baxter zastanawiał się, jaki to idiotyczny impuls zmusił go do zażądania, by jego przyrodni brat odwiedził go dziś rano. Nie rozumiał, czemu uległ potrzebie odbycia tej nieprzyjemnej rozmowy, ale jedno wiedział z całą pewnością: popełnił błąd.

- No więc, Baxter, jestem tu na twój rozkaz. - Hamilton spacerował w tę i z powrotem po laboratorium.

Nie było to wcale łatwe. Musiał przeciskać się między stołami, pompami powietrznymi, omijać wielki stojak z soczewką skupiającą, której Baxter używał, gdy chciał uzyskać podczas jakiegoś doświadczenia bardzo wysoką temperaturę.

Hamilton, jak zwykle, był wyelegantowany. Jego plisowane spodnie w płowym kolorze, kamizelka w kremowo-różowe paski, wymyślny węzeł fularu i krótki dwurzędowy surdut głosiły wszem i wobec, że jest on mężczyzną światowym.

Baxter przyglądał mu się w zamyśleniu. Ubranie Hamiltona zawsze leżało na nim idealnie, i nosił je z naturalną, obojętną swobodą. Był wysoki i szczupły, poruszał się z wdziękiem. Krawcy go uwielbiali. Rękawiczki nigdy mu się nie marszczyły, a fular był zawsze zawiązany wprost wyzywająco. Na jego ubraniu nigdy nie ma plam od chemikaliów, pomyślał Baxter. Surdut nigdy nie jest wymięty. Nie nosi okularów. Stary hrabia, ich ojciec, odznaczał się tą samą wrodzoną, pewną siebie elegancją i umiejętnością dostosowywania się

do mody.

Baxter zdawał sobie sprawę, że on sam jest przykrym wyjątkiem wśród potrafiących zachować styl mężczyzn z rodziny St. Ivesów.

- Dziękuję, że przyszedłeś tak szybko - powiedział.

Hamilton rzucił mu krótkie, pytające spojrzenie.

- Mam nadzieję, że nie zabierzesz mi zbyt wiele czasu. Więc w końcu postanowiłeś rozluźnić sznurki sakiewki?

Baxter oparł się o jeden ze stołów laboratoryjnych i złożył ręce na piersi.

- Brakuje ci pieniędzy? Nie domyśliłbym się tego widząc twój kosztowny nowy powóz, który stoi przed domem.

- Do diabła, nie o to chodzi i doskonale o tym wiesz. - Hamilton gwałtownie odwrócił się do Baxtera, cały sztywny ze złości. - Jestem hrabią Esherton i mam prawo do mojego dziedzictwa. Ojciec życzył sobie, bym mógł dysponować odpowiednimi sumami.

- W odpowiednim czasie.

Hamilton skrzywił się.

- Wiem, że podoba ci się ta chwilowa władza, którą sprawujesz nad moimi funduszami.

- Niespecjalnie - powiedział Baxter szczerze. - Wolałbym raczej, by ojciec nie obciążał mnie zadaniem zarządzania twoimi sprawami. Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to cholernie mi przeszkadza.

- Nie spodziewaj się, że w to uwierzę. Obaj wiemy, że kontrolowanie mojego dziedzictwa pozwala ci mścić się na mnie. - Hamilton zatrzymał się przed stołem z wagami. Wziął do ręki jeden z małych, mosiężnych odważników i przyjrzał mu się. - Korzystaj, póki możesz. Ja już mam tytuł, a za kilka lat będę miał również majątek.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale doskonale mogę przeżyć bez twojego tytułu i majątku. Jednak nie o to w tej chwili chodzi. Hamilton, nie zaprosiłem cię dziś po to, by dyskutować o twojej sytuacji finansowej.

- Powinienem się domyślić, że nie zmieniłeś zdania na ten temat. - Hamilton rzucił mosiężny odważnik z powrotem do pudełka i ruszył do drzwi. - Skoro nie masz mi nic innego do powiedzenia, widzę, że mogę już iść.

- Twoja matka martwi się o ciebie.

- Matka! - Hamilton gwałtownie się zatrzymał. - Rozmawiała z tobą o mnie?

- Tak. Poprosiła mnie o rozmowę wczoraj wieczorem, gdy załatwiałem pewną sprawę z moją... narzeczoną.

- Nie rozumiem, dlaczego tak postąpiła - wybuchnął Hamilton. - Nie mogę sobie wyobrazić, że zwróciła się do ciebie. Ledwo cię toleruje. Sam twój widok sprawia jej ból.

- Wiem o tym, więc fakt, że rozmawiała ze mną o swoich troskach, świadczy, jak bardzo jest zaniepokojona.

Hamilton spojrzał na niego ostrożnie.

- A czym tak się martwi?

- Tym, jakie rozrywki sobie wybierasz.

- To jakaś bzdura. Ciągłe mnie jeszcze widzi w powijakach. A ja jestem już dorosłym mężczyzną. Matka musi pogodzić się z tym, że mam prawo do zabawy z przyjaciółmi. To całkiem naturalne, że spędzam sporo czasu w klubie.

- A właśnie, skoro już mówimy o tym twoim nowym klubie. Jak on się nazywa?

- Co cię to obchodzi?

- Zwykła ciekawość.

Hamilton zawahał się, potem wzruszył ramionami.

- To „Zielony Stolik”. Ale jeżeli sądzisz, że mógłbyś starać się o członkostwo, to lepiej, żebyś się jeszcze raz nad tym zastanowił. - Uśmiechnął się drwiąco. - Nie wydaje mi się, by był stosowny dla człowieka posuniętego w latach i tak nudnego jak ty.

- Oczywiście. Nie przejmuj się. Nawet we własnym klubie spędzam bardzo mało czasu. Nie mam zamiaru zapisywać się do jeszcze jednego.

- Sprawia mi to prawdziwą ulgę. Nie wyobrażam sobie, byśmy obaj mogli należeć do tego samego klubu. Byłoby to diabelnie niezręczne.

- Nie wątpię.

- Przecież nie mamy takich samych zainteresowań.

- To prawda.

Hamilton spojrzał podejrzliwie na Baxtera.

- Chyba nie ciekawi cię natura zjawisk metafizycznych.

- Twoja opinia jest słuszna.

- Nie mógłbym też wyobrazić sobie, jak dyskutujesz na temat ostatnich dzieł poetów romantycznych.

- Ten temat również nie zajmuje wysokiej pozycji na mojej liście tematów do konwersacji przy obiedzie - przyznał Baxter.

- I z całą pewnością nie miałbyś ochoty eksperymentować z różnymi metodami poznawania natury i filozofii zjawisk nadnaturalnych.

- To znajduje się na mojej liście jeszcze niżej niż romantyczni poeci - zgodził się

Baxter. - Czy właśnie tym się zajmujecie w „Zielonym Stoliku”?

- Najczęściej.

- Myślałem, że to salon gry, a nie kółko filozoficzne.

- Razem z przyjaciółmi utworzyliśmy tam własny klub. Dyrekcja „Zielonego Stolika” oddała nam do wyłącznej dyspozycji część budynku.

- Ach, tak? Więc chyba raczej zostanę przy swoim laboratorium.

- Tak będzie najlepiej. W „Zielonym Stoliku” nie czułbyś się dobrze. - Hamilton rzucił okiem na zbiór fiolek i kolb ustawionych na pobliskim regale. - Ojciec spędzał tu sporo czasu.

- Interesował się nauką. Moje doświadczenia niezwykle go ciekawiły.

- Zawsze mówił, że jesteś bardzo zdolny. - Usta Hamiltona wykrzywiły się w grymasie. - Nazywał cię cholernym bohaterem, bo wypełniałeś podczas wojny jakieś tajne zadania.

Baxtera zdumiała ta wiadomość.

- Przesadzał.

- Na pewno. Nie masz w sobie nic z bohatera.

- To prawda. Bohater musi odznaczać się wielką energią i silnymi emocjami. To zbyt męczące dla osoby o moim usposobieniu.

Hamilton zawahał się, ale potem zaczął mówić:

- Gdy miałem jakieś czternaście lat, ojciec kazał mi przeczytać *Rozmowy o chemii*, które napisałeś pod pseudonimem.

- Jestem pewien, że zanudziłeś się prawie na śmierć.

- Tak, to prawda. Ale skorzystałem z twojego przepisu na uzyskanie łagodnego kwasu i udało mi się go rozlać na książkę - Hamilton uśmiechnął się. - Potem już nie nadawała się do użytku.

- Coś takiego! Hamilton, wiem, że mamy z sobą niewiele wspólnego, ale obaj jesteśmy zainteresowani twoim dziedzictwem.

W oczach Hamiltona błysnęła niepokój.

- Słuchaj no, Baxter, jeżeli zamierzasz ukraść mój majątek...

- Nie podniecaj się tak, nie mam zamiaru zabierać ci twoich pieniędzy. - Baxter podszedł do okna i przyjrzał się trzem doniczkom, w których zasiał zielony groszek. Ciągłe jeszcze nie kielkował. - Jednak pomyślałem, że fortuna, którą ja się teraz opiekuję, będzie kiedyś twoja, więc może dobrze byłoby, gdybyś zaczął się uczyć, jak nią zarządzać.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Baxter spojrział mu prosto w oczy.

- Mógłbym cię nauczyć, jak załatwiać sprawy z bankierami i plenipotentami. Z przyjemnością pokazałbym ci, jak inwestować dochody, jakimi przesłankami się kierować przy zatrudnianiu zarządców twoich posiadłości. Tego rodzaju rzeczy.

- Nie chcę od ciebie nic prócz pieniędzy, które prawnie są moje. Nie jestem dzieckiem i nie potrzebuję opiekuna. Nie ma nic takiego, czego mógłbym się od ciebie nauczyć. Nic, do diabła! Rozumiesz?

- Tak.

Hamilton gniewnym krokiem ruszył do drzwi.

- Już dość czasu dziś straciłem. Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

Chwytał już za klamkę, gdy drzwi się otworzyły i do laboratorium wkuśtykał Lambert.

- Ktoś bardzo domaga się widzenia z panem, proszę pana - zaanonsował obojętnie.

- Baxter! - Charlotte wpadła do laboratorium nie czekając, aż Lambert skończy ją zapowiadać. - Muszę panu opowiedzieć, co się właśnie zdarzyło. Miałam najbardziej zdumiewającą... och. - Przerwała, z zażenowania zabrakło jej tchu, gdyż z trudem uniknęła zderzenia z Hamiltonem. - Proszę mi wybaczyć, sir, nie zauważyłam pana.

- Nie wydaje mi się, bym przedstawił wczoraj pani mojego przyrodniego brata - powiedział Baxter. - Jak pani pamięta, wyszliśmy z balu dość wcześnie.

- Tak, rzeczywiście, wyszliśmy wcześnie - przyznała uprzejmie.

- Zechce pani pozwolić, bym przedstawił jej hrabiego Esherton - powiedział Baxter. - Hamilton, to moja narzeczona, panna Charlotte Arkendale.

- Wasza lordowska mość - Charlotte uśmiechnęła się serdecznie i wytwornie dygnęła.

- Panno Arkendale. - Twarz Hamiltona rozpogodziła się, gdy podawał jej rękę, a w oczach rozbłysła radość. - Lady Trengloss przedstawiła mnie wczoraj pani ślicznej siostrze. Miałem zaszczyt zatańczyć z nią. Jest doprawdy urocza.

- To prawda, milordzie.

Baxter lekko zakasłał, by zwrócić na siebie uwagę. Tych dwoje chyba zapomniało, że on też się tu znajduje.

- Hamilton, nie pogratulowałeś mi zaręczyn.

Hamilton zacisnął usta, ale wymogi uprzejmości przeważały.

- Wybacz mi, proszę. Gratuluję wam obojgu. A teraz, jeżeli państwo pozwolą, muszę już iść.

- Oczywiście - odparła Charlotte.

Hamilton skłonił się i szybko wyszedł.

Charlotte poczekała, aż zostali sami. Wtedy nagrodziła Baxtera radosnym,

pochwalającym uśmiechem.

- Więc jednak postanowiłeś wziąć sprawy brata w swoje ręce - powiedziała zdejmując czepek. - Jestem pewna, że sprawi to lady Esherton wielką ulgę.

- Nic z tego. Hamilton nie życzy sobie ode mnie żadnej rady. - Baxter spojrział na zegar i zmarszczył czoło. - Charlotte, do diabła, gdzie się podziewałaś? Półtorej godziny temu wysłałem ci wiadomość do domu. W odpowiedzi dostałem notkę od twojej siostry, że wyszłaś.

- To długa historia. - Charlotte powoli obracała się z wielkim zainteresowaniem oglądając laboratorium. - Więc to tutaj prowadzisz swoje doświadczenia chemiczne?

- Tak.

- Co zasiałeś w tych doniczkach? - spytała podchodząc do okna.

- Zielony groszek. Doświadczenie polega na dodaniu pewnych minerałów do ziemi wyjałowionej nadmierną eksploatacją.

Charlotte dotknęła czubkiem palca ziemi w jednej z doniczek.

- Jeszcze nie kiełkuje.

- Nie - przyznał. - Może wcale nie wykiełkować. Taki jest los wielu eksperymentów. Co takiego chciałaś mi opowiedzieć?

- Zdarzyło mi się coś absolutnie zdumiewającego. - Charlotte odwróciła się od okna i zadrzała na wspomnienie podniecających doznań przedpołudnia. - Najlepiej zacznę od początku. Dziś rano przyszła do mnie pewna kobieta i powiedziała, że jest z tobą w ciąży.

- Co takiego?

- Trzymaj się mocno, Baxter. Bo to jeszcze nie wszystko.

~ 10 ~

Śledziłaś tę kobietę aż do jej domu? - Baxter wprost osłupiał. - I weszłaś tam? Nie mogę w to uwierzyć. Co za szalone, idiotyczne zachowanie. Chyba masz całkiem pokręcone w głowie.

- Nie zgadzam się z tobą. W tych okolicznościach była to jedyna logiczna rzecz, jaką mogłam zrobić - powiedziała uspokajająco Charlotte. - Musiałam dowiedzieć się, o co chodzi pannie Post. Na pewno to rozumiesz.

- Niech to szlag! - Pod złością Baxter ukrywał ostry, szarpiący lęk. Bez powodzenia próbował okiełznać te mieszane uczucia. Wiedział, że jego zachowanie jest irracjonalne, ale nie potrafił się opanować. - Jak śmiałaś tak ryzykować? Oszalałaś?

Charlotte była zakłopotana jego obraźliwymi słowami.

- Nie było żadnego ryzyka. Po prostu z nią porozmawiałam.

- Zanim podjęłaś tak niebezpieczną decyzję, trzeba było porozumieć się ze mną. - Baxter gwałtownie wymachiwał ręką. - Jestem twoim partnerem. I, do diabła, twoim strażnikiem. - I twoim kochankiem. Coś wewnątrz niego chciało wykrzyknąć na głos: do diabła, jestem twoim kochankiem!

- Nie było czasu, by ci przesłać wiadomość. Musiałam działać szybko, bo inaczej straciłabym z oczu dorożkę panny Post.

- Nie do wiary! Pojechałaś za nią w wózku na kwiaty powożonym przez jakiegoś obcego, który mógł się okazać najgorszym bandytą.

- To był tylko zwyczajny wiejski chłopak. Nie wydaje mi się, by wielu bandytów jeździło po Londynie wózkiem z kwiatami.

- Pojechałaś prosto do domu kobiety, która dopiero co usiłowała wmówić ci jakieś fantastyczne kłamstwo. Czy ty nie masz w ogóle rozumu? - krzyczał Baxter przechodząc obok laboratoryjnego stołu, na którym stała waga. Dobry Boże, przechadzał się po laboratorium. On, który nigdy nie przemierzał żadnego pomieszczenia nerwowym krokiem.

Gdy to sobie uświadomił, jeszcze bardziej się rozzłościł. Na nieszczęście nie miał wyboru; mógł tylko chodzić w tę i z powrotem między stołami, bo czuł, że gdyby się

zatrzymał, chwyciłby najbliższą retortę i rzucił nią o ścianę.

Charlotte nie miała prawa podejmować takiego ryzyka. Doprowadzi go do obłądu, zanim ta cała sprawa się skończy. Jej niezależna, nieprzewidywalna natura stanowiła poważne zagrożenie dla jego ciężko wypracowanego spokoju. Jest chemikiem, a nie poetą. Nie potrafi sobie poradzić z tak gwałtownymi przyływami uczuć.

Ostatniej nocy już myślał, że znalazł sposób na utrzymanie w korbach gwałtownej namiętności, jaką Charlotte wzbudziła w nim. Rozwiązanie było proste: gdyby nawiązał z nią romans, mógłby zachować umiar i zapanować nad sytuacją.

Rozumował, że romans pozwoli płomieniom namiętności wypalić się w naturalny, kontrolowany sposób. Zasada była taka sama jak przy ostrożnym podgrzewaniu kontrolowanym płomieniem próbówki wypełnionej łatwo palnymi substancjami. Dopóki długo człowiek zachowuje się ostrożnie, nie zachodzi niebezpieczeństwo wybuchu.

I w końcu zawartość próbówki zamienia się w popiół.

Od wczoraj miał zbyt wiele wrażeń. Z tego, jak Charlotte się wobec niego zachowywała, wywnioskował, że jest skłonna przyjąć jego propozycję romansu. Ale zamiast dać prostą odpowiedź na proste pytanie, powiedziała mu, że musi przemyśleć sprawę.

Przemyśleć sprawę! Na wszystkie demony! A przecież gdy trzymał ją w ramionach, drżała z namiętności tak samo jak on.

Potem przydarzyła się nieprzyjemna sprawa z włamywaczem.

Teraz na dodatek jeszcze ta jej zwariowana eskapada.

Baxter wprost kipiał. A przecież nigdy nie poddawał się złości. Złość, podobnie jak spacerowanie po pokoju, była oznaką utraty samokontroli, oznaką, że człowiekiem rządzi uczucia, a nie chłodny rozum.

To już było zbyt wiele dla człowieka, który szczyci się poważnym, metodycznym, logicznym umysłem. Gdyby nie był nowoczesnym naukowcem, bez wątpienia zacząłby wierzyć, że jakieś złośliwe nadprzyrodzone siły owdładnęły jego życiem, by je zniszczyć.

Świadomość, że Charlotte ma nad nim tego rodzaju władzę, powodowała przykre świerzbienie karku i dreszcz w kręgosłupie.

- Panie St. Ives, obraża mnie pan twierdząc, że jestem pozbawiona zdrowego rozsądku. - Z głosu Charlotte uleciał cały entuzjazm, a także łagodząca nutka. Wydawała się mocno urażona. - W końcu jestem dorosła, stworzyłam własną firmę i od lat odnoszę sukcesy. Nie jestem głupia.

- Nie powiedziałem, że jesteś głupia. - Do diabła! Nic mu się dzisiaj nie udaje. Za chwilę cały eksperyment popadnie w ruinę, zanim się jeszcze naprawę zaczął, i będzie mógł

mieć o to pretensję tylko do siebie.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała cierpko Charlotte. - I chciałabym panu zwrócić uwagę, że to, co się dziś rano wydarzyło, spowodowane było faktem, iż panna Post słyszała o naszych zaręczynach.

Baxter zatrzymał się przy stojaku z soczewką skupiającą.

- Co to ma z tym wspólnego?

- Ogłoszenie fałszywych zaręczyn było pana pomysłem - wyjaśniła Charlotte patrząc mu twardo w oczy. - A właśnie wiadomość o naszych zaręczynach skłoniła pannę Post do przyścia do mnie z tą bajeczką. Toteż nie rozumiem, dlaczego to mnie obwinia pan o to, co się stało. Mówiąc prawdę, wina spada całkowicie na pana.

Baxter poczuł się zapędzony w kozi róg. Uchwycił się rzeczy, która z jakiegoś niezrozumiałego powodu najbardziej go irytowała.

- Nasze zaręczyny nie są oszustwem.

- Naprawdę? Więc jak pan by to nazwał?

- Strategią - odparł Baxter po chwili potrzebnej na znalezienie odpowiedniego słowa.

- Ja nie widzę żadnej różnicy między strategią a oszustwem.

- Więc, do diabła, mogę ci ją wyjaśnić. A może zapomniałeś już, że zaręczyny miały umożliwić nam wspólne przebywanie w towarzystwie w celu odkrycia mordercy?

Charlotte bezmyślnie obracała w rękach czepek, ale wyraz obrazy na jej twarzy ustąpił nagle miejsca ożywieniu.

- I okazało się, że to bardzo sprytny podstęp. Pomyśl tylko. Dzięki twojej, jak to nazywasz, strategii, uzyskaliśmy pierwszą prawdziwą wskazówkę.

- Jaką?

- Nie widzisz? - Jej oczy rozbłysły nowym entuzjazmem. - Panna Post, gdy stawiałam jej czoło, przyznała, że ktoś ją wynajął by przyszła do mnie odegrać rolę twojej ciężarnej kochanki. Nie powiedziała mi, kto to był, ale jest oczywiste, że jego celem było zniszczenie mojego zaufania do ciebie.

- Oczywiście. - Baxter poczuł, jak żołądek zaciska mu się w węzeł. Większość dobrze wychowanych kobiet uwierzyłaby w fantastyczną historię panny Post.

- Komuś bardzo zależy na tym, bym zerwała te tak zwane zaręczyny - kontynuowała Charlotte. - Musimy więc postawić sobie następujące pytanie: z jakiego powodu ktoś posunął się aż do takich działań?

Baxter podrapał się po głowie.

- Niech to szlag!

- Wydaje się, że ktoś nie chce, byśmy byli blisko ze sobą związani.

- Charlotte, nie podniecaj się tak. Bardzo wątpię, czy to zdarzenie z panną Post ma cokolwiek wspólnego z naszą próbą odkrycia mordercy.

- A jak byś je wytłumaczył?

Baxter powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Wydaje mi się, że padłaś ofiarą czyjś złośliwego żartu.

- Ale kto chciałby mi robić takie kawały? - spytała Charlotte patrząc w osłupieniu na Baxtera.

- Pierwsza osoba, która przychodzi mi na myśl, to mój przeklęty przyrodni braciszek.

- Hamilton? To śmieszne.

- Jeszcze kilka dni temu zgodziłbym się z tobą. Nie jesteśmy do siebie zbyt przywiązani, ale aż do dziś nie wyobrażałem sobie, że mógłby być... - Baxter zawahał się, nadal niepewny, czy jego obserwacje i wnioski są słuszne - ... zazdrosny.

- To niemożliwe.

Baxter pamiętał gorzki wyraz oczu Hamiltona, gdy mówił o tym, jak celowo zniszczył *Rozmowy o chemii*.

- Wiem, to wydaje się bez sensu, lecz dziś odniosłem wrażenie, że czuje do mnie żal.

- O co?

- Nie jestem całkowicie pewien - przyznał Baxter. - Oczywiście, matka wpłynęła na jego opinię o mnie. Maryann, z oczywistych powodów, zawsze nienawidziła nawet mojego widoku. Ale w antypatii Hamiltona może być coś więcej. Dziś zorientowałem się, że ma mi za złe nie tylko zniewagę, jaką wyrządzono jego matce.

- To znaczy?

- Może tu chodzić o to, że ojciec spędzał ze mną dużo czasu w laboratorium, przy doświadczeniach chemicznych. Na dodatek - mówiąc to Baxter skrzywił się - okazuje się, że ojciec powiedział Hamiltonowi o mojej drobnej pracy dla Anglii podczas wojny. Poza tym zmusił kiedyś Hamiltona do przeczytania książki, którą napisałem. I teraz Hamilton ma do mnie o to wszystko pretensję.

- To możliwe. - W oczach Charlotte zabłysło zrozumienie. - Młodszy brat może być zazdrosny o starszego, któremu ojciec poświęca dużo uwagi i z którego jest dumny.

Baxtera ogarnęło stare, dobrze znane uczucie chłodu, tak znane, że aż działające uspokajająco. W przeciwieństwie do gwałtownego gniewu, to uczucie rozumiał i potrafił je kontrolować.

- Hamilton dostał tytuł i majątek. Czego jeszcze może chcieć? To nie moja wina, że

nie podzielał zainteresowań ojca nauką.

- Nie, to nie twoja wina, ale dla tak młodego człowieka może to stanowić powód do zazdrości. - Charlotte zmarszczyła w namyśle czoło. - Jednak nie wyobrażam sobie lorda Eshertona uciekającego się do tak niegodnych postępów jak wynajmowanie kobiety, by zniszczyła twoje zaręczyny.

- Przecież prawie nie znasz Hamiltona.

- To prawda, ale mam doskonałą intuicję. Również Ariel była nim oczarowana, a chociaż jest jeszcze bardzo młoda, ma wyrobione zdanie na temat mężczyzn.

- Intuicja. - Baxter nawet nie próbował ukryć sarkazmu w głosie. - Panno Arkendale, pozwoli pani sobie powiedzieć, że intuicja jest bardzo marnym przewodnikiem. Jej podstawą są emocje, a nie wiedza. Nie należy na niej polegać.

- Czasami nie ma się innego wyjścia - powiedziała uprzejmie Charlotte.

- No dobrze, wystarczy tej rozmowy. Później zajmę się Hamiltonem.

- Nie możesz mieć pewności, że to Hamilton ukrywa się za panną Post.

- To najlogiczniejsze założenie - stwierdził Baxter. - Jednak przede wszystkim chodzi o to, że nie powinnaś nawiązywać powtórnego kontaktu z tą nieznaną kobietą. Nie miałaś pojęcia, co cię może spotkać w jej domu.

- Doprawdy, panie St. Ives?

- Tak, doprawdy. - Ruszył ku niej przejściem między stołami. - Póki razem pracujemy, nie będziesz podejmowała tak pochopnych i nieostrożnych decyzji. Czy to jasne?

- Muszę ci przypomnieć, że nie zamierzam przyjmować rozkazów ani od ciebie, ani od nikogo innego.

Baxter zatrzymał się kilka kroków od Charlotte.

- No to mamy kłopot.

Charlotte bardzo starannie odłożyła czepek na stół.

- Dopóki będziesz w tej sprawie odgrywał przeznaczoną ci rolę, obejdziemy się bez większych kłopotów.

- Chcesz przez to powiedzieć, że muszę pamiętać, gdzie jest moje miejsce?

- Niechętnie użyłabym właśnie takich słów.

- Bardzo słusznie. Nie jestem pani służącym, panno Arkendale.

- Nie powiedziałam przecież, że jesteś. Jednak, jak sobie może przypominasz, to ja cię zatrudniłam. Jeżeli w ten sposób sytuacja stanie się bardziej zrozumiała, to powiem, że nadal zamierzam płacić ci pensję.

- Ośmielasz się mówić o pensji? Po tym, co wydarzyło się między nami zeszłej nocy?

Charlotte zaczerwieniła się i zażenowana spojrzała na zamknięte drzwi.

- Nie ma potrzeby mówić tak głośno. Słyszę cię doskonale.

- Nigdy nie podnoszę głosu. Mówienie podniesionym głosem jest oznaką braku opanowania.

- Tak, chyba masz rację - powiedziała Charlotte patrząc mu w oczy.

- Do diabła, Charlotte, nie zamierzam pozwolić, byś mnie traktowała jak swojego pracownika. - Podeszedł szybko i zastawił jej przejście. - Zeszłej nocy zapytałem cię o coś. Już wystarczająco długo trzymasz mnie w niepewności. Zaslługuję na odpowiedź.

- Ale przecież teraz rozmawiamy o panie Post - odparła marszcząc czoło.

- Do diabła z panną Post! Już ci mówiłem, że tym zajmę się później. Teraz czekam na odpowiedź. Czy zgadzasz się na nasz romans?

Patrzyła na niego bez mrugnięcia, a jej oczy swoim blaskiem przypominały baśniowe lśnienie kamienia filozoficznego. W laboratorium zaległa martwa cisza. Baxter niemal widział swoje słowa wiszące w powietrzu, jaśniejące niebezpieczną poświatą.

Nie mógł wybrać gorszej chwili, pomyślał ogarnięty czarną rozpaczą. Nie trzeba być szczególnie wrażliwym romantycznym poetą, by rozumieć, że sam środek dzikiej kłótni nie jest odpowiednią porą na proszenie kobiety, by została twoją kochanką.

Charlotte, chcąc przerwać ciszę, która aż dzwoniła w uszach, delikatnie zakasłała.

- Rozmawiamy teraz o pracy, panie St. Ives. Sprawy osobiste nie mają z tym nic wspólnego, prawda?

- Tak, oczywiście.

Gdyby miał choć trochę rozumu, odsunąłby się natychmiast od płonącego tygla, zanim nastąpi wybuch. Ale nie mógł się odsunąć. Jedyne, co teraz miało znaczenie, to uzyskanie przekonującego dowodu w tym przerażającym eksperymencie.

- Czyżby? - spytała bardzo cicho.

- Nie. To przekłete kłamstwo. Nasza osobista sytuacja ma z tym bardzo wiele wspólnego. Charlotte, musisz mi odpowiedzieć. Jeżeli zaraz tego nie zrobisz, to chyba oszaleję.

Jej oczy nagle załśniły tajemniczym blaskiem, pełnym niewypowiedzianych obietnic. Ale głos miała zdumiewająco zimny.

- Panie St. Ives, słowo daję, jest pan najtrudniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek miałam przykrość zatrudnić. Wiem, że nie czeka mnie nic prócz komplikacji, ale tak, będę miała z panem romans. Czy teraz możemy wrócić do pracy?

Przez krótką, nieznośną chwilę Baxter stał jak sparalizowany. Zgodziła się na romans!

Wiedział, że jakimś szczęśliwym zdarzeniem losu niebezpiecznie rozgrzany tygiel nie wybuchł mu w rękach, ale odczuwał taki sam wstrząs, jakby w wyniku doświadczenia rozpadły się ściany.

Charlotte dotknęła jego policzka.

- Baxter, źle się czujesz?

- Nie wiem. - Wziął jej twarz w dłonie. - Ale jednej rzeczy jestem całkowicie pewny. Jeżeli zachorowałem, tylko ty możesz dać mi uzdrawiający eliksir.

- Och, Baxter. - Stała na palcach i zarzuciła mu ręce na szyję. - Jesteś najbardziej zdumiewającym i oszołamiającym mężczyzną na świecie.

Pocałowała go z taką siłą, że ich zęby stuknęły o siebie. Baxter aż się zachwiał. Chwył ją mocno, i oddał pocałunek z rozpaczliwą euforią. Jej nieukrywane pożądanie zgubiło go. Pragnęła go. W tej chwili nic innego się nie liczyło.

Bez wahania posłał w diabły samokontrolę i rozkoszował się wspaniałą, porywającą namiętnością, która wrzała mu w żyłach.

Świat nagle przemienił się w żywe srebro: był jasny, lśniący, zmiennokształtny i nieskończenie fascynujący. Przestał być solidnym tworem, a przedmioty zatraciły kontury. Logika gdzieś się zapodziała i zostało tylko nie ugaszone pragnienie.

Baxter wciął usta Charlotte, szukając ich wilgotnego ciepła. Pochylił się nad nią i spychał ją do tyłu, aż oparła się o stół laboratoryjny.

- Umh - westchnęła zaskoczona, ale zamiast go odepchnąć, zacisnęła palce na jego włosach.

Obezwładniony pożądaniem, całował jej policzki, oczy, uszy, szyję. Wyprostował się na chwilę, zerwał okulary i odrzucił je gdzieś na bok. Potem wcisnął nogę między jej nogi i uniósł kolano. Charlotte krzyknęła i przywarła do niego, gdy znalazła się okrakiem na jego udzie.

- Czuję twoje ciepło przez spodnie - mruknął zachwycony. - Jesteś wilgotna.

- Zawstydzasz mnie. - Charlotte jęknęła i schowała twarz w jego koszuli.

- Nie miałem tego zamiaru. - Wyjął szpilki z jej włosów.

- Jeżeli chcesz, przestudiuję kilka dzieł tych cholernych romantycznych poetów. Może nauczę się bardziej wyrafinowanego języka na okazje takie jak ta.

- Nie fatyguj się. - Charlotte zaczęła rozpinąć jego koszulę drżącymi palcami. - Zachowujesz się bardzo dobrze nawet bez kursu poezji.

Kiedy dotknęła palcami jego nagiej piersi, Baxter zamknął oczy i westchnął. Obawiał się, że jego członek wyskoczy z zapiętych spodni.

Charlotte dotknęła wargami jego brodawki i szepnęła coś niewyraźnie. Słowa były niezrozumiałe, ale znaczenie oczywiste. Z triumfem i niezmierną wdzięcznością zdał sobie sprawę, że pragnie go tak samo mocno jak on jej.

Jakaś jego część chciała odwlec moment pierwszego połączenia, by rozkoszować się dłużej. Ale nie miał siły utrzymać na wodzy uderzającego do głowy pragnienia, gdy Charlotte dążyła w tym samym kierunku. Siła ich wspólnego pożądania była nieprzeparta.

Później będą jeszcze okazje, by kochać się całymi godzinami, obiecał sobie. Tym razem ich namiętność była zbyt pierwotna, zbyt nagła.

Chwycił jej muślinową spódnicę i podniósł aż do talii. Powoli opuścił kolano, podłożył ręce pod jej nagie, okrągłe pośladki i posadził ją na stole.

Walcząc z obfitymi halkami i spódnicą, uderzył w jakieś naczynie. Gąsior potoczył się na krawędź stołu, spadł na podłogę z i hukiem się rozbił. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Baxter? - Po jej głosie zorientował się, że nie wie, co się dzieje.

- Nie ruszaj się, skarbie. - Chwycił jej nogi i otoczył nimi swoje biodra. - Tylko tyle musisz zrobić. Ja zajmę się resztą.

Szybko rozpiął spodnie i nakierował się na nią.

- Boże, Baxter! - uchwyciła się jego ramion.

Dotyk jej palców na starych bliznach przyprawił go o drżenie, tak samo jak zeszłej nocy. Ale tym razem nie zwalczał tego uczucia. Przetoczyło się przez niego z siłą grzmotu, a on poczuł się opromieniony chwałą.

- Powiedz, że mnie pragniesz ~ powiedział wtulając się w jej szyję. - Tak bardzo chciałbym to usłyszeć.

- Pragnę cię. - W jej głosie drżała żądza.

Włożył dłoń między jej nogi, dotknął jądra jej kobiecości. Pulsowało delikatnie, obrzmiało pożądaniem. Czuł malutki pączek nabrzmiewający pod jego palcem. Delikatnie go potarł, a w odpowiedzi całe jej ciało przeszył dreszcz.

- Baxter, kochaj mnie, proszę.

Omal się nie roześmiał.

- Nawet za cenę kamienia filozoficznego nie potrafiłbym już przestać.

Przycisnął ją mocno do stołu i nakierował członek ku wilgotnemu wejściu. Poczuł, że Charlotte zeszywniała.

Mocno pchnął pragnąc jednocześnie wchodzić powoli i delikatnie, bo po wczorajszym wieczorze wiedział, że jest wąska i ciasna. Na pewno upłynął już jakiś czas odkąd miała

kochanka, może nawet dłuższy niż od jego ostatniego romansu.

Ale jego siła woli osłabła tak samo jak rozum. W chwili gdy poczuł objęcie jej wąskiej pochwy, zapomniał o wszystkich postanowieniach. W przypiływie triumfalnej lekkomyślności chwycił mocniej jej pośladki i wszedł głęboko.

Charlotte jęknęła. Ciało miała zupełnie sztywne. Wbiła paznokcie w blizny na jego ramionach.

Nagle zrozumiał prawdę. Charlotte nigdy nie miała kochanka.

- Niech to szlag!

Mimo swojej znajomości mężczyzn, mimo pozorów, że jest doświadczoną, światową kobietą, mimo swojego wieku - jest dziewicą.

Poprawka, pomyślał. Była...

Przestał się poruszać, ale już był w niej głęboko. Delikatne mięśnie jej pochwy zwierały się, otaczając go ciasno.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie pytałeś. - Pocałowała go w szyję. A potem uśmiechnęła się. - I nie ma to najmniejszego znaczenia. Chciałam, żeby tak się stało.

- Mój Boże, ja też.

Ostrożnie poprawił pozycję i zaczął się poruszać. Powoli cofnął się, wiedząc, że Charlotte odczuwa jednocześnie ból i przyjemność. Wydawało mu się, że upłynęła wieczność, zanim wycofał się aż do wejścia. Przez cały czas Charlotte trzymała się go kurczowo. W końcu zatrzymał się, gdy już tylko czubek członka pozostał w niej.

Charlotte zaczerpnęła głęboki, drżący oddech.

Baxter włożył rękę między ich ciała, znalazł nabrzmiały gruzełek między miękkimi lokami jej łona i zaczął go pocierać, aż poczuł, że Charlotte się uspokaja.

- Tak. - Pocałowała go namiętnie zaciskając uścisk nóg na jego biodrach. - Tak, tak!

Opuściła rękę i nieśmiało, ostrożnie, objęła jego członek. Krew zagotowała mu się w żyłach.

Popychając delikatnie, znów zaczął wchodzić, aż jeszcze raz zagłębił się w niej całkowicie.

Charlotte westchnęła i poruszyła biodrami.

- Na miłość boską, nie ruszaj się - mruknął.

Chyba go nie usłyszała. Coraz gwałtowniej kręciła biodrami. Baxter zamknął oczy. Chciał przytrzymać ją mocniej, ale drżały mu ręce. Już był zbyt blisko ognia. Płonący tygiel wabił go z nieprzepartą mocą.

Charlotte znów go pocałowała. Był zgubiony.

- Następnym razem - usłyszał, jak obiecuje jej chrapliwym szeptem. Zaczął się poruszać w niej coraz szybciej. - Następnym razem...

Ale nie musiał kazać jej czekać aż do następnego razu na wyzwolenie. Usłyszał jej krzyk, cudowny, triumfalny okrzyk rozkoszy i zadowolenia.

I wtedy zmieniła się w jego rękach w płynne złoto. Konwulsyjnie go objęła, a przez jego nabrzmiały członek zaczęły przepływać spazmy. Pchnął ją po raz ostatni i wytrysnął w jej gorące, przyzwalające ciało.

Stół laboratoryjny zatrzęsł się i coś z głośnym hukiem się rozbiło. Baxter jak przez mgłę usłyszał szczęk szkła: na podłogę spadła następna retorta; i jeszcze coś ciężkiego, chyba żeliwna podstawa do miecha; z metalicznym łomotem zderzyły się dwa mosiężne instrumenty i poleciały każdy w inną stronę.

Ignorując cały ten chaos, Baxter zatracił się w rozkoszy.

Charlotte miękko wynurzyła się ze świata czystych uczuć i stwierdziła, że siedzi na krawędzi jednego z laboratoryjnych stołów Baxtera. Otworzyła oczy.

Baxter nie znajdował się już w niej, lecz ciągle jeszcze stał między jej nogami. Przyglądał się jej z niezrozumiałą, gwałtowną wściekłością.

- Powinnaś mi powiedzieć, że nigdy nie miałaś kochanka.

Jego głos, całkowicie wyprany z jakichkolwiek uczuć, wygnał z niej resztkę ciepła.

- To moja sprawa - powiedziała. - Nie wiem, dlaczego miałyby cię to obchodzić. Nie musisz czuć się odpowiedzialny za to, że byłeś moim pierwszym kochankiem. Nie jestem młodą dziewczyną, tylko dojrzałą kobietą.

- Oczywiście. - Jego twarz jeszcze bardziej stwardniała. - Ale nie lubię takich niespodzianek.

Z jakiegoś niejasnego powodu nagle zachciało jej się płakać. Szybko zamrugła i najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała łzy. Nie mogła przecież rozplakać się tylko dlatego, że Baxter wrócił do swojego zwykłego nieprzyjemnego sposobu bycia.

Nie w ten sposób powinny się układać sprawy po tak podniosłym wydarzeniu, pomyślała. Teraz powinna się między nimi zrodzić wielka czułość. Przynajmniej jeszcze przez chwilę powinni mieć to cudowne poczucie bliskości, które ich ogarnęło podczas namiętnego połączenia.

Ale może właśnie z powodu wydarzeń sprzed chwili sama była zbyt poruszona.

Jednak, do licha, właśnie się zakochuje w wyjątkowo trudnym mężczyźnie, a on stoi między jej nogami z taką złością na twarzy, jakby popełniła jakiś niewybaczalny błąd. Czy ich namiętność nic dla niego nie znaczyła?

- Baxter, traktujesz to zbyt poważnie.

Jego szczęki zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Rzeczywiście.

Spojrzał w dół i chyba zdziwił się widząc, że nadal zaciska ręce na jej udach.

Charlotte ogarnęło przykre onieśmienie. Wyraźnie czuła dziwny zapach, który musiał być wynikiem ich kochania się. A między nogami miała mokro. Ostrożnie wykręciła się i zaczęła poprawiać spódnicę.

- Poczekaj - mruknął Baxter. - Mam tu gdzieś czystą chustkę.

Poszukał w kieszeniach i wyciągnął wielką płachtę starannie wyprasowanego lnu. Charlotte okropnie się zaczerwieniła, gdy zaczął wycierać ślady ich namiętności. Przez chwilę poddawała się tej czynności, ale zaraz odsunęła jego rękę.

- Przestań już. - Złączyła nogi, obciągnęła spódnicę i ześliznęła się ze stołu. Kolana tak jej drżały, że z trudem stała. Wyciągnęła rękę, by złapać równowagę.

- Dlaczego? - spytał Baxter.

- Słucham? - spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Zacisnęła palce na mokrej chustce. Jego oczy alchemika lśniły.

- Dlaczego wybrałaś mnie na swojego pierwszego kochanka?

Niech go diabli. No dobrze, zagra z nim w tę grę. Postarała się o chłodny uśmiech.

- Akurat ty świetnie powinieneś rozumieć, że czasami odczuwa się nagłą potrzebę przeprowadzenia eksperymentu.

≈ 11 ≈

A więc był dla niej tylko przedmiotem cholernego eksperymentu. Eksperymentu!

Do początkowej wściekłości Baxtera dołączyło jeszcze poczucie głębokiego żalu. Ciężko walczył, by ukryć oba te uczucia za zasłoną emocjonalnego oddalenia, którą wypracował sobie w przeszłości i która dobrze mu służyła.

Odwiozł Charlotte do domu okazując chłodną uprzejmość, która na pewno ją denerwowała, ale w tej chwili nie mógł wykrzesać z siebie nic więcej. Siedziała w powozie naprzeciwko niego, z wyprostowanymi plecami, i przez całą drogę ani razu nie spojrzała mu w oczy i ani razu się nie odezwała. Całą uwagę skierowała na widoki za oknem. Policzki jej płonęły, ale Baxter nie sądził, aby było to spowodowane tym, że dopiero co się kochali.

Jednak to milczenie bardzo mu odpowiadało. Bogu jednemu wiadomo, że na dziś miał już dość silnych emocji. I nie miał najmniejszej ochoty o nich rozmawiać. Możliwość wycofania się w głąb siebie, w to ciche, wewnętrzne miejsce, gdzie uczucia milczały, stanowiła dla niego prawdziwą ulgę.

Przed domem wysiadł z powozu i odprowadził Charlotte do domu. Pani Witty gwałtownie otworzyła drzwi.

- Panno Charlotte, nie było pani tyle czasu, już się martwiłyśmy z panną Ariel. Chciałyśmy posyłać wiadomość do pana St. Ivesa... - przerwała widząc Baxtera. - Twarz jej się rozjaśniła. - Och, widzę, że pan ją znalazł, sir. To dobrze.

- To zależy od punktu widzenia. - Baxter zignorował wściekle spojrzenie Charlotte i wszedł do holu.

Zatrzymał go wszechogarniający zapach ogromnej masy kwiatów.

- Do diabła, co tu się dzieje? Zakładacie cholerną cieplarnię?

- Zaczęto je przynosić od rana - wyjaśniła mu pani Witty. - Musiałam użyć wszystkich wazonów i dzbanów, jakie mamy w domu. Co za widok, prawda?

Cały hol wypełniony był kwiatami. Dzbany z nagietkami ustawiono na schodach. Tulipany obramowały lustro. Róże, orchidee i lilie zgromadzono przy ścianach.

Baxter znów poddał się wściekłości.

- Charlotte, kto, do diabła, rości sobie prawo do przysyłania ci tych cholernych badyli?

Jedyny mężczyzna, z którym wczoraj tańczyłaś na balu, to stary Lennox.

- Niektóre z nich sama sobie przysłałam. - Charlotte rozwiązała wstążki czepka. - Zawarłam umowę z tym chłopcem, który miał wózek z kwiatami. Zgodził się pomóc mi śledzić pannę Post tylko pod warunkiem, że kupię cały jego towar.

- Ach, tak. Cholerny chłopiec od kwiatów. - Baxter spojrzał wściekle na panią Witty. - Brała pani udział w tym idiotyzmie?

- Niech pan mnie nie wini, sir. - Pani Witty odebrała od niego kapelusz. - Mówiłam, że to nierozsądnie jechać za panną Post, ale kto słucha gosposi? Jednak nie wszystkie te kwiaty pochodzą od tamtego chłopaka. Wiele bukietów przysłali rano adoratorzy panny Ariel.

Charlotte rozpogodziła się.

- Oczywiście. Na balu Ariel wzbudziła zachwyt młodych mężczyzn. Miała ich wszystkich u swoich stóp.

- Charlotte, wróciłaś! - zawołała od kuchni Ariel. Rozległy się szybkie kroki, gdy biegła do holu. - Już zaczynałam się martwić. Gdy pani Witty opowiedziała mi, jak wybiegłaś za jakąś kobietą, która twierdziła, że pan St. Ives ją uwiódł i porzucił... och, panie St. Ives. - Ariel zaczerwieniła się widząc Baxtera. - Nie wiedziałam, że pan tu jest.

- Nie szkodzi. - Baxter skrzyżował ręce na piersi i oparł się o framugę drzwi. - Jestem przyzwyczajony do tego, że się mnie nie zauważa.

- Nie zwracaj na niego uwagi. - Charlotte podeszła żywo do schodów. - Pan St. Ives ma bardzo zły humor. Pani Witty, proszę go zaprowadzić do mojego gabinetu. Ja muszę się trochę odświeżyć. Miałam bardzo gorące przedpołudnie.

- Gorące. - Baxter patrzył za Charlotte wchodzącą na piętro. - Tak, rzeczywiście. Po prostu spędziła pani pracowite przedpołudnie w laboratorium obserwując wyniki pewnego doświadczenia z ogniem. Prawda, panno Arkendale?

Charlotte uśmiechnęła się niepewnie.

- Właśnie tak, panie St. Ives.

- Więc niech pani sobie uświadomi, że czasami trzeba trochę poczekać na wyniki - powiedział. - W niektórych wypadkach nawet dziewięć miesięcy.

Z satysfakcją zobaczył, że gdy doszło do niej znaczenie jego słów, zastygła osłupiała. Z ponurą miną odwrócił się i poszedł do gabinetu.

Tam ogarnęła go następna fala zapachu. Ten pokój również był pełen kwiatów, a szczególną uwagę zwracał wielki wazon z blad różowymi różami.

Dziewięć miesięcy. Własne słowa uderzyły go z siłą młota. A co się stanie, jeżeli Charlotte będzie w ciąży?

Podszedł do stolika z koniakiem.

Nagle z piętra dobiegł oburzony głos Charlotte.

- Nie ma go! - Nad głową Baxtera załomotały kroki. - Ten łajdak go zabrał.

Baxter odstawił karafkę i ciężko westchnął. W tym domu mężczyzna nie może nawet wypić leczniczej dawki koniaku bez obawy, że ktoś mu przeszkodzi.

Podszedł do drzwi gabinetu. Pani Witty i Ariel z otwartymi ze zdziwienia ustami patrzyły w górę, na podest schodów. Stała tam Charlotte i wyglądała tak, jakby właśnie uderzył w nią grom.

- Co się stało? - spytała Ariel.

- O co chodzi? - wtórowała jej pani Witty.

Charlotte uniosła do góry puste dłonie.

- Przecież powiedziałam. Nie słyszałyście? Zabrał to.

- Charlotte, uspokój się - nakazał Baxter. Wszystkie trzy kobiety zamilkły i spojrzały na niego. - Teraz powiedz nam, kto zabrał i co właściwie ci zginęło.

- Włamywacz, którego wczoraj przyłapaliśmy - odparła niecierpliwie.

- No i o co chodzi?

- W nocy uznałam, że nie udało mu się nic ukraść, ale myliłam się. Sprawdziłam tylko to, co według mnie mogło zainteresować złodzieja, srebro i takie rzeczy. - Charlotte złapała oddech. - Nie pamiętałam o bloku rysunkowym Drusilli Heskett. Schowałam go do szuflady w szafie.

Baxter poczuł, że ogarnia go chłód.

- I teraz go tam nie ma?

- Tak. Baxter, to nie był zwykły włamywacz. Przyszedł tu po blok. I znalazł go. - Oskarżycielskim ruchem wymierzyła w niego palec. - St. Ives, mówiłam panu, że ten blok zawiera jakąś ważną wskazówkę.

Zastanawiając się nad wnioskami płynącymi z tego faktu, Baxter bezmyślnie poprawił okulary.

- Gdy tylko skończysz się odświeżać, zejdz zaraz na dół. Będę ci wdzięczny, jeżeli nie będziesz się grzebać.

- Niech cię diabli, St. Ives. Jak śmiesz mi rozkazywać? Poza tym nie mam zwyczaju się grzebać. Jeżeli zechcesz sobie łaskawie przypomnieć, to ja pospieszyłam dziś rano za panną Post. A gdy chciałam ci o tym opowiedzieć, ty... zająłeś się czymś innym, tam, w swoim laboratorium. Wina za tę całą zwłokę spada wyłącznie na ciebie.

Baxter bardzo delikatnie zamknął drzwi gabinetu i ruszył z powrotem do stolika z

koniakiem.

Kwadrans później, czując się już o wiele lepiej, Charlotte weszła do gabinetu, a pani Witty i Ariel niemalże deptały jej po piętach. Baxter siedział w fotelu przed kominkiem. Popatrzył na kobiety i odstawił częściowo opróżnioną szklaneczkę.

- Nareszcie - wymruczał.

Charlotte nie zwróciła na to żadnej uwagi, lecz od razu przystąpiła do sprawy.

- Całe szczęście, że wyrwałam stronę z tym małym rysunkiem. - Obeszła biurko i otworzyła szufladę. Karta z bloku nadal była tam, gdzie ją odłożyła w nocy po wyjściu Baxtera. - Jest to jedyna dziwna rzecz, jaką znalazłam w bloku pani Heskett, więc musi stanowić jakąś wskazówkę.

- Moim zdaniem, w tym bloku rysunkowym było mnóstwo dziwnych rzeczy - powiedziała żywo Ariel. - Niektóre nawet dość interesujące.

- Właśnie dlatego wyrwałam tę kartę - wyjaśniła Charlotte patrząc na nią ze złością.

Pani Witty zerknęła na rysunek wykonany piórem.

- Dla mnie to nie ma najmniejszego sensu. Trójkąt w kółku, trzy robaki wijące się nad nimi i... - raz jeszcze spojrzała z ukosa - co to jest ta rzecz w środku? Smok?

- Tak, chyba jakieś skrzydlate stworzenie. - Charlotte zagryzła wargi. - Trudno coś powiedzieć na pewno. Pani Heskett nie była zbyt utalentowaną rysowniczką. Oczywiście z wyjątkiem pewnych studiów anatomicznych.

Baxter podszedł do biurka.

- Dajcie mi to obejrzyć.

Gdy Baxter się zbliżył i zaczął oglądać rysunek, Charlotte poczuła mrowienie na całym ciele. Nareszcie poświęcił jej całą swoją uwagę. Wiadomość o kradzieży bloku rysunkowego zmusiła go do skoncentrowania jego niewątpliwie wielkiej inteligencji na tym wydarzeniu.

Wydawało jej się, że spokojna siła, którą emanował, gdy tak skupił się na rysunku, migotała wokół niego, jak niewidzialna aura. Dziwiła się, że Ariel i pani Witty tego nie widzą. Potem jednak obie nieświadomie lekko się odsunęły, jakby chciały zostawić Baxterowi więcej wolnej przestrzeni. A przecież i bez tego miał dosyć miejsca przy biurku.

Charlotte niemal się uśmiechnęła. Większość ludzi nie uświadamiała sobie wielkiej wewnętrznej siły Baxtera, ale nie oznaczało to, że nie reagowali na nią instynktownie.

Baxter wziął rysunek do ręki i bacznie mu się przyglądał. Brwi nad oprawkami

okularów zsunęły mu się w czarną kreskę.

- Ten rysunek coś mi przypomina.

- To znaczy? - Charlotte ogarnęło podniecenie. - Widziałeś już kiedyś coś takiego?

- Chyba tak. Dawno temu. - Baxter podniósł wzrok znad rysunku. Ich spojrzenia spotkały się. - Będę musiał poszukać w mojej bibliotece.

- Widział pan coś takiego w którejś ze swoich książek? - spytała Ariel.

- Tak mi się wydaje. - Znów spojrzał na rysunek. - Nie jestem pewny, ale sądzę, że to bardzo stara rzecz.

- Stara? - Charlotte zadrżała. - Na miłość boską, dlaczego pani Heskett miałyby kopiować w swoim bloku stary rysunek i po co ktoś to teraz kradnie?

- Sądzisz, że ktoś ukradł blok z powodu tego rysunku? - upewnił się Baxter.

- Tak. I włamywacz przyszedł tu właśnie po to. Poza tym w bloku nie było nic dziwnego czy niezwykłego.

- Hm. - Baxter złożył papier. - Lata pracy nad chemią nauczyły mnie, że najprostszym sposobem dochodzenia do rozwiązań jest wyeliminowanie podrzędnych szczegółów zaciemniających całą sprawę.

- Wydaje mi się, proszę pana, że mamy tu same nieważne szczegóły - westchnęła pani Witty.

- Kilka z nich zapewne będziemy mogli szybko wyłączyć. Przy odrobinie szczęścia sytuacja się wyjaśni, gdy tylko będę miał czas się tym zająć.

- Mówisz o wizycie panny Post - stwierdziła Charlotte. - Co zamierzasz zrobić?

- Upewnić się, że nie ma związku z morderstwem Drusilli Heskett - wyjaśnił Baxter. - Żeby wyeliminować tę możliwość, muszę odkryć, czy to mój przyrodni brat wysłał ją do ciebie w przyływie złości.

- Hamilton? - Ariel skrzywiła się z oburzeniem. - Nie może pan przecież sugerować, że to lord Esherton wysłał tu pannę Post z tak bzdurną historią.

- Według pana St. Ivesa Hamilton jest zdolny do takich dowcipów - powiedziała szybko Charlotte. - Mówiłam mu już, że to jest wysoce nieprawdopodobne.

- Nieprawdopodobne? To niemożliwe - oświadczyła Ariel. - Jego lordowska mość jest dżentelmenem. Nigdy w życiu nie dopuściłby się tak niesmacznego żartu.

Baxter uniósł brwi.

- Widzę, że Hamiltonowi udało się wywrzeć na mieszkankach tego domu doskonałe wrażenie.

Ariel wskazała ręką wielki wazon z różowymi różami.

- Przysłał mi rano te piękne kwiaty. Jak pan widzi, ma bardzo wyrafinowany gust, więc robienie niewybrednych żartów na pewno nie leży w jego naturze.

Baxter z obrzydzeniem popatrzył na róże.

- Po to, by wiedzieć, że następnego dnia po balu należy wysłać damie kwiaty, nie jest potrzebny ani wyrafinowany gust, ani szlachetny charakter.

- Interesujące spostrzeżenie - powiedziała sucho Charlotte. - Można by się spodziewać, że wszyscy dżentelmeni, nawet ci mało obznajomieni ze zwyczajami obowiązującymi w eleganckim towarzystwie, zechcą przysłać damie kwiaty po szczególnie pamiętnym wieczorze. - Zrobiła znaczącą przerwę. - Albo po szczególnie pamiętnym poranku.

Baxter, zbity z tropu, spojrzał na nią z ukosa. Charlotte mogłaby przysiąc, że na jego policzkach pojawił się ślad rumieńca. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

Ariel, bardzo zdenerwowana, wróciła do poprzedniego tematu.

- Panie St. Ives, chyba pan nie wierzy, że własny brat mógłby spiskować z panną Post?

- Jak już mówiłem - odparł Baxter wzruszając obojętnie ramionami - zamierzam odkryć prawdę. Gdy dowiemy się, czy panna Post jest zamieszana w sprawę morderstwa, będziemy również wiedzieli, co robić dalej.

- Chcę być obecna podczas twojej rozmowy z bratem - powiedziała szybko Charlotte.

- Do diabła, nie!

Jeszcze raz uśmiechnęła się do niego, tym razem już nie tak promiennie.

- Ujmijmy to w ten sposób, panie St. Ives: umowa jest umową. Albo zabierze mnie pan ze sobą na rozmowę z lordem Eshertonem, albo będę zmuszona uznać, że pan chce, byśmy prowadzili śledztwo niezależnie od siebie, a wtedy oczywiście przestaniemy być partnerami.

Baxter spojrzał na nią zamyślony, co jednak nie mogło przesłonić złych ogników w jego oczach.

- Panno Arkendale, czyżbyśmy się uciekali do szantażu? Nie przestaje mnie zadziwiać rozległa gama pani talentów.

To oskarżenie zabolalo. Charlotte dzielnie usiłowała ukryć żal pod chłodnym, rozbawionym spojrzeniem.

- W mojej pracy, panie St. Ives, po to, by wykonać zadanie, nauczyłam się używać wszelkich dostępnych narzędzi.

- To się daje zauważyć. - Baxter skłonił się i ruszył do drzwi. - Mam tylko nadzieję, że podoba się pani narzędzie, którego użyła pani tak skutecznie godzinę temu w moim

laboratorium. Zapewniam panią, iż ten szczególny pal nigdy jeszcze nie został tak mocno rozgrzany w tak małym, wąskim tyglu.

Przez chwilę Charlotte nie mogła uwierzyć własnym uszom. A potem ogarnęła ją fala nieprzytomnego oburzenia.

- Niech to wszyscy diabli! - Chwyliła najbliższy ciężki przedmiot, którym okazał się wazonik z bratkami.

- Poczekaj, to moje kwiaty - krzyknęła przestraszona Ariel.

Protest przyszedł zbyt późno. Charlotte już rzuciła wazonem w drzwi. Baxterowi jakoś udało się unikać uderzenia i umknął do holu.

Minęła północ. Baxter siedział w zaciemnionym powozie naprzeciwko „Zielonego Stolika” i obserwował drzwi.

Na ulicy unosiła się lekka mgła. Przed lokal podjeżdżały powozy, pozostawiając u stóp schodów dżentelmenów w różnych stadiach alkoholowego upojenia, przekrzykujących się ochryplymi głosami. Baxter widział, jak z jednego z powozów wysiadają Hamilton, Norris i kilku ich roześmianych towarzyszy. Zwartą grupą ruszyli ku drzwiom klubu.

- No więc? - spytała Charlotte. - Widziałeś, jak twój brat wchodzi?

- Tak. Udało mu się uniknąć spotkania ze mną przez całe popołudnie, ale w końcu go dopadłem. - Baxter opuścił zasłonki na okno i usiadł wygodniej. - Chyba poznaję to miejsce. Kiedyś był to bardzo popularny dom publiczny, znany jako „Klasztor”.

- Słyszałam o „Klasztorze”. - W głosie Charlotte zabrzmiało ostre potępienie. - Niektórzy tak zwani dżentelmeni, o których zbierałam informacje na początku pracy, byli znani jako stali bywalcy tego przybytku. Ale skąd ty możesz o nim wiedzieć?

Baxter miał nadzieję, że w ciemności nie widać, jak go rozbawiło to pytanie.

- Zapewniam cię, że znam to miejsce tylko ze słyszenia.

- No tak. - Charlotte lekko zakasłała. - Jednak od jakichś dwóch lat już nie natykałam się na tę nazwę podczas moich dochodzeń.

- Jakiś czas temu został zamknięty. Najwyraźniej zmienił się właściciel.

- Wygląda na to, że teraz znajduje się tu obrzydliwe kasyno gry, ale i tak, jeśli chcesz wiedzieć, jest to krok ku lepszemu w porównaniu z domem publicznym.

Baxter uśmiechnął się. W głębokich ciemnościach nie oświetlonego powozu ledwo widział zarys twarzy Charlotte. Kaptur płaszcz dokładnie ją osłaniał.

Ciągle jeszcze nie był zupełnie pewien, jak to się stało, że go przekonała, by zabrał ją

ze sobą. Nawet bez uciekania się do szantażu Charlotte najwyraźniej miała swoje sposoby na osiągnięcie celu. Doprawdy, co za silna, wspinała kobieta. Może właśnie to było jedną z przyczyn, dla których tak go pociągała. Zdecydowanie nie należała do tego rodzaju kobiet, które ulegają atakom waporów albo wybuchają łzami, gdy chcą postawić na swoim, natomiast twardo obstawała przy tym, co uważała za należne jej prawo.

Mimo że wcale nie było łatwo obcować z Charlotte, w stanowczych kobietach coś jest, pomyślał Baxter. Z Charlotte mężczyzna nie musiał tracić czasu i energii, by nie urazić tej cholerniej kobiecej wrażliwości. Na przykład, nie skarżyła się, że wziął ją na laboratoryjnym stole, choć podejrzewał, że u większości kobiet wywołałoby to głęboką obrazę. A przecież nawet on musiał przyznać, że tamto miejsce trudno było nazwać romantycznym.

Z drugiej strony to właśnie ona określiła ten namiętny epizod mianem eksperymentu. Powinien odczuwać ulgę, że nie przykłada do tego wydarzenia zbyt wielkiej wagi, ale z jakiegoś powodu wciąż nachodziły go nieprzyjemne myśli.

Z każdym mijającym dniem Charlotte nabywała coraz większej wprawy w mąceniu jego spokojnego, uporządkowanego życia.

- Co teraz zrobisz? - spytała.

- Wejdę do lokalu i ściągnę Hamiltona tutaj, do powozu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. - Baxter zdjął okulary i włożył je do kieszeni palta.

- Dlaczego zdjąłeś okulary?

- Bo wolałbym, żeby nikt mnie nie rozpoznał. Znajomi są przyzwyczajeni do mojego widoku w okularach. A nikt nie powinien dowiedzieć się o mojej rozmowie z Hamiltonem.

- Rozumiem - odparła uprzejmie. - To sprawa rodzinna, prawda?

- Niestety, tak.

- Ale jak bez okularów odnajdziesz Hamiltona w tłumie?

- Jeden z moich przyjaciół, hrabia Masters, bawi się w wynalazcę i zrobił dla mnie specjalny zegarek. - Baxter odsunął firankę w oknie, by wpuścić trochę księżycowego światła, potem wyjął z kieszeni zegarek i otworzył go. Przytrzymał go przy oczach jak człowiek, który w źle oświetlonym pokoju usiłuje sprawdzić godzinę. Popatrzył na Charlotte przez wisko zegarka, które w rzeczywistości było soczewką.

- Bardzo sprytnie - powiedziała. - Takie szkło powiększające.

- Masters jest bardzo zdolny. Zaprojektował też kilka instrumentów do laboratorium. - Baxter zamknął zegarek i schował go z powrotem do kieszeni. Sięgnął do klamki drzwiczek, ale jeszcze się zatrzymał. - Chyba nawet nie warto cię prosić, żebyś pozwoliła mi

porozmawiać z Hamiltonem sam na sam?

- Rzeczywiście. W końcu to ja spotkałam się z panną Post. Jeżeli Hamilton jest winny tego figla, w co zresztą wątpię, ja też chciałabym zadać mu kilka pytań.

- Właśnie tego się obawiałem. - Baxter wysiadł z powozu, a potem zawrócił, bo uderzyła go nagle jakaś myśl. - Ja sam chciałbym ci zadać pytanie dotyczące panny Post.

- Tak?

- Wśród tego całego zamieszania nie zwróciłem do tej pory uwagi na jeden z elementów jej wizyty.

- A o co chodzi?

- Dlaczego nie uwierzyłaś w jej opowiadanie? Co dało ci pewność, że nie jest moją wypędzoną kochanką?

Charlotte spojrzała na niego z arogancką wyższością lady łaskawie rozmawiającej z kimś z plebsu.

- Nie bądź śmieszny, Baxter. Nie potrafiłbyś opuścić nieszczęsnej kobiety, której przydarzyłaby się ciąża z tobą. Taka niegodziwość jest całkowicie sprzeczna z twoim charakterem. Ten, kto wysłał do mnie pannę Post z tą głupią historią, nie znał cię dobrze.

Baxter wpatrywał się w jej stanowczy, prosty nos, ledwo widoczny spod kaptura.

- Wydaje mi się - powiedział miękko - że ten, kto wysłał pannę Post, przede wszystkim nie znał dobrze ciebie, Charlotte.

Zamknął drzwiczki powozu, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Idąc do „Zielonego Stolika” jeszcze się obejrzał. Jest tam bezpieczna, pomyślał. Stangret z remizy Severdges będzie miał na nią oko.

Mimo że z pewnością czekała go nieprzyjemna scena, leciutko się uśmiechał idąc przez wirującą mgłę. Większość kobiet uwierzyłaby w oburzającą opowieść Juliany Post. Była przecież tak typowa. Samotne kobiety zbyt często padają ofiarą podłych mężczyzn, którzy je uwodzą, a potem bez najmniejszych skrępowań zrywają związek, gdy już przestaje ich bawić.

Przez lata swojej niezwyklej pracy Charlotte poznała o wiele lepiej niż większość przedstawicielek jej płci ciemną stronę męskiej natury. Jej opinia o mężczyznach była pragmatyczna, niemal cyniczna. Byłoby całkowicie naturalne, gdyby uwierzyła w najgorsze nawet rzeczy, jakie panna Post jej opowiedziała. A jednak ani na chwilę nie dała wiary temu kłamstwu.

Baxter rozkoszował się tą myślą. Z jakiegoś powodu, nad którym wołał nie zastanawiać się bliżej, fakt, że Charlotte wierzyła w niego mimo tak oczywistych dowodów

jego winy, był dla niego nieprawdopodobnie ważny, bo świadczył o tym, że za chęcią przeprowadzenia miłosnego eksperymentu kryje się również trochę prawdziwej sympatii.

Gdy podchodził do schodów, przed kasynem zatrzymał się kolejny powóz. Rozległy się głośne śmiechy i ordynarne dowcipy. Drzwiczki powozu otworzyły się z hukiem i pięciu młodych pijanych dandysów wysypało się na ulicę. Jeden z nich stracił równowagę na wilgotnym bruku i wylądował na własnym siedzeniu, co szalenie rozbawiło jego kolegów.

Baxter stał w cieniu i czekał, aż nowo przybyli zapłacą dorożkarzowi. Gdy ruszyli do wejścia, poszedł za nimi. Nawet nie zauważyli, że razem z nimi wszedł do kasyna.

Wnętrze „Zielonego Stolika” oświetlone było tylko blaskiem ognia. Baxter nie potrzebował okularów, by stwierdzić, że jest mała szansa, aby ktokolwiek rozpoznał go w tym tłumie. Jak na zwyczaj towarzystwa było jeszcze wcześniej, ale mężczyźni zapelniający to przegrzane pomieszczenie byli już głęboko pogrążeni w grze o wysokie stawki przy stolikach przykrytych zielonym suknem. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Ogień płonący z trzaskiem w ogromnym kominku rzucał piekielną, czerwoną poświatę na całą scenę. Powietrze było ciężkie od zapachu piwa, potu i dymu.

Baxter znalazł spokojny kąt, osłonięty wielkim kamiennym posągami nagiej, dobrze zbudowanej kobiety. Wyjął z kieszeni zegarek i podniósł go do oczu. Popatrzył przez soczewkę - rysy twarzy gości nabrały ostrości.

Nie było tu ani Hamiltona, ani Norrisa.

Marszcząc czoło Baxter już miał zamknąć zegarek, gdy nagle w głębi sali zobaczył jakieś poruszenie. Jeszcze raz uniósł zegarek do oka i rzucił szybkie spojrzenie w tamtym kierunku.

Kilku młodych mężczyzn, wśród nich również Hamilton i Norris, kierowało się ku schodom. Baxter pomyślał, że na piętrze mogą znajdować się prywatne gabinety restauracyjne albo że nowy właściciel kasyna oferuje tam nadal usługi burdelowe, jednak bardziej dyskretnie niż za poprzedniej dyrekcji.

Potem przypomniał sobie, co Hamilton mówił o specjalnych pomieszczeniach dla członków jego ekskluzywnego klubu.

Zamknął zegarek i schował go do kieszeni. Po to, by przejść przez pokój, nie potrzebował monokla. Ale gdy zbliżył się do schodów, spostrzegł rozmazaną, wielką postać przechylającą się przez balustradę. Ponieważ wokół było bardzo tłoczno, zaryzykował i raz jeszcze spojrzął przez szkło zegarka. Jeden rzut oka mu wystarczył. Przed wejściem na piętro postawiono strażnika. Najwyraźniej chroniono przed natrętami elitę klubu oddającą się swoim ulubionym rozrywkom.

Baxtera ogarnęła ciekawość, ale i złe przeczucie. Już wystarczająco złe było kasyno na parterze. Tu nieostrożny młodzieniec mógł stracić majątek w ciągu jednej nocy ostrej gry. A to, co znajdowało się na piętrze, najprawdopodobniej było jeszcze gorsze.

W jaką diabelską zabawę wmieszał się Hamilton? - zastanawiał się Baxter. Niemal słyszał głos ojca proszącego go, by strzegł swojego młodszego przyrodniego brata.

Powstrzymując pomruk rezygnacji, Baxter przeciskał się przez tłum do wyjścia. Zaczekał, aż grupa gości postanowi opuścić lokal, wmieszał się pomiędzy nich i wyszedł.

Gdy znalazł się na dworze, ruszył w stronę rogu ulicy. Zatrzymał się na chwilę, wyłowił z kieszeni okulary i założył je. Potem poszedł alejką, która jego zdaniem prowadziła na tyły kasyna.

Okoliczne domy były ciemne, ale z okien kuchni „Zielonego Stolika” padało wystarczająco dużo światła. Budynek kasyna miał dwa piętra. Z alejki Baxter widział, że w pokojach ostatniego piętra światła się nie palą. Natomiast piętro niżej z jednego okna przebijała delikatna srebrna poświata.

Kilka lat temu w tym samym budynku mieścił się słynny dom publiczny zwany „Klasztorem”. W dniach swojej chwały był miejscem rozlicznych nielegalnych poczynąń i zaspokajał nawet najbardziej wyrafinowane gusta. Z tego powodu musiał mieć tajemne wyjścia, nie mówiąc już o wizjerach do podglądania i ukrytych klatkach schodowych.

Właśnie tego rodzaju przybytki przyciągały jego ojca.

W zaniedbanym ogrodzie stała wygódka. Baxter zobaczył, że jakiś pijany mężczyzna wychodzi z niej i przez tylne drzwi dostaje się do klubu. Baxter ruszył za nim i znalazł się w małym, pustym holu. Wąskie, kręcone schody prowadziły na wyższe piętro.

Baxter ostrożnie ruszył na górę. Na szczęście schody były solidne i nie trzeszczały. Zatrzymał się na pierwszym podeście. Drzwi do holu były zamknięte na klucz. Baxter nie pomyślał o zabraniu swojego kompletu wytrychów, więc stracił dobrą chwilę, zanim poradził sobie za pomocą zausznika od oprawki okularów.

Wreszcie otworzył zamek i wszedł na ciemny korytarz.

Już miał ruszyć w kierunku pokoju, z którego, jak sądził w alejce, dochodziło światło, gdy usłyszał odgłos buta na drewnianym stopniu schodów.

Nie mógł to być strażnik, gdyż osoba ta najwyraźniej usiłowała iść cicho i ostrożnie.

Baxter czekał, wtopiony w cień. Jakaś postać osłonięta obszernym płaszczem weszła w wąski korytarz. Szybko oderwał się od ściany i przycisnął ramieniem gardło intruza.

- Nie ruszaj się! Ani słowa! - ostrzegł.

Schwytany zastygł, a potem szybko, w milczeniu, skinął głową. Baxter poczuł znajomy

zapach, mieszaninę ziołowego mydła i kobiecej woni, nie dający się pomylić z żadnym innym. Ten szczególny zapach na zawsze odcisnął się pieczęcią na jego zmysłach. Nawet w grobie by go rozpoznał. Mając pieskie szczęście, do końca życia, ilekroć poczuje ten zapach, będzie cierpiał od słodkiego bólu pożądania.

- Niech to szlag, Charlotte. Co ty tu robisz?

12

Widziałam, jak wychodzisz z klubu i idziesz za budynek. Ale poszedłeś w złą stronę, więc nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. - Charlotte nie mogła złapać tchu, nie tylko z powodu niepokoju, który zmusił ją do opuszczenia powozu, lecz również od szalonego biegu alejką i po schodach.

Szok, który właśnie przeżyła, gdy w całkowitej ciemności przygwoździło ją twarde męskie ramię, tylko pogorszył sprawy. Oczywiście z cudowną ulgą zorientowała się, że tym mężczyzną jest Baxter, ale nie pomogło jej to uspokoić rozszalałego pulsu.

Baxter był zły. Bardzo zły. W jego głosie brzmiał lodowaty ton, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszała.

- Mówiłem, że masz czekać w powozie.

Charlotte z wysiłkiem kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła powietrza. Zaczęła znów normalnie oddychać.

- Niepokoiłam się. Nie wiedziałam, co się dzieje. Myślałam, że potrzebujesz pomocy.

- Gdybym potrzebował twojej pomocy, to bym o nią poprosił.

- Baxter, doprawdy, nie ma sensu tak się ze mną kłócić. Muszę stale ci przypominać, że nad tą sprawą pracujemy razem.

- Jakże mógłbym o tym zapomnieć? - Baxter puścił ją i lekko popchnął do drzwi. - Wracamy tą samą drogą. Szybko!

- Najpierw powiedz mi, po co tu przyszedłeś.

- Poszukać Hamiltona. Ale to musi poczekać. Przede wszystkim muszę cię stąd wyprowadzić.

- Nie ma żadnego powodu, dla którego nie moglibyśmy wspólnie zrobić tego, co sobie zaplanowałeś.

- Jest mnóstwo powodów, dla których nie możemy tego zrobić.

Z pokoju na końcu korytarza dobiegł ich wybuch stłumionego męskiego śmiechu. Baxter zastygł. Charlotte poczuła, że obraca się w stronę korytarza i usiłuje coś dojrzeć. Też spojrzała w tamtym kierunku.

W ścianie przy końcu wąskiego korytarza znajdowało się małe, nie osłonięte okienko. Dawało dość światła, by można było zobaczyć rząd zamkniętych drzwi. Spod ostatnich drzwi po lewej stronie przedostawała się mała smuga jasności.

- Hamilton tam jest? - Charlotte odezwała się najcichszym szeptem.

- Podejrzewam, że właśnie tam spotykają się członkowie jego klubu.

- Chciałeś go szpiegować? - spytała zaintrygowana.

- Powiedzmy, że byłem ciekawy. - Baxter wyminął Charlotte i otworzył drzwi na schody.

Nagle usłyszeli na dole kroki. Charlotte poczuła, że ogarnia ją nowa fala strachu. Ktoś wchodził po schodach. Baxter nie zaklął na głos, ale prawie mogła usłyszeć jego milczące „niech to szlag”.

Zamknął drzwi tak samo cicho, jak je otworzył, chwycił Charlotte za ramię i popchnął w głąb korytarza. Zauważyła, że nawet nie próbuje dostać się do pierwszych trzech pokoi. Zatrzymał się dopiero przy czwartych drzwiach. Westchnęła z ulgą, gdy ustąpiły. Przyłapanie przez osobę wchodzącą po schodach było ostatnią rzeczą, której pragnęła.

Gdyby odkryto ją tu z Baxterem, znalazłaby się w sytuacji nie tylko niezręcznej i kłopotliwej, lecz wręcz skandalicznej. Młodzi dandysi byliby wściekli dowiadując się, że Baxter St. Ives i jego narzeczona ich szpiegują, a wiadomość o tym rozeszłaby się po towarzystwie z prędkością błyskawicy.

Baxter wepchnął Charlotte do małego pokoju. Skrzywiła nos czując zastarzały, stęchły zapach. Najwyraźniej pokój już od dawna nie był wietrzony. Bała się poruszyć, bo w ciemności łatwo było na coś wpaść.

Z końca korytarza słychać było kolejny wybuch śmiechu. Baxter szybko zamknął drzwi. Charlotte wyczuła jego ruchy i zrozumiała, że pochyła się, by przyłożyć ucho do dziurki od klucza. Nasłuchiwał kroków osoby, która wchodziła po schodach.

Charlotte ostrożnie postąpiła krok do tyłu i wtedy wyczuła plecami inne drzwi. Uświadomiła sobie, że łączą ten pokój z następnym, dzielącym ich od pomieszczenia, w którym znajdował się Hamilton z przyjaciółmi.

W korytarzu zatrzeszczała podłoga. Ktoś spokojnym krokiem minął ich kryjówkę. Nie zatrzymał się. Charlotte doszła do wniosku, że to służący. Może niósł gościom wino? Póki nie wróci na schody, ona i Baxter będą tu uwięzieni.

Dotknęła ramienia Baxtera.

- Co takiego? - szepnął jej na ucho.

- Drugie drzwi. Prowadzą do następnego pokoju. Może mógłbyś usłyszeć, co tam

mówią.

- Muszę cię stąd wydostać.

- Ciągłe to mówisz, ale nie możesz nic zrobić, póki służący się nie oddali. A ponieważ już i tak tu jesteśmy, szkoda byłoby tracić taką okazję.

Baxter ciągle jeszcze się wahał. Charlotte nakierowała jego rękę na klamkę.

- Niech to szlag.

Ale już wyczuwała, jak ulega. Zastanawiała się, czy Baxter sądzi, że wywiera na niego zły wpływ. Po króciutkiej chwili podjął decyzję. Powoli i ostrożnie obszedł Charlotte, a potem otworzył przejściowe drzwi.

Ogarnęła ich nowa fala stęchłego, zastałego powietrza. Charlotte wychyliła się przez drzwi i zajrzała do pokoju. Przez częściowo zasłonięte okno dochodziło z dworu dość światła, by mogła dojrzeć walące się łóżko, a także zarys szafy i toaletki. Podłoga była przykryta wytartym dywanem. Na ścianie wisiał krzywo jakiś obrazek.

Baxter przyłożył czubki palców do ust Charlotte. Ale nie potrzebowała ostrzeżenia, że ma być cicho. Tylko jedna ściana dzieliła ich od Hamiltona i jego przyjaciół.

W sąsiednim pokoju rozległ się następny wybuch śmiechu. Potem ucichł. Przez ścianę można było słyszeć głosy, teraz już nie tak odległe.

Charlotte w zdumieniu przyglądała się, jak Baxter podchodzi do szafy. Otworzył ją ostrożnie i szybko zajrzał do środka, jakby spodziewał się znaleźć tam coś ciekawego.

Wyraźnie niezadowolony odstaąpił o krok, cicho zamknął szafę i podszedł do miejsca, gdzie na ścianie wisiał obrazek. Przez chwilę bacznie mu się przyglądał, a potem zdjął go ze ściany.

Pojawiło się niewielkie kółko światła. Charlotte zrozumiała, że jest to celowo zrobiony otworek, przez który można zaglądać do sąsiedniego pokoju. Postanowiła spytać potem Baxtera, skąd wiedział, że można tu się spodziewać takiego wizjera.

Baxter przyłożył oko do otworu. Charlotte podeszła do niego, bo też chciała coś zobaczyć. Do jej nozdrzy doleciała fala słodkiego, smolistego zapachu ziół. Zapach ten przypominał trochę kadziła Juliany Post, ale był bardziej intensywny. Baxter odsunął się, chwilę głęboko oddychał zastałym powietrzem pokoju, i znów przyłożył oko do otworu w ścianie.

Teraz słyszeli głośniejszą rozmowę członków klubu w sąsiednim pokoju, ale ich głosy były przytłumione i rozmazane, jakby ci młodzi ludzie byli nie tylko pijani, ale także senni.

- Idź już, człowieku - nakazał ktoś służącemu.

Drzwi otworzyły się i zaraz się zamknęły. W korytarzu rozległy się kroki.

- Już czas wezwać naszego maga - odezwał się sennie któryś z mężczyzn. - Ciekawe, jaki pokaz metafizycznych mocy przygotował nam na dziś.

- Test - powiedział śpiewnie inny biesiadnik. - Obiecał nam test. Niech wielki mag pokaże nam, co potrafi.

- Doskonały pomysł. - Ktoś zachichotał niepewnie. - Niech wprawi Norrisa w prawdziwy trans. Norris, zgłosiłeś się na ochotnika, prawda?

- Dlaczego nie? - Głos Norrisa zabrzmiał ochoczo. - Zawsze z przyjemnością pomogę przy metafizycznych eksperymentach. Wezwijcie tego diabelskiego maga.

Przy drzwiach rozległ się jakiś szelest, jakby przesuwano meble. Baxter szybko odsunął się od wizjera i zaczerpnął powietrza. Przez mały otworek w ścianie Charlotte zobaczyła, że światło w sąsiednim pokoju słabnie, aż została tylko niewyraźna poświata. Ktoś przygasił lampę. Członkowie klubu zaśpiewali w lęklwym, sennym rytmie:

*Olów i srebro, bursztyn i złoto,
Ta stara wiedza zadziwia prostotą.
Gdy prawa szmaragdu objawią symbole,
Wiążą się razem rtęć, siarka i sole.
Tę prawdę prastarą, wśród ognia ukrytą,
Niewielu odnajdzie w kryształach wyrytą.*

Powtórzyli tę zwrotkę jeszcze raz. Głosy stawały się coraz bardziej ochryple i powolne, jakby śpiewającym popuchły języki. Ktoś zachichotał.

Charlotte pociągnęła Baxtera za rękaw. Zawahał się, więc lekko go popchnęła; odsunął się niechętnie, ustępując jej miejsce przy wizjerze. Wzięła głęboki oddech, stanęła na palcach i przyłożyła oko do otworu. Zobaczyła słabo oświetlony pokój, w którym kłębił się dym kadzideł. Pod ścianą naprzeciwko stała wielka szafa. Charlotte rozpoznała Hamiltona i Norrisa, którzy tak samo jak pozostali członkowie klubu, siedzieli na tureckich poduszkach otaczających piecyk. Trzymali w rękach szklanki z klaretem, ale wydawało się, że bardziej niż wino interesuje ich zapach palących się ziół.

*Są żądni tej wiedzy Hermesa uczniowie,
Lecz sięgną jej tylko płomienia magowie.*

Teraz już prawie nie można było zrozumieć słów psalmodii. Mężczyźni kiwali się nad

swoimi szklankami. Dym dolatujący przez dziurkę w ścianie drażnił powonienie. Łzy napłynęły Charlotte do oczu i zamglily wzrok. Odwróciła głowę, by złapać trochę powietrza.

- Widzę maga - odezwał się któryś z mężczyzn. - Już jest wśród nas.

Charlotte szybko przyłożyła z powrotem oko do wizjera. Ze zdziwieniem ujrzała w pokoju nową postać. Była całkowicie pewna, że nikt nie otwierał drzwi. Wyglądało to tak, jakby postać wyszła z szafy.

Mag powoli przeszedł przez pokój i stanął między mężczyznami leżącymi bezwładnie na poduszkach. Od stóp do głów okrywała go obszerna szata, twarz miał osłoniętą opuszczonym aż po oczy kapturem. Charlotte nie mogła dostrzec jego rysów - początkowo sądziła, że z powodu cieni w pokoju i kaptura, ale potem przybysz lekko odwrócił głowę i wtedy zobaczyła, że jego twarz przykrywa błyszcząca czarna maska z jedwabiu.

To tylko taka rozrywka dżentelmenów, pomyślała. Gra, którą Hamilton i jego przyjaciele sobie wymyślili, żeby się zabawić. Ale mimo tego rozsądnego rozumowania, przeniknął ją dreszcz przerażenia, którego nie mogła opanować.

- Pokaż nam, jak silna jest dziś twoja moc - powiedział Norris z fałszywą brawurą.

Zakapturzony mężczyzna podniósł rękę. W jego dłoni zaśnił błyszczący wisiołek. Członkowie klubu wpatrywali się w niego z nie ukrywaną fascynacją.

Po plecach Charlotte przebiegł zimny dreszcz. Zapach ziół stał się wszechogarniający. Przynęła się bliżej, próbując obejrzeć wisiołek.

Baxter położył jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się i bez słowa odsunęła na bok. Teraz Baxter patrzył przez dziurkę. Przyłożyła ucho do ściany.

- Już wiem, co masz zrobić - powiedział któryś z młodych ludzi. - Wpraw go w trans, w którym proponujemy, co ma zrobić później.

- Rozkaż Norriemu, żeby podczas wieczorku u Claphamów zapiszczał jak kurczak.

- Każ mu pokazać goły tyłek na Pall Mail w godzinie szczytu.

- Zmuś go, żeby zatańczył ze smarkulą lady Buelton, która tak się zachwyca obrzydliwą końską twarzą swojej córki.

- Nie ma takiej siły, ani fizycznej, ani metafizycznej, która zmusiłaby mnie do tańca z córką lady Buelton - oświadczył Norris ospale, ale z wyraźnym rozbawieniem.

Stwierdzenie to przyjęto cichymi śmieszkami. A potem w pokoju zapadła cisza.

Charlotte przycisnęła ucho do ściany, lecz nic nie słyszała. Pociągnęła Baxtera za rękę. Zawahał się i ustąpił jej miejsca przy wizjerze.

Spojrzała w dziurkę w ścianie i ze zdziwieniem zobaczyła, że w sąsiednim pokoju panuje całkowita ciemność. Ktoś zgasił lampę. Na piecyku ciągle jeszcze paliły się węgle, ale

ich słaby, czerwony poblask nie mógł wydobyć z mroku twarzy mężczyzn.

Mag zapalił pojedynczą świecę, postawił ją przed Norrisem i wolno przechadzał się wśród cieni; poły jego szaty wirowały wokół niego, wisiołek w jego ręku kołysał się powoli, łapiąc i odbijając światło świecy.

Członkowie klubu wznowili swoją psalmodię, tym razem w ciężkim, pulsującym rytmie, który zmroził krew w żyłach Charlotte.

*Ołów i srebro, bursztyn i złoto,
Ta stara wiedza zadziwia prostotą...*

Charlotte, nie zważając na coraz bardziej idący do głowy aromat kadzideł, przywarła mocniej do wizjera. Wydawało jej się, że słyszy maga, ale jego głos ledwo przebijał się przez coraz głośniejszy śpiew. Wstrząsnął nią nowy dreszcz, lecz nie potrafiła oderwać się od ściany.

Musiała, po prostu musiała tam wejść. Ogarnęła ją przemożna potrzeba zobaczenia wisiora z bliska. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwała tak naglącej konieczności.

Baxter chwycił ją wpół i odsunął od wizjera. Usiłowała wyrwać się z jego objęć. Położył dłoń na jej ustach i siłą oderwał ją od ściany. Próbowwała z nim walczyć. Wtedy zacisnął jeszcze mocniej rękę na jej ustach i z całej siły przycisnął Charlotte do piersi.

Nie mogła się poruszyć. Ze złością próbowała oderwać jego palce, ale Baxter wprost przygwoździł ją do siebie. Poczowała, że kręci się jej w głowie. Chwyliła kilka haustów powietrza - stęchłego, ale wolnego od kadzidła. I nagle jej wzrok zatrzymał się na małym okienku oświetlonym blaskiem księżyca. Zwiotczała w ramionach Baxtera.

- Co, u diabła, się stało? - dziwiła się, zawstydzona swoim zachowaniem.

Trzymając nadal dłoń na jej ustach, Baxter pociągnął ją do drzwi. Zrozumiała. Trzeba już iść. Lepiej stąd odejść, póki członkowie klubu i ich ulubiony mag oddają się eksperymentom.

Dotknęła dłoni Baxtera, by dać mu znać, że jest gotowa pójść za nim. Chwilkę się zawahał, a potem powoli zdjął rękę z jej ust. Nie odezwała się.

Wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi. Otworzył je, wyjrzał, po czym popchnął ją na korytarz.

Ostrożnie ruszyli w kierunku schodów. Baxter otworzył drzwi, spojrzał w dół i skinął na Charlotte.

- Nie ma nikogo. Ja pójde pierwszy. Musimy się pospieszyć.

Charlotte nie sprzeciwiła się. Szybko poszła za nim po wąskich, kręconych schodach. Baxter znów zatrzymał się na chwilę w małym holu na dole. Był pusty. Z oddali dochodziły tylko przytłumione odgłosy kasyna.

Chwilę później byli już bezpieczni na dworze. Charlotte zauważyła, że kiedy przebywali w klubie, mgła zgęstniała. Opadła na ogród lśniąc tajemniczo w światłach dochodzących z okien.

Gdy przechodzili koło wygodki, usłyszeli gardłowy męski głos śpiewający fałszywie pijacką piosenkę:

*Pokazałem jej woreczki,
Aść wybieraj, bom ci rad.
Blondyneczka się splonila,
Twarz rączkami zaslonila.
Panie, wielka twoja łaska,
Biorę kuśkę; lecz, do diaska,
Także mieszek daj mi wraz.*

Baxter poprowadził Charlotte przez ciemną alejkę. Zawadziła butem o coś ciężkiego. Zachwiała się i zdusiła okrzyk.

- Nic ci nie jest? - spytał nie zwalniając kroku.

- Nic. Chyba wpadłam na jakąś porzuconą skrzynkę.

Nie odpowiedział. Szybko doszli do ulicy. Latarnie przejeżdżających we mgle powozów lśniły nienaturalną, bajkową poświatą. Od strony wejścia do „Zielonego Stolika” dobiegały pijackie śmiechy i krzyki.

Charlotte naciągnęła mocniej kaptur. Baxter zdjął okulary, opuścił rondo kapelusza i podniósł kołnierz płaszcza. Tych kilka ruchów całkowicie zmieniło jego wygląd.

Chwilę później siedzieli już bezpiecznie w powozie. Charlotte westchnęła z ulgą i opadła na poduszki. Gdy powóz ruszył, Baxter zapalił lampę i wygodnie rozsiadł się w rogu.

- Wiesz, co tam się działo? - spytała Charlotte.

- Sądzę, że Hamilton i jego przyjaciele uczestniczyli w pokazie mesmeryzmu.

Charlotte bacznie mu się przyglądała. Czerwonawe światło lampy odbijało się w złotych oprawkach okularów, rozplýwało się po szklach i przydawało ostrym rysom Baxtera srogiego wyrazu. Niemal widziała, jak zapada się w otchłań własnych myśli. Zimna inteligencja wyparła z jego oczu nawet najmniejszy ślad uczuć.

- Mówisz o zwierzęcym magnetyzmie? - spytała.

- Tak. I sądzę, że jego działanie zostało wzmocnione dzięki jakiemuś narkotykowi domieszanemu do ziół.

- Tak, jasne. Ziola. - Charlotte zmarszczyła czoło. - Chyba pod koniec sama ich za dużo się nawdychałam. To bardzo dziwne, ale ogarnęło mnie nagle pragnienie spojrzenia z bliska na wisiołek maga. Po prostu musiałam go zobaczyć.

- Wiem - odparł sucho Baxter. - Bardzo się przy tym upierałaś.

Charlotte zaczerwieniła się.

- Na szczęście był to tylko chwilowy efekt. Teraz już czuję się całkiem normalnie.

- Charlotte, moja droga, słowo „normalnie” absolutnie do ciebie nie pasuje.

Nie wiedziała, co ma znaczyć ta uwaga, więc pominęła ją milczeniem.

- A jeśli chodzi o tę bzdurę z mesmeryzmem, to czytałam dzieło doktora Mesmera, a także artykuły napisane przez osoby, które twierdzą, że używając podobnych technik osiągają nadzwyczajne efekty lecznicze. Jednak zawsze mi się to wydawało najzwyklejszą szarlatanerią.

- Jak też tak uważam, ale mesmeryzm fascynuje poetów, a także mojego kamerdynera, Lamberta, który leczy swoje bóle reumatyczne u niejakiego doktora Flatta.

- Jednak to, co widzieliśmy dziś, nie ma nic wspólnego z leczeniem.

- Nie. - Baxter odchylił firankę i patrzył w zamyśleniu na pogrążoną we mgle ulicę. - Cóż niektórzy - włączając w to naśladowców człowieka o nazwisku Maindauduc - twierdzą, że za pomocą mesmeryzmu można zrozumieć zjawiska związane z okultyzmem.

- To znaczy?

- Na przykład alchemię - niechętnie wyjaśnił Baxter.

- Ten zaśpiew... - szepnęła Charlotte. - Pamiętasz, jakim dziwnym wierszem członkowie klubu przywoływali maga? Chyba były w nim jakieś odniesienia do alchemii: „rtęć, siarka i sole”.

- Masz rację. - Baxter nie patrzył na nią. Wydawało się, że absorbuje go ciemność za oknem. - Rtęć, siarka i sole stanowiły dla starożytnych alchemików podstawę wszelkich arkanów, włącznie z tajemnicą otrzymywania złota. Istniała teoria mówiąca, że ten, kto zdoła oddzielić z tych substancji ich nadnaturalną istotę, posiadzie, między innymi, sekret transmutacji jakiegokolwiek metalu w złoto.

Coś w głosie Baxtera przykuło uwagę Charlotte.

- Między innymi? Czego więcej prócz przemiany ołowiu w złoto mógłby pragnąć alchemik?

I wtedy Baxter na nią spojrział. Za szklami jego okularów płonął niebezpieczny ogień.

- Dla prawdziwego alchemika tajemnica przemiany zwykłego metalu w złoto była tylko znakiem, że jest na dobrej drodze.

- Nie rozumiem. Jaki zatem był prawdziwy cel ich doświadczeń?

- Alchemicy szukali kamienia filozoficznego, tajemnicy wszechrzeczy, podstawowej wiedzy o naturze świata. Gdyby ją odkryli, zdobyliby nieograniczoną władzę.

Po plecach Charlotte przebiegł dreszcz, niepodobny do tego, co odczuwała obserwując maga. Teraz, gdy patrzyła w oczy Baxtera, tak bardzo odmienione płonącym w nich zimnym ogniem, wszystko w niej zastygło. I nie po raz pierwszy doznała tak dziwnego uczucia. Mag przerażał, podczas gdy alchemiczna nawałnica szalejąca w oczach Baxtera przyciągała ją ku sobie z nieprzepartą mocą. Baxter nie miał nic wspólnego ze złem uosabianym przez odzianego w czarne szaty maga.

Jednak, jak sobie tłumaczyła, potężny intelekt połączony z niezłomną wolą zawsze stanowi niebezpieczną kombinację. A Baxter posiadał obie te cechy. Musi więc mieć się na baczności.

Ale dźwięki ulicznego ruchu rozmyły się w oddali. Mgła i noc tłumili wszelkie zewnętrzne doznania, aż wreszcie powóz stał się jedynym bezpiecznym miejscem na świecie. Cała reszta była tylko bezpostaciowym oparem.

Charlotte czuła się złapana w pułapkę światła lampy. Była tu ze swoim kochankiem, z mężczyzną, w którym nieświadomione żądze cielesne i potrzeba bliskości prowadziły wojnę przeciw żądzy poznania starożytnej wiedzy alchemicznej. W tej chwili zastygłego czasu uświadomiła sobie jeszcze coś. Jeżeli Baxter nie odkryje, że miłość jest prawdziwą nazwą filozoficznego kamienia, którego tak poszukiwał, oboje mogą spalić się w ogniu namiętności.

- Charlotte, co ci jest? Masz taki dziwny wyraz twarzy.

To nagłe pytanie wyrwało ją z zamyślenia. Zamrugła, a potem odwróciła wzrok od badawczego spojrzenia Baxtera.

- Nic takiego - powiedziała. - Po prostu zastanawiałam się nad odniesieniami do alchemii, jakie usłyszałam w tej psalmodii. O co chodziło, gdy śpiewali o „magach płomienia”?

- To stary alchemiczny termin. Powstał dlatego, że zawsze przy pracy posługiwano się tyglami ogrzewanymi nad ogniem.

- A co ma z tym wspólnego Hermes?

- To Hermes Trismegistos, Wielu alchemików wierzyło, że Hermes ustanowił prawa alchemii i spisał je na tablicy wykonanej ze szmaragdu.

- „Zielony Stolik” - szepnęła Charlotte.

- Tak. - Baxter uśmiechnął się ponuro. - Ten lokal jest gorszy niż samo piekło. Wydaje mi się, że Hamilton i jego przyjaciele uczynili z mesmeryzmu kamień węgielny swojego tajemnego klubu. Dodali do tego jeszcze trochę rytuału i kadzidła, a potem znaleźli sobie clowna, który ich zabawia.

- A może to on ich znalazł? - zasugerowała.

- Całkiem możliwe. To zdumiewające, jak w naszych czasach każdy szarlatan potrafi zbić majątek działając na wyobraźnię ludzi z wyższych sfer. Większość osób obracających się w towarzystwie skarży się na nieustanną nudę, która ich zmusza do szukania niecodziennych rozrywek.

- Ale przecież w rozrywkach, którym oddaje się Hamilton, nie tylko nie ma nic złego - powiedziała wolno Charlotte - a nawet wprost przeciwnie, bo jego tajemny klub zajmuje się poważniejszymi sprawami niż wiele innych tego rodzaju stowarzyszeń. Twój brat przynajmniej nie ryzykuje złamania karku w wyścigach faetonów rozgrywanych o północy. Ani nie chodzi do najgorszych dzielnic w poszukiwaniu zabawy. „Zielony Stolik” nie oferuje wzniosłego spędzania czasu, ale jeszcze nie jest najgorszy.

- To prawda. - Baxter znów wpatrzył się w zamgloną ulicę. W powozie zapadła cisza.

- Baxter, czym się tak przejmujesz?

- Tym, co się łączy z tą sprawą.

- O czym mówisz?

Spojrzał jej prosto w oczy i Charlotte jeszcze raz poczuła lodowaty dreszcz na plecach.

- O rysunku Drusilli Heskett.

- Powiedz, o co ci chodzi.

- W jakiś niejasny sposób znam ten wzór. Mam prawie całkowitą pewność, że widziałem taki sam rysunek dawno temu, w starym podręczniku alchemii, który kiedyś oglądałem w domowej bibliotece.

- I wydaje ci się, że to ma jakiś związek z alchemią? - spytała przestraszona.

- Jeszcze nie jestem pewny. Miałem zbyt mało czasu, by to dokładnie sprawdzić. Jednak przypominam sobie mgliście, że bardzo dawno temu widziałem taki sam rysunek, jaki spostrzegłaś w bloku pani Heskett.

- Dobry Boże. - Charlotte usiłowała zrozumieć wszelkie implikacje słów Baxtera. - Chcesz przez to powiedzieć, że istnieje jakiś związek między klubem „Zielonego Stolika” a tym morderstwem?

- To jest tylko jedna z możliwości - podkreślił spokojnie Baxter. - Zresztą jest ona mało prawdopodobna. Jednak postaram się odkryć, co łączy te wszystkie wątki.

- Dlaczego mówisz, że jest to mało prawdopodobne? - Charlotte ogarnęła gorączka, gdy zrozumiała, że coś odkryła. - Między tym wszystkim istnieje ścisły związek. Nie zapominaj, że pani Heskett była blisko związana z lordem Lennoxem, którego syn, Norris, jest członkiem klubu. Jak pamiętasz, to właśnie on był dziś przedmiotem mesmerycznego doświadczenia.

- Tak, ale kochankiem Drusilli był lord Lennox, a nie jego syn. - Baxter uśmiechnął się do Charlotte. - I stary Lennox raczej nie bywa w „Zielonym Stoliku”. Tego rodzaju rozrywki nie są w jego stylu. Poza tym, jak sądzę, członkami klubu mogą być tylko młodzi ludzie w rodzaju Hamiltona.

- Być może, ale mogło się zdarzyć, że nieszczęsna pani Heskett w czasie, gdy była związana z ojcem Norrisa, zdobyła niechcący jakieś informacje o jednym z członków klubu. - Charlotte zmarszczyła czoło z namysłem. - Jednak nie wyobrażam sobie, jaka informacja byłaby na tyle ważna, żeby ktoś z tego powodu musiał ją zabić.

- I właśnie na tym polega cała tajemnica. Czy mogła dowiedzieć się czegoś, co kosztowało ją życie? Członkowie klubu usiłują poznać sekrety mesmeryzmu, ale to samo robi mnóstwo innych ludzi.

- Baxter, to wszystko zaczyna się coraz bardziej gmatwać.

- Mnie się też tak wydaje.

- Jeżeli w „Zielonym Stoliku” doszło do morderstwa, tobie również może coś zagrażać.

Ich spojrzenia znów się spotkały.

- Zanalizujemy to krok po kroku, jak w poprawnie przeprowadzanym doświadczeniu. Przede wszystkim muszę się przekonać, czy nasze podejrzenia co do rysunku są słuszne. Potem dowiemy się, kto jest właścicielem „Zielonego Stolika”. Kimkolwiek jest ten człowiek, powinien wiedzieć, co się dzieje w jego lokalu.

Charlotte spojrzała na Baxtera z podziwem i nawet nie próbowała tego ukryć.

- Jestem pewna, że okażesz się znakomitym plenipotentem - powiedziała.

13

Mały alchemiczny traktat był jedną z najstarszych książek w bibliotece Baxtera. Od dawna nie zdejmował go z półki. Kupił ten starodruk całe lata temu i teraz już nawet nie bardzo wiedział, po co.

Alchemia zdecydowanie należała do historii; nie przystawała do nowoczesnych czasów. Stanowiła ciemną stronę chemii, diabelską mieszaninę okultyzmu i metafizycznych spekulacji. Co za bzdura!

Ale w alchemii kryła się też głęboka tajemnica, która intrygowała go zawsze, a już zwłaszcza za młodych lat. Nieprzerwane, obsesyjne poszukiwanie kamienia filozoficznego czyli, ujmując to nowocześniej, badanie podstawowych praw rządzących naturą, wywoływało u niego głęboką, pierwotną fascynację, której nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć.

I w ten sposób stał się posiadaczem zbioru książek takich jak ta.

Skórzana oprawa była popękana, ale grube stronicie zachowały się w zdumiewająco dobrym stanie. Gdyby nie był tak wyczerpany długą, bezseną nocą, strona tytułowa by go rozbawiła. Zgodnie z tradycją alchemików piszących traktaty na temat swoich badań, również ten autor posłużył się wzniosłym pseudonimem. Arystoteles Augustus.

Prawie tak dźwięczne jak Basil Valentine, pomyślał Baxter. Tym właśnie nazwiskiem podpisał swoje *Rozmowy o chemii*. Ale on miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat, dopiero co skończył Oksford. Odczuwał potrzebę przyjęcia pseudonimu, który miałby swoją wagę.

Basil Valentine był legendarnym alchemikiem. Wniknął głęboko w arkana ognia. Mówiono, że odkrył wielkie sekrety i poznał naturę czystej mocy.

Krótko mówiąc, to nazwisko brzmiało o wiele bardziej podniecająco i romantycznie niż zwykle Baxter St. Ives.

Teraz Baxter lubił myśleć, że od czasu ukończenia studiów osiągnął już pewną dojrzałość.

Oparł ręce na polerowanym mahoniowym biurku i przyglądał się cienkiemu tomikowi otwartemu na stronie tytułowej. Łacińskie słowa głośno: *Prawdziwa historia tajemnic ognia*.

Rysunek, niezdatny szkic trójkąta wpisanego w okrąg, znajdował się pośrodku strony.

Był bardziej zrozumiały niż szkic Drusilli Heskett. Widniejące na nim zygzaki nie przedstawiały robaków, lecz mitologiczne bestie, a kropki stanowiły maleńkie symbole, które Baxter rozpoznał jako symbole alchemiczne.

Rysunek był zwykłą mieszaniną metafor i kryptonimów, tak ulubionych przez alchemików. Starożytni delectowali się ciemnymi mocami i bardzo pilnowali, by ukryć swoje sekrety przed profanami. Baxter wiedział, że ma przed oczami diagram stanowiący alchemiczny klucz, piktograficzny opis pewnego tajemnego eksperymentu, który - właściwie przeprowadzony - powinien doprowadzić do odkrycia kamienia filozoficznego.

Bez wątpienia istniał tu ścisły związek z „Zielonym Stolikiem”, jednak nasuwały się trzy pytania: dlaczego Drusilla Heskett skopiowała ten diagram w swoim bloku; dlaczego ktoś uznał za konieczne skraść blok z domu Charlotte, wreszcie, dlaczego Drusilla została zamordowana?

Baxter zamknął *Prawdziwą historię tajemnic ognia* i spojrział na stojący zegar. Dochodziło wpół do szóstej rano. Gdy wrócił po odwiezieniu Charlotte do domu, nie mógł zasnąć. Szukając odpowiedzi na swoje pytania, spędził resztę nocy w bibliotece. Teraz stał tu w samej koszuli, bo po przyjściu rzucił surdut i fular na najbliższe krzesło.

Znużonym ruchem zdjął okulary i potarł nasadę nosa. Czuł się tak, jakby na ramieniu usiadł mu wielki, czarny ptak, zwiastun nieszczęścia. Rozpoznawał nadchodzące niebezpieczeństwo. Trzeba było jak najszybciej ustalić plan działań, a najważniejszym zadaniem była ochrona Charlotte do czasu, gdy zagadka zostanie rozwiązana. Ale najpierw musi się przespać.

Jakiś łomot i głośna rozmowa w holu przerwały tok jego myśli.

- Zejdz mi z drogi, ty gamoniu. Nie zatrzymasz mnie. Rusz się, przeklęta pokrako!

Baxter westchnął. Słownictwa nowej gosposi nie powstydzilby się niejeden doker, ale miała też ogromną zaletę: była rannym ptaszkiem. Poprzednia wstawiała dopiero w porze śniadania.

W holu rozległ się następny łomot.

- Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Odeszłabym już wczoraj gdyby nie to, że siostra nie mogła mnie przenocować.

- Nie zechciałaby pani zostać jeszcze przez dwa tygodnie, pani Pearson? - Baxter usłyszał błagalny głos Lamberta, przytłumiony ścianą. - Tak trudno jest znaleźć służbę. A wie pani przecież, że pan St. Ives dobrze płaci.

- Co mnie obchodzi, ile ten szaleniec płaci! Te wszystkie dziwne hałasy w laboratorium, dama wrzeszcząca, jakby ją ktoś żywcem obdzierał ze skóry! Nie będę

tolerowała takich rzeczy. Odejdź od drzwi, ty roztrzęsiony stary głupcze!

Baxtera dobiegł jeszcze jeden cichy sprzeciw Lamberta, głośny okrzyk i ostateczne trzaśnięcie drzwiami, tak mocne, że aż zatrzęsły się ściany.

Zapadła cisza.

Chwilę później, słysząc delikatne pukanie do drzwi biblioteki, Baxter przymknął oczy wiedząc, czego może się spodziewać.

- O co chodzi, Lambert? - Powoli odwrócił się do drzwi.

Lambert ostrożnie wszedł do pokoju. Musiał zostać wyrwany ze snu i nie zdążył się do końca ubrać. Jego rzadkie siwe włosy sterczały na wszystkie strony, zakiet miał nie zapięty i był tylko w jednym bucie. Jednak udało mu się zachować z wielką godnością.

- Proszę mi wybaczyć, proszę pana, ale nowa gosposia właśnie odeszła.

- Niech to szlag. Przecież ostatnio nie było żadnych wybuchów, nagłych błysnięć światła ani doświadczeń z elektrycznością. Więc co jej się nie spodobało?

- Pani Pearson poczuła się zdenerwowana tym hm... wczorajszym incydentem w laboratorium.

- Jakim incydentem? Wczoraj nie przeprowadzałem żadnych doświadczeń. - Baxter nagle zamilkł, bo przypomniał sobie, co wczoraj działo się w laboratorium. Dama żywcem obdzierana ze skóry. Poczuł dziwne ciepło na policzkach. Dobry Boże, zaczerwienił się!

- Krzyk damy - mruknął.

- Tak, proszę pana - przyznał zażenowany Lambert. - Krzyk damy.

Baxter rozzłościł się.

- Pokazywałem tylko najskuteczniejszą technikę stosowania dmuchawki. Moją narzeczoną interesują sprawy naukowe. Gdy zobaczyła, jak mocny płomień można uzyskać w ten sposób, okazała prawdziwy entuzjazm.

- Tak, proszę pana - odparł Lambert tęsknie. - Umiejętność skutecznego posługiwania się dmuchawką musi być bardzo przyjemna. Moja już od dobrych paru lat sprawia kłopoty.

- No dobrze, Lambert, nie stój tak. Zrób sobie coś na śniadanie i przejdź się po agencjach, gdy tylko otworzą. Musimy znaleźć nową gosposię.

- Tak, proszę pana. - Lambert skłonił się. - Czy przygotować panu jajka i grzanki?

- Nie trzeba. - Baxter ze znużeniem masował sobie kark. - Prześpiję się parę godzin. W ogóle nie kładłem się w nocy.

- Dobrze, proszę pana.

- Och, jeszcze jedna sprawa. - Baxter obszedł biurko, otworzył szufladę, wyjął z niej kartkę i naskrobał parę słów. - Zanieś to proszę jak najwcześniej do domu hrabiego

Eshertona.

- Oczywiście, proszę pana. - Lambert zmarszczył czoło, jakby uderzyła go jakaś myśl.
- Skoro już mowa o listach, czy widział pan ten, który zostawiłem na tacy w holu? Przyniesiono go wieczorem, gdy nie było pana w domu.

- Nie, nie widziałem go.

- Wydaje mi się, że to od pana ciotki. - Lambert przekuśtykał przez hol do stolika, wziął list ze srebrnej tacy i przyniósł go do biblioteki.

Czekając, aż wyschnie atrament na napisanym przed chwilą bileciku, Baxter przeczytał wiadomość od Rosalind.

Drogi Baxterze,

czy zaszło coś nowego? Niecierpliwie czekam na wiadomość od ciebie. Do tej pory musiałeś już przecież coś odkryć.

Twoja

Lady E.

PS. Lady G. już się dopytuje o datę ślubu. Przez jakiś czas mogę lawirować, ale nie potrwa to wiecznie. Wiesz, jaką jest niepoprawną plotkarką. Może po prostu wyznaczymy odległy termin? Na przykład następne Boże Narodzenie?

Jakby i bez tego nie było dość kłopotów, pomyślał, dla ukoronowania fikcyjnych zaręczyn Rosalind chce wyznaczyć fikcyjną datę ślubu.

- Przepraszam pana. - Głos Lamberta brzmiał jeszcze bardziej chorobliwie niż zwykle.
- Oczywiście załatwię sprawę nowej gosposi i zaniosę list, ale dziś wypada mi wizyta u doktora Flatta. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę pana, chciałbym dotrzymać terminu. Stawy dokuczają mi dziś wyjątkowo mocno.

- Oczywiście, oczywiście. Nie trać tej wizyty. - Nagle coś przyszło Baxterowi do głowy. - Czy doktor Flatt stosuje zioła albo kadzidła?

- Nie, proszę pana. Posługuje się siłą wzroku i pewnymi ruchami rąk, by zogniskować zwierzęcy magnetyzm. To po prostu działa cuda.

- Rozumiem. - Baxter ziewnął i złożył list. - Słowo daję, Lambert. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

- Staram się pracować ku pańskiemu zadowoleniu, proszę pana. - Lambert wziął bilecik do Hamiltona, odwrócił się i powoli, z bólem, poszedł do kuchni.

Przez otwarte drzwi Baxter przyglądał się schodom. Sypialnia wydawała mu się tak

odległa. Sofa znajdowała się o wiele bliżej. Zamknął drzwi i podszedł do stolika z karafką koniaku, by odłożyć tam okulary. Potem padł na sofę. Przez chwilę wpatrywał się w sufit. Najważniejsze, by Charlotte nic się nie stało.

Zapadł w sen.

Ciężkie poły czarnego płaszcza zawirowały wokół potwora stojącego w holu. Odczuwała ulgę, że w ciemności nie może zobaczyć jego twarzy. Jakaś część jej umysłu nie chciała wiedzieć nic ponadto, co już wiedziała o tym człowieku. To tak, jakby wrodzone poczucie przyzwoitości opierało się chęci spojrzenia prosto w zło i ujrzenia go w ludzkiej postaci.

Jednak umysł ostrzegał ją, że zło, którego nie można zidentyfikować i nazwać, jest tym bardziej niebezpieczne w swojej anonimowości. Chwyliła mocniej nie naładowany pistolet.

- Natychmiast opuść ten dom - szepnęła.

Melodyjny śmiech potwora wywołał w ciemności przyływ przerażenia. Z przeszłości w przyszłość przepłynęły małe fale i teraz potwór będzie już wiedział, że pistolet jest nie naładowany.

- Wierzysz w przeznaczenie, mój mały aniele zemsty? – spytał żartobliwie potwór.

Drzwi sypialni gwałtownie się otworzyły.

- Charlotte! Charlotte, obudź się!

Charlotte otworzyła oczy. Zobaczyła, że Ariel biegnie do jej łóżka. Nocna koszula i naprędce włożony szlafrok wirowały wokół jej gołych nóg.

- Ariel?

- Krzyczałaś. Pewnie przyśniło ci się coś złego. Już w porządku?

- Tak. - Charlotte z trudem usiadła. Serce ciągle jeszcze waliło jej w piersi, a ciało miała wilgotne od potu. - Śniło mi się coś okropnego, ale już jest dobrze.

- Pewnie masz koszmary przez to śledztwo w sprawie śmierci Drusilli Heskett. - Ariel zapaliła świecę przy łóżku. Płomień oświetlił jej zmartwioną twarz. - Czy to był jeden z twoich dawnych snów? Taki, jakie miewałaś po tym, jak Winterbourne został zamordowany?

- Tak. - Charlotte podciągnęła nogi pod kołdrę i oplotła je rękami. - To był właśnie taki sen. Już od tak dawna mnie nie prześladowały. Miałam nadzieję, że odeszły na zawsze.

Ariel przysiadła na łóżku.

- Co robiliście wczoraj wieczorem z panem St. Ivesem? Wróciłaś bardzo późno. Nie

widziałam cię, odkąd wyszłaś z wieczorku u Hatrichów. Gdzie poszłście?

- To długa historia. Rano ci wszystko opowiem. Baxter zdołał odnaleźć Hamiltona, ale nie mógł z nim porozmawiać.

- Ach, tak.

Charlotte zawahała się.

- Czy Hamilton mówił ci coś o mesmeryzmie?

- Masz na myśli zwierzęcy magnetyzm? - Ariel zmarszczyła brwi. - Coś wspominał, gdy wyszliśmy na taras podczas balu u Clyde'ów. Chyba interesuje się tym i ma na ten temat sporą wiedzę. Mówił, że nowocześni naukowcy lekceważą możliwości tkwiące w mesmeryzmie.

- Tacy naukowcy jak jego brat?

- No właśnie. - Ariel westchnęła. - Wyraża się raczej pogardliwie o zainteresowaniu pana St. Ivesa chemią.

- Hm. - Charlotte odsunęła koc, wstała z łóżka i podeszła do okna. - Wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się z Baxterem, że Hamilton i jego przyjaciele eksperymentują z mesmeryzmem w swoim klubie.

- No to co? Wielu ludzi zakłada kluby albo stowarzyszenia, by zajmować się badaniami naukowymi.

- Tak, to prawda. - Charlotte dotknęła czubkami palców zimnej szyby. Nie wiedziała, jak wyjaśnić sobie ten dziwny lęk, którego doświadczyła obserwując z niechęcią, ale i z fascynacją zajęcia członków „Zielonego Stolika”. To, co widziała, nie było dobre. Poruszyło jej wyobraźnię tak bardzo, że przyśnił jej się koszmar. - Ale obawiam się, że klub Hamiltona może trochę się różnić od innych tego rodzaju stowarzyszeń.

- Charlotte, muszę ci powiedzieć, że cała ta sytuacja coraz bardziej mnie niepokoi.

- Mnie też. - Charlotte odczuła prawdziwą ulgę wypowiadając to na głos. Odwróciła się do siostry. - Oboje z Baxterem obawiamy się, że może istnieć jakiś związek między „Zielonym Stolikiem” a śmiercią Drusilli Heskett.

- Och, nie! - Ariel zerwała się na nogi. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że Hamilton miał coś wspólnego z tym morderstwem? Nie uwierzę w to!

- Nic takiego nie twierdzę. Ale może ktoś inny w klubie jest w to zamieszany.

- Przecież wszyscy członkowie klubu są jego przyjaciółmi. Na pewno żaden z nich nie jest wplątany w morderstwo.

- Nie wiemy, czy Hamilton zna wszystkich dobrze. Przecież jest ich całkiem sporo. Sama wieczorem widziałam co najmniej sześciu. Może któryś z nich nie jest bliskim

przyjacielem Hamiltona.

- Może. - Ariel przygryzła w zamyśleniu wargę. - Sądzisz, że mogłabym ci pomóc pytając Hamiltona o jego przyjaciół?

Charlotte zawahała się.

- Nie. Zostawmy to panu St. Ivesowi. W końcu są braćmi.

- Tak, ale obawiam się, że niezbyt się lubią.

- Ojciec złożył na Baxtera odpowiedzialność za Hamiltona, a on wypełni ten obowiązek.

- Mówisz tak, jakbyś była tego całkowicie pewna.

- Bo jestem. - Charlotte uśmiechnęła się ze znużeniem.

Ariel przyjrzała jej się bacznie.

- Gdy przed chwilą powiedziałam, że cała ta sprawa coraz bardziej mnie niepokoi, nie miałam na myśli tylko śmierci pani Heskett.

- A co jeszcze?

- Nie próbuj mnie zwodzić. Martwię się śledztwem, ale jest jeszcze coś, co niepokoi mnie o wiele bardziej.

- O co ci chodzi?

- Jesteś zakochana w panu St. Ivesie?

Charlotte zabrakło tchu. Minęła długa chwila, zanim się opanowała.

- Charlotte?

- Tak - odparła cicho.

- Tego się właśnie obawiałam - szepnęła Ariel. - Chyba miałas rację twierdząc, że to niebezpieczny człowiek.

Czas gęstniał i rozlewał się niczym scukrzony miód wyciekający z rozbitego dzbana. Baxter widział, jak przez ogniste cienie leci ku niemu butelka z kwasem. Próbował zrobić unik, ale w tym bursztynowym oparze trudno było szybko się poruszać. Mógł tylko odwrócić się i osłonić ręką oczy.

Butelka uderzyła go w ramię. Kwas szybko przeżarł cienki len koszuli i już palił jego nagą skórę z intensywnością piekielnych płomieni.

Zdołał dobiec do okna. Na dole czekało na niego morze. Skoczył w ciemność.

W laboratorium zagrzmiały wybuchy, zamieniając je w piekło. Zanim zimne wody morza zamknęły się nad jego głową, usłyszał jeszcze głos Morgana:

- St. Ives, wierzysz w przeznaczenie?

A potem słyszał już tylko łomot fal o skały.

Bxter poderwał się, całkowicie rozbudzony. Puls walił mu jak oszalały. Poczł wilgoć na plecach i przez jedną przerażającą chwilę pomyślał, że to kwas.

Wstał z sofy, z całej siły ściskając koszulę. I wtedy zdał sobie sprawę, że to pot przykleił len do skóry. Opadł z powrotem na poduszki i tak pozostał, skulony, opierając łokcie na kolanach.

Po chwili wyprostował się i jeszcze drząc na całym ciele, zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Ze wszystkich sił próbował się opanować.

W głowie ciągle jeszcze huczał łoskot fal.

- Niech to szlag, St. Ives. Weź się w garść. - Powoli wypuścił powietrze zmuszając się do powrotu do stanu spokoju i obojętności, w którym zawsze czuł się tak dobrze.

Nagle raz jeszcze rozległo się głośne walenie. Ale nie był to łoskot fal uderzających o skały, który słyszał w swoim koszmarze. Ktoś walił pięścią w drzwi wejściowe.

Baxter powoli podniósł się, przeczesał palcami włosy i obciągnął koszulę. Ogarnęła go złość. Od dawna już nie prześladował go ten sen. Miał nadzieję, że odszedł na zawsze.

- Otwórz drzwi!

To Hamilton.

Baxter przypomniał sobie, że Lambert wyszedł załatwić kilka spraw. Sam więc poszedł otworzyć.

Rzeczywiście był to Hamilton. Twarz miał ściągniętą ze złości, oczy zmrużone tak, że wyglądały jak wąskie szparki. Podniósł dłoń w drogiej rękawiczce i pokazał zgniecioną kartkę.

- Jak mam rozumieć tę obraźliwą wiadomość?

- Chciałem cię zmusić, żebyś zwrócił na to uwagę.

- Jak śmiesz grozić mi odebraniem kwartalnej pensji, jeżeli nie będę tańczył na dwóch łapkach? - Wchodząc do domu Hamilton uderzał szpicrutą o but. Zerwał z głowy cylinder i rzucił go na stolik. - Nie masz prawa ograniczać moich dochodów. Ojciec kazał ci zarządzać moimi dobrami, dopóki nie skończę dwudziestu pięciu lat, ale nie pozwolił ci ich kraść.

- Uspokój się. Nie mam zamiaru pozbawiać cię majątku. - Baxter wskazał ręką bibliotekę. - Po prostu potrzebowałem od ciebie kilku informacji, i to dość szybko. Siadaj. Im szybciej skończymy tę rozmowę, tym prędzej będziesz mógł wyjść.

Hamilton rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, wszedł do biblioteki i rzucił się na krzesło.

- No więc? Co takiego chcesz wiedzieć?

- Po pierwsze, chciałbym ci pokazać coś, co odkryłem w pewnej książce. - Baxter podszedł do biurka, wziął tomik, który tam wcześniej położył, i otworzył go na stronie z alchemicznymi symbolami. - Widziałeś kiedyś takie rysunki?

Hamilton niecierpliwie rzucił okiem na obrazek. Otworzył usta, najwyraźniej chcąc powiedzieć, że nie i że nic go to nie obchodzi, ale nagle w zdumieniu szeroko otworzył oczy.

- Skąd to masz?

- Więc poznajesz te wzory. - Baxter zamknął książkę. Oparł się o biurko i bacznie przyglądał się rozzłoszczonemu Hamiltonowi. - To ma jakiś związek z twoim klubem, prawda?

Hamilton zacisnął palce na szpicrucie.

- A co ty możesz wiedzieć o moim klubie?

- Wiem, że prowadzicie tam eksperymenty ze zwierzęcym magnetyzmem. Niektórzy nazywają to mesmeryzmem. I uciekacie się do starożytnych alchemicznych odniesień, palicie też narkotyczne zioła, by uzyskać odpowiednią scenerię.

Hamilton zerwał się na równe nogi.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Mam swoje źródła - odparł Baxter wzruszając ramionami.

- Nie masz prawa mnie szpiegować. Już ci mówiłem, że to, co robię w swoim klubie, to nie twoja sprawa.

- Może się zdziwisz, ale całkowicie się z tobą zgadzam.

- Więc, do diabła, po co stawiasz mi te wszystkie pytania?

Baxter obrócił książkę w dłoniach.

- Ponieważ w bloku rysunkowym Drusilli Heskett znalazłem rysunek bardzo podobny do tego, który ci właśnie pokazałem.

- Mówisz o tej pani Heskett, która niedawno została zamordowana? - spytał zdziwiony Hamilton.

- Tak. I będę z tobą szczery. Możliwe, że któryś z członków klubu jest zamieszany w morderstwo.

- Nie możesz tak mówić! - wybuchnął Hamilton. - Jak śmiesz rzucać takie oskarżenia na moich przyjaciół?

- Nie rzucam oskarżeń. Chcę cię tylko ostrzec, że może istnieć taki związek. To wszystko.

- Mam tego dość! - Hamilton ruszył do drzwi. - Nie pozwolę, byś się mieszał w moje sprawy. Na Boga, nawet jeżeli nie mogę dysponować majątkiem, który prawnie do mnie należy, ciągle jeszcze jestem hrabią Eshertonem. Nie muszę ulegać kaprysom bękarta.

Baxter pozostał niewzruszony. Dzięki opanowaniu, którego musiał uczyć się przez całe życie, na jego twarzy nie pojawił się nawet najmniejszy ślad uczuć.

- Jest jeszcze jedna drobna sprawa, milordzie.

Hamilton zaczerwienił się słysząc lodowatą uprzejmość Baxtera.

- Nie mam zamiaru odpowiadać na żadne z twoich przeklętych pytań.

- To będzie całkiem proste - odparł spokojnie Baxter. - Jak dobrze znasz Julianę Post?

- Post? - Hamilton skrzywił się. - Nie znam nikogo takiego. - Wymierzył w Baxtera szpicrutę. - Ostrzegam cię, St. Ives. Odczep się ode mnie. Czy to jasne?

- Rozumiem cię bardzo dobrze. Ojciec też cię rozumiał. - Baxter uśmiechnął się cierpko. - Zawsze mówił, że jesteś do niego bardzo podobny.

Hamilton zacisnął wargi. Przez chwilę wydawał się zmieszany, jakby nie spodziewał się tak łagodnych słów. Baxter miał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale tylko się okręcił i wyszedł.

Baxter przypomniał sobie, co mówiła mu wieczorem Charlotte: „Jeżeli morderca związany jest z „Zielonym Stolikiem”, twój brat może znaleźć się w niebezpieczeństwie”.

Potem przypomniał sobie głos ojca. „Opiekuj się bratem po mojej śmierci. Jeszcze przez jakiś czas ktoś powinien nim kierować. Ten chłopiec jest taki podobny do mnie, gdy byłem w jego wieku. Gorąca krew i lekkomyślność. Baxter, dopilnuj, by nie skręcił sobie karku”.

- Hamilton.

- Co jeszcze? - Hamilton był już przy drzwiach i odwrócił się z wściekłością.

- Masz rację, że nie mam prawa wtrącać się w twoje sprawy. - Baxter zawahał się, starając się dobrać jak najlepiej słowa. - Ale dla dobra twojej matki, a także dla dobra tytułu, który przekazał ci ojciec, ufam, że zachowasz ostrożność. Szkoda byłoby, gdybyś dał się zabić, zanim spłodzisz dziedzica.

- Zapewniam cię, że w „Zielonym Stoliku” nie ma nic niebezpiecznego. Po prostu chcesz mnie przestraszyć. Chciałbyś, żebym się źle czuł w towarzystwie moich przyjaciół. Jakie to małostkowe z twojej strony.

- Tak ci się wydaje?

- Chyba nie spodziewasz się, że uwierzę w twoją troskę o moje dobro.

- Dlaczego? - Baxter lekko uśmiechnął się. - Przecież nie mam żadnego powodu, by

działać na twoją szkodę. Jeżeli dasz się zabić, tytuł hrabiowski i tak mi nie przypadnie. Przejdź na naszego starego, koszmarnego kuzyna z Northumberlanda.

- Jednak zapewne znalazłbyś sposób, by położyć ręce na pieniądzech. - Hamilton wybiegł do holu, chwycił cylinder, ale jeszcze zatrzymał się przy drzwiach. - Do diabła, gdzie jest twój kamerdyner? Też ci wymówił pracę? Nie rozumiem, dlaczego nie potrafisz utrzymać służby... - Hamilton otworzył drzwi i przerwał gwałtownie swoją tyradę. - Proszę mi wybaczyć, panno Arkendale.

- Lordzie Esherton - powitała go uprzejmie Charlotte.

Baxter zmarszczył czoło słysząc jej głos. Wybiegł do holu i jeszcze zdążył zobaczyć, jak prostuje się po wykonaniu wytwornego dygu.

Na jej widok poczuł zwykle już, bolesne ukłucie w sercu. Była ubrana w zielono-biały płaszcz i suknię przybraną zieloną aksamitną wstążką. Pełne życia oczy obramowywane były szerokim rondem dopasowanego kolorem słomkowego czepka, spod którego wymykały się ciemnobrązowe loczki.

- Charlotte. - Baxter rzucił się ku niej. Zobaczył dorożkę czekającą na ulicy. - Co, u diabła, robisz tu o tej porze? I dlaczego jesteś sama? Powinnaś zabrać ze sobą gosposię albo siostrę. Nie życzę sobie, byś wychodziła sama z domu.

Hamilton przewrócił oczami.

- Jak zawsze jesteś uroczym panem domu, St. Ives - zauważył szyderczo. - Nie potrafisz się zdobyć na większą uprzejmość witając swoją narzeczoną?

Baxter zagryzł usta. Przyszło mu do głowy, że Hamilton ma chyba jednak rację.

Hamilton rzucił mu sarkastyczne, pełne wyższości spojrzenie i skłonił głowę nad urękawiczoną dłonią Charlotte.

- Panno Arkendale, muszę powiedzieć, że gdybym był na pani miejscu, przemyślałbym jeszcze sprawę tych zaręczyn. Nie ma wielkiej nadziei, by po ślubie manieri Baxtera się poprawiły.

Charlotte uśmiechnęła się i weszła do holu.

- Wezmę pod uwagę pańskie słowa, lordzie Esherton. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam panom.

- Absolutnie nie. - Hamilton rzucił Baxterowi jeszcze jedno gniewne spojrzenie. - Właśnie skończyliśmy rozmowę.

- Już? - Charlotte spiorunowała Baxtera wzrokiem, ale wobec Hamiltona była przemilo uśmiechnięta. Zaczęła obojętnie rozwiązywać wstążki czepka. - Czy spytał pana o Julianę Post?

- O co chodzi z tą Post? - Hamilton wyszedł na schody przed domem. - Nigdy o niej nie słyszałem.

- Byłam tego pewna. - Oczy Charlotte błyszczały z zadowolenia. - Ale Baxter uważał, że musi o to zapytać.

- Ach, tak. - Hamilton zacisnął usta. - Mój drogi przyrodni brat ostatnio doskonale się bawi mieszając się w moje prywatne sprawy. A wydawałoby się, że całą jego uwagę powinno zajmować planowane małżeństwo. Życzę miłego dnia, panno Arkendale. - Z tymi słowy wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi.

Charlotte gwałtownie się odwróciła, by stawić czoło Baxterowi.

- Mówiłam ci, że chcę być obecna podczas tej rozmowy. Zobacz, do czego doprowadziłeś. Podejrzewam, że nie zachowałeś się taktownie. Nie wiem, co mu powiedziałeś, ale jest najwyraźniej wściekły.

- Takt nie jest moją mocną stroną.

- Zauważyłam. Ale przynajmniej otrzymałeś odpowiedź. Mówiłam ci, że on nie ma nic wspólnego z panną Post.

- Rzeczywiście.

- A to oznacza, że ona naprawdę może mieć jakiś związek z morderstwem - spuentowała Charlotte. - Morderca wie, że razem stanowimy dla niego zagrożenie, więc posłużył się panną Post, by zniszczyć nasz związek.

- Nie wiem, skąd mógłby się tego dowiedzieć. Jak do tej pory jedynie przeszukaliśmy dom pani Heskett i zaręczyliśmy się. Do diabła, Charlotte, dlaczego przysłałaś tu sama?

Charlotte zmarszczyła czoło.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę jesteś o to na mnie zły?

- Tak. - Zerwał okulary z nosa i zaczął je czyścić chustką. - Jestem cholernie wściekły na ciebie, tym bardziej że już wiemy, iż to nie Hamilton wysłał ją do ciebie.

- Ależ, Baxter, w biały dzień nic mi nie może się stać.

- Niech to szlag! Kobieto, prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. - Włożył z powrotem okulary. Znów stracił panowanie nad sobą i to go przerażało. - Powinnaś wykazać choć trochę zdrowego rozsądku.

- Nie ma powodu, by tak mnie besztać, panie St. Ives. Muszę ci jeszcze raz przypomnieć, że nie zamierzam przyjmować od ciebie rozkazów.

Baxter pomyślał, że gdyby on sam miał choć trochę zdrowego rozsądku, zamilkłby teraz. Hamilton miał rację: w stosunkach z kobietami i w radzeniu sobie z ich przekłątą wrażliwością jest niezdarny, ma ciężką rękę i brakuje mu wdzięku.

Spojrzał w piękne oczy Charlotte i znów ogarnęło go straszliwe przeczucie niebezpieczeństwa, które odczuł już wcześniej. Może ją spotkać coś złego. Czarne skrzydła dopiero co doznanego koszmaru sennego trzepotały i wirowały w jego podświadomości. Na szczęście złość pomagała mu utrzymać strach na wodzy.

- Bardzo dobrze, panno Arkendale - powiedział. – Zgodziliśmy się już, że nie zamierzasz słuchać moich rozkazów. Jednak jeżeli nie troszczysz się o własne bezpieczeństwo, przynajmniej mogłabyś mieć na względzie mój spokój ducha.

W oczach Charlotte natychmiast pojawiło się zrozumienie.

- Tak, oczywiście - szepnęła.

Z jakiegoś niepojętego powodu jej nagła spokojna, uprzejma zgoda wcale go nie ułagodziła. Poczul natomiast, że powinien wytłumaczyć swój zły humor.

- I bez tego mam dość zmartwień. Ciotka nalega, bym udzielił jej odpowiedzi, a ja ich nie znam. Maryann oczekuje, że utrzymam mojego okropnego przyrodniego brata z dala od kłopotów, ale on wcale mnie nie słucha. Odkąd ta cała sprawa się zaczęła, nie mam w ogóle czasu na doświadczenia chemiczne, a na dodatek właśnie odeszła kolejna gosposia. To już czwarta w ciągu pięciu miesięcy.

- Baxter, rozumiem to wszystko. - Charlotte uśmiechnęła się do niego. - Przykro mi, że w ostatnim czasie masz takie urwanie głowy. Ale to się niedługo skończy i będziesz mógł podjąć swój normalny tryb życia. Pomyśl, że wkrótce załatwimy tę sprawę i już nigdy więcej nie będziesz musiał się ze mną widywać.

Baxter poczuł nagle, że spada w fale szalejące pod oknem zamku. Blizny na ramieniu paliły go zimnym płomieniem. Musiał użyć całej siły rozumu, by zwalczyć ten niewytłumaczony przyływ paniki.

- Tak, wiem o tym - powiedział spokojnie.

W holu zapadła okropna cisza.

Baxter odwrócił się i poszedł do biblioteki. Charlotte bez słowa ruszyła za nim.

- Jednak póki jeszcze tu jesteś, chciałbym ci powiedzieć, że powinniśmy skierować śledztwo w innym kierunku. Zamiast zajmować się adoratorami Drusilli Heskett, przypatrzmy się bliżej członkom klubu Hamiltona.

- Doskonale. Zgadzam się z tobą.

- Przypuszczam, że istnieje tu jakiś związek z młodym Norrisem, spadkobiercą Lennox.

- Pani Heskett miała romans z jego ojcem, ale nie mogę sobie wyobrazić Norrisa jako mordercy - sprzeciwiła się Charlotte.

- Ja też nie - przyznał Baxter. - Jednak może to stanowić dobry początek. Poproszę ciotkę, by mi pomogła jak najszybciej dostać zaproszenie do ich domu.

- To nie będzie trudne - odparła Charlotte. - Ariel mi mówiła, że najstarsza siostra Norrisa pojutrze wydaje bal maskowy w rodzinnej rezydencji.

14

Charlotte z dumą patrzyła, jak coraz to inny młody dżentelmen prowadzi do tańca przebraną za nimfę Ariel.

- Czyż ona nie jest nadzwyczajna? - uśmiechnęła się z matczynym zadowoleniem na widok par wirujących w tańcu pod błyszczącymi jak klejnoty kolorowymi lampionami, które na tę noc zastąpiły zwykłe kandelabry.

- W tym przyćmionym świetle jest dla mnie tylko niewyraźną plamą - powiedział opryskliwie Baxter. - Nie widzisz, że nie mam okularów? Są w kieszeni tego cholernego domina.

- Och, tak, zapomniałam. Trudno nosić jednocześnie maskę i okulary. - Spojrzała na niego i poczuła dziwny dreszcz strachu, który jednak nie miał nic wspólnego z tym, co planowali na później.

W długim, czarnym dominie z kapturem i w maseczce Baxter nie odróżniał się od wielu innych mężczyzn występujących w takim samym kostiumie. Wybrał ten strój, by zachować całkowitą anonimowość na zatłoczonej sali balowej i oczywiście postąpił słusznie.

Ale lękiem przejmował ją fakt, że nie ożywiona niczym głęboka czerń obszernego domina i maski tak doskonale do niego pasuje. Stała jej nagle przed oczami wizja Baxtera, który w otoczeniu alchemicznego ognia i z tygłem w dłoni znika na zawsze w jakiejś ciemnej jaskini.

Ona sama, w chwili beztroski, postanowiła wystąpić w kostiumie Diany Łowczyni. Jak wyjaśniła Ariel, taki kostium jest idealny dla damy, która zajmuje się polowaniem na morderców.

- Nienawidzę balów kostiumowych - mruknął Baxter. - Dorośli ludzie biegają w maskach i przebraniach. Co za głupota!

- Musisz przyznać, że akurat ten bal jest nam bardzo na rękę.

- Tak. Powiedz mi, kiedy Ariel pójdzie na parkiet z Norrisem.

- Przed chwilą dała mi znak. Norris zaprosi ją do następnego tańca.

Cały plan ułożyli po południu. To Ariel zaproponowała, że zapewni Baxterowi

dodatkową osłonę, bo nie sprawi jej żadnego trudu zajęcie Norrisowi czasu na tę chwilę, gdy Baxter będzie szukał jego sypialni i ją rewidował.

- Więc mamy jeszcze trochę czasu. - Baxter gwałtownie odstawił na stolik kieliszek z szampanem. - Równie dobrze możemy go spędzić na parkiecie.

Charlotte zamrugła ze zdziwienia.

- Baxterze, czyżbyś prosił mnie o taniec?

- A co w tym złego? Przecież jesteśmy zaręczeni. Narzeczeni robią tego rodzaju rzeczy. Mam nadzieję, że zdołasz zatańczyć walca mimo tego głupiego łuku i strzał, które ci wiszą przy nadgarstku.

- To element mojego kostiumu. I tak, sądzę, że zdołam zatańczyć walca. - Uniosła brwi za maseczką z piór. - Nie wiedziałam, że umiesz tańczyć.

- Dawno już nie tańczyłem. Dla ścisłości, od paru lat. - Nie czekając na formalne przyjęcie zaproszenia, wziął ją za rękę. - To pewnie mniej więcej tak samo jak z konną jazdą. Gdy człowiek już raz się tego nauczy, nie zapomina, jak to robić.

Charlotte pohamowała uśmiech i pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

- Miejmy nadzieję, że tak, bo pomijając galop z Lennoxem tamtego wieczoru, ja też od dawna nie tańczyłam.

Baxter zatrzymał się z brzegu zatłoczonego parkietu i objął Charlotte.

- Nie będziemy próbować żadnych wygibasów.

Charlotte zachichotała.

- Będziemy wyglądać jak para starych łajb przewalających się po jeziorze pełnym zgrabnych żaglowców.

- Nie bądź śmieszna. - Przez otwory w czarnej masce oczy Baxtera patrzyły na nią z podziwem. - Będiesz najwdzięczniejszą łajbą na tym jeziorze.

Ten niezręczny komplement powinien ją rozbawić, ale poczuła tylko ciepło w sercu.

- Dziękuję ci, panie. Od dawna nie słyszałam nic tak uroczego.

Nie mówiąc już nic więcej, Baxter mocniej ją objął i wśliznęli się między wspaniałe żaglowce.

Tak jak się spodziewała, Baxter tańczył z właściwą sobie kontrolowaną energią, ale w jego ruchach była ukryta zmysłowość, taka sama jak wtedy, gdy się z nią kochał. Cała poddała się tej chwili, tym bardziej że wiedziała, iż nie będzie ich wiele. Musiała chwycić każdą, zapisywać w pamięci, by potem, przez całą długą, samotną przyszłość, móc je stamtąd wyciągać i cieszyć się nimi.

Gdy tak wirowały wokół niej nutki walca, zapomniała na chwilę o powodach, dla

których znajduje się tu z Baxterem. Wiedziała tylko, że jest w ramionach kochanka, mężczyzny, którego twarz do końca życia będzie się jej ukazywała w snach.

Klejnoty lampionów rzucały świetlisty, różnokolorowy blask na kostiumy tancerzy. Sala balowa zmieniała się w skrzący się, bajeczny świat, zaludniony postaciami z legend i mitów. Odwieczni bogowie i boginie starożytnych Greków mieszały się z bóstwami Rzymu i Zamaru. Rozbójnicy i piraci rozmawiali z księżniczkami i elfami. A na powierzchni tego magicznego jeziora, w ramionach swojego alchemika, tańczyła Diana Łowczyni.

W końcu muzyka umilkła. Charlotte poczuła, że ma ochotę zalać się łzami. Pomyślała, że jej związek z Baxterem może nie trwać wiele dłużej niż ten taniec. Tę chwilę zachowała w sercu na zawsze.

- Charlotte? - Baxter zatrzymał się i patrzył na nią. - Na Boga, co ci się stało? Nadepnałem ci na palce?

Siłą woli otrząsnęła się ze smutku.

- Nie, oczywiście, że nie. - Jakoś udało jej się uśmiechnąć. - Chyba poszło nam raczej dobrze. Nie skompromitowaliśmy się wśród tych wdzięcznych jachtów i nie poszliśmy na dno.

Baxter kurczowo chwycił ją za rękę.

- Tak. Zdołaliśmy utrzymać się na powierzchni.

- To dobra wróżba, nie sądzisz? - Nie potrafiła ukryć nadziei brzmiącej w tych słowach. I wtedy zobaczyła kątem oka jasną głowę Ariel, ozdobioną wiankiem z wodorostów. Nie można jej było pomylić z nikim innym. - Baxter, Norris właśnie prosi Ariel do tańca. Lepiej już idź.

- Tak. - Baxter pociągnął ją w ciemny kąt przy tarasie. - Poczekaaj tu na mnie. Nie zabawię długo.

- Bądź ostrożny.

Nie odpowiedział. Ukradkowo wyjął z kieszeni zegarek, spojrzął szybko przez wieczko, odwrócił się i wyszedł na nie oświetlony taras.

Charlotte patrzyła za nim, zdumiona, że tak łatwo wtopił się w noc. Wiedziała, że pójdzie przez cieplarnię na tyłach domu, ale straciła go z oczu już w momencie, gdy schodził po schodach. Jeszcze przed chwilą mogła odróżnić czarne domino na tle żywopłotu, a już zaraz potem zniknął z jej pola widzenia.

Pojawił się przed nią lokaj w liberii. Charlotte wzięła szklanke lemoniady i odwróciła się ku sali balowej, by obserwować Ariel z nowym partnerem. Norris ubrany był w strój Rzymianina. Wyglądał olśniewająco w toczce, ale Charlotte zauważyła, że daleko mu do

zwykłego ożywienia.

Czas mijał z rozpaczliwą powolnością. Charlotte coraz bardziej się denerwowała. Powinna iść z Baxterem. Jak mogła się zgodzić pozostać tutaj?

Słuchając muzyki i przyglądając się tańczącym liczyła w myślach sekundy. Jej niepokój narastał. Mogła tylko mieć nadzieję, że Baxter znalazł już sypialnię Norrisa i teraz szybko ją przeszuka.

Wpatrywała się w Ariel i Norrisa, którzy z wdziękiem wirowali po parkiecie, kiedy nagły podmuch zimnego nocnego powietrza poruszył plisami jej kostiumu w zielonych kolorach lasu.

Wystraszona szybko obróciła się w stronę tarasu i zobaczyła znajomą postać w czarnym dominie stojącą w cieniu po drugiej stronie otwartego francuskiego okna. Twarzy nie mogła rozpoznać, gdyż człowiek ten naciągnął kaptur nisko na maseczkę.

Fałdy jego szaty wirowały wokół wysokich czarnych butów.

- Baxter - szepnęła.

Powinna odczuć prawdziwą ulgę, pomyślała spiesząc do drzwi balkonowych, że załatwił wszystko tak szybko, jednak jakiś lodowaty dreszczyk wzburzył jej nerwy. Może było to spowodowane nocnym powietrzem, które wydawało się o kilka stopni chłodniejsze niż jeszcze przed chwilą. Była już tylko o kilka kroków od zamaskowanego mężczyzny, gdy zdała sobie sprawę, że coś tu jest nie tak. Pomyliła się. To nie Baxter stał przed nią.

Postać w masce i dominie była zbyt wysoka, zbyt szczupła, zbyt wytworna. Nie miała silnych ramion Baxtera ani jego aury solidnej pewności. Charlotte intuicyjnie poczuła, że ten obcy nie należy do ludzi, z którymi chciałaby przebywać.

- Przepraszam, sir. - Charlotte zatrzymała się niezgrabnie. - Wydawało mi się, że to mój znajomy.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, chociaż poniżej maski jego pełne, zmysłowe usta lekko drgnęły. Wykonał nieznaczny ruch i fałdy czarnej szaty rozchyliły się ukazując odzianą w czarną rękawiczkę dłoń trzymającą samotną, czerwoną różę. Milcząco wyciągnął ją przed siebie.

Charlotte cofnęła się o krok. Spojrzała na różę, a potem na twarz ukrytą pod maseczką i kapturem.

- Obawiam się, sir, że pomylił mnie pan z kimś innym.

- Nie. - Głos był chrapliwy i zimny. - Nie pomyliłem się.

Charlotte zadrzała. W tym szorstkim głosie było coś, co obudziło jej dawne lęki. Niemożliwe, pomyślała. Nigdy nie słyszała tego głosu. Trudno byłoby zapomnieć tak

nienaturalne brzmienie.

Usiłowała zwalczyć swoją irracjonalną reakcję. Ten biedny człowiek musi cierpieć na jakąś chorobę strun głosowych. Może nawet urodził się z defektem warg lub gardła.

Z trudem zdołała się uśmiechnąć.

- Nie sędzę, byśmy się kiedyś spotkali. Proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać na salę. Ktoś tam na mnie czeka. - Odwróciła się, gotowa do ucieczki.

Och, nie, nie ucieka przed nim, pomyślała zirytowana. Po prostu było jej zimno i chciała wrócić do ciepłej sali balowej.

- Czy prowadząc dochodzenia w sprawach mężczyzn pomyślała pani kiedyś o przeznaczeniu?

Charlotte potknęła się i omal nie upadła. Przytrzymała się ściany tarasu.

Nie, to nie może być potwór. Głos nie jest taki sam.

Nigdy nie zapomni tamtego głosu. Był jak ciemna, aksamitna substancja rozlewająca się wśród czerni nocy. A ten głos był chrapliwy i zniszczony.

Powoli odwróciła się do nieznajomego. Nie może pozwolić, by poniosła ją wyobraźnia. Da sobie radę tylko wtedy, jeżeli odwoła się do logiki i rozsądku, zamiast ulegać starym lękom.

- Słucham? Co pan powiedział? - spytała ze spokojem, którego nie było w jej sercu.

- Nieważne. - Zamaskowana postać podała jej różę. - To dla pani. Proszę ją wziąć.

- Nie chcę.

- Musi pani wziąć tę różę. - Szorstki głos zniżył się do szeptu. - Chcę, żeby pani ją miała.

W tym chorym głosie brzmiała jakaś niesamowita natarczywość. Przyzywał i fascynował.

- Proszę ją wziąć.

Światła i dźwięki z sali balowej stały się bardzo odległe. Charlotte była sama z tym człowiekiem, a wokół panowała noc.

- Nie znamy się. Dlaczego daje mi pan ten kwiat?

- Niech pani go weźmie, to się pani dowie.

Te słowa wywołały w umyśle Charlotte obraz grudek śniegu zamarzniętych na grobie. Zawahała się, ale wiedziała, że nie może po prostu odwrócić się i uciec. Niebezpieczeństwo nie znika, gdy się od niego odwracamy plecami. Musiała się dowiedzieć, o co tu chodzi.

Niechętnie postąpiła do przodu jeden krok, potem drugi. Postać w obszernym dominie czekała z nieskończoną cierpliwością.

Gdy Charlotte była już całkiem blisko, dłoń w czarnej rękawiczce otworzyła się zniewalająco wdzięcznym ruchem. Dopiero wtedy zauważyła, że na jeden z kolców róży nabita jest kartka.

Wzięła kwiat do ręki. Obcy dwornie się skłonił, odwrócił, i zniknął w ciemnościach.

Charlotte pobiegła do skrzących się jak brylanty światła sali balowej, ale zatrzymała się przy oknie i rozłożyła papier. Przeczytała wiadomość pod szmaragdowym lampionem. Na liściku jarzyło się cudowne, zielonkawe światło.

Twój kochanek alchemik szuka kamienia filozoficznego zemsty. Obsesyjnie pragnie zniszczyć swojego brata. Ucieknie się do wszelkich środków, które w jego mniemaniu potrafią przemienić przeszłość; wykorzysta nawet twoje uczucie. Ale nigdy nie uda mu się zmienić zwykłego metalu, jakim jest jego pozycja bękarta, w złoto prawdziwego szlachectwa.

Bękart już raz zdradził kogoś, kto mu zaufał. Teraz też nie zawaha się przed popełnieniem zdrady. Strzeż się, zanim będzie za późno, bo możesz się stać jego kolejną ofiarą.

Charlotte gwałtownie zaczerpnęła oddech i zgmiotła kartkę w rękę. Odwróciła się w stronę tarasu, by przyjrzeć się cieniom, ale obcy w czarnym dominie już zniknął.

Bxter zdjął okulary, włożył je do kieszeni domina i szybko zawiązał z powrotem maseczkę. Wyszedł na korytarz, zamknął drzwi sypialni Norrisa i pobiegł do służbowych schodów.

Schodząc nie patrzył ani przez okulary, ani przez wieczko zegarka. Kinkiety na klatce schodowej były wygaszone, więc i tak było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Musiał zawierzyć zmysłowi dotyku i zapamiętanej, jednakowej odległości między stopniami.

Nie wiedział, czy odczuwać ulgę czy też rozczarowanie efektem szybkiego przeszukania pokoju. Nie znalazł nic, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę. Najbardziej oczywistym powiązaniem między śmiercią Drusilli Heskett a „Zielonym Stolikiem” był spadkobierca Lennox, ale może w tym wypadku oczywiste powiązanie nie było tym właściwym.

Idąc po schodach słyszał dobiegające z sali balowej stłumione dźwięki walca. Przynajmniej wyliczenie czasu było właściwe. Walc właśnie się kończył. Baxter chciał się już znaleźć przy Charlotte.

Pomyślał o walcu, którego przetańczyli razem, zanim poszedł wypełnić swoje bezowocne zadanie. Charlotte w jego ramionach była ciepła, pełna wdzięku i kobiecej żywotności, tak samo jak wtedy, gdy się z nią kochał. Jej zapach obudził w nim na nowo pożądanie, które zawsze czekało tuż pod powierzchnią skóry. Coraz trudniej mu było wyobrazić sobie dalsze życie bez niej.

Gdy wślizgiwał się do ciemnej oranżerii, zabrzmiały mu w głowie słowa, które wypowiedziała wczoraj po południu. „Pomyśl, że wkrótce załatwimy tę sprawę i już nigdy więcej nie będziesz musiał się ze mną widywać”.

Światło księżyca padało przez szyby cieplarni i oświetlało Baxterowi drogę. W nozdrza bił bogaty zapach ziemi i roślin. Przyszło mu do głowy, że Lennox mógłby być zainteresowany uczestnictwem w doświadczeniach nad chemią rolną. Potem przypomniał sobie stojące na parapecie w laboratorium doniczki z zielonym groszkiem, który nie chciał wykiełkować. Może nie warto prowadzić takich doświadczeń, bo i tak nie dają efektów.

Spojrzał przez wieczko zegarka, by w drodze do drzwi nie potknąć się o skrzynkę czy porzuconą motykę.

Chwilę później był już bezpieczny w ogrodzie i skierował się ku rozmazanemu blaskowi lampionów w sali balowej.

Gdy dotarł do tarasu, znajoma, niezbyt wyraźna postać zastąpiła mu drogę.

- Charlotte, miałaś czekać w środku.

- Baxter, to ty?

- Oczywiście. A kogo innego, do diabła, się tu spodziewałaś?

- To długa historia. Potem ci opowiem. Musiało się coś stać, bo Hamilton rozpaczliwie cię poszukuje.

- Hamilton? - Baxter zmarszczył czoło. Podchodząc bliżej do Charlotte zdołał zatrzymać spojrzenie na jej zaniepokojonej twarzy. - Czego chce?

- Baxter? - Głos Hamiltona dobiegł do nich z drugiego końca tarasu. - Szukałem cię. - Hamilton podbiegł do nich. - Muszę natychmiast z tobą porozmawiać.

- No więc znalazłeś mnie. O co chodzi?

- To... sprawa osobista. - Spojrzał w zakłopotaniu na Charlotte. - Proszę mi wybaczyć, panno Arkendale, ale muszę porozmawiać z Baxterem na osobności.

- Oczywiście - odparła szybko Charlotte. - Poczekam w sali balowej.

- Niech to szlag! - Baxter rozzłościł się, bo nic nie widział. Zdjął maskę i wsadził ją do kieszeni. Potem odnalazł okulary, włożył je i rzucił wściekłe spojrzenie na oddalającą się Charlotte. Światło załśniło w malutkim złotym łuku i strzałach. Ukazało również różę, którą

trzymała w ręku.

Już chciał ją spytać, skąd ma ten kwiat, ale zaraz zamknął usta, bo zdał sobie sprawę, że Charlotte jest zbyt daleko, by go usłyszeć.

- Baxter, to ważne. - Hamilton zastąpił mu drogę. Baxter niechętnie zwrócił ku niemu wzrok. Zobaczył, że Hamilton nie nosi kostiumu. Miał elegancko zawiązany fular, doskonale skrojony wieczorowy surdut i modnie plisowane spodnie. Na jego nie osłoniętej масечką twarzy rysowały się ponure linie.

- Hamilton, teraz jestem trochę zajęty. O co ci chodzi?

- Wczoraj... - Hamilton ciężko przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz: - Wczoraj poradziłeś mi, żebym był ostrożny. Ostrzegłeś mnie, że z moim klubem może się wiązać jakieś niebezpieczeństwo.

Słyszając te słowa, Baxter przestał myśleć o innych sprawach i skierował całą uwagę na Hamiltona.

- Czy coś ci się stało?

- Nie, to nie o mnie chodzi - odparł szybko Hamilton. - Ale martwię się o Norrisa. Wczoraj wieczorem przeprowadzaliśmy eksperyment z mesmeryzmem.

- Tak, wiem o tym. Obiektem tego doświadczenia był Norris.

- Jak się tego dowiedziałeś? - spytał niespokojnie Hamilton.

- Nieważne. No i co się stało? Czy Norris zrobił z siebie osła na sali balowej? Na pewno nie spodobało się to staremu Lennoxowi, ale nie sądzę, by doszło do jakiejś większej katastrofy. Majątek Lennox'a może zmasać każdą obrazę, nawet gdyby Norris pokazał goły tyłek.

Hamilton wytrzeszczył na Baxtera oczy.

- Nie wiem, skąd znasz te szczegóły naszego eksperymentu, ale teraz to nie jest ważne. Chodzi o to, że mag pod koniec...

- Mag?

Usta Hamiltona na chwilę zacisnęły się z niecierpliwością.

- Osoba, którą zatrudniamy do prowadzenia doświadczeń. Nazywamy go naszym magiem. Do tej pory doskonale się bawiliśmy, ale wczoraj mag nie ograniczył się do nakazania Norrisowi takich głupstw jak udawanie kurczaka podczas balu albo zdjęcie spodni. Jest o wiele gorzej.

- Co zrobił?

- Za pomocą mesmeryzmu nakazał Norrisowi, by wyzwiał Anthony'ego Tilesa.

- Norris wyzwiał Tilesa na pojedynek? Nie wierzę.

- To prawda. - Hamilton szeptem kontynuował opowieść. - W ciągu ostatnich dwóch lat Tiles brał udział w co najmniej trzech pojedynkach. Podobno zachowuje wtedy absolutny spokój, a jest doskonałym strzelcem. Zawsze rani przeciwnika.

- Tak, wiem o tym.

- Mówi się, że przynajmniej jeden z jego przeciwników umarł od ran. Inny dostał kulę w lewe ramię i teraz nie może się nim posługiwać. A trzeci po prostu zniknął. Nikt nie wie, co się z nim stało, ale krąży plotka, że nie dało się wyleczyć jego rany i teraz bez przerwy zażywa laudanum na uśmierzenie bólu.

- To prawda. Tiles zdobył sobie reputację doskonałego strzelca.

- Słyszałem, że codziennie ćwiczy w strzelnicy Mantona. Nikt przy zdrowych zmysłach by go nie wyzywał.

- No właśnie. Więc Norris też nie postąpiłby tak nierozsądnie.

Hamilton zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Ale właśnie to zrobił. Baxter, to takie niepodobne do niego. Nigdy nie wpada w złość. To najłagodniejszy z ludzi, jakich znam. Jest moim najlepszym przyjacielem, a obawiam się, że podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Zmuscie swojego maga, by odwołał rozkaz dany Norrisowi.

- Nie możemy go znaleźć - odparł z rozpaczą Hamilton. - Nie wiemy, gdzie mieszka ani jak się z nim skomunikować.

- A jak go poznaliście? - spytał Baxter marszcząc czoło.

- Sam się do nas zgłosił. Zaproponował, że nauczy nas, jak wchodzić w bezpośredni kontakt z siłami nadprzyrodzonymi. To było bardzo interesujące i świetnie się bawiliśmy. Ale teraz coś poszło źle.

- Rzeczywiście - powiedział cicho Baxter.

- Sprawy wymknęły nam się z rąk. Boję się, że o świcie Norris da się zabić.

- Mówimy o dzisiejszym świcie? - spytał przezornie Baxter.

- Tak, pojedynek odbędzie się dziś rano. Wszystko to stało się tak szybko.

- Zmusz Norrisa, by przeprosił Tilesa. Sądzę, że Tiles przyjmie przeprosiny.

- Próbowałem przekonać Norrisa do złożenia wyrazów ubolewania, ale on nawet nie chce o tym słyszeć. Baxter, on nie jest sobą. Kilka minut temu tańczył z panną Ariel tak, jakby nie miał najmniejszych powodów do zmartwienia. A przecież o świcie stanie oko w oko z Tilesem. To jakieś szaleństwo.

Baxter wpatrywał się w światła sali balowej.

- Baxter! - szepnął groźnie Hamilton. - Słyszałeś, co mówiłem? Dziś o świcie Norris

będzie ryzykował życie. Musimy go powstrzymać.

- Kogo poprosił na sekundantów?

- Powiedział, że skoro jestem jego najlepszym przyjacielem, więc muszę być jednym z nich. Kazał mi wybrać drugiego. Mówi, że sam nie będzie się tym kłopotał.

- I wybrałeś już kogoś?

- Nie. Na miłość boską, planowanie pojedynku to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Przyszedłem prosto do ciebie. Baxter, musisz mi pomóc.

- To, że nie masz jeszcze drugiego sekundanta, ułatwia sprawę - powiedział spokojnie Baxter. - Ja nim będę.

Hamilton był przerażony.

- Ależ ja zamierzam nie dopuścić do tego pojedynku.

- To może się nie udać. Mesmeryzm waszego maga okazał się całkiem skuteczny.

- Więc co zrobimy? Nie możemy pozwolić, żeby Norris dał się zabić.

- Może znajdzie się sposób na utrzymanie efektów tego eksperymentu pod kontrolą.

O wpół do czwartej nad ranem rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Charlotte siedziała sama w swoim gabinecie, bazgrząc jakieś notatki, by się uspokoić. Ariel jeszcze nie wróciła, a pani Witty spała jak suseł w swoim pokoju na górze.

Charlotte nie mogła się zmusić do odpoczynku. Od powrotu z balu maskowego trapił ją jakiś niepokój. Nie wiedziała, czy bardziej ją martwi rozmowa z nieznajomym w czarnym dominie, czy też rozpacz malująca się na twarzy Hamiltona. Najpewniej była tak zdenerwowana z obu tych powodów.

Słyszając kołatkę wstała i pobiegła do okna w holu. Zobaczyła rysującą się w ciemności postać Baxtera.

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i uśmiechnęła się drżącymi ustami.

- Miałam nadzieję, że wstąpisz w drodze do domu. Koniecznie chciałam z tobą porozmawiać.

- Nie wiedziałem, czy już nie śpisz.

Charlotte odstąpiła o krok wpuszczając go do domu. Baxter bezmyślnie rzucił kapelusz na stolik. Charlotte wydał się dziwnie odległy, jakby zżerała go jakaś troska. Wiedziała, że całą swoją inteligencję skupił na rozwiązaniu tego nie znanego jej kłopotu, z jakim zwrócił się do niego Hamilton.

- Stało się coś złego? - spytała zamykając drzwi.

Baxter poszedł do gabinetu.

- Dziś o świcie Norris ma spotkanie z jednym z najbardziej osławionych pojedykowiczów.

- Och, nie! - Pobiegnę za nim. - Jak ten nieszczęsny Norris wpakował się w taką sytuację? Wydał mi się taki miły, przyjacielski i spokojny. Nie należy do ludzi, którzy wplątują się w pojedynki.

- To prawda. - Baxter podszedł do stolika z koniakiem i podniósł karafkę. - Udzielono mu drobnej pomocy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pamiętasz tego maga, który zabawiał Hamiltona i jego przyjaciół w „Zielonym Stoliku”?

- Oczywiście. Co on ma z tym wspólnego?

- Wygląda na to, że gdy wyszliśmy, za pomocą mesmeryzmu zmusił Norrisa do wyzwania na pojedynek człowieka o nazwisku Anthony Tiles.

- Coś okropnego!

- Hamilton i reszta nie potrafili powstrzymać Norrisa. Gdy już doszło do wyzwania, nie zdołali go zmusić, by przeprosił. Próbowali znaleźć maga i kazać mu przerwać trans, ale nie wiedzą, gdzie go szukać.

- O mój Boże! - Charlotte osunęła się na fotel przed kominkiem. - Więc Hamilton poprosił cię o pomoc.

- Tak. - Oczy Baxtera zabłysły na krótką chwilę ponad szklaneczką koniaku. - Doszedł do krańca swoich możliwości i nie wiedział, do kogo się zwrócić. Jeszcze nigdy do tej pory nie prosił mnie o pomoc.

- I co zrobisz?

Baxter wzruszył ramionami.

- Ułożyłem pewien plan. Jeżeli mi się powiedzie, zakończymy sprawę bez rozlewu krwi.

- A jeżeli nie?

- Wtedy ktoś zginie.

- Twój plan się powiedzie - powiedziała Charlotte zaciskając ręce.

- Dziękuję ci za zaufanie. Hamilton na pewno ma wielkie wątpliwości.

- A co zaplanowałeś?

Baxter cierpko się uśmiechnął.

- Nic nadzwyczajnego ani podniecającego. Posłużyłem się moją znajomością chemii.

- Więc jestem pewna, że to będzie nadzwyczajne i podniecające, wprost błyskotliwe. -
Zamilkła na chwilę. - Chciałabym być przy tym i na własne oczy zobaczyć rezultat.

Baxter uniósł dłoń w geście wyrażającym zarówno ostrzeżenie, jak i prośbę.

- Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy być obecną podczas pojedynku. I bez tego mam dość zmartwień.

- Chyba masz rację. Kim jest ten Anthony Tiles?

Baxter powoli sączył koniak.

- To bękart.

Charlotte cierpko się uśmiechnęła.

- Z urodzenia czy z charakteru?

- I to, i to. Powinien być spadkobiercą fortuny Coltrane'ów. Jednak, jak to się zwykle mawiać, Anthony pochodzi z nieprawego łoża. Jest efektem romansu jego ojca z guwernantką. Ponieważ w tej rodzinie nie było prawowitych następców, tytuł i pieniądze przeszły na jakiegoś bratanka. Świadomość tego, co utracił, zżera Tony'ego od lat.

- Mówisz tak, jakbyś go znał.

- Poznaliśmy się w Oksfordzie.

- Skoro kiedyś się przyjaźniliście, może mógłbyś z nim porozmawiać?

- Nic bym przez to nie osiągnął. - Baxter podszedł do kominka. - Tony jest wyznawcą bardzo ścisłego kodeksu honorowego. Nie toleruje najmniejszej nawet urazy.

- Och...

- Spędza czas w najgorszych spelunkach szukając zwady. Pojedynkuje się z zadziwiającą częstotliwością. Wiadomo o co najmniej trzech razach, ale mogło ich być więcej.

- Nic dziwnego, że Hamilton tak się boi o swojego przyjaciela. - Charlotte jeszcze mocniej zacisnęła dłoń. - Ten Anthony Tiles rozpoczynał życie tak samo jak ty.

Baxter uderzył pięścią w gzyms i zapatrzył się w ogień.

- Obaj jesteście bękartami, jeżeli o to ci chodzi.

- Ale on stał się również bękartem z charakteru - odparła spokojnie. - A ty zostałeś prawdziwym dżentelmenem.

Baxter obrzucił ją szybkim spojrzeniem. W oprawkach jego okularów odbiły się płomienie.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?

- Anthony Tiles pozwoił, by okoliczności jego urodzenia skierowały go na drogę prowadzącą do zguby. Dzięki Bogu ty sobie stworzyłeś inny los.

- Hm...

- Twój ojciec wiedział, że wyrośniesz na prawego człowieka i że może ci powierzyć rodzinny majątek, a także opiekę nad swoim młodszym synem. Musiał być z ciebie wyjątkowo dumny.

Baxter nic nie odpowiedział. Przez długą chwilę tylko się wpatrywał w Charlotte, a potem bez słowa odwrócił się od ognia i opadł na sofę. Ze znużeniem przeczesał włosy palcami.

- Gdy załatwimy już sprawę z pojedynkiem, mam zamiar odszukać tego przekłętą szarlatana, który każe nazywać się magiem. Nie podobają mi się jego eksperymenty.

Charlotte zamknęła oczy i oparła się wygodnie o zagłówek fotela.

- Baxter, będziesz rano ostrożny, prawda?

- To nie ja mam stanąć przed wycelowanym pistoletem Tilesa, jeżeli rzeczy nie potoczą się zgodnie z planem.

- Znam cię zbyt dobrze i wiem, że jeżeli coś pójdzie źle, nie odsuniesz się, pozwalając spokojnie, by najlepszy przyjaciel Hamiltona został bezlitośnie zabity. - Otworzyła oczy i spojrzała na niego. - Obiecuj mi, że nie zrobisz nic, co by obraziło tego Anthony'ego Tilesa i zmusiło go do wyzwania ciebie.

Baxter, rozbawiony, leciutko się uśmiechnął.

- Nie obawiaj się. Już dawno temu przysięgłem sobie, że nigdy nie dam się zabić w tak głupim przedsięwzięciu jak pojedynek.

- Słyszę to z prawdziwą radością. - Uśmiechnęła się mimo zdenerwowania. - Biedny Baxter. Jedyne, czego pragniesz, to żeby cię pozostawiono w spokoju w twoim laboratorium, a ciągle ktoś cię zmusza, byś z niego wyszedł i męczył się z tymi przykrymi kłopotami.

- Istnieją różne rodzaje kłopotów - powiedział unosząc brew.

- Co to znaczy?

Baxter odstawił szklaneczkę z nie dopitym koniakiem i wstał. Podeszedł do Charlotte, wziął ją za rękę i postawił na nogi.

- Niektóre kłopoty są bardzo interesujące.

- Więc ja stanowię dla pana kłopot, panie St. Ives?

- Tak. - Pochylił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem.

≈ 15 ≈

Natychmiast ogarnęła go fala pożądania. Objął jej głowę dłońmi i całował usta, a potem szyję.

Czy zawsze będzie wywierała na nim takie wrażenie? Dopiero co jego uwaga była całkowicie skoncentrowana na sprawach morderstwa i pojedynku, a w tej chwili mógł już myśleć tylko o tym, jak absolutnym szczęściem jest trzymanie Charlotte w ramionach.

Powoli przyzwyczajał się do chaosu, jaki namiętność wprowadzała do jego życia, ale dziś nie rozumiał jej ani trochę lepiej niż na początku całej tej sprawy. Tajemnica namiętności była tak samo dziwna i przyzywająca jak poszukiwanie kamienia filozoficznego.

- Baxter? - Charlotte chwyciła go za kłapy surduta. - Czy mamy na to czas?

Uniósł głowę na chwilę dostatecznie długą, by zagubić się w niezgłębionej obietnicy zielonych oczu.

- Nie tyle, ile bym chciał. - Prawda tych słów uderzyła go jak grom. - Niech to szlag! Nigdy nie mamy dość czasu.

- Nie szkodzi. - Pocałowała go w brodę.

- I zawsze istnieje obawa, że ktoś wejdzie. - Obrzucił gabinet złym spojrzeniem. - A co gorsza, nigdy nie ma w pobliżu łóżka.

- Baxter...

- Jak do diabła można prowadzić normalny romans nie mając nawet sypialni do dyspozycji?

Charlotte przytuliła twarz do jego piersi i zaczęła wydawać jakieś cichutkie posapywania. Jej ramiona drżały.

Zaalarmowany, przytulił ją mocniej i niezgrabnie poklepał.

- Dobry Boże, Charlotte, nie płacz. Pomyślę, jak to załatwić.

- Jestem pewna, że to zrobisz. Zawsze umiesz wszystko załatwić. - Stłumione dźwięki przy jego piersi stały się głośniejsze. Czuł, że teraz Charlotte już drży na całym ciele. I nagle zdał sobie sprawę, że ona chichocze.

Włożył kciuk pod jej delikatny podbródek i uniósł jej głowę. W oczach Charlotte

tańczyły iskierki radosnego śmiechu.

Nie potrzebował Hamiltona, by to wyjaśnić. Żaden mężczyzna, obdarzony choćby odrobiną romantycznej wrażliwości, nie skarżyłby się na niewygodę w takiej chwili jak ta.

- Cieszę się, że to ci się wydaje takie zabawne - mruknął.

- To jest wprost fascynujące. Nieprzytomnie podniecające. Przejmuje dreszczem. - Stała na palcach, objęła go za szyję i pocałowała. Mocno, entuzjastycznie.

Natychmiast przestał się zamartwiać swoim brakiem romantyzmu, a także niewygodą. Fala gorączkowego pożądania powróciła i pochłonęła go.

- Dlaczego - wyszeptał odrywając się od jej ust - nigdy nie mam ciebie dosyć?

Charlotte nie odpowiedziała. Była zbyt zajęta rozpinaniem i zdejmowaniem z niego surduta. Po chwili był już nagi do pasa.

Jej palce dotknęły starych blizn po kwasie. Przycisnęła usta do zranionego ramienia i delikatnie pocałowała. Baxter zamknął oczy pod wpływem wzbierających w nim uczuć. Wciągnął głęboko powietrze, odzyskał równowagę, rozwiązał tasemki jej sukni. Powoli opuścił stanik i patrzył, jak światło ognia ozłaca jej piersi.

Dotknęła kącika jego ust.

- Gdy tak na mnie patrzysz, czuję się piękna.

Potrząsnął głową, oszołomiony lawiną emocji, które na niego spadły. Delikatnie potarł kciukiem jej brodawki.

- Jesteś piękna.

- I ty też - powiedziała cicho, ochryple. - Jesteś cudowny.

Baxter jęknął i pochylił głowę, by pocałować Charlotte w zagłębieniu piersi. Przywarła do niego pocierając stopą jego łydkę. Chwycił ją pod udo i mocno do siebie przycisnął. Jej spódnica otoczyła ich oboje.

Nie mógł czekać ani chwili dłużej. Wziął ją na ręce i położył na sofie. Zatrzymał się jeszcze tylko po to, by rozpiąć spodnie, a potem pochylił się i podsunął jej spódnicę aż do pasa.

Powoli rozsunał jej nogi, aż lewa stopa znalazła się na podłodze. Sapnęła zdając sobie sprawę, jak bardzo jest wystawiona na jego spojrzenie. Zbyt późno próbowała złączyć nogi.

- Nie. Proszę. Chcę cię widzieć. - Ukląkł koło sofy na jedno kolano. Czuł, że jej noga drży przy jego zebrach.

Położył dłoń na gorącym, różowym wzgórk. Charlotte zadrżała. Na podłodze, koło niego, jej noga wygięła się w łuk w odpowiedzi na pieszczotę.

- Baxter? - Koniuszek języka ukazał się między wargami i zaraz zniknął, gdy zaczęła

cicho kwilić.

Pochylił się wdychając cudowny zapach jej ciała. Cała jaśniała w świetle ognia. Rozdzielił delikatne fałdy skóry, by odkryć maleńki pączek.

Pochylił głowę i pocałował ją tam z cudownym zadowoleniem.

- Baxter. - Jej palce zacisnęły się na jego włosach. - O Boże, co ty robisz?

Nie zwrócił uwagi na wydyszane pytanie ani na wszystkie kolejne błagania o wyjaśnienie. Językiem podniecał jej łechtaczkę, dopóki nie nabrzmiała. Nie przerywał, aż wreszcie Charlotte nie mogła już mówić.

Gdy cicho jęknęła wbijając paznokcie w jego ramiona, szybko się podniósł, usadowił na niej i wszedł w jej ciasne, gorące wnętrze.

Przywarła do niego biorąc go tak głęboko w siebie, że stali się jednym. W alchemii tego związku nie był już sam.

Wszystko w nim zeszywniało. W następnej chwili doszedł do szczytu, odczuł gorący, oczyszczający ogień, który go uwolnił w sposób, jakiego nigdy jeszcze nie doznał.

Na piecyku tliły się zioła.

Wdychał je powoli, głęboko, rozkoszując się poziomem świadomości, na jaki się wzniósł. Niebawem będzie dysponował mocą.

Był gotowy.

- Odczytaj karty, kochana - szepnął.

Wróżka odkryła trzy karty i przez długą chwilę patrzyła na nie.

- Złoty gryf zbliżył się do feniksa - powiedziała wreszcie.

- To się staje coraz bardziej fascynujące.

- I coraz niebezpieczniejsze - ostrzegła.

- To prawda. Ale niebezpieczeństwo przydaje smaczku.

Wróżka położyła na stole kolejną kartę.

- Związek gryfa z damą o czystych oczach staje się coraz silniejszy.

- Wypływa z tego wniosek, że ona nie jest przypadkowym wątkiem w tym gobelinie - powiedział. Był zadowolony.

Bxaxter? - Charlotte leniwie się przeciągnęła, przejechała palcami po włosach na jego piersi. - Już późno.

- Wiem. - Niechętnie usiadł i spróbował się wyplątać z jej spódnicy. Wstał, poprawił

spodnie i spojrzął na zegar. - Do świtu pozostała niecała godzina. Muszę iść. Hamilton będzie się denerwował.

Charlotte szybko usiadła i podciągnęła stanic.

- A co z biednym Norrisem? To chyba on będzie się bardziej denerwował.

- Nie widziałem się z nim. - Baxter sięgnął po okulary, założył je, a potem chwycił koszulę. - Ale Hamilton twierdzi, że jest bardzo spokojny.

- Może ten jego nienormalny spokój spowodowany jest transem?

- Przeklęty mag. Będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań. - Baxter wygładził surdut i zawrócił, by się pożegnać. Na widok rozkosznie rozczochranej Charlotte rozpaczliwie pożałował, że ma tak naglące, spotkanie. - Gdy tylko będę coś wiedział, przyślę ci słówko.

-Baxter, bądź ostrożny. - Z jej oczu zniknął ostatni ślad słodkiej namiętności. Wstała z sofy. - Jestem niespokojna. To była dziwna noc. I jest jeszcze coś, o czym nie zdążyłam ci powiedzieć.

- Przyjdę do ciebie po południu... - Baxter gwałtownie przerwał, bo zobaczył na biurku zwiędniętą czerwoną różę. - To ten sam przeklęty kwiat, który już widziałem na balu. Chciałem cię o to zapytać, ale miałem inne zajęcia. Kto ci go dał?

- To długa historia. Może poczekać, aż załatwisz sprawę Hamiltona.

Nie zwrócił uwagi na lęk malujący się w jej oczach. Przebiegł gabinet i zrzucił różę z biurka. Wtedy zobaczył kartkę. Po karku przebiegł mu zimny dreszcz.

- A to co? Słodki bilecik?

- Zapewniam cię, że nie ma powodu do zazdrości.

- Nie jestem zazdrosny. Nie mam tej gorącej natury, która jest potrzebna, by odczuwać tak śmieszne emocje.

- To prawda. - Charlotte zamyśliła się. - Ale ja tak.

- Co to, do diabła, znaczy?

- Okropnie bym się czuła, gdyby jakaś kobieta przysłała ci kwiaty albo list.

Baxtera zdumiała gwałtowność jej tonu. Przez chwilę to, co zobaczył w jej oczach, odwróciło jego myśli od listu. Zakasłał, bo trudno mu było wydobyć głos.

- Wątpię, by jakakolwiek kobieta chciała przysłać mi kwiaty.

- Ach, nie bądź tego taki pewny. To cud, że nie musiałam odpędzać rywalek parasolką. I jak podejrzewam, zawdzięczam to tylko temu, że od dawna trzymasz się z dala od towarzystwa, więc nikt cię dobrze nie zna. To, że wolisz spędzać czas w laboratorium, okazało się dla mnie bardzo szczęśliwą okolicznością.

Baxter poczuł, jak na policzki wypływa mu rumieniec. Niech to szlag, teraz przez nią się czerwienię, pomyślał. Czy jej władza nade mną nie ma żadnych granic?

- Nie musisz się przejmować rywalkami. Nie ma żadnej.

- To dobrze.

Zmusił się do skierowania uwagi na list. Przeczytał go szybko, a potem, z niedowierzaniem, przeczytał jeszcze raz.

Twój kochanek alchemik szuka kamienia filozoficznego zemsty... Ucieknie się do wszelkich środków... wykorzysta nawet Twoje uczucia... Strzeż się... bo możesz stać się jego kolejną ofiarą.

- Niech to szlag!

- Baxter, nie zajmuj się tym teraz. Najpierw musisz załatwić sprawę pojedynku. Potem porozmawiamy o liście i róży.

Zgniółł papier w rękę i spojrzał jej w oczy.

- Kto ci to dał?

- Nie wiem, kim on był. Miał na sobie czarne domino. Gdy go zobaczyłam, myślałam, że to ty. Ale jego głos... - Zawahała się szukając słów. - Miał zły głos, zniszczony. - Spojrzała na zegar. - Musisz już iść. Potem ci wszystko opowiem.

- Już po raz drugi ktoś próbuje zwrócić cię przeciwko mnie.

- Nie uda mu się. - Poprawiając spódnicę poszła otworzyć drzwi. - Baxter, pośpiesz się. Hamilton na pewno już czeka, bo wierzy, że pomożesz mu uratować życie przyjaciela.

Miała rację. Nie miał czasu, by wydobyć z niej teraz całą historię. Musi robić wszystko po kolei.

- Do diabła! - Wyszedł do holu, wziął kapelusz i otworzył frontowe drzwi, ale jeszcze się obejrzał. Charlotte stała na progu gabinetu, w jej oczach malowała się troska. - Nie spałaś całą noc. Połóż się. Wrócę tu po południu i wtedy porozmawiamy o tym liście.

- Dobrze, ale przyślij od razu wiadomość o wyniku pojedynku.

- Oczywiście.

- I będziesz ostrożny?

- Przecież ciągle ci powtarzam, że to nie ja mam się strzelać z Anthonyem Tilesem.

- Wiem. Ale ja też ci ciągle powtarzam: rozumiem zbyt dobrze twój prawdziwy charakter, by uwierzyć, że będziesz tak ostrożny, jak bym sobie życzyła.

- Nie wiem, dlaczego twoim zdaniem jestem takim ryzykantem. Powinnaś wiedzieć,

że do tak brawurowego zachowania brakuje mi nie tylko temperamentu, ale także odpowiedniego ubrania. Dobranoc, Charlotte.

Nadszedł świt przynosząc ze sobą mgłę, która spowiła Brent's Field wirującym, szarym całunem. Odpowiednia atmosfera dla takiej głupiej, ponurej sprawy, pomyślał Baxter.

Stał z Hamiltonem przyglądając się, jak młody człowiek o twarzy świadczącej o zamiłowaniu do rozpusty godnej łajdaka dwa razy starszego, odlicza kroki.

- Raz, dwa, trzy...

Z pistoletami skierowanymi w niebo biały na twarzy Norris i Tiles z dzikim spojrzeniem oddalali się od siebie.

- ...osiem, dziewięć, dziesięć...

- Jesteś pewien, że to się uda? - spytał cicho Hamilton.

- Pytasz mnie już po raz dwudziesty - mruknął Baxter. - I po raz dwudziesty mogę powiedzieć ci tylko tyle, że powinno się udać.

- A jeżeli nie...

- Uspokój się - rozkazał Baxter łagodnie. - Już jest za późno, by coś zmienić.

Hamilton pogrążył się w nerwowym milczeniu.

Baxter spojrział na niego z ukosa. Hamilton denerwował się o wiele bardziej niż jego przyjaciel. Norris wyraźnie nie był sobą. Podczas przygotowań do pojedynku Baxter ukradkiem go obserwował.

Norris zachowywał się jak automat. Odpowiadał na pytania, które mu zadawano, ale nie chciał rozmawiać o szczegółach wydarzenia. Wydawało się, że właściwie nic wokół siebie nie zauważa. Gdy Hamilton prosił go po raz ostatni o złożenie Tilesowi wyrazów ubolewania, co zapobiegłoby pojedynkowi, Norris wyglądał tak, jakby go w ogóle nie słyszał.

- ...czternaście, piętnaście, szesnaście...

Hamilton zadrżał i jeszcze raz spojrział pytająco na Baxtera, lecz on tylko potrząsnął głową, w milczeniu ostrzegając go, by nic nie mówił.

Zrobił, co mógł, żeby dać Norrisowi jak najwięcej możliwości wyjścia z pojedynku z życiem, na wypadek gdyby jego plan się nie powiódł. Wynegocjował z sekundantami Tilesa odstęp dwudziestu kroków zamiast piętnastu, które proponowała tamta strona. Dodatkowa odległość między przeciwnikami utrudni skuteczne celowanie nawet tak dobremu strzelcowi jak Tiles.

- ...siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. - Rozwiążły młody

człowiek uśmiechnął się nieprzyjemnie w oczekiwaniu na czyjąś śmierć. - Gotowi. Pal!

Baxter usłyszał, jak Hamilton zachłystuje się powietrzem. Na polu przeciwnicy zwrócili się do siebie przodem. Norris nawet nie próbował uważnie wycelować. Po prostu wymierzył mniej więcej w kierunku Tilesa i nacisnął spust. Z głośnym hukem kula poszła w mgłę.

Tiles nie drgnął. Uśmiechnął się chłodno i uniósł pistolet.

Norris wolno opuścił broń. Przez twarz przeniknął mu wyraz zdziwienia. Popatrzył na Tilesa, który starannie celował, a potem na Hamiltona. Baxter zauważył w jego oczach szok i przerażenie. Potem Norris znów zwrócił spojrzenie na Tilesa. Poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku. Jak mysz atakowana przez węża.

Z przyprawiającą o drzenie starannością Tiles strzelił.

We mgle rozległ się kolejny wybuch.

Norris kilka razy zamrugał, a potem spojrzał w dół, jakby spodziewał się zobaczyć krew.

Nie tylko on był zdumiony. Wszyscy patrzyli zaskoczeni, bo Norris nadal stał prosto i nie był ranny.

- Niech to diabli! Tony chybił - rozległ się w końcu czyjś głos.

Lekarz, któremu zapłacono za obecność podczas pojedynku, wysiadł z jednego z powozów z zawodowym pośpiechem, ale zatrzymał się widząc, że Norris nadal stoi.

Baxter postąpił do przodu.

- Wymienili po jednym strzale, tak jak ustaliliśmy. Pojedynek jest skończony. - Popatrzył na Tilesa, który z wielką uwagą badał swój pistolet. - Uczyniono zadość wymogom honoru. Wiecie, jak szybko rozchodzą się plotki o tego rodzaju wydarzeniach. Lepiej, żebyśmy wrócili do domu, zanim o wszystkim dowie się policja.

Rozległ się pomruk aprobaty. Perspektywa aresztowania za udział w pojedynku wystarczyła, by wszyscy przyspieszyli kroku. Mężczyźni kierowali się do powozów czekających pod drzewami na skraju pola.

Baxter spiorunował wzrokiem Norrisa, który nadal był wystraszony i zmieszany. Jednak z jego oczu zniknął już nieobecny wyraz. Znów w pełni zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

- Zabiorę Norrisa powozem. - Hamilton ruszył ku przyjacielowi.

Baxter dotknął jego ramienia.

- Zanim odwieziesz go do domu, chciałbym porozmawiać z wami oboma.

Hamilton zawahał się, ale zaraz skinął głową.

- Nie wiem, co mógłby ci powiedzieć, ale jesteśmy ci winni wyjaśnienia. Pojedziemy do ciebie.

Baxter chciał już iść do powozu, gdy Anthony Tiles zastąpił mu drogę.

- St. Ives, proszę cię na słówko.

Baxter zatrzymał się, zdjął okulary i zaczął je czyścić chusteczką. Nawet bez okularów widział natarczywe pytanie w szarych oczach Tilesa.

Mimo całej swojej sławy Tiles nie był aż tak rozwiązły jak jego kompani. Baxter czuł, że zżerająca go nienawiść ciągle jeszcze dawała mu cel życia. Ale gdy ulegnie jej całkowicie, ta nienawiść go zniszczy. Charlotte miała rację. Anthony sam się doprowadzi do upadku.

- O co chodzi, Tony?

- Od Oksfordu minęło już wiele czasu, prawda?

- Tak.

- Nie widywałem cię w ciągu ostatnich lat. Brakowało mi ciebie.

- Mieliśmy inne zainteresowania.

- Owszem. - Anthony w zamyśleniu skinął głową. - Ciebie zawsze pociągała praca w laboratorium. A ja wolałem kasyna. Ale mimo to nadal coś nas łączy, prawda?

- Tak. - Baxter zdawał sobie sprawę, że właśnie nieślubne pochodzenie połączyło ich w Oxfordzie na jakiś czas. Może nawet coś jeszcze pozostało z tamtej przyjaźni.

- Byłem zdziwiony widząc tu ciebie dzisiaj. Nigdy bym nie pomyślał, że lubisz tego rodzaju rozrywki.

- Rzeczywiście, nie lubię. - Baxter włożył okulary. - A ty Tony, gdybyś miał choć trochę zdrowego rozsądku, znalazłbyś sobie jakiś lepszy sposób spędzania czasu niż spotkania o świcie. Któregoś dnia staniesz przed kimś, kto strzela lepiej niż ty.

- Albo przed kimś, komu manipulowano przy prochu?

Baxter słabo się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że nie oskarżasz nikogo o oszustwo. W końcu twoi sekundanci pilnowali ładowania pistoletów.

- Tak, ale żaden z nich nie jest chemikiem - powiedział ze złością Anthony. - Nie zorientowaliby się, gdyby jakiś zręczny chemik podmienił proch na coś innego.

- Och, Tony, daj spokój. Wszyscy słyszeli wybuch prochu, gdy nacisnąłeś spust.

- Rzeczywiście, było mnóstwo hałasu - przyznał Anthony. - Ale to nic nie znaczy. Kula nadal jest w pistolecie.

- Nie potrzebujesz krwi Norrisa na swoich rękach. Obaj wiemy, że on nie jest w rodzaju twoich zwykłych zdobyczy. Gdy cię wyzywał, nie wiedział, co robi.

- Zgadzam się, że to nie w jego stylu - odparł Anthony z namysłem. - I zgadzam się też, że wpakowanie mu kuli nie przyniosłoby mi wielkiego zadowolenia.

- Cieszę się, że to mówisz. - Baxter ruszył do powozu.

- Jeszcze jedno, St. Ives.

- Tak?

Anthony spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

- Jak się domyślam, przyszedłeś tu dziś dlatego, że nowy hrabia Esherton prosił cię o pomoc w uratowaniu życia swojego przyjaciela.

- No i?

- Chodzą plotki, że stary hrabia pozostawił ci zarząd nad jego majątkiem i kazał ci opiekować się Hamiltonem.

- Tony, o co ci chodzi?

- Twój przyrodni brat dostał to, co powinno przyspaść tobie. Masz idealną sposobność, by zniszczyć wszystko, czego tobie odmówiono, skoro sam nie możesz się tym cieszyć. - Anthony zacisnął ręce w pięści. - Dlaczego tego nie robisz?

W głowie Baxtera rozbrzmiały słowa Charlotte: „Anthony Tiles pozwolił, by okoliczności jego urodzenia skierowały go na drogę prowadzącą do zguby. Dzięki Bogu ty sobie stworzyłeś inny los”.

Spojrzał na mężczyznę, który kiedyś był jego kolegą, a może nawet przyjacielem, i zrozumiał coś, z czego nigdy do tej pory nie zdawał sobie sprawy. To prawda, że ojciec nie zostawił mu tytułu, ale jednak dał swojemu nieślubnemu synowi coś z siebie. Anthony nie miał takiego szczęścia.

- Skłamałbym mówiąc, że w przeszłości nigdy się nad tym nie zastanawiałem - odparł spokojnie. - Ale może udało mi się nie ulec pragnieniu zemsty, bo znalazłem bardziej podniecające zajęcia.

- Ach tak, twoje zamiłowanie do chemii. - Anthony uśmiechnął się szyderczo. - Jednak, moim zdaniem, nie ma nic bardziej podniecającego niż zemsta.

- Tony, przyjmij radę od starego znajomego. Zastanów się, czy nie mógłbyś znaleźć sobie ciekawszego sposobu spędzania czasu niż gra w kasynach i pojedynki. Powinieneś już z tego wyrosnąć.

- Zechciej łaskawie oszczędzić mi kazań. Już dosyć złego zrobiłeś wtrącając się w wynik dzisiejszego spotkania.

- Nie udawaj takiego cynika. - Baxter spojrzał w kierunku powozów, gdzie czekali Hamilton i Norris. - Przecież mimo porażki zachowałeś się szlachetnie. Wątpię, czy zależy ci

na moim podziękowaniu, lecz mimo wszystko ci dziękuję.

- Doskonale - odparł Anthony z wilczym uśmiechem. - Może kiedyś wykorzystam twoją wdzięczność. Ale chcę cię zapewnić, że się mylisz. Nie zawracam sobie głowy takimi głupstwami jak szlachetne zachowanie, bo bękartom nie przynosi ono żadnego pożytku.

- Więc może twoje zwykłe rozrywki bardziej już cię znudziły niż ci się wydaje.

- Do diabła, co przez to rozumiesz?

- Z miejsca, w którym stałem, widziałem, że wycelowaleś trochę w lewo i w górę. Gdyby pistolet cię nie zawiódł, kula przeleciałaby koło ucha Norrisa, a nie przez jego pierś. - Baxter uniósł brew. - Teraz wiem, że nie musiałem mieszać się w tę sprawę.

Anthony rzucił mu dziwne spojrzenie. Potem bez słowa odwrócił się i poszedł ku swojemu faetonowi i swojej samotności.

Baxter patrzył za nim. Anthony wskoczył do swojego modnego powozu i odjechał w mgłę. Nagle wydało mu się, że rozplynał się w powietrzu niczym duch. Poczuł, jak wszystko się w nim zaciska. To mogłem być ja, pomyślał.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że on i Anthony bardzo się różnią. Tiles wypełnił swoje życie gorączkową podniętą i ryzykiem. Baxter wolał spokojny, uporządkowany świat laboratorium. Ale obaj, każdy na swój sposób, wybudowali sobie wysokie mury odgradzające ich od emocji, które mogłyby ich uczynić bezbronnymi.

I te mury skazywały ich na całkowitą samotność do końca życia.

Zawsze w przeszłości Baxter miał pretensję, gdy ktoś wyciągał go na chwilę z jego laboratorium, by uczynił zadość jakimś nużącym obowiązkom rodzinnym. Kiedy obowiązek w zewnętrznym świecie był już spełniony, z ulgą ukrywał się znów w swoim królestwie, gdzie nie czekały go żadne wzruszenia. Tylko że było to bardzo ponure królestwo.

Jednak tym razem wcale nie tęsknił do powrotu do swoich tygli, retort i dmuchawek. Już nie chciał być samotny.

Charlotte przyglądała się pulchnej, rumianej, siwej kobiecie siedzącej przy stole z desek przed kuchennym piecem.

- To miło, że zechciała pani przyjść, pani Gatler.

- Pani Witty obiecała, że mi się to opłaci. - Pani Gatler zmrużyła oczy niebieskie jak skorupka jajka rudzika. - I jeszcze mi obiecała, że nikt nigdy się nie dowie, jak to ja pani opowiadałam, co się stało tamtej nocy.

- Ma pani moje słowo. Jestem znana z dyskrecji.

- Właśnie tak mówiła pani Witty. - Pani Gatler spojrzała z ukosa na panią Witty, która przy drugim końcu stołu z przejęciem zagniała ciasto na chleb.

- Możesz jej wszystko powiedzieć, Maggy. - Pani Witty mrugnęła do niej uspokajająco. - Umie dochować sekretu.

- Jeszcze herbaty, pani Gatler? - Charlotte uniosła czajnik.

Wizyta gosposi Drusilli Heskett stanowiła dla niej prawdziwą niespodziankę. Ariel pół godziny wcześniej wyszła z Rosalind na zakupy. Baxter jeszcze nie przyszedł, ale przysłał wiadomość, że pojedynek skończył się pomyślnie.

Robiła właśnie notatki na temat śledztwa próbując wyciągnąć jakieś wnioski, gdy pani Witty triumfalnie zaanonsowała przybycie gosposi Drusilli Heskett.

- Niełatwo było ją znaleźć - wyznała pani Witty w drodze do kuchni. - Nie chciała, by wiadano, gdzie przebywa.

- Chętnie się jeszcze napiję - zgodziła się pani Gatler. - To coś nowego, gdy pani domu sama nalewa mi herbatę.

Charlotte grzecznie uśmiechnęła się.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Równie chętnie poczęstowałyby ją ginem, gdyby tylko miało to pomóc rozwiązać jej język. - Teraz chciałabym posłuchać o morderstwie.

Pani Gatler po raz ostatni rzuciła spojrzenie pani Witty, a potem pochyliła się do przodu.

- Nie wiedział, że tam jestem.

- Kto?

- Ten, co ją zastrzelił. Pani Heskett dała całej służbie wychodne na noc. Często tak robiła, gdy spodziewała się lorda Lennox. - Pani Gatler zachichotała. - Mieli wtedy cały dom dla siebie. Kuchnię, piwnicę, salon. Zabawiali się wszędzie.

- Wigor - mruknęła Charlotte.

- A żeby pani wiedziała! No więc miałam wtedy iść na noc do siostry, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam. Nie czułam się dobrze. Postanowiłam zostać w domu i zażyć lekarstwo od bólu. Gdy usłyszałam go w holu, byłam w swoim pokoju za kuchnią.

Charlotte zmarszczyła czoło.

- Kogo pani usłyszała? Lorda Lennox?

- Nie, to nie był on. Zawsze poznawałam, że lord Lennox jest u pani Heskett. - Pani Gatler w zachwycie pokręciła głową. - Oni zawsze robili mnóstwo hałasu. Nie krępowali się niczym.

- Proszę, niech pani mówi dalej. Czy ten człowiek w holu zachowywał się głośno?

- Nie. I to było dziwne. Był cichy jak śmierć. Wiedziałam, że tam jest tylko dlatego, że usłyszałam, jak pani Heskett do niego mówi.

- Więc to był jej znajomy?

- Chyba nie. Wydawało mi się, że jego widok ją zaskoczył. Spytała, co robi w jej domu.

- Powiedziała pani, że słyhać go było w holu. Czy nie zapukał do frontowych drzwi?

- Nie. - Brwi pani Gatler zbiegły się w jedną kreskę. - Przecież bym to usłyszała. Pomyślałam wtedy, że musiał mieć klucz.

- Jak to: klucz?

- Pani Heskett miała zwyczaj dawać klucze do domu dżentelmenom, których szczególnie lubiła. - Pani Gatler wzruszyła ramionami. - Lennox miał klucz.

Charlotte wymieniła spojrzenie z panią Witty, po czym znów zwróciła się do swojego gościa:

- I co się stało potem?

- Usłyszałam, jak przez chwilę rozmawiali w holu, a przynajmniej słyszałam panią Heskett. Jego właściwie nie. Mówił bardzo cicho, ale wiedziałam, że jednak coś mówi, bo pani Heskett często mu odpowiadała.

- Wyszła pani do holu zobaczyć, czy pani Heskett nie będzie chciała, by coś podać gościowi?

- Ależ skąd. Tej nocy miałam przecież wychodne. Gdyby pani dowiedziała się, że zostałam w domu, na pewno kazałaby mi przygotować zimne przekąski dla swojego przyjaciela. - Pani Gatler skrzywiła się. - Gdy państwo czegoś potrzebują, nigdy nie pamiętają, że służba ma wolne. Prawda, pani Witty?

Pani Witty wydała współczujące westchnienie i wróciła do zagniatania ciasta. Charlotte naląła kolejną filiżankę herbaty.

- Proszę, niech pani mówi dalej, pani Gatler.

- Zaraz, na czym to ja skończyłam? - Pani Gatler zmarszczyła czoło. - Nie mam wiele więcej do powiedzenia. Po chwili pani Heskett i ten pan poszli na piętro. I parę minut później usłyszałam strzał. Ze strachu aż się spociłam. Nie byłam w stanie się poruszyć. Potem usłyszałam, że on schodzi na dół.

- Usłyszała pani kroki mordercy?

- Usłyszałam jego głos. - Pani Gatler wstrząsnęła się. - Widocznie wpadł na spaniela pani Heskett, bo głośno przeklinał psa. Kazał mu zejść z drogi.

- Proszę mi powtórzyć wszystko, co pani usłyszała.

- Na pewno kopnął biednego psa. Usłyszałam skowyt. Potem w korytarzu na tyłach domu rozległy się kroki. Minęły mój pokój. Wstrzymałam oddech i modliłam się. Nigdy w życiu jeszcze tak się nie bałam.

- Czy ten mężczyzna zatrzymał się?

- Dzięki Bogu nie. Od razu opuścił dom przez kuchenne drzwi. Wyszłam ze swojego pokoju dopiero, gdy byłam już całkiem pewna, że go nie ma. Pies zaczął wyć. Poszłam na piętro i znalazłam panią Heskett. Leżała w kałuży krwi. To było okropne. Nie wydaje mi się, by natychmiast umarła.

- Dlaczego pani tak sądzi? - spytała szybko Charlotte.

Pani Gatler wydała się zaniepokojona.

- Jakoś chyba się przeczłogała po podłodze i dotarła do szafy. Otworzyła szufladę. Wiem, bo była tam krew. Chyba chciała się podciągnąć na nogi. To było straszne.

Nie, pomyślała Charlotte. Drusilla Heskett nie próbowała wstać. Ostatnim wysiłkiem schowała blok rysunkowy. Wiedziała, że znajduje się tam jedyny ślad mogący wskazać mordercę.

- Dlaczego nie zawiadomiła pani policji od razu? - spytała. - Albo zaraz rano?

Pani Gatler spojrzała na Charlotte tak, jakby ją posądzała o brak rozumu.

- Myśli pani, że jestem głupia? Tamtej nocy oprócz mnie nie było w domu nikogo ze służby. Policja na pewno od razu pomyślałaby, że to ja zabiłam. W takich sytuacjach zawsze zrzuca się winę na służących. Z całą pewnością aresztowaliby mnie. Powiedzieliby, że pani Heskett przyłapała mnie na kradzieży sreber albo czegoś takiego.

Charlotte bębniła palcami po stole.

- Co dokładnie powiedział morderca, gdy potknął się o psa?

- Co? Och, tak. Na schodach. - Pani Gatler wypila resztę herbaty. Minę miała zakłopotaną. - Chyba powiedział: „Zejdź mi z drogi, ty przeklęty kundlu” albo coś w tym rodzaju. Ale mówiąc prawdę, to nie słowa mnie tak wystraszyły, tylko jego głos.

Charlotte zastygła.

- Głos?

- Ordynarny i chrapliwy. - Pani Gatler znów się wzdrygnęła. - Przywodził na myśl kamienie grzechocące w trumnie.

- Dobry Boże. - Charlotte niemal przestała oddychać. Mężczyzna, który dał jej kwiat i list, miał taki właśnie głos. To on był mordercą Drusilli Heskett. Podczas balu stała twarzą w twarz z mordercą.

Nie, niezupełnie twarzą w twarz, pomyślała. Mężczyzna w czarnym dominie nosił maseczkę. Istniała tylko jedna osoba, która mogłaby zestawić z twarzą ten grobowy, zniszczony głos.

- Panno Charlotte, źle się pani czuje? - Pani Witty oczyściła ręce z mąki i zmarszczyła czoło w zatroskaniu. - Wygląda pani jak uderzona piorunem.

- Człowiek, który wysłał do mnie Julianę Post z fałszywą opowieścią o panu St. Ivesie, jest chyba tym samym mężczyzną, który zeszłej nocy dał mi list. - Charlotte potarła skronie próbując znaleźć w tym wszystkim jakieś logiczne powiązania. - Tak, to musi być on.

- Skąd pani może to wiedzieć? - spytała pani Witty.

- W obu przypadkach cel był taki sam. Chodziło o to, żebym myślała jak najgorzej o panu St. Ivesie. - Charlotte oparła dłonie na stole i wstała. - I ten człowiek najprawdopodobniej jest mordercą. Och, Boże, muszę się pospieszyć.

- Gdzie pani znów idzie? - zawołała gosposia widząc, że Charlotte wybiega z kuchni.

- Do Juliany Post. - Charlotte zatrzymała się w drzwiach. - Boję się, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Muszę ją ostrzec.

- Ależ panno Charlotte...

- Niedługo ma tu przyjść pan St. Ives. Proszę mu wtedy powiedzieć, dokąd poszłam.

Pani Witty zachmurzyła się.

- Dlaczego pannie Post miałyby grozić niebezpieczeństwo?

- Bo jedynie ona potrafi zidentyfikować mordercę. Mogę tylko mieć nadzieję, że jeszcze nie zdał sobie sprawy, jakim zagrożeniem jest dla niego Juliana.

16

Gdy rozmawiałeś z Tilesem, Norris powiedział mi, że nie pamięta niczego, co wiązałoby się z pojedynkiem. - Hamilton zaczął się przechadzać po bibliotece. - Nie pamięta instrukcji, które dostał, gdy mag wprowadził go w trans podczas eksperymentu. Nie pamięta nawet samego eksperymentu.

- Czy powiedział ci, dlaczego wyzwał Tilesa?

- Nie. W ogóle nie przypomina sobie momentu wyzwania. Dopiero w chwili gdy wystrzelił z pistoletu, zdał sobie nagle sprawę, że stoi przed najniebezpieczniejszym pojedynkowiczem w całym Londynie. I nie wiedział, dlaczego się tam znalazł.

- Czy pamięta, jak inni członkowie klubu chcieli go odwieść od pojedynku?

- Nie. - Hamilton przystanął przed regałem z książkami i chwycił się poręczy drabinki.

- Całe to wydarzenie stanowiło dla niego ogromny szok. Zresztą sam to zauważyłeś.

Jedno spojrzenie na oszołomionego, wycieńczonego Norrisa przekonało Baxtera, że w tej chwili nie ma sensu pytać go o cokolwiek. Niechętnie kazał stangretowi odwieźć Norrisa do domu Lennox. Hamilton odprowadził przyjaciela do drzwi, a potem wrócił do powozu i pojechał z Baxterem. Podczas jazdy nie zamienili ani słowa i zaczęli rozmawiać dopiero w bibliotece.

- Gdy Norris poczuje się lepiej, odkryje, że zdobył sobie nadzwyczajną reputację - zauważył Baxter. - Jest jednym z niewielu ludzi, którzy mieli śmiałość wyzwać Anthony'ego Tilesa i wyjść z tego bez szwanku.

- To prawda. - Mimo zmartwienia, Hamilton uśmiechnął się. - Co za ironia losu. Norris jest najspokojniejszym i najżyczliwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, a teraz będzie znany jako wyzywający światowiec i lekkomyślny ryzykant.

- Jego akcje w towarzystwie bardzo wzrosną. Mam nadzieję, że ta nowa reputacja nie uderzy mu do głowy.

- Na pewno nie. - Uśmiech Hamiltona zgasł. - Ciesz się, że uszedł z życiem. Ryzykowanie głowy jest ostatnią rzeczą, której by pragnął.

- Cóż, ponieważ on sam nic nie pamięta, muszę zdać się na twoją wiedzę. Czy pomożesz mi odkryć, kim jest ten szarlatan, którego nazywacie magiem?

Hamilton odwrócił się w stronę Baxtera. W oczach czaił mu się zły błysk, minę miał ponurą. Wydawał się o wiele starszy niż był wczoraj.

- Tak, zrobię wszystko, co w mojej mocy - odparł. - Wiem, że wiele ci zawdzięczam.

- Nic mi nie zawdzięczasz.

- Do diabła, co chcesz przez to powiedzieć? Ocaliłeś życie mojego przyjaciela. Nigdy nie będę w stanie ci się odplacić. Zresztą Norris też nie.

- To ty podjąłeś starania, by uratować Norrisa. Odłożyłeś na bok swoje osobiste urazy i poprosiłeś mnie o pomoc. Wykazałeś się odwagą, dobrą wolą i zaradnością.

Hamilton zaczerwienił się. Przez chwilę był tak samo zdezorientowany jak Norris po pojedynku.

- Nie miałem nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Usiłowałem przekonać Norrisa, ale on nie reagował ani na prośby, ani na logiczne argumenty. Nie mogliśmy znaleźć maga. Byłem zrozpaczony.

- Wiem o tym. I zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne, by ocalić przyjaciela, nawet jeżeli oznaczało to, że musisz mnie poprosić o pomoc. Wiem, jakie to było dla ciebie trudne. Więc jeżeli Norris w ogóle ma być komuś wdzięczny, powinien być wdzięczny tobie.

- To nie ja wiedziałem, jak zmienić skład prochu.

Baxter wzruszył ramionami.

- Jeżeli będzie to dla ciebie jakąś pociechą, to ci powiem, że nie wierzę, by Tiles zamierzał zastrzelić Norrisa z zimną krwią.

- Przecież wszyscy wiedzą, że Tiles jest bezlitosny.

- Tak się o nim mówi. Ale nie miał nic przeciw Norrisowi.

- Brak powodu nie powstrzymałby człowieka takiego jak Tiles. - Hamilton zmarszczył czoło. - Jak myślisz, czy podejrzewał, że z prochem było coś nie w porządku?

- Nie jest głupi.

Hamilton się zaniepokoił.

- I wie, co się stało?

- Tak, doskonale wie, dlaczego pistolet nie wystrzelił. Wie również, że jestem chemikiem. Nie potrzeba wielkiej przemyślności, żeby dodać dwa do dwóch.

- Niech to diabli! Baxter, jeżeli on wie, że manipulowałeś przy prochu, może cię wyzwać. Możesz być jego następną ofiarą.

- Czyżbyś troszczył się o to, bym nie skrzył karku?

- Nie byłoby sprawiedliwe, gdyby Tiles zemścił się na tobie za to, że pomogłeś mi w sprawie Norrisa.

- Nie obawiaj się, nie będziemy się pojedynkować z Tilesem. Przyjaźniliśmy się w Oxfordzie. A teraz, chociaż każdy z nas obrał inną drogę, nadal istnieje między nami więź, którą niełatwo zerwać.

- Jaka więź? - Hamilton spojrzał zdziwiony na Baxtera.

- Obaj jesteście bękartami.

- Nie rozumiem. Co to ma do rzeczy?

- Okoliczności czyjś urodzenia mają zdumiewający wpływ na dobór przyjaciół. Pomyśl o swojej znajomości z Norrisem. Podstawową sprawą, która was łączy, jest to, że obaj jesteście spadkobiercami tytułów i starych fortun. Ten czynnik będzie stanowił między wami więź, która przetrwa do końca życia. Może będziesz miał synów, którzy ożenią się z jego córkami i tak będzie się działo z pokolenia na pokolenie. W ten sposób toczy się ten świat.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Hamilton poczuł się niezręcznie. - Jednak mimo tego, co mówisz, cieszę się, że bezpieczeństwo Norrisa nie zależało dziś od kaprysu Tilesa.

- Rzeczywiście, trudno przewidzieć, co zrobi Tiles. Ale chyba już dosyć mówiliśmy o pojedynku. - Baxter pochylił się i położył ręce na biurku. - Przejdźmy do pilniejszych spraw. Musimy odnaleźć tego przekłętą maga, zanim jego eksperymenty z mesmeryzmem wystawią na niebezpieczeństwo kolejną ofiarę.

- Zgodziłem się pomóc ci, ale nadal nie wierzę, że chciał śmierci Norrisa. - Hamilton potarł kark. - Po prostu eksperyment poszedł złą drogą i to wszystko.

- Nie byłbym taki pewien, że mu się nie udało.

- Dlaczego? - Hamilton rzucił Baxterowi szybkie spojrzenie.

- Podejrzewam, że wynik eksperymentu był dla maga w pełni zadowalający.

- O czym ty mówisz? Dlaczego mag miałby pragnąć śmierci Norrisa?

- To jest jedno z pytań, które chcę mu zadać. A teraz opowiedz mi wszystko, co wiesz.

Hamilton westchnął.

- Właściwie to wiem niewiele. Nigdy nie widziałem jego twarzy. Zawsze nosił kostium. Na tym polegała zabawa.

- Przecież widzieliście go co najmniej kilka razy. Musieliście zauważyć coś charakterystycznego w jego ruchach czy zachowaniu.

- Tak, może to, że mówi cicho.

Charlotte po raz trzeci uderzyła ciężką mosiężną kołatką w drzwi domu Juliany Post. Drzwi pozostały zamknięte.

Ogarniał ją coraz większy niepokój. Coś się musiało stać. Wiedziała to tak samo, jak wiedziała inne rzeczy, na przykład, że Baxter nie jest nudnym, pospolitym człowiekiem, za jakiego wszyscy go uważają, albo że postać w czarnym dominie, mówiąca chrapliwym głosem, jest śmiertelnie niebezpieczna.

Jeszcze raz uderzyła kołatką. Może przyszła za późno? Mężczyzna o chrapliwym głosie mógł być u Juliany wcześniej.

Uspokój się, nakazała sobie. Juliana mogła po prostu wyjść z domu. Może poszła po zakupy.

Ale gdzie jest gosposia?

Uznała, że nie warto dalej stukać, bo i tak nikt jej nie otworzy. Spojrzała w dół, w kierunku sutereny, ale w kuchni chyba też nie było nikogo. Musi wejść do domu. Nie może tak po prostu stąd odejść.

Rozejrzała się szybko po ulicy, nie zobaczyła nikogo, więc otworzyła furtkę i zbiegła kuchennymi schodkami. Była już poniżej poziomu ulicy i żaden przechodzień nie mógł jej zauważyć.

Wszędzie panowała absolutna cisza. Charlotte zajrzała przez okno, w kuchni też nie było nikogo. Zastukała w szybę. Gdy i teraz nikt jej nie odpowiedział, spróbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz.

Decyzja, by wybić szybę, nie była łatwa, ale nie widziała innego sposobu dostania się do domu. Szkoda, że nie ma tu Baxtera, pomyślała. On jest dobry w takich sprawach.

Zdjęła czepek, przyłożyła rondo do jednej z małych szybek i poczekała, aż ulicą będzie przejeżdżał powóz, który zagłuszy brzęk szkła. Gdy stukot podków o bruk rozlegał się przed samym domem, uderzyła ciężką torebką w zakrytą czepek szybę.

Szkoło się rozbiło i odłamki wpadły do kuchni. Charlotte poczekała chwilę, ale nikt nie przybiegł zobaczyć, co się stało.

Włożyła rękę przez otwór i wymacała klucz w zamku.

Sekundę później znalazła się w kuchni. Włamywanie się do cudzych domów okazało się zdumiewająco łatwe.

Przeszła przez kuchnię do schodów prowadzących na parter.

- Jest tam kto? - zawołała. - Panno Post!

Nikt się nie odezwał.

Gdy powoli wchodziła po schodach, znów ogarnęło ją przecucie czegoś złego. W holu powitał ją jakiś drażniący zapach.

- Juliano, to ja, Charlotte Arkendale!

Cisza.

Charlotte ostrożnie wciągnęła powietrze. Zapach był znajomy. Przypomniała sobie, że Juliana używa egzotycznych ziół, by stworzyć odpowiednią atmosferę w pokoju, w którym stawia kabałę.

Ten zapach jest inny, pomyślała. Nie taki sam jak poprzednio. Jednak go znam. Ale skąd?

I wtedy jej się przypomniało. Był to taki sam odurzający zapach jak ten, który ulatywał z prywatnego gabinetu Hamiltona i jego przyjaciół w „Zielonym Stoliku”. Jednak istniała tu jakaś subtelna różnica. Ten aromat wydawał się ciemniejszy, bardziej gorzki.

- Juliana?

Drzwi saloniku, w którym Juliana przyjmowała klientki, były zamknięte, ale przez szparę przy podłodze wydobywały się pasma aromatycznego dymu.

Wiedziała, że stało się coś złego. Pobieгла do drzwi, chwyciła klamkę i pociągnęła. Drzwi były zamknięte.

Charlotte zobaczyła tkwiący w zamku klucz. Ktoś celowo zamknął drzwi od zewnątrz.

- Juliana!

Zdecydowanie przekręciła klucz i jednym szarpnięciem otworzyła drzwi.

Gęste, żółtawe kłęby dymu wydostały się na korytarz i zawirowały wokół niej. Zakręciło jej się w głowie, a w oczach stanęły łzy.

Szybko wycofała się i wyjęła z torebki chusteczkę. Złożyła ją na pół, wzięła głęboki oddech, zasłoniła nos i usta i weszła do dziwnego szkarłatnego pokoju. Wydawało się, że osiadła w nim gęsta mgła. Charlotte wiedziała, że może tu pozostać tylko tak długo, jak długo zdoła wstrzymać oddech. I przez ten czas musi znaleźć Julianę.

Potknęła się o niski stolik pośrodku pokoju. Spojrzała w dół i zobaczyła kilka kart leżących figurami do góry. Jedna z nich spadła na ziemię. Przedstawiała zawołowaną postać trzymającą kosę. Znak śmierci.

Obeszła stolik i popatrzyła w kierunku kominka. Na podłodze, koło szkarłatnej sofy, zobaczyła kłębowisko ubrań z purpurowego atłasu.

Juliana.

Płuca paliły już Charlotte żywym ogniem. Skoczyła ku bezwładnej postaci. Nie wiedziała, czy Juliana jeszcze żyje, ale nie miała czasu sprawdzać. Jedną ręką trzymając przy twarzy chustkę, drugą chwyciła Julianę za kostki nóg i próbowała ciągnąć do drzwi. Na szczęście jej atłasowa suknia gładko sunęła po dywanie.

Ale drzwi były tak daleko. Charlotte wiedziała, że nie dojdzie do nich, jeżeli nie

zaczernie oddechu. Już była całkiem oszołomiona.

Ostrożnie wciągnęła powietrze przez chusteczkę.

Materiał trochę ochronił ją przed dymem, ale nie mógł przefiltrować wszystkiego. Z początku wydawało się Charlotte, że nic jej się nie stało, lecz po chwili ogarnęło ją przerażenie, bo szkarłatno-czarny pokój zaczął jej się rozpląwać w oczach.

Zioła, pomyślała. To one tak działają. Musi iść do drzwi.

Juliana stawiała się coraz cięższa. Salonik zmienił się w morze krwi. Drzwi były wejściem do piekła. Za progiem czekał na nią potwór.

To tylko zioła. Zioła. Muszę iść do drzwi.

Jeszcze jeden krok. Jeszcze tylko jeden mały kroczek, obiecała sobie. Potem złapię oddech.

Ciągnęła Julianę do wrót Hadesu...

...i znalazła się na zimnych kafelkach podłogi.

Odrzuciła chustkę od twarzy rozpaczliwie wciągając lżejsze powietrze holu. Dostała gwałtownego ataku kaszlu.

- Niech to szlag! Charlotte!

- Baxter, Baxter, tu jestem.

Dźwięk jego głosu dodał jej więcej sił niż najlepszy środek wzmacniający. Jeszcze raz głośno wciągnęła powietrze, a potem wytarła łzawiące oczy. Kilka razy zamrugła i zobaczyła, że Baxter biegnie do niej w aureoli lekkiej mgiełki. Wszedł do domu przez kuchnię, tak samo jak ona.

- Co się tu dzieje? - spytał cichym, przyprawiającym o ciarki głosem.

- Dzięki Bogu, że przyszedłeś. Tak się cieszę. To Juliana. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

Nie mogła skupić wzroku na Baxterze. Gdy podszedł bliżej, miała wrażenie, że jego postać rozpląwa się, a potem znów nabiera kształtów, jakby kolejno przybierał dwa stany istnienia: ludzki i... jakiś inny. Niebezpieczny. Jego oczy alchemika zbyt mocno błyszczały w dymie spalonych ziół.

Baxter spojrzał na nią uważnie.

- Wyjdź stąd. Szybko. Ja zajmę się panną Post.

- Tu jest tyle tych dziwnych oparów. - Charlotte zmarszczyła brwi. Hol wyglądał jakoś dziwnie. Schody pochyliły się o kilka stóp w bok. - Obawiam się, że w saloniku wybuchł pożar.

- Potem to sprawdzę. Najpierw wyniosę pannę Post do powozu. Ruszaj się, kobieto. Nie, nie kuchennymi schodami. Na miłość boską, idź przez drzwi frontowe. Są bliżej.

- Tak, oczywiście. - Nie mogła jasno myśleć. Wszystko wokół niej falowało, przybierało dziwaczne kolory, zmieniało kształty. Czuła się tak, jakby lewitowała pośród snu czy nocnego koszmaru.

Zatoczyła się i sięgnęła do klamki, która pływała we mgle. Ledwo zdążyła ją złapać, a już znów odlatywała.

- Otwórz - rozkazał Baxter głosem, który ciął szkarłatny opar jak nóż.

Zebrała całą siłę woli i szarpnęła klamkę. Ku jej niewypowiedzianej uldze, klamka okręciła się w palcach. Drzwi otworzyły się.

Do wypełnionego oparami ziół holu wleciało świeże, rześkie powietrze. Zbiegając po schodkach Charlotte oddychała głęboko. Świat zaczął przybierać znane kształty. Zobaczyła powóz Baxtera.

Próbowała uchwycić klamkę drzwiczek powozu, ale wymykała jej się z rąk.

- Tutaj, panno Arkendale. Już otwieram. - Stangret zeskoczył z kozła i odsunął jej niezręczne dłonie. - Proszę.

Podparł Charlotte pod łokieć i wsadził do powozu. Opadła na ławkę. Spojrzała przez okienko i zobaczyła, że Baxter idzie zaraz za nią, z Juliana Post przewieszoną przez ramię.

- Co tam się stało? - spytał stangret. - Pali się? Mam wezwać pomoc, sir?

- To chyba nie jest pożar. - Baxter zrzucił Julianę na podłogę powozu. - Zaczekaj jeszcze chwilę. Pójdę przyjrzeć się temu bliżej.

W umyśle Charlotte zaczynało się przejaśniać. Wychyliła się przez okienko powozu.

- Baxter, bądź ostrożny. Od tych kadzideł można stracić przytomność.

Nie odpowiedział. Zobaczyła, że przed wejściem do domu zasłonił usta i nos chustką. Czekala niespokojnie, ale już po chwili wrócił.

- To nie pożar. Po prostu piecyk z ziołami. Wstrętny zapach. Niedługo dopali się samo. - Wskoczył do powozu i zawołał do stangreta: - Do domu panny Arkendale. Pospiesz się, proszę. Wolałbym nie przebywać zbyt długo w tej okolicy.

- Tak, proszę pana. - Stangret zatrzasnął drzwiczki powozu i wdrapał się na kozioł.

Powóz ruszył turkoczając raźnie po bruku.

Baxter usiadł naprzeciwko Charlotte. Za szklami okularów jego oczy wściekle błyszcząły.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Spojrzała w dół, na Julianę leżącą nieruchomo na podłodze, - I, dzięki Bogu, ona chyba żyje.

Baxter schylił się i zbadał puls na szyi Juliany.

- Tak, żyje.

- Musiała stracić przytomność od dymu palonych ziół. Jestem prawie pewna, że nie były takie same jak wtedy, gdy byłam u niej po raz pierwszy. Teraz ten drażniący zapach był podobny do tego, jakiego używali Hamilton i jego przyjaciele, chociaż znacznie mocniejszy.

- Tak. - Baxter przyglądał się Julianie. Na jego twarzy rysowały się ponure bruzdy. - Nie wydaje mi się, by straciła przytomność przypadkowo.

Ponad bezwładną postacią Juliany Charlotte napotkała spojrzenie Baxtera.

- Mag próbował ją zamordować.

- Tak.

Nazywa się Malcolm Janner. Kochałam go, a on chciał mnie zabić. - Juliana, wykąpana i otulona szlafrokiem Ariel, kulila się na sofie przed kominkiem salonu. Głos miała ciągle jeszcze ochryply od dymu. W zaczerwienionych oczach kręciły się łzy. - Myślałam, że on też mnie kocha.

Charlotte nalewała kolejną filiżankę herbaty. Słyszając te słowa, natychmiast pogłaskała Julianę po dłoni.

- To potwór. Potwory nie odwzajemniają miłości.

Baxter, stojący przy gzymsie kominka, poruszył się niespokojnie. Charlotte poczuła na sobie jego wzrok. Gdy spojrzała na niego, zobaczyła, że baczenie się jej przygląda. Ale nie odezwał się.

Odwróciła się z powrotem do Juliany.

- Co się dziś stało?

- Poprosił mnie o wróżbę. Prosi mnie o to dość często. Nigdy tego nie rozumiałam.

- Czego?

- Malcolm jest człowiekiem o wybitnej inteligencji, ale ma obsesję na punkcie metafizyki i okultyzmu. Wierzy, że naprawdę mogę przepowiadać przyszłość. Chyba właśnie dlatego udawał, że mnie kocha. A ja nigdy nie ośmieliłam się powiedzieć mu, że moje wróżby to tylko inscenizacja, którą sobie wymyśliłam, aby zarobić na życie.

- A do czego służą zioła? - spytał Baxter.

- Malcolm eksperymentuje z nimi. Wymyślił specjalną mieszankę, która według niego zwiększa możliwości umysłu i poszerza świadomość. Twierdzi, że pomaga mu kontaktować się z siłami nadprzyrodzonymi.

- Właśnie to paliło się na piecyku? - spytała Charlotte.

- Tak. Ale te zioła są bardzo silne. Muszę używać ich ostrożnie. Mała ilość poszerza percepcję, jednak większa może zabić.

- Dziś w pani saloniku było tego najwyraźniej o wiele za dużo - zauważyła Charlotte.

- Po tym, jak dziś rano postawiłam mu kabałę, dosypał ziół na piecyk. - Na wspomnienie tamtej udręki Juliana zamknęła oczy. - Bałam się, ale zapewnił, że nic mi się nie stanie. Włożył maskę, tę której zawsze używa, jeżeli chce, by zioła nie wywierały na niego wpływu. Byłam coraz bardziej oszołomiona i zdezorientowana.

- Niech pani mówi dalej - poprosiła Charlotte.

Juliana otworzyła oczy. Po policzkach popłynęły jej łzy.

- Podniósł mnie i położył na sofie. Myślałam, że będzie się ze mną kochał, tak jak zawsze po wróżbie. Nie widziałam go już wyraźnie, ale nigdy nie zapomnę jego głosu. Mówił, że mnie już nie potrzebuje. Że stałam się dla niego kłopotliwa. Obiecał, że nie poczuje żadnego bólu. Po prostu zasną i więcej się nie obudzę.

- O Boże - szepnęła Charlotte. - Gdy panią znaleźliśmy, leżała pani na podłodze. Musiała pani spać z sofy.

Baxter zmarszczył czoło.

- Pewnie dlatego nie umarła pani od razu. Dzięki temu Charlotte zdążyła panią znaleźć i wyciągnąć z tamtego pokoju.

- Nie rozumiem - powiedziała Juliana ze zdziwieniem.

- Podczas moich doświadczeń często obserwowałem, że dym jest lżejszy od powietrza. Idzie do góry i unosi się ponad warstwą powietrza. Leżąc na podłodze, nie była pani narażona na tak wielkie zagęszczenie trujących oparów.

Te słowa wywarły na Charlotte odpowiednie wrażenie.

- Bardzo mądrze zanalizowałaś sytuację, Baxter.

Spojrzał na nią krzywo.

- Dziękuję. Miło się dowiedzieć, że nie cały czas, który spędzam w laboratorium, jest stracony.

Juliana wzdrygnęła się.

- Tak czy inaczej, zawdzięczam pani życie, panno Arkendale. Gdyby pani nie przyszła, umarłabym od tych okropnych kadzideł. Jaki przypadek przywiódł panią do mnie właśnie dzisiaj?

- To nie był przypadek - powiedziała szybko Charlotte - lecz logiczne rozumowanie i, być może, odrobina szczęścia. Otrzymałam pewne informacje, na podstawie których doszłam do wniosku, że kluczem do rozwiązania całej zagadki jest głos tego tajemniczego człowieka.

A pani jest jedyną osobą mogącą dopasować twarz do głosu.

Juliana kurczowo chwyciła klapy szlafroka i zapatrzyła się w ogień.

- Malcolm nienawidził swojego głosu. Zniszczenie go nazywał przestępstwem.

Baxter przez chwilę bacznie przyglądał się Julianie.

- Rozmawiałem dziś z moim bratem. Powiedział mi, że tak zwany mag, który zabawia członków „Zielonego Stolika”, ma wyjątkowo szorstki głos.

- Zgodnie z tym, co mówiła osoba, którą dziś przesłuchałam - dodała Charlotte - taki sam głos miał mężczyzna, który zabił Drusillę Heskett. A mężczyzna w czarnym dominie, z którym rozmawiałam wczoraj w nocy podczas balu maskowego, też mówił dziwnym, ochryplym głosem.

- Niech to szlag! - mruknął Baxter. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie było kiedy.

- To musi być Malcolm - szepnęła Juliana. - Założył „Zielony Stolik” i zwabił tam młodych ludzi z najlepszych rodzin. Wszystko to stanowiło część jego planu.

- Na czym polega ten plan? - spytał Baxter. - Zamierza zniszczyć tych ludzi?

- Zniszczyć? - Juliana wydawała się naprawdę zdumiona.

- Oczywiście, że nie. Po co miałby robić coś takiego?

W okularach Baxtera załśnił płomień ognia z kominka.

- Niektórzy ludzie potrafią zrobić dla zemsty bardzo wiele. Jeżeli ten mag żywi jakiś żal do młodych ludzi, których przywabił do klubu, mógłby zaplanować uśmiercenie ich za pomocą mesmeryzmu. Dziś rano sam widziałem, jak można dokonać takiego morderstwa.

- W jednym ma pan rację - przyznała Juliana. - Malcolm nie czuje żadnej sympatii do młodych ludzi z towarzystwa. Gardzi nimi wszystkimi. Ale na pewno nie zamierzał nikogo zabijać. Gdybym sądziła, że jego celem jest morderstwo, nigdy bym się nie zgodziła mu pomóc.

- A jaki jest jego cel? - spytała Charlotte.

- Chce zyskać bogactwo i władzę. Twierdzi, że to mu się należało z racji urodzenia. Ponieważ odmówiono mu jego dziedzictwa, odczuwa wielką wściekłość i ból. - Juliana zawahała się.

- A ja rozumiałam, jak głębokie są te uczucia, bo sama przeszłam przez to samo.

- Tak, oczywiście. - Baxter zacisnął dłoń na gzymsie kominka. - Teraz wszystko zaczyna być jasne. Za pomocą mesmeryzmu i trujących ziół chciał podporządkować sobie młode pokolenie arystokracji.

Juliana skinęła głową i wytarła łzy skrajem szlafroka.

- Studiował dzieła doktora Mesmera, a także wielu innych naukowców, którzy eksperymentowali ze zwierzęcym magnetyzmem. Ulepszył techniki wprowadzania w trans. Odkrył, że zioła są w tym bardzo pomocne.

Charlotte poczuła, że nagle spocily jej się ręce.

- Baxter, to, co stało się dziś rano, było tylko próbą, prawda?

- Masz rację. Mag przeprowadził ostatnią próbę, zanim pokusi się o podporządkowanie sobie obiektów swoich badań. - Baxter zdjął okulary i wyciągnął z kieszeni chustkę. - Nic dziwnego, że Hamilton i reszta nie mogli go znaleźć, gdy chcieli, by wyrwał Norrisa z transu. Wołał nie przerywać eksperymentu.

Charlotte wprost oszołomiły implikacje tego rozumowania.

- Gdyby się przekonał, że dzięki swoim umiejętnościom potrafi wysłać młodego człowieka na śmierć, wykorzystalby je do zdobycia władzy, jakiej pożąda.

- Nie wiem, co pan dziś rano widział - powiedziała Juliana z rozpaczą - ale jestem pewna, że Malcolm nie zamierzał zabić żadnego młodego arystokraty.

- Wierzę pani. - Baxter starannie polerował szkła okularów.

- Jak powiedziałem, dzisiejsze wydarzenie było tylko ostatnim etapem doświadczeń. Podejrzewam, że ostatecznym celem maga jest podporządkowanie sobie członków „Zielonego Stolika”, aby mieć nad nimi absolutną władzę, gdy już odziedziczą majątki i tytuły. Dziś chciał tylko przekonać się, czy osiągnął to, co zamierzał; zapewne dlatego poświęcił jeden z obiektów eksperymentu.

- Niech pani pomyśli, do czego byłby zdolny, gdyby potrafił wprowadzać w tak silny trans każdego bogatego i wpływowego dżentelmena - powiedziała Charlotte. - Zmuszałby ich do robienia wszystkiego, czego by sobie życzył. Mógłby kontrolować ich majątki, działalność polityczną, nawet ich prywatne życie.

- To prawda. - Baxter z powrotem włożył okulary. - W ten sposób osiągnąłby nieograniczoną władzę.

Usta Juliany zadrżały.

- Malcolm urodził się jako nieślubny syn. Nie potrafił się pogodzić z kaprysem losu, który człowiekowi jego intelektu i silnego charakteru na zawsze odbierał dostęp do fortuny i do najbardziej wpływowych kręgów społecznych.

- Postanowił sam ukształtować swoje przeznaczenie - powiedziała wolno Charlotte.

- O co ci chodzi z tym przeznaczeniem? - spytał Baxter marszcząc czoło.

- Podczas balu maskowego Malcolm Janner spytał mnie, czy wierzę w przeznaczenie.

- Mimo palącego się na kominku ognia Charlotte poczuła, że w salonie robi się zimno. -

Pamiętam tak dobrze jego słowa, bo kiedyś ktoś inny powiedział mi coś bardzo podobnego.

- Malcolm często mówił o przeznaczeniu - odezwała się Juliana i jeszcze raz wytarła oczy. - Czuł, że jego przeznaczeniem są wielkie czyny. To była jedna z rzeczy, której chciał się dowiadywać, gdy stawiałam mu karty. A ja zawsze starałam się mówić to, co chciał usłyszeć, bo bałam się tego, co mógłby zrobić, gdybym przepowiedziała mu coś złego.

- Niech to szlag! To niemożliwe. Ten człowiek już nie żyje. - Baxter powiedział to tak cicho, że Charlotte ledwie go usłyszała.

- Kto nie żyje? - spytała szybko.

Baxter zacisnął w pięść dłoni.

- Potem ci powiem.

Charlotte chciała od razu dowiedzieć się wszystkiego, ale z oczu Baxtera, wyglądających tak, jakby były przesłonięte nieprzeniknioną żaluzją, poznała, że przy obcych nic więcej nie powie. Zwróciła się wobec tego do Juliany:

- Gdy dziś weszłam do pani saloniku zauważyłam na podłodze kartę leżącą figurą do góry. Był to symbol śmierci.

- Wyczytałam mu z kart to, co zwykle - odpowiedziała Juliana potrząsając głową. - Upewniłam go, że wszystkie znaki wskazują spełnienie jego planów. Wydawał się bardzo zadowolony.

Charlotte postarała się przypomnieć sobie, co zobaczyła w salonie Juliany.

- Może gdy podniósł panią i prznosił na sofę, rąbek pani sukni zawadził właśnie o tę kartę i zrzucił ją na podłogę.

- Pewnie ma pani rację - obojętnie odparła Juliana.

- Dziwne, że figurą do góry upadła właśnie ta karta, której mag na pewno nie chciałby zobaczyć - drażyła spokojnie Charlotte.

Baxter przygwoździł Julianę natarczywym spojrzeniem.

- Gdzie mieszka człowiek, który przybrał nazwisko Malcolma Jannera?

Na policzki Juliany wypłynął rumieniec.

- Chyba mi nie uwierzycie, ale naprawdę nie wiem, gdzie on mieszka. Powiedział mi, że tak będzie najlepiej. Jak twierdził, chciał mnie chronić na wypadek, gdyby jego plany zawiodły. Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że spędzał mnóstwo czasu w „Zielonym Stoliku”. Chyba ma tam coś w rodzaju biura.

Charlotte spojrzała na Baxtera.

- Nie przeszukaliśmy górnego piętra.

- Wątpię, by tam mieszkał - powiedział Baxter. - To zbyt oczywiste. Ale na pewno

zażądał, by udostępniono mu ostatnie piętro, bo tylko stamtąd mógł wyczyniać swoje cuda. Może warto było jeszcze raz rzucić okiem na klub.

- Doskonały pomysł - zgodziła się Charlotte.

Baxter rzucił jej ostre spojrzenie. W jego oczach odbiła się pełna siła jego niezłomnej woli.

- Tym razem pójdę sam.

- Ale ja mogę ci się przydać.

- W żadnym wypadku. Nawet o tym nie myśl.

Słyszając jego chłodny, stanowczy głos, Charlotte uniosła brwi.

- Ustalimy to później.

- Nie - odparł spokojnym, obojętnym tonem, którego używał, gdy chciał dać do zrozumienia, że nie zmieni zdania. - Nie będziemy więcej o tym mówić.

Charlotte postanowiła na razie nie nalegać. Miała poważniejszą troskę.

- Trzeba się zastanowić, jak zadbać o bezpieczeństwo panny Post. Jeżeli Malcolm Janner odkryje, że nie umarła, może znów próbować ją zabić.

Usta Baxtera uniosły się w lekkim, pozbawionym radości uśmiechu.

- Więc musimy go przekonać, że już nie żyje.

- Ale w jaki sposób może pan go o tym przekonać? - spytała Juliana.

- Postąpimy tak, jak wszyscy w Londynie, gdy chcą powiadomić towarzystwo o jakimś ważnym wydarzeniu - oświadczył Baxter. - Poinformujemy o tym gazety.

17

Dwie godziny później Baxter przemierzał niestrudzenie salon Charlotte. Juliana Post, ciągle jeszcze we łzach, została bezpiecznie zapakowana do powozu wynajętego w remizie Severedge i odjechała na północ. Gazety otrzymały informację o „śmiertelnym zezadzeniu podczas pożaru pewnego niewielkiego domu”. Przy odrobinie szczęścia ukaże się już jutro rano. Teraz Baxter układał plan przeszukania drugiego piętra „Zielonego Stolika”.

Niektóre z zadań mógł już uważać za wykonane, ale nie potrafił się tym cieszyć. Kontrolował sytuację, jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że zaczynają go otaczać ciemności nie mające nic wspólnego z zapadającą nocą.

Morgan Judd żyje. Wydawało się to niemożliwe, ale nie można było dłużej przeczyć faktom. Jedyną rzeczą, która do tego obrazu nie pasowała, był opis jego głosu.

- Chciałabym ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś dla panny Post. - Charlotte siedziała w rogu żółtej sofy i patrzyła na Baxtera chodzącego w tę i z powrotem po pokoju. - Byłeś dla niej bardzo miły.

- To ty pobiegłaś ją ostrzec i dzięki temu ocaliłaś jej życie. - Baxter zatrzymał się przy oknie i założył ręce na plecach. - Biorąc pod uwagę jej udział w tej sprawie nie rozumiem, dlaczego zachowałaś się wobec niej tak opiekuńczo.

- Chyba dlatego, że mamy ze sobą wiele wspólnego - odparła spokojnie Charlotte.

- Co na Boga ty możesz mieć wspólnego z tą kobietą?

- Myślałam, że to oczywiste. Obie pochodzimy z rodzin, których majątki zostały, mówiąc delikatnie, znacznie umniejszone. Obie musiałyśmy dawać sobie radę z nieuczciwymi, gruboskórnymi mężczyznami mającymi całkowitą władzę nad naszym życiem i własnością. Obie też znalazłyśmy sposób na uniknięcie zwykłego losu czekającego kobiety w naszym położeniu.

Baxter rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

- A praca pozwoliła wam uniknąć również ryzyka małżeństwa, prawda?

- Tak, chociaż biedna Juliana związała się z człowiekiem o wiele bardziej niebezpiecznym niż przeciętny mąż. Co tylko dowodzi, że romans może być tak samo zabójczy jak małżeństwo.

Baxter poprawił okulary.

- Nie wydaje mi się, by przypadek panny Post był typowy.

- Może i nie. - Charlotte zamyśliła się. - Jednak zastanawiam się, czy nie warto byłoby świadczyć usług również paniom, które planują miłosny związek, a nie tylko tym, które chcą wyjść za mąż.

Ona mówi poważnie, pomyślał Baxter. Nagle zdał sobie sprawę, że zaciska szczękę. Przełknął ślinę, by się trochę rozluźnić.

- Wątpię, byś miała wiele tego rodzaju klientek.

- Pewnie masz rację. Na romans ludzie na ogół decydują się z namiętności, a gdy ktoś ulega tak silnym uczuciom, nie zastanawia się wiele nad rzeczywistością.

- To prawda.

- A wiadomo, że namiętność jest ulotna i krótkotrwała. Gdy znika, można po prostu skończyć romans. Natomiast małżeństwo wymaga więcej namysłu i rozwagi, gdyż kobieta grzęźnie w nim na całe życie.

„Grzęźnie”. Baxter stłumił westchnienie.

- Zgadzam się z tobą - kontynuowała Charlotte. - Nie miałabym zbyt wielu klientek pragnących dowiedzieć się czegoś o ewentualnym kochanku.

- Przecież już teraz masz wystarczająco dużo zamówień.

- Tak. Ale skończmy mówić o pracy. Widziałam wyraz twojej twarzy, gdy panna Post mówiła o Malcolmie Jannerze. Znasz go, prawda? Baxter, kim on jest? I jak, na Boga, go poznałeś?

Baxter musiał użyć całej siły woli, by przestać rozmyślać o poglądach Charlotte na małżeństwo.

- Jeżeli moje podejrzenia są prawdziwe, naprawdę nazywa się Morgan Judd i z przykrością muszę ci powiedzieć, że podczas studiów w Oksfordzie przyjaźniliśmy się.

- Przyjaźniliście się! - W głosie Charlotte zabrzmiało niekłamane zdziwienie. - Czy łączy cię z nim to samo co z Anthonym Tilesem?

- Tak. Morgan też jest nieślubnym synem. Jego ojcem był dziedzic z hrabiowskim tytułem, a matką córka ziemianina z okolicy. Umarła podczas porodu. Ojciec w ogóle się nim nie zajmował, ale rodzina matki dopilnowała, by został wychowany na dżentelmena. Morgan żywi wściekłą pretensję do swoich rodziców.

- Wini ich za to, że pozbawili go należnego mu miejsca w społeczeństwie?

- Tak.

- Czy tylko nieprawie pochodzenie łączyło cię z Morganem Juddem?

- Na początku tak. - Baxter przyglądał się powozom przejeżdżającym przed domem. - Ale okazało się, że mamy też inne wspólne zainteresowania, które jeszcze bardziej nas zbliżyły. Obaj zajmowaliśmy się chemią.

- Chyba zaczynam rozumieć.

- W Oksfordzie nazywano nas Duetem Alchemików. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy na studiowaniu chemii. Urządziliśmy sobie laboratorium w naszych pokojach i wydawaliśmy kieszonkowe na szkło i inne wyposażenie. Podczas gdy inni studenci wieczorami spotykali się przy kawie i gazetach, Morgan i ja prowadziliśmy doświadczenia. Wprost żyliśmy i oddychaliśmy nauką.

- I co się stało potem? - spytała Charlotte.

- Po studiach nasze drogi się rozeszły. Przez jakiś czas jeszcze korespondowaliśmy, informowaliśmy się nawzajem o wynikach naszych doświadczeń, ale w końcu straciliśmy ze sobą kontakt. Morgan parę lat mieszkał w Londynie, lecz rzadko się spotykaliśmy.

- Nie mówisz mi wszystkiego - zauważyła łagodnie Charlotte.

- Jesteś spostrzegawcza. Prawda jest taka, że oprócz chemii, Morgan miał też... inne zainteresowania, których ja nie podzielałem. Po studiach te zainteresowania wzięły górę. Zaczął odczuwać obsesję na ich punkcie.

- Co to było?

- Włóczył się po najgorszych kasynach i domach publicznych. W miarę upływu czasu jego rozrywki stawały się coraz bardziej wyuzdane. Musiał znajdować w tym coś, co przemawiało do ciemnej strony jego natury.

- Nie dziwię się, że przestałeś się z nim przyjaźnić.

- Bardzo się również interesował metafizyką i okultyzmem. Z początku traktował to jedynie jako rozrywkę, bawił się nimi na modłę romantycznych poetów. Ale gdy kończył studia, odnosił się już do tych spraw o wiele poważniej. Właśnie wtedy zaczął mówić o wypełnianiu swojego prawdziwego przeznaczenia.

- Przeznaczenie - powtórzyła Charlotte cichym, drżącym głosem. - To słowo mnie prześladowuje.

Baxter powoli odwrócił się do niej.

- Kilka lat temu spotkałem Morgana na ulicy. Powiedział mi, że jestem głupcem, bo nie wykorzystuję mojej znajomości chemii do tego, by sobie wykuć wielkie przeznaczenie.

- Mówiłeś przedtem, że byłeś pewny, iż nie żyje. Co mu się stało?

- Pamiętasz moją małą przygodę z pracą dla Korony?

- Baxter, czy chcesz przez to powiedzieć, że było to związane z Morganem Juddem?

- Tak. On przeszedł na stronę Napoleona. Tworzył trujące gazy, które miały być użyte przeciw Anglikom. Wykorzystałem naszą dawną przyjaźń, by go przekonać, że chcę pracować razem z nim. Powiedziałem mu, że zmieniłem zdanie na temat wykuwania wielkiego przeznaczenia.

- Rozumiem.

- Zdradziłem go - wyznał Baxter. - Powiedziałem, że chcę z nim dzielić bogactwo i władzę obiecaną mu przez Napoleona. Ale gdy już się dowiedziałem, do czego doszedł w swoich doświadczeniach, zniszczyłem jego laboratorium i notatki. Nastąpił straszliwy wybuch. Ledwo udało mi się ująć z życiem.

- Kwas - szepnęła.

- Tak, to się zdarzyło właśnie wtedy. W trakcie walki, która się wywiązała, rzucił we mnie naczyniem z kwasem.

- O mój Boże! Mógł cię oślepić.

- Tak, ale przecież ja zamierzałem go zniszczyć.

- Zasłużył sobie na to. - Charlotte zamyśliła się na chwilę. - I myślałeś, że zginął podczas wybuchu?

- Byłem tego pewny. Dwa dni później znaleziono jakieś ciało. Było zbyt spalone, by można je było zidentyfikować, ale na palcach miało pierścionki Morgana. Nie było powodu sądzić, że to nie on.

- To bardzo dziwne - bardzo cicho odezwała się Charlotte. Baxter ledwo ją słyszał. - Jestem całkowicie przekonana, że ja też spotkałam się z Morganem Juddem.

Baxter spojrzał na nią przeciągle.

- Potwór, którego widziałas przed drzwiami Ariel?

- Tak. - Wzdrygnęła się i skuliła, jakby nagle zrobiło jej się zimno. - Tamtej nocy pytał mnie, czy wierzę w przeznaczenie. A mężczyzna w czarnym dominie, który dał mi różę, spytał o to samo.

- Niech to szlag!

- Ale jego głos był zupełnie inny. - Charlotte poszukała spojrzenia Baxtera. - Głos potwora, którego spotkałam pięć lat temu, potrafiłby zwabić nawet do piekła.

- I właśnie ta jedna rzecz się nie zgadza. - Baxter zdjął okulary i wyciągnął z kieszeni chustkę. - Głos Morgana Judda brzmiał jak cudownie nastrojony instrument. Nie można tego inaczej opisać. Gdy czytał na głos poezję, jego słuchacze byli oczarowani. Gdyby chciał iść na scenę, byłby lepszy niż Kean.

- Jednak głos maga jest bardzo nieprzyjemny. Przywołuje na myśl brzęk zbitego szkła.

- Charlotte zmarszczyła czoło. - Ale i tak w jakiś dziwny sposób fascynuje.

- Jeżeli mam rację i mamy do czynienia z Morganem Juddem, zmianę jego głosu można wytłumaczyć w dwojaki sposób.

- To znaczy?

- Po pierwsze, celowo stara się, by nikt go nie rozpoznał.

Charlotte pokręciła przecząco głową.

- Nie wydaje mi się. Gdybyś go słyszał, wiedziałbyś, o czym mówię. Ma uszkodzone struny głosowe.

- Więc musimy wziąć pod uwagę drugą możliwość.

- Czyli?

- Ja nie uszedłem z wybuchu bez żadnej szkody. - Baxter skończył czyścić okulary. - Ślady pozostaną mi do końca życia. Może z Juddem stało się to samo.

- Nie rozumiem. Panna Post nic nie mówiła o bliznach, gdy go nam opisywała. Powiedziała, że jest piękny jak sam Lucyfer. Oprócz głosu.

- W laboratorium było tamtej nocy wiele niebezpiecznych substancji - wyjaśnił Baxter. - Kto wie, jakie żrące opary uwolniły się podczas wybuchu i pożaru?

- Chcesz powiedzieć, że któraś z nich mogła mu uszkodzić gardło?

- Istnieje taka możliwość. - Baxter włożył z powrotem okulary. - Jednak, jakkolwiek było, wiemy z całą pewnością, że mag jest niebezpieczny. Zabił Drusillę Heskett, próbował zamordować pannę Post i Norrisa.

- Baxter, on wie, że go podejrzewamy.

- Tak. Dwa razy starał się podważyć twoje zaufanie do mnie. A teraz z pewnością już wie, że mu się nie udało.

- Oczywiście, że mu się nie udało.

Baxter słabo się uśmiechnął.

- Czynisz mi wielki zaszczyt, Charlotte.

- Bzdura. Po prostu stwierdzam fakt.

A czego się spodziewał? Zapewnienia, że mu ufa, bo tak bardzo go kocha? Chyba powoli idiociał. Odkaslnął.

- W każdym razie doceniam twoją lojalność. Musimy mieć nadzieję, że Judd chwilowo czuje się bezpieczny.

- Bo sądzi, że jedyna osoba, która może go zidentyfikować, nie żyje?

- Tak, ale nie wiemy, jak długo uda nam się utrzymać go w przeświadczeniu, że Juliana Post otruła się jego kadzidłami.

Charlotte zastukała palcami w oparcie sofy.

- Trzeba działać szybko.

- Dziś wieczorem pójde obejrzeć sobie najwyższe piętro „Zielonego Stolika”. Do tej pory musimy zachowywać się tak, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego. Jest rzeczą zasadniczej wagi, byśmy nie okazali, że dziś jesteśmy o wiele bliżej odkrycia mordercy, niż byliśmy wczoraj.

- A więc powinniśmy pójść tam, gdzie nas zapraszano.

- Właśnie. A twoja siostra i moja ciotka też nie powinny zmieniać planów, ale zadbam, byście były dobrze pilnowane.

Charlotte rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wynajmę detektywów. Gdy wyjdziecie dziś wieczorem, jeden będzie z tobą, Ariel i Rosalind, a drugi będzie pilnował twojego domu.

- Nie będę się sprzeciwiać - powiedziała z bladym uśmiechem.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jaką mi to sprawia ulgę.

- Jednak - dodała szybko Charlotte - naprawdę sędzę, że mogłabym ci pomóc, gdy pójdziesz do „Zielonego Stolika”.

- Charlotte, zabraniam ci iść ze mną i moja decyzja jest nieodwołalna.

- Ależ, Baxter, ktoś musi tam być z tobą. Nie pozwolę, byś szedł sam.

Baxtera ogarnęła kolejna fala złości zaprawiona obawą o jej bezpieczeństwo.

- Charlotte, to śmiertelnie poważna sprawa. Zrobisz, co ci każę, i nie będziemy już więcej o tym dyskutować.

- Baxter, doprawdy, zachowujesz się okropnie. Nie masz prawa decydować o wszystkim. To ja rozpoczęłam śledztwo i nie będę tolerowała twojego wywyższania się i aroganckich manier. Nie jesteś moim mężem.

Baxter westchnął.

- Doskonale o tym wiem, panno Arkendale. Jestem zaledwie twoim kochankiem, czyż nie?

Za drzwiami salonu rozległy się kroki. Baxter odwrócił się szybko i zobaczył Hamiltona.

- Bardzo przepraszam - powiedział Hamilton lekko zażenowany. - Powiedziałem gosposi, że sam się zaanonsuję. Czy przeszkadzam?

- Ależ skąd - zapewniła go Charlotte. - Proszę, niech pan wejdzie. Ariel wyszła, ale niedługo ma wrócić.

Hamilton wahając się wszedł do salonu.

- Przyszedłem do Baxtera. Jego kamerdyner powiedział mi, że go tu zastanę.

- Czego chcesz? - spytał Baxter. - Jestem zajęty.

- Ach tak. - Rysy Hamiltona stwardniały. - Przyszedłem zaproponować ci pomoc.

- Baxter zamierza przeszukać najwyższe piętro „Zielonego Stolika” - wyjaśniła mu Charlotte.

- Może mógłbym być użyteczny. - Hamilton spojrział prosto w oczy Baxtera. - Znam doskonale rozkład pomieszczeń w klubie, łącznie z pierwszym piętrem, gdzie spotykam się z przyjaciółmi.

- Nie prosiłem cię o pomoc - odparł ostro Baxter.

Hamilton zeszywniał.

- Baxter, proszę, zastanów się nad jego propozycją - powiedziała Charlotte. - To, że Hamilton tak dobrze zna pomieszczenia może być bardzo przydatne.

- Nic nie rozumiesz - rozłościł się Baxter zaciskając dłonie.

- Rozumiem - odparła energicznie. - Czujesz się związany przysięgą, którą złożyłeś ojcu. Obiecałeś opiekować się Hamiltonem i teraz nie chcesz narażać go na niebezpieczeństwo.

- Do diabła, nie jestem dzieckiem - zezłościł się Hamilton. - Nie potrzebuję niani.

- To prawda - poparła go Charlotte i zwróciła się do Baxtera: - Jestem pewna, że twój ojciec nie chciał, byś chronił Hamiltona przez całe życie. Chciał tylko, by jego spadkobierca dojrzał i stał się mężczyzną.

Hamilton rzucił jej wdzięczne spojrzenie i spiorunował Baxtera wzrokiem.

- Na miłość boską, mam dwadzieścia dwa lata. Kiedy wreszcie zauważysz, że już jestem mężczyzną?

Baxter przyglądał mu się przez długą chwilę. W głowie rozbrzmiały mu słowa umierającego ojca. „Wiem, że mogę ci ufać i zaopiekujesz się Hamiltonem”.

- Twoja znajomość klubu może się okazać użyteczna - przyznał w końcu niechętnie. - Ale pójście tam stanowi spore ryzyko.

- Ten przeklęty mag dziś rano niemal doprowadził do śmierci mojego najlepszego przyjaciela - oświadczył stanowczo Hamilton. - Kto wie, jaki będzie jego kolejny krok? Mam prawo pomóc go zdemaskować.

Baxter spojrział na Charlotte. Ku jego zdumieniu nie miała nic do powiedzenia. Pochyliła lekko głowę w milczącej zgodzie.

Kiedy chłopiec staje się mężczyzną? - zastanawiał się Baxter. Nie potrafił znaleźć na

to pytanie odpowiedzi, bo nie pamiętał, by on sam kiedykolwiek mógł zachowywać się jak dziecko. Przez całe życie musiał brać na siebie odpowiedzialność jak człowiek dorosły.

- Bardzo dobrze - powiedział spokojnie. - Bierzmy się do planowania ale, na miłość boską, nie mów nic swojej matce.

Napięta twarz Hamiltona rozluźniła się i ukazał się na niej słynny uśmiech Eshertonów.

- Oczywiście. Masz moje słowo.

Obym tego nie żałował - powiedział Baxter kilka godzin później.

Stał obok Charlotte na skraju parkietu. Na balu u Hawkmore'ów tłoczył się chyba cały Londyn, co stanowiło dla nich doskonałą przykrywkę.

Jeżeli Morgan Judd kazał ich szpiegować, w tym tłumie nie będzie to takie proste. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy, że Baxter i Hamilton wymknęli się i poszli do „Zielonego Stolika”.

- Nie było ci łatwo przyjąć pomoc Hamiltona, wiem o tym - powiedziała Charlotte. - Ale to doskonała okazja, byś mu okazał, że w niego wierzysz.

- On jest jeszcze pod wieloma względami taki młody. Przecież sam fakt związania się z „Zielonym Stolikiem” świadczy o braku dojrzałości.

- Ostatnie wydarzenia chyba wiele go nauczyły. Spotkanie Norrisa ze śmiercią bardzo go otrzeźwiło.

- Nie mogę temu zaprzeczyć. Jednak...

- Baxter, spójrz na to z jaśniejszej strony. Zabierając Hamiltona ze sobą zyskujesz wspaniałą wymówkę, by odrzucić moją pomoc podczas tej przygody.

Baxter uśmiechnął się, chociaż wcale nie było mu lekko na duszy.

- Potrafisz podsumować sytuację w bardzo zwięzły sposób, moja droga. Zastanawiałem się, dlaczego naprawdę przestałaś nalegać na to, by mi towarzyszyć. Teraz widzę, że po prostu nie mogłaś przepuścić okazji do tego, by pomóc w wykuwaniu braterskiej więzi między Hamiltonem a mną.

- Ta więź już istnieje. Honorowałaś ją nawet wtedy, gdy jej przeczyłaś. - Charlotte spojrzała na niego poważnie. - Baxter, bądź bardzo ostrożny.

- Ile razy ci już mówiłem, że podejmowanie zwariowanego ryzyka nie leży w moim charakterze?

- Tak, rzeczywiście, ty wolisz wykalkulowane ryzyko. Według mnie to jest o wiele

bardziej niebezpieczne. - Dotknęła rękawa surduta Baxtera. - Będę czekała na wiadomość.

- Nie trzeba. Jutro rano przyjdę do ciebie i powiem ci, co odkryliśmy, jeżeli w ogóle coś znajdziemy.

- Proszę, przyjdź od razu, gdy tylko wyjdziecie z klubu, nawet jeżeli będzie już bardzo późno. Nie zasnę, póki się nie dowiem, że ty i Hamilton jesteście bezpieczni.

- Dobrze. - Baxter spojrzał na rękę Charlotte, spoczywającą ciągle na jego ramieniu. Zrobiło mu się ciepło na duszy.

Zależy jej.

Mimo całej swojej wiedzy na temat mężczyzn, Charlotte chyba mu ufała. I po tych wszystkich latach samotności, którą sam sobie narzucił, nagle zorientował się, że gdy Charlotte odejdzie z jego życia, będzie ono straszliwie puste.

Jakkolwiek nazwać uczucia, które naruszyły jego uporządkowaną, spokojną egzystencję, na pewno nie była to tylko przemijająca namiętność.

Ogarnęło go przeczucie, że coś musi się stać. Nie miało to nic wspólnego z „Zielonym Stolikiem”. Zacisnął rękę na dłoni Charlotte.

- Baxter? - Spojrzała na niego pytająco. - Czy coś się stało?

- Nie. Tak. - Szukał odpowiednich słów, by wyjaśnić to logicznie. - Gdy to wszystko się skończy, chciałbym porozmawiać z tobą o przyszłości naszego związku.

Charlotte zamrugła.

- O przyszłości?

- Niech to szlag! Charlotte, nie możemy tak dalej tego ciągnąć. Na pewno sama to rozumiesz.

- Myślałam, że wszystko toczy się gładko.

- Romans jest dobry na kilka tygodni.

- Kilka tygodni?

- Może nawet kilka miesięcy - zgodził się. - Ale w końcu zaczyna nudzić.

Charlotte poczuła się tak, jakby tu, w gwarze balu, ogarnęła ją nagle całkowita ciemność.

- Tak, oczywiście. Może się znudzić.

Z ulgą, że tak szybko zrozumiała, o co mu chodzi, Baxter drążył dalej:

- Po pierwsze, to ogromna niewygodność.

- Niewygodność.

- Całe to szukanie odpowiedniego miejsca do hm... okazania naszych wzajemnych uczuć - wyjaśnił. - Chodzi mi o to, że można użyć stołu laboratoryjnego albo powozu, albo

nawet sofę w gabinecie, ale na dłuższą metę obawiam się, że okazałyby się to bardzo męczące.

- Rozumiem. Męczące.

- Mężczyzna w moim wieku woli komfort własnego łóżka. - Nagle przypomniało mu się, jak mało myślał o łóżku przy tych kilku okazjach, gdy kochał się z Charlotte.

- Baxter, masz zaledwie trzydzieści dwa lata.

- Wiek nie ma z tym nic wspólnego, po prostu nigdy nie pociągała mnie kariera akrobaty.

Charlotte spuściła wzrok.

- Zawsze sądziłam, że jestem zręczna.

Baxter postanowił nie zwracać uwagi na te słowa.

- Poza tym istnieje stałe ryzyko wystawienia się na nieprzyjemne plotki. Jak już mówiliśmy, mogłoby to źle wpłynąć na twoją pracę.

Charlotte zagryzła wargi.

- Tak, chyba tak - zdołała wykrztusić.

Baxter wyteżał umysł w poszukiwaniu następnych argumentów. Nagle najbardziej oczywisty uderzył go z taką siłą, że aż wszystko się w nim skrzyło. Wziął głęboki oddech, by się uspokoić.

- I trzeba brać pod uwagę możliwość ciąży.

- Wydawało mi się, że istnieją pewne sposoby, dzięki którym dżentelmen potrafi temu zapobiec.

- A jeżeli już jest za późno? - spytał ponuro. - I to jest właśnie najtrudniejsze w romansie. Nie zawsze panuje się nad sytuacją. Charlotte, jest wiele powodów, dla których taki związek nie może trwać w nieskończoność.

Podniosła na niego wzrok, ale nie odezwała się ani słowem. W tej chwili Baxter oddałby nawet sekret kamienia filozoficznego za możliwość odczytania tego, co kryło się w jej oczach. A potem spojrzała mu ponad ramieniem i uśmiechnęła się.

Hamilton dyskretnie zakaszał.

- Baxter, ustaliliśmy, że o tej porze wyjdziemy.

- Niech to szlag! - Baxter obejrzał się. Hamilton i Ariel stali tuż za nim. Miał nadzieję, że nie słyszeli jego rozmowy z Charlotte.

- Tak. Prawda. Musimy iść.

- Baxter. - Charlotte dotknęła jeszcze raz jego ramienia. - Będiesz pamiętał o obietnicy i zaraz potem do mnie przyjdiesz?

- Tak. Wstąpię w drodze do domu i zdam ci pełne sprawozdanie. - Gwałtownie skinął głową Ariel i odwrócił się, by w tłumie utorować sobie drogę do wyjścia.

Hamilton ironicznie uniósł brew, wytwornie skłonił się nad dłonią Charlotte i Ariel, które wdzięcznie dygnęły.

Baxter powstrzymał pomruk wściekłości. Teraz już tylko by się ośmieszył, gdyby zawrócił i próbował pożegnać się z większą galanterią.

Hamilton rozparł się na zielonych welwetowych poduszkach swojego lśniącego, doskonale resorowanego powozu, i spojrzał na Baxtera z rozbawieniem.

- Dlaczego po prostu jej się nie oświadczysz? - spytał.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Słyszałem dosyć, by dojść do wniosku, że usiłujesz przekonać Charlotte do wzięcia pod uwagę raczej małżeństwa niż romansu. Czemu wybrałeś tak okreźną drogę?

- Charakter mojego związku z pana Arkendale to nie twoja sprawa.

Hamilton obojętnie przyjrzał się swojej hebanowej laseczce.

- Jak sobie życzysz.

- Co więcej, oświadczam ci, że jeśli jeszcze raz ośmielisz się wymówić słowo „romans” w powiązaniu z jej nazwiskiem, nie tylko nigdy nie wejdiesz w posiadanie swojego majątku, ale także, gdy będziesz chciał olśnić uśmiechem jakąś damę, odkryjesz, że brakuje ci paru przednich zębów.

- Jak widzę, myślisz o niej poważnie.

- Proponuję zmienić temat.

Hamilton pokiwał głową.

- Możesz sobie być naukowcem, bracie, ale nic nie wiesz o grzecznym zachowaniu wobec kobiet. Zamiast zajmować się cały czas chemią, powinieneś poświęcić więcej czasu na lekturę Shelleya i Byrona.

- Jest już trochę za późno na przerabianie mojego charakteru. A poza tym nie widzę takiej potrzeby.

- Dlaczego? To oczywiste, że Charlotte ma do ciebie słabość.

- Tak sądzisz? - Baxter zmieszał się, bo zapaliła się w nim iskierka nadziei.

- Bez dwóch zdań.

- Może nawet zależy jej na mnie, ale nie sądzę, by zależało jej na małżeństwie.

- Więc musisz ją przekonać, że małżeństwo z tobą byłoby doskonałą decyzją.

Baxter rozżłościł się.

- Właśnie to chciałem zrobić, ale mi przerwał.

Hamilton spojrział na niego z wyższością.

- Ojciec uważał, że muszę się od ciebie wiele nauczyć. Ale może jest kilka rzeczy, których ty powinieneś nauczyć się ode mnie. Czuj się upoważniony do proszenia mnie o radę, gdy tylko będziesz jej potrzebował.

- Na wypadek gdybyś o tym zapomniał, przypominam ci, że mamy teraz pilniejszą sprawę do załatwienia.

- Nie zapomniałem.

- Czy zabrałeś pistolet?

- Tak, oczywiście. - Hamilton poklepał kieszeń. - Nawet dwa. A ty?

- Nie ćwiczyłem dawno i nie jestem dobrym strzelcem. Polegam na innych sposobach.

- To znaczy?

Baxter wyjął z kieszeni szklaną fiolkę i pokazał ją Hamiltonowi.

- Na przedmiotach takich jak ten.

- Co to jest? - spytał Hamilton zaintrygowany.

- Rodzaj chwilowego światła. Gdy stłukę fiolkę, powstaje nagły, bardzo jasny błysk. Może oświetlić drogę przez dwie, trzy minuty albo na jakiś czas oślepić przeciwnika. Jeżeli dotknie łatwo palnego materiału, zapali go.

- Bardzo sprytne. Skąd to masz?

- Zrobiłem w laboratorium.

Hamilton spojrział na niego dziwnie.

- Może powinienem uważniej przeczytać *Rozmowy o chemii*. Gdy to wszystko się skończy, czy znajdziesz trochę czasu, żeby mi pokazać twoje najciekawsze doświadczenia?

- Jeżeli będziesz chciał. - Baxter zawahał się. - Od dawna nie miałem nikogo, kto by mi asystował.

Hamilton obdarzył go szerokim uśmiechem.

- Ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie odziedziczyłem naukowej pasji ojca.

Baxter chmurnie pomyślał o swojej ponurej przeszłości.

- Ja też zaczynam podejrzewać, że wziąłem po nim więcej pewnego rodzaju namiętności, niż do tej pory sądziłem.

18

Sącząc lemoniadę, Charlotte przyglądała się zatłoczonej sali balowej. Ariel tańczyła walca z następnym dobrze urodzonym, ale tym razem raczej nieciekawym młodym człowiekiem. Zadowolona z wyrazu radości na twarzy siostry, uśmiechnęła się do Rosalind, która akurat do niej podeszła.

- Lady Trengloss, chciałabym pani gorąco podziękować za wszystko, co pani zrobiła dla Ariel. Nasza mama byłaby tak bardzo szczęśliwa wiedząc, że Ariel miała okazję poznać londyński sezon.

- Zrobiłam to z prawdziwą przyjemnością. Odkąd moja najmłodsza siostrzenica dorosła, nie miałam okazji wprowadzać młodej damy w świat. Zdążyłam już zapomnieć, ile jest przy tym zabawy. - Rosalind entuzjastycznie zamachała jedwabnym wachlarzem ozdobionym pięknie wymalowanymi obrazkami. - Ariel to urocza młoda kobieta i zdobyła liczne grono adoratorów.

Charlotte westchnęła.

- Obawiam się, że oni wszyscy szybko znikną, gdy dowiedzą się o zerwaniu moich zaręczyn z pani siostrzeńcem. Z początku bardzo się tym martwiłam, ale Ariel utrzymuje, że wcale o to nie dba.

- Jak na swój młody wiek, jest bardzo roztropna. - Rosalind popatrzyła na Charlotte z ukosa. - I to pani zasługa, moja droga.

- Niezupełnie. Ariel zawsze była praktyczna. Według niej sezon to doskonała rozrywka, coś w rodzaju teatru, ale gdy kurtyna opadnie, będzie zadowolona mogąc wrócić do zwykłego życia.

Charlotte modliła się, by naprawdę tak było. Ariel jest jeszcze taka młoda. Mimo całego zdrowego rozsądku, jakim się odznacza, na pewno będzie jej przykro, gdy przestaną napływać zaproszenia, a posłańcy nie będą już przynosić kwiatów. Ale najważniejsze, by nie wyszła z tego ze złamanym sercem.

A jeśli chodzi o jej własne serce, myślała dalej Charlotte, jedynym sposobem na poradzenie sobie z nim będzie pogrążenie się w pracy. Jednak wiedziała również, że

niezależnie od tego, ile klientek się do niej zgłosi i jak bardzo interesujące będą jej dochodzenia dotyczące dżentelmenów, nigdy nie potrafi zapomnieć swojego kochanka o oczach alchemika. Nigdy już nie będzie nikogo takiego jak Baxter.

Rosalind spojrzała na nią z namysłem.

- Skoro już przy tym jesteśmy... jestem pani co najmniej tak samo wdzięczna jak pani mnie.

- Jeżeli chodzi pani o śledztwo, zapewniam, że zajęłam się nim z własnej woli.

- Nie mówię o śledztwie. - Rosalind z lekkim trzaskiem złożyła wachlarz. - Powiem szczerze. Martwiłam się o Baxtera, zwłaszcza odkąd trzy lata temu wrócił z Włoch, chociaż zawsze był zbyt ponury jak na swoje lata. Już w dzieciństwie odznaczał się wprost denerwującym opanowaniem i zamknięciem w sobie. Wobec wszystkich zachowywał się z dystansem.

- Zupełnie jakby obserwował i oceniał ludzi w taki sam sposób, jak to robi podczas chemicznych doświadczeń?

- Właśnie. - Rosalind delikatnie wzruszyła ramionami. - Czasami aż zbijał z tropu. Ale po tym okropnym wypadku we Włoszech stał się całkowitym odludkiem. Siedział tylko w laboratorium i w ogóle przestał bywać w towarzystwie. Zaczęłam się obawiać, że popada w melancholię.

- Tak pani sądzi?

- Ma to we krwi.

Charlotte zmarszczyła czoło.

- Nie wiedziałam. Przecież podobno jego rodzice byli niezwykle uroczą, rozbawioną parą, zawsze na ustach towarzystwa. Sądziłam więc, że cieszyli się doskonałym szczęściem.

- Czasami to szczęście stawało się zbyt wielkie - odparła spokojnie Rosalind. - Za tak silne namiętności trzeba płacić. I wcale mi nie chodzi o reputację.

- Rozumiem, co pani ma na myśli. Zauważyłam, że ludzie o silnych namiętnościach często mają drugą, ciemną stronę osobowości. To tak, jakby sama natura próbowała jakoś zrównoważyć ich temperament, ale w trakcie tego procesu powstają ekstrema.

- Jest pani bardzo spostrzegawcza, moja droga. Właśnie tacy byli rodzice Baxtera. Esherton, mimo całej swojej inteligencji i radości życia, odznaczał się również niebezpiecznymi cechami i miał tendencję do ogromnej lekkomyślności. To prawdziwy cud, że dożył podeszłego wieku. A moja siostra...

- Tak? - ponagliła Charlotte.

- Była piękna, mądra i wprost kipiała żywotnością. Pozwalała sobie na szalone

uczynki i nie przejmowała się opinią. Wszyscy, którzy ją znali, byli nią całkowicie zauroczeni, nawet gdy zachowywała się wyzywająco. Tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele wiedzieli, że czasami wpadała w otchłań melancholii.

- Wydaje mi się, że Baxtera do alchemii przywiodła wewnętrzna potrzeba.

- Alchemia? O czym pani mówi?

- Chyba uważa się za wynik zmieszania bardzo groźnych substancji. Czuł, że nie ma wyboru i musi nauczyć się kontrolować ogień mogący doprowadzić do niebezpiecznego wybuchu.

Rosalind uniosła brew.

- Interesująca analogia. Ale oto co chciałam powiedzieć, moja droga: jest pani czymś najlepszym, co mu się mogło przydarzyć.

Charlotte była tak zdumiona, że omal nie wypuściła z ręki szklanki.

- Lady Trengloss, to bardzo uprzejme z pani strony, ale z całą pewnością przydaje pani zbyt wielkie znaczenie naszej znajomości.

- Wcale nie. Taka jest prawda. Pani go rozumie i potrafi postępować z nim jak nikt inny.

- Och, przecież wcale nie jest taki trudny.

- Jest, ale nie o tym chciałabym mówić. Proszę mi wybaczyć moją ciekawość, bo muszę pani zadać bardzo osobiste pytanie.

- Słucham? - zachęciła ją ostrożnie Charlotte.

- Nie ma sposobu, by to uczynić delikatnie, więc spytam wprost: czy Baxter zaproponował pani małżeństwo?

- Nie. - Charlotte wzięła głęboki oddech. - Nie zaproponował. - A przed chwilą powiedział nawet, że nie mamy najmniejszej szansy na długotrwały związek, dodała w myśli.

Ich romans stał się dla niego niewygodny. Myśląc o tym Charlotte miała wrażenie, że blask roztaczany przez lśniące kandelabry nagle przygasł.

Ale teraz ma ważniejsze troski. Nie będzie mogła spać, póki się nie dowie, czy Baxter jest bezpieczny.

Bxaxter podniósł świecę i rozejrzał się po pustym pokoju, w którym znajdowali się z Hamiltonem. Warstwa kurzu na podłodze była nie naruszona.

- Od dawna nikt tu nie chodził.

Czuł się tak, jakby zwiedzał opuszczony dom. Grube ściany i podłoga tłumiły nawet

głośne hałasy w kasynie na parterze.

Najwyższe piętro „Zielonego Stolika” stanowiło osobny świat, szary i nawiedzony. Tylko mag mógłby się tu czuć u siebie.

- Oglądamy już czwarty pokój - powiedział Hamilton. - Słowo daję, spodziewałem się w każdej chwili ujrzeć tu ducha.

- Tylko ktoś lubujący się w romantycznej poezji i gotyckich powieściach może myśleć o duchach - zakpił Baxter.

- To prawda. Lubię zarówno romantyczną poezję, jak i gotyckie powieści - przyznał radośnie Hamilton.

Baxter spojrział na niego z lekkim zdziwieniem.

- Chyba doskonale się bawisz.

- To najbardziej podniecająca rzecz, jaka zdarzyła mi się od miesięcy. - Hamilton ukazał w uśmiechu wszystkie zęby. - Kto by pomyślał, że właśnie ty zapewnisz mi taką rozrywkę?

- Esherton, w pełni zdaję sobie sprawę, jakim rozpaczliwym jestem nudziarzem. Ale nie zapominaj, że to ja jeszcze przez kilka lat będę trzymał sznurki twojej sakiewki.

- Muszę przyznać, że doskonale potrafisz psuć mi humor.

- Chodź. Mamy coraz mniej czasu, a pozostał nam jeszcze jeden pokój.

Ruszyli do ostatnich drzwi. Wytarty dywan biegnący przez całą długość korytarza wyciszał ich kroki.

- Może tu coś znajdziemy - odezwał się Baxter, gdy już stali przed drzwiami.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ten pokój znajduje się prawie dokładnie nad tym, w którym odbywacie spotkania swojego tajemnego klubu.

- No i co z tego? - spytał Hamilton z uwagą przyglądając się drzwiom.

- Opowiadałeś, że mag pojawia się wśród was niepostrzeżenie. W jednej chwili jeszcze go nie ma w pokoju, a w następnej już stoi między wami.

- Myślisz, że schodzi do nas stąd?

- Jak mówiłem Charlotte, w tym budynku mieścił się kiedyś burdel. Takie przybytki na ogół wyposażone są w wizjery w ścianach i ukryte wejścia.

- Dobry Boże. - Hamilton spojrział na brata ze szczerym zdumieniem. - Chcesz przez to powiedzieć, że rozmawiasz o takich sprawach z panną Arkendale?

- Charlotte to dama mająca wiele niezwykłych zainteresowań. - Baxter przyglądał się kłamce. Nie było na niej kurzu, lekko błyszcząca w niepewnym świetle świecy. A więc ktoś

niedawno wchodził do pokoju.

- Nic dziwnego, że nie miałeś nigdy zbyt dużo szczęścia u dam, skoro zabawiasz je opowiastkami o burdelach. - Hamilton położył rękę na klamce. - Muszę pamiętać, by dać ci kilka wskazówek. - Uśmiechnął się szelmowsko, pchnął drzwi i wszedł do pokoju.

Baxter raczej poczuł niż usłyszał dudnienie ukrytego mechanizmu.

- Hamilton! Cofnij się!

- Dlaczego? - Hamilton wziął od Baxtera świecę i przeszedł kilka kroków w głąb pokoju. Spojrzał na brata, który wahał się na progu. - Tu nikogo nie ma. Tak samo jak na całym piętrze. Czy coś... Baxter, drzwi!

Baxter poczuł ruch nad głową. Spojrzał w górę i zobaczył żelazną płytę, która szybko zsuwała się na próg, wydając przy tym dźwięk przywodzący na myśl miecz gwałtownie wyciągany z pochwy. Zdał sobie sprawę, że gdy płyta dojdzie do podłogi, zamknie pokój całkowicie.

Miał tylko sekundę na podjęcie decyzji. Mógł albo się cofnąć, albo dołączyć do Hamiltona.

- Niech to szlag! - Schylił się i szczupakiem rzucił się przez próg.

Z miękkim stuknięciem, brzmiącym jak westchnienie, żelazna płyta zamknęła wejście.

- Boże! - Hamilton patrzył na metalową ścianę. - Jesteśmy odcięci.

Przez chwilę stali w milczeniu, bo zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. Hamilton miał rację. Pojedyncze okno również nie stanowiło drogi ucieczki, gdyż było przykryte żelazną żaluzją.

- Zapewne otwarcie drzwi i przejście przez próg stanowi sygnał do zwolnienia mechanizmu płyty - mruknął Baxter. - Całkiem sprytnie. Ale właściciel pokoju wie, jak nie dopuścić, by ta gilotyna spadła mu na kark. Gdzieś na korytarzu musi znajdować się przełącznik.

- Baxter, to nie jest odpowiednia pora na twoje naukowe rozważania. Jesteśmy w pułapce.

- Być może. - Baxter nadal bacznie oglądał pokój.

W przeciwieństwie do wcześniej przeszukanych pomieszczeń, to było wystawnie umeblowane. Baxter zobaczył łóżko pod ciężkim baldachimem, szeroką szafę, masywne biurko i chiński parawan. Na jednej ścianie znajdował się kamienny kominek.

- A może jednak nie.

- O co ci, do diabła, chodzi? Baxter, to nie czas na mówienie zagadkami.

- Pozwól mi chwilę pomyśleć.

- Powinieneś zostać na korytarzu - burknął Hamilton. - Po co tu wchodziłeś widząc, że płyta się zsuwa? Teraz obaj jesteście zamknięci. Gdybyś został na zewnątrz, przynajmniej ty byłbyś wolny.

- Ktokolwiek zaprojektował ten pokój, był przecież na tyle inteligentny, by zostawić sobie jakąś drogę wyjścia - powiedział Baxter z namysłem.

Wziął świecę i podniósł ją wysoko. Natychmiast zobaczył na biurku złożony i zapieczętowany plik.

- Nawet jeżeli jest tu jakieś wyjście, nie będziemy potrafili go znaleźć - złościł się dalej Hamilton. - Baxter, możemy tu zostać tak długo, aż umrzemy z głodu i pragnienia. Przez te ściany nikt nas nie usłyszy.

Baxter nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na pliku. Podeszedł do biurka.

- Baxter, co to jest?

- Wiadomość. - Baxter odstawił świecę, wziął papier i obejrzał pieczęć. Na wosku widniały takie same alchemiczne symbole, jakie Drusilla Heskett narysowała w swoim szkicowniku. Trójkąt w okręgu. - Pewnie od maga.

Hamilton podbiegł do biurka.

- Co tam jest napisane?

Baxter złamał pieczęć i rozwinął plik. Zobaczył tylko jedną linijkę pisma.

Człowiek, który rodzi się bez przeznaczenia, musi je sobie wykuć sam.

- Co to znaczy? - spytał Hamilton.

- Że byliśmy oczekiwani. - Baxter zgniótł papier w rękę. - Chodź. Nie mamy czasu do stracenia.

- Bardzo chętnie stąd wyjdę. - W głosie Hamiltona brzmiało szyderstwo. - Ale jak dokonasz tego cudu? Żaden z nas nie jest na tyle mały, by wymknąć się przez kominek.

Baxter już chciał powiedzieć, że najprawdopodobniej w szafie jest wyjście na ukryte schody, ale nagle zastygł, bo poczuł znajomy zapach.

- Ziola - mruknął. - Niech to szlag!

Hamilton zmarszczył czoło.

- Tak, czuję. - Skonsternowany, rozejrzał się po pokoju. - Ale jak tu wchodzi? Nie widzę żadnego piecyka.

Baxter podeszedł do kominka i uniósł świecę. Z zimnego kamiennego paleniska unosiły się kłęby gęstego dymu.

- Ktoś jest na dachu i potężnym miechem wdmuchuje tu dym.

- To nie jest dokładnie taki sam zapach jak ten, którego używaliśmy podczas naszych zebrań. Jest silniejszy i nie tak przyjemny. - Hamilton zakaszłał. - I jest go o wiele za dużo. Dobry Boże, co oni robią?

- Zasłoń usta i nos fularem. - Baxter również zdjął swój fular i zrobił z niego maskę.

Hamilton posłusznie go naśladował.

Baxter wrócił do szafy i otworzył drzwi.

- Gdzieś tutaj musi być mechanizm. Wasz mag, pojawiając się między wami piętro niżej, wychodził z szafy.

Czubkami palców macał tylną ścianę mebla.

- Ten dym jest zbyt gęsty. - Głos Hamiltona był stłumiony przez maskę. - Udusimy się.

Baxter spojrzał na brata. Hamilton w przerażeniu wpatrywał się w chmury brzydkiego dymu wydobywające się z kominka.

- Esherton, przydałaby mi się twoja pomoc. - Baxter powiedział to głosem celowo lodowatym i władczym. Chciał odwrócić uwagę Hamiltona od niebezpieczeństwa.

Hamilton obrócił się dziwnie nieskoordynowanym ruchem. Ponad brzegiem sporządzonej naprędce maski jego oczy patrzyły niezbyt przytomnie.

- Co... co mam zrobić?

Palce Baxtera trafiły na dwa małe wycięcia w rogu szafy.

- Chyba znalazłem drogę. - Mocno nacisnął zaznaczone miejsce. Plecy szafy otworzyły się ze skrzypieniem. Przed oczami Baxtera pojawił się nie oświetlony tunel.

- Klatka schodowa. - Hamilton wpatrywał się w wąskie stopnie prowadzące w ciemność. - Skąd wiedziałeś, że tędy można wyjść?

- Wczoraj wieczorem widziałem, jak wasz mag materializował się w pokoju leżącym dokładnie pod nami. Doszedłem do wniosku, że musi tu być ukryta klatka schodowa. Nie było innej możliwości.

- Widziałeś go? Baxter, nie przestajesz mnie zadziwiać. A wniosek, że tu są schody, był diabelnie mądry.

- Zwykła logika. - Baxter wziął świecę i wszedł do szafy. - Jak mówiłem, w burdelu, który przedtem się tu znajdował, zadowalano najdziwniejsze gusty. Klienci, którzy lubili podglądać innych, na pewno słono płacili za korzystanie z ukrytych schodów i wizjerów w ścianach.

Hamilton podążył za Baxterem do szafy.

- Jak na chemika, wiesz zadziwiająco o tego typu sprawach.

- To nie moja zasługa. - Baxter spojrział w dół schodów. - Ojciec raz czy dwa opowiadał mi o tym budynku. Był czymś w rodzaju eksperta od tego rodzaju przybytków. Jeżeli zamkniesz drzwi szafy, będzie się tu przedostawało mniej dymu.

- Na Boga, przecież ojciec był żonaty. - Hamilton zaniknął drzwi. - I na dodatek miał kochankę. Po co, u diabła, musiał jeszcze chodzić do burdeli?

- Doskonałe pytanie. - Baxter poczuł, że zapach ziół przedostaje się już przez maseczkę z fulara. - Do diabła! Dym przechodzi przez drzwi. Spieszymy się.

- Czuję się trochę dziwnie. - Buty Hamiltona szurały o stopnie. - Kręci mi się w głowie.

- Już niedaleko. - Baxter sapnął, bo płomień świecy zmienił się nagle w gorejącą kulę. - Niech to szlag.

Zioła używane tu dziś okazały się wyjątkowo mocne. Już działały na jego zmysły, nawet przy tak niewielkiej ilości, ograniczonej przez zamkniętą płytę szafy.

- Baxter?

- Nie zatrzymuj się.

Wydawało się, że przebycie kręconych schodów zajmuje im całą wieczność. Niewidzialne opary sunęły za nimi i otaczały ich. Baxter zdał sobie sprawę, że zbyt intensywnie wpatruje się w płomień świecy. Ogarnęła go nieodparta chęć rzucenia się głową w ten ogień.

Hamilton położył mu na ramieniu drżącą rękę.

- Wszystko jest takie dziwne. Obrzydliwe kadzidło.

Baxter wpadł na drewnianą płytę zagrządzającą drogę. W tej samej chwili w pokoju na górze rozległy się głośne kroki.

- Ktoś tam jest - szepnął Hamilton. - Szuka nas.

Baxter rozpaczliwie walczył z płytą nasłuchując jednocześnie głosów.

- Gdzie oni są? - warknął jakiś mężczyzna. - Nawet w masce nie chcę przebywać tu zbyt długo.

- Muszą gdzieś być. Wpadli przecież w sidła. Pewnie stracili przytomność. Może leżą za biurkiem albo parawanem.

- Pospieszymy się. Mag powiedział, że ten dym zabija, a chciał, byśmy ich dostarczyli żywych.

Baxter znalazł uchwyt i mocno pociągnął. Drewniana płyta cicho się odsunęła. Światło świecy ukazało wnętrze kolejnej szafy. Baxter potrzebował ogromnej siły, by

otworzyć jej drzwi.

Pokój, do którego wszedł, był pusty i ciemny.

- Poznaję to miejsce - szepnął Hamilton. Odrzucił fular i zaczerpnął głęboki haust powietrza. - Tu spotykaliśmy się dla przeprowadzania eksperymentów. Zawsze się zastanawiałem, w jaki sposób mag mógł się pojawiać, gdy go wzywaliśmy.

Głosy z pokoju na wyższym piętrze odbijały się echem na schodach.

- Do diabła, nie ma ich - krzyknął jeden z mężczyzn. W jego tonie brzmiała prawdziwa panika.

- Muszą tu być - rozpaczał drugi. - Słyszeliśmy ich, gdy byliśmy na dachu.

- Zobacz za parawanem.

- Dym jest bardzo gęsty, nic nie widzę. Musimy ich znaleźć. Pete i Długi Hank pewnie już mają tę Arkendale. Jeżeli nie przyprowadzimy St. Ivesa, mag nas zabije jedną ze swoich przeklętych sztuczek.

Baxter pociągnął Hamiltona do drzwi.

- Idź. Znajdź Charlotte. Może jeszcze nie jest za późno.

- Przecież wynająłeś detektywów, by jej pilnowali.

- Nie można na nich polegać.

- A ty? - spytał cicho Hamilton.

- Muszę pozwolić dać się złapać.

- Nie zgadzam się.

Baxter spojrzał Hamiltonowi w oczy.

- Nie rozumiesz? Jeżeli już porwali Charlotte, to jest jedyny sposób na to, bym ją znalazł.

- A jeżeli jeszcze jej nie mają? Bez powodu zaryzykowałbyś życie.

- Umieć dbać o siebie. Idź już. Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, by obronić Charlotte.

W oczach Hamiltona, jeszcze ciągle łzawiących od dymu ziół, odmalowało się niechętnie zrozumienie. Skinął gwałtownie głową i bez słowa pobiegł do drzwi.

Baxter głęboko odetchnął stosunkowo świeżym powietrzem pokoju, a potem wrócił na ukryte schody.

- Łóżko - powiedział ochryple jeden z mężczyzn na górze. - Spójrzcie pod łóżkiem.

Baxter doszedł do szczytu schodów. Dym nie był już tak gęsty, jak kilka minut temu. Mężczyźni otworzyli żelazną płytę i do pokoju dostawało się trochę zwykłego powietrza, ale i tak zapach kadzidła ciągle jeszcze utrudniał koncentrację. Ciche wejście do szafy kosztowało

Baxtera wiele wysiłku.

- Nie ma ich pod łóżkiem. To diabelnie dziwne, jeżeliby mnie kto pytał. Może mamy do czynienia z jeszcze jednym magiem.

- Nie bądź głupi. Poszukaj w szafie.

Baxter zasunął płytę prowadzącą na schody i opadł na dno szafy w pozie, którą napastnicy mogliby uznać za omdlenie.

Drzwi szafy otworzyły się.

- Jeden z nich tu jest. - W głosie zabrzmiała prawdziwa ulga. - Nosi okulary. To musi być St. Ives. Ale po drugim nie ma nawet śladu.

- Więc nie powiemy magowi, że było ich dwóch – oświadczył zdecydowanie drugi mężczyzna. - Gdyby się dowiedział, że drugi uciekł, rozprawiłby się z nami.

- Dobrze. Ale co się z nim stało?

- Pewnie wyszedł, zanim pułapka się zamknęła. Nieważne. Magowi chodzi o St. Ivesa. A on wygląda tak, jakby miał spać jeszcze dobrą chwilę.

Szorstkie ręce sięgnęły po Baxtera. Gdy wyciągano go z szafy, starał się być jak najbardziej bezwładny.

Ponieważ miał oczy zamknięte, by przydać prawdopodobieństwa odgrywanej roli, uznał, że równie dobrze może odmówić modlitwę. Boże, pozwól Hamiltonowi znaleźć Charlotte, zanim dopadną ją ludzie maga, myślał gorączkowo.

19

Godzinę później Baxter leżał na zimnej kamiennej podłodze i słuchał rozmowy dwóch strażników.

- St. Ives wcale nie wygląda tak diabelnie niebezpiecznie. Szukanie go w tym śmierdzącym dymie było stratą czasu. O wiele prościej byłoby załatwić go pistoletem.

- Słyszałeś, co mówił mag. - W głosie drugiego strażnika zabrzmiała nuta niepewności. - St. Ives potrafi więcej, niż się wydaje.

- Ty i Virgil mieliście łatwiejsze zadanie. Ta Arkendale o mało nie wydrapała mi oczu. Trzasnęła biednego Długiego Hanka torebką. Jeszcze go boli głowa. A język ma, jak nie przymierzając, handlara ryb.

To tyle, jeśli chodzi o nadzieję, że Hamilton znalazł Charlotte przed ludźmi Morgana Judda, pomyślał Baxter.

- Chyba użyliśmy za dużo kadzidła - powiedział niespokojnie drugi strażnik. - Ciągłe śpi.

- Całe szczęście, że nie umarł od tego przeklętego dymu, bo mag byłby bardzo niezadowolony. Sam chciał się z nim rozprawić.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, a potem ściszym głosem znów odezwał się drugi strażnik.

- Zauważyłeś, że on staje się coraz dziwniejszy?

- Kto? St. Ives? Z tego, co słyszałem, zawsze był trochę dziwny.

- Nie, nie St. Ives, ty głupcze. Mag.

Pierwszy strażnik cicho zachichotał.

- Założyłbym się, że on też był od zawsze dziwny. Ale dobrze płaci. - Zaszurał butami po podłodze. - Idę do kuchni po coś do jedzenia. Pociągnij za ten cholerny dzwonek, gdy St. Ives otworzy oczy.

- Mag powiedział, że jego pierwszego mamy zawiadomić. Wiesz, jaki jest, gdy się nie spełni ściśle jego rozkazów.

- Cholerny mag z jego cholernym urządzeniem sygnałowym.

- Przynieś mi trochę zapiekanki z szynką. - Mężczyzna, który pozostał na straży, podniósł głos. - I piwo. Ten tutaj chyba nie obudzi się prędko i będę musiał tu jeszcze trochę zostać.

Rozległa się przytłumiona odpowiedź, potem kroki oddalające się w kamiennym holu, aż wreszcie zapadła cisza.

Baxter rozważał swoje położenie. Bardzo różniło się od tego, co poznał w laboratorium. Tu również połączono w tyglu ulotne substancje i podgrzewano je nad ogniem. Ale w tym przypadku Baxter nie był jedynie obserwatorem stojącym obok i notującym wyniki. Tym razem on sam stanowił jedną z substancji.

Przed wrzuceniem go do powozu przeszukali mu ubranie. Zabrali nóż, ale zostawili okulary. Czuł za uszami drut oprawki. Podczas szybkiej jazdy raz czy dwa wystraszył się, że spadną, gdy powóz podskakiwał na wybojach.

Na szczęście był w powozie sam. Porywacze, pewni, że oszołomiona narkotykiem i związana ofiara nie sprawi im kłopotów, usiedli na koźle i raczyli się kwaterką piwa.

Baxter mógł więc zająć się rozluźnianiem więzów. Stłukł wieczko zegarka i w ten sposób uzyskał ostrą krawędź. Prowizoryczny nożyk okazał się skuteczny. Mężczyźni, którzy nieśli go z powozu do budynku, nie zauważyli, że lina wokół jego nadgarstków trzyma się tylko na paru pasemkach.

Jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, zastanawiając się nad dalszym postępowaniem. Tak jak przy każdym interesującym eksperymencie, czy to chemicznym czy też alchemicznym, wszystko sprowadzało się do ognia. I jak zawsze, istniało niebezpieczeństwo wybuchu.

Baxter przeciągnął się, zamruczał i otworzył oczy.

Niski, krępy, ciężko zbudowany mężczyzna, który siedział rozwalony o kilka kroków od niego, zerwał się na równe nogi i uśmiechnął się ukazując szczyby w uzębieniu. Baxter zauważył, że za pasem ma zatknięty pistolet.

- Coś takiego. Postanowiłeś się obudzić? - Strażnik podszedł bliżej. - Najwyższy czas. Mag na ciebie czeka. Powiedział, żebyś wysłał mu sygnał, gdy tylko otworzysz oczy. Chyba lepiej tak zrobię.

- Chwileczkę, jeśli łaska. - Baxter z całej siły kopnął obutą stopą nogę strażnika.

Mężczyzna jęknął, odsunął się i chwycił pistolet.

- Ty głupcze! Nic w ten sposób nie osiągniesz.

Baxter odrzucił resztki liny wiążącej mu przeguby i szybko potoczył się po podłodze.

Strażnik rozszerzonymi oczami wpatrywał się w uwolnione ręce Baxtera. Chciał

uskoczyć na bok, ale ugięła się pod nim boląca noga. Baxter w jednej chwili znalazł się przy nim i z całej siły uderzył go pięścią w szczękę.

Pistolet spadł na podłogę. Baxter chwycił go, odbezpieczył i zerwał się na nogi. Wymierzył w pierś strażnika.

- Nie strzelałem dobrze, ale ty stanowisz bardzo duży cel. - Strażnik kilka razy zamrugał w zdumieniu.

- Mag mówił, że będziesz całkiem oszołomiony i powolny.

- Mylił się - odparł cicho Baxter. - A teraz opowiedz mi o tym cholernym sygnale.

Charlotte rozpaczliwie kręciła się na linie, którą przywiązano jej ręce do kolumny szerokiego szkarłatnego łoża. Walczyła z węzłem od chwili, gdy porywacze zostawili ją samą w pokoju.

Lina była dość długa, więc miała trochę swobody ruchów, jednak węzeł trzymał mocno. Gdy siadała prosto, mogła podnieść ręce aż do frędzli baldachimu, ale to było wszystko.

Łóżko miało ogromne rozmiary. Na jego czterech kolumnach wyrzeźbiono dziwne, mitologiczne stwory. Wężę, smoki i gryfy były oddane z taką naturalnością, że wyglądały, jakby naprawdę wiły się po drewnie.

Obejrzawszy dokładnie kamienny pokój, doszła do wniosku, że to łoże tu pasowało. Wyłożoną kamieniem podłogę pokrywał gruby szkarłatno-czarny dywan, kominek wykonano z czarnego granitu, a ciężkie szkarłatne draperie, obramowane czarnymi frędzlami z jedwabiu, zwiślały z okien aż na podłogę.

Wszystko w pokoju było w barwach krwistej czerwieni i czerni. Charlotte przypomniała sobie salonik, w którym Juliana stawiała karty. Najwyraźniej czerwień i czerń były ulubionymi kolorami maga.

W oko wpadła jej cienka świeca osadzona w czarnym, żelaznym świeczniku i zastanowiła się, ile czasu potrzebowałby jej delikatny płomień na spalenie grubej liny, którą była związana. Na tego rodzaju naukowe pytanie Baxter potrafiłby odpowiedzieć bez namysłu.

Drzwi otworzyły się.

Charlotte szybko odwróciła się mając nierozsądną nadzieję, że to Baxter tu wchodzi dzięki jakiejś magicznej sztuczce. Ze strzępów rozmowy, którą udało jej się podsłuchać, gdy powóz wiozł ją do tego dziwnego domu, wywnioskowała, że jego również porwano.

Zobaczyła, kto stoi w drzwiach i żołądek zacisnął jej się w supeł.

Tym razem nie nosił czarnego domina, a jego twarz nie ukrywała się w cieniu, który nie pozwalał dojrzeć rysów, gdy spotkała go po raz pierwszy pięć lat temu. Jednak chłód emanujący z całej postaci był jak niezatarte piętno. Teraz dziwiła się, że go nie rozpoznała w noc balu maskowego.

Znalazła się twarzą w twarz z potworem.

Natychmiast zobaczyła, że jego prawdziwą naturę skrywają nieprawdopodobnie piękne, doskonale męskie rysy twarzy. Czarne loki otaczały szerokie czoło. Delikatny, prosty nos i wysokie kości policzkowe świadczyły o arystokratycznym pochodzeniu. Ubrany był zgodnie z najnowszymi nakazami mody: śnieżnobiały wymyślnie zawiązany fular, surdut, spodnie i buty pochodzące od najlepszych krawców i szewców. Wszystko to nadzwyczajnie pasowało do jego idealnej, wysokiej i szczupłej postaci. Nosił się z wrodzoną elegancją.

Dobrze się kamufluje, pomyślała. Po to, by zrozumieć, z kim ma się do czynienia, trzeba zobaczyć z bliska zimny, gadzi wyraz jego ciemnych oczu.

Charlotte siedziała sztywno na szkarłatnym kocu. Wzięła głęboki oddech, który trochę pomógł jej się uspokoić, ale puls walił jak oszałały. Panika tu nie pomoże, pomyślała. Albo stawię czoło złu, albo będę zgubiona.

Uniosła brodę jeszcze wyżej i wyprostowała plecy.

- Morgan Judei, jak sądzę?

- A więc nareszcie zostaliśmy sobie przedstawieni, mój malutki aniele zemsty. - Morgan skłonił się w geście ironicznej galanterii, a w jego chorym głosie zabrzmiało lodowate rozbawienie. - Od jakiegoś już czasu oczekiwałem tego spotkania.

- Gdzie jest Baxter?

- Zostanę powiadomiony, gdy się obudzi. - Morgan wyjął pistolet z kieszeni plisowanych spodni. Idąc po czarno-szkarłatnym dywanie do stolika, na którym stała karafka z koniakiem, trzymał go raczej nieostrożnie. - Obawiam się, że dostał sporą dawkę narkotyku. Moi ludzie nie są z tym dobrze obznajomieni.

- Dobry Boże. - Charlotte poczuła, jak ogarnia ją kolejna fala strachu. A jeżeli Baxter już nigdy się nie obudzi? Pamiętała, jak blisko śmierci znalazła się Juliana.

Na czole Morgana pojawiła się drobna zmarszczka.

- Doprawdy, powinienem przeprowadzić więcej doświadczeń z tą miksturą. Ciągle jeszcze nie wiem dokładnie, jakich efektów można się po niej spodziewać.

Nie będę myślała o tych wszystkich okropnych możliwościach, powiedziała sobie Charlotte. Skoncentruję się na obecnej chwili. Baxterowi nic się nie stanie. Nie może mu się

nie stać.

Gdy się odezwała, jej głos ociekał pogardą.

- Panie Judd, nie wydaje mi się, by musiał pan tak wymachiwać pistoletem. - Uniosła do góry związane ręce. - A może sprawia to panu przyjemność?

- Proszę mi wybaczyć, panno Arkendale. - Morgan nalał sobie koniaku i spojrzał na nią z udawaną serdecznością. - To nie z pani powodu wolę go trzymać w gotowości.

Charlotte nagle zrozumiała.

- Więc aż tak bardzo boi się pan St. Ivesa?

W gadzich oczach zamigotała irytacja.

- Wcale się go nie boję, ale nauczyłem się ostrożności, a były to trudne lekcje. To podstępny człowiek. Bardziej niebezpieczny, niż mogłoby się wydawać.

- Zgadzam się z panem. - Charlotte zrobiła wszystko, co mogła, by jej spojrzenie było rozkazujące. - Dlaczego pan nas tu przywiózł?

Morgan popił trochę koniaku z kieliszka.

- Sądziłem, że to oczywiste dla kobiety o pani nadzwyczajnym intelekcie. Sam sobie wykuwam własne przeznaczenie, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu pani i St. Ives znaleźliście się w moim diagramie. Próbowałem was z niego wyeliminować, jednak bez skutku. Uznałem więc, że muszę nakreślić ten fragment jeszcze raz.

Przy drzwiach powstało jakieś poruszenie.

- Judd, nadal pracujesz nad swoim wielkim przeznaczeniem?

Morgan uśmiechnął się łagodnie.

- St. Ives, witam cię.

Baxter! Serce Charlotte omdlało na jego widok.

Był tutaj i wyglądał dokładnie tak samo, jak kilka godzin wcześniej na sali balowej. Właśnie tak, jak powinien wyglądać. Trochę niemodny, trochę wymięty, i o wiele za stateczny jak na mężczyznę w jego wieku. Ale maska, którą przybrał, nie osłaniała go ani trochę lepiej niż ta, pod którą ukrywał się Morgan Judd. Niezależnie od tego, jak bardzo obaj się starali, bez trudu można było rozpoznać, kim naprawdę są.

Baxter wszedł do pokoju trzymając w ręku pistolet. Płaszcz miał udrapowany na ramieniu, jakby właśnie wracał z przejażdżki po parku. Ale w szklach okularów odbijało się światło ognia, a jego oczy gorzały nieubłaganą groźbą.

Morgan wycelował pistolet w Charlotte i odstawił kieliszek z koniakiem.

- Jak widzę, służba nie wykonała rozkazów. Doprawdy, bardzo trudno jest znaleźć pomocników, na których można byłoby polegać. Mieli przekazać mi sygnał, gdy tylko się

obudzisz.

- Nie wiń służby, Judd - odparł Baxter. - Idąc tutaj odciąłem dzwonek. Zresztą równie dobrze możesz się dowiedzieć, że znalazłem pomieszczenie, w którym trzymasz mechanizm sygnalizacyjny, i rozłączyłem go. Jeżeli teraz zechcesz zadzwonić, nikt cię nie usłyszy. Całkiem zmyślne urządzenie, jednak teraz już zupełnie bezużyteczne. Zadziwiające, jak jeden mały drobiazg potrafi zniszczyć nawet najmądrzejszy plan.

Twarz Morgana zastygła, ale ograniczył się tylko do lekkiego wzruszenia ramionami.

- St. Ives, nie bądź taki pewny siebie. Przeżyłem Włochy i dziś też zatriumfuję. - Wykonał lekki ruch ręką. - Odłóż pistolet albo mózg twojej damy rozprysnie się na ściany. Obaj wiemy, że ten przedmiot nie wyrządzi mi wielkiej szkody z takiej odległości. Nigdy nie umiałeś dobrze strzelać.

- To prawda. - Baxter położył pistolet na stole, a potem zwrócił się do Charlotte: - Moja droga, nic ci się nie stało?

Jego głos był tak samo spokojny i wyprany z wszelkich uczuć, jak zawsze, ale w oczach płonął piekielny ogień. Charlotte musiała kilka razy przełknąć ślinę, zanim zdołała odpowiedzieć.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Nic mi nie zrobili. A tobie?

- Jak widzisz, czuję się doskonale. - Baxter znów zajął się Morganem. - Co, do diabła, to wszystko ma znaczyć?

Morgan westchnął.

- Z początku twoje wtrącanie się w moje sprawy było tylko drobną niedogodnością, ale potem zacząłem w tym widzieć intrygujące wyzwanie. W końcu trudno jest zignorować kogoś, kto, tak jak ja, sam wykuwa sobie przeznaczenie.

- To prawda. - Baxter powoli podszedł do okna i stanął w zamyśleniu wpatrując się w noc. - Przeznaczenie to ciekawa sprawa. Starożytni filozofowie wierzyli, że kluczem do losu człowieka jest jego temperament.

- Tak - zgodził się Morgan. - I mieli absolutną rację.

Charlotte w napięciu przyglądała się Juddowi. Chociaż nadal mierzył w nią z pistoletu, całą uwagę skupił na Baxterze.

Baxter odwrócił się od okna i przez sekundę popatrzył na nią. Twarz miał obojętną, ale oczy rozbłysły nagłym nakazem, który przykuł jej uwagę. Próbował przekazać jej jakieś posłanie. Czowała, że chce, by coś zrobiła.

Ale o co mu chodziło? W tych warunkach właściwie nie mogła nic zrobić.

Oprócz mówienia.

Oczywiście. Jeżeli Baxter miał plan, a na pewno nie wszedł tu bez jakiegoś zamysłu, trzeba było odwrócić uwagę Morgana Judda.

- Panie Judd, dlaczego zadał pan sobie tyle trudu, by nas tu dziś przywieźć? - spytała ostro.

Morgan rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Niezbyt często miewa się okazję rozmawiania z ludźmi, którzy potrafią docenić nasze umiejętności.

- Co za bzdura. Chyba nie jest pan aż tak próżny, żeby nas tu ściągać tylko po to, aby się przechwalać.

- Nie doceniasz go, moja droga - powiedział Baxter. - Próżność Morgana nie zna granic. Ale nie dlatego nas porwał, prawda, Morgan?

- Przebywanie wśród ludzi, którzy są dość inteligentni, by pojąć mój plan, jest wielką przyjemnością - wyjaśnił Morgan - jednak nie tylko w tym celu zadałem sobie trud sprowadzenia was tutaj.

- Zbyt szybko i zbyt dobrze zaczęliśmy rozumieć, co zamierzasz. - Baxter uśmiechnął się przelotnie. - Chcesz wiedzieć, jak tego dokonaliśmy.

- Z grubsza biorąc, tak. Sądziłem, że wyeliminowanie tej Heskett wystarczy. Jednak ponieważ w tego rodzaju sprawach nigdy nie można mieć całkowitej pewności, wysłałem kogoś do pilnowania jej domu. I z opisu podanego przez mojego człowieka rozpoznałem, że to wy go przeszukaliście tamtej nocy. A gdy dowiedziałem się o twoich bliskich stosunkach z panną Arkendale, uświadomiłem sobie, że to ona była tą kobietą, która ci towarzyszyła.

Baxter skinął głową.

- Twój człowiek powiedział ci również, że coś wynieśliśmy z domu pani Heskett.

- Tak, jakąś książkę. Niosła ją kobieta i dobrze wiedziała, co robi. - Morgan wydał chrapliwy dźwięk, który bez wątpienia miał oznaczać rozbawienie. - Trudno mi było uwierzyć w jego słowa, ale na wszelki wypadek przeszukałem dom panny Arkendale.

- To pan zabrał blok rysunkowy - powiedziała oskarżająco Charlotte.

- A ponieważ nie było tam żadnego śladu prowadzącego do mnie, znów miałem nadzieję, że na tym cała sprawa się kończy. - Morgan pokiwał głową. - Ale wy kontynuowaliście swój związek.

- Który próbowałeś zniszczyć, wysyłając do Charlotte Julianę Post ze stkiem kłamstw, a gdy nie udało ci się za pierwszym razem, wręczyłeś jej list mówiący o tym, jak bardzo jestem niegodny zaufania.

Morgan wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej druga próba zniszczenia jej zaufania też zawiodła. Muszę ci pogratulować, St. Ives. Nigdy bym się nie spodziewał, że potrafisz wykrzesać z siebie tyle czaru, by kobieta poczuwała się do lojalności wobec ciebie. Kto by pomyślał, że w twojej naturze drzemie również jakaś iskra romantyzmu?

Baxter zignorował tę ironię.

- Powiedz mi, co cię skłoniło do zabicia Drusilli Heskett.

- Pani Heskett była całkowicie niewybredna w doborze kochanków. Przez krótki czas utrzymywała związek z mężczyzną, któremu musiałem do pewnego stopnia zaufać. Na ogół nie zwierzam się ze swoich najgłębszych tajemnic, ale czasami nie da się tego uniknąć. W końcu nie można wszystkiego robić samemu. Każdy potrzebuje plenipotentą.

Charlotte osłupiała.

- Pani Heskett miała romans z pańskim plenipotentem?

- W takich sprawach była zagorzałą demokratką. W każdym razie mój człowiek upił się któregoś wieczoru i pokazał jej jeden z moich medalionów. Powiedział jej, że wie o mnie bardzo wiele i każe mi płacić za milczenie. Miał zamiar zaczekać, aż osiągnę władzę i bogactwo, a potem mnie szantażować. Chyba nawet posunął się do zaproponowania jej małżeństwa przechwalając się wielkimi nadziejami na przyszłość.

- Pan Charles Dill - szepnęła Charlotte. - Był jednym z jej adoratorów.

- Tak, pamiętam - wtrącił Baxter.

- Nie wydałam mu dobrej opinii - powiedziała Charlotte. - Mój plenipotent uważał go za człowieka niezbyt uczciwego w interesach.

- I miał rację - przyznał sucho Morgan. - Ale właśnie tego oczekuję od plenipotentą.

- Skąd się pan dowiedział, że pan Dill zwierzał się Drusilli Heskett? - spytała Charlotte.

Morgan uniósł czarną brew.

- Często wprowadzam w trans ludzi, którzy dla mnie pracują. Badam wtedy ich lojalność. Oczywiście potem nic nie pamiętają.

- I gdy odkryłeś, że Dill zamierzał cię zdradzić i opowiedział o twoich planach pani Heskett, postanowiłeś zamordować ich oboje - stwierdził Baxter, nadal stojąc przy oknie.

- To było jedyne logiczne rozwiązanie - wyjaśnił Morgan. - Pozbycie się Dilla było błahostką. Po prostu, gdy skończyłem go przepytować, dodałem do ognia troszkę więcej mocnych ziół i już nie wyszedł z transu. Kiedy dwa dni później znaleziono jego ciało, uznano, że umarł na atak serca.

- I wtedy postanowił pan zabić Drusillę Heskett - podjęła Charlotte. - Dwa zamachy

nie powiodły się, więc poszedł pan do niej do domu i zastrzelił ją z zimną krwią.

- Nie zawsze można się posłużyć ziołami i mesmeryzmem - powiedział obojętnie Morgan. - A poza tym czasami warto zmienić metodę działania. Rutyna nie jest cnotą.

Charlotte zmrużyła oczy.

- Wątpię, by pan musiał się zamartwiać tym, że obciąża pana zbyt wiele cnót.

- Uwielbiam pani ostry języczek. - Morgan spojrzał na Baxtera. - Co znaleźliście w bloku rysunkowym pani Heskett?

- Dlaczego wydaje się panu, że odpowiemy na pytania? - Charlotte wyprostowała się ciekawa, czy zdoła przyciągnąć uwagę Morgana zmieniając pozycję ciała. - Przecież gdy tylko dowie się pan wszystkiego, zaraz nas zabije.

- Rzeczywiście, muszę zabić St. Ivesa - przyznał Morgan. - I on doskonale rozumie, czemu nie mogę go zostawić przy życiu. Teraz, gdy już wie, że nie umarłem i wkrótce wypełnię swoje przeznaczenie, nie spoczłoby, póki by nie zniszczył moich planów. St. Ives jest wyjątkowo wytrwały.

- Więc nie może się pan spodziewać, że powie panu o wszystkim, co wie - powiedziała głośno Charlotte.

Morgan nie patrzył na nią. Całą uwagę skupiał na Baxterze.

- Powie mi, bo za jego informacje zapłacę pani życiem, moja droga.

Charlotte poczuła, że przenika ją chłód.

- I mam w to uwierzyć? Stanowię dla pana planów takie samo zagrożenie jak Baxter. Wiem wszystko, co wie on. I ja też nie spocznę, póki nie zniszczę pana planów.

Morgan spojrzał na nią lekceważąco.

- Jest pani tylko kobietą i to niezbyt ładną. Jednak ma pani kilka ciekawych cech, które mogą przyciągnąć takiego mężczyznę jak ja. No i pochodzi pani z wystarczająco dobrej rodziny. Proszę zważyć: nie doskonałej, ale dla mnie dość odpowiedniej.

- Co ma do tego moje pochodzenie? - Charlotte osłupiała.

- A co ważniejsze, odznacza się pani wyjątkową inteligencją jak na kobietę, a także tupetem i odwagą, które chciałbym przekazać swoim potomkom.

- Dobry Boże, pan zwariował!

- Jako moja żona nie będzie pani mogła świadczyć przeciwko mnie. - Morgan uśmiechnął się z okrucieństwem. - Natomiast będzie pani mogła dać mi dziedzica.

- Pana żona! Coś takiego! - Charlotte uklękła na łóżku i spojrzała wściekle na Morgana. - Nie ma sposobu, by mnie zmusić do poślubienia pana.

- Ależ wręcz przeciwnie. Taki sposób istnieje. - Zimne oczy Morgana na krótką,

przerazającą chwilę przygwoździły jej wzrok. - Mesmeryzm.

- Na mnie to nie zadziała.

- Niech pani nie będzie tego taka pewna. Z dnia na dzień coraz bardziej go udoskonalam. Odpowiednia doza ziół w połączeniu z moją naukową metodą wprowadzania w trans zrobi z pani idealną żonę, skarbie.

Charlotte nagle zaschło w ustach.

- Wątpię, by jakakolwiek doza ziół lub mesmeryzmu mogła przewyżżyć nienawiść, którą do pana czuję. Ale nawet gdyby tak się stało, efekt będzie wyłącznie chwilowy. Wcześniej czy później wyjdę z transu i wtedy znajdę sposób, by pana zabić.

- Taka perspektywa dodałaby trochę pieprzu naszemu małżeństwu. - Morgan parsknął śmiechem. - Może dzięki temu uniknęlibyśmy nudy, która przychodzi nieuchronnie, gdy ma się do czynienia ze zbyt potulną kobietą.

- Nawet gdyby to było możliwe, a zapewniam pana, że nie jest, dlaczego chciałby pan poślubić kobietę, która tak panem gardzi?

Uśmiech Morgana był piękny, ale zamienił krew Charlotte w lód.

Jednak na to pytanie odpowiedział Baxter. Jego głos był cichy, całkowicie wyprany z emocji, jak głos obojętnego naukowca, który podczas pracy wypowiada mało ważną uwagę.

- Oczywiście dlatego, że należysz do mnie.

Charlotte z trudem oddychała. Spojrzała na szerokie ramiona Baxtera i nie znalazła w sobie żadnych słów.

- Właśnie o to chodzi - powiedział Morgan z szorstkim zadowoleniem. - Charlotte, za każdym razem, gdy rozsunę ci nogi, będę odczuwał swoje zwycięstwo nad jedynym człowiekiem, który prawie mi dorównał.

- Pan jest naprawdę szalony - szepnęła.

W oczach Morgana rozpalila się złość. Spojrzał z pogardą na Charlotte.

- Och, daj spokój, kotku. Jesteś mi bardzo wiele winna. A ponieważ uważam cię za uczciwą kobietę, będziesz chciała spłacić swój dług.

- O czym pan mówi?

- To dzięki mnie twój ojczym pływał twarzą w dół po Tamizie z poderzniętym gardłem. Tamtej nocy zmieniłem twoje przeznaczenie. Co byś ze sobą poczęła, gdybym nie uwolnił cię od Winterbourne'a?

- Przecież nie zamordował go pan dla mnie - powiedziała Charlotte. - Zrobił to pan dlatego, że ojczym nie mógł spłacić karcianych długów.

Morgan wdzięcznie wzruszył ramionami.

- Muszę przyznać ci rację. Rzeczywiście, nie zrobiłem tego dla ciebie.

Baxter od niechcienia odsunął się od okna i podszedł do stolika z karafką koniaku.

- Mógłbyś mi powiedzieć, jak udało ci się uciec z zamku wtedy, we Włoszech?

Morgan gwałtownie odwrócił się ku niemu.

- Wystarczy, St. Ives. Ani kroku dalej.

Baxter zatrzymał się.

- Dobrze. Ale czy zechciałbyś zaspokoić moją ciekawość?

- Był tam sekretny tunel prowadzący z laboratorium na dwór. Udało mi się uciec do niego przed ogniem, ale nie mogłem obronić się przed gazami, które powstały, gdy zaczęły się palić chemikalia. Omal się nie udusiłem.

- I właśnie te gazy zniszczyły ci głos?

Przez twarz Morgana przemknęła furia, jak cień burzowej chmury.

- To ty mi to zrobiłeś - wychrypiał. - I dziś wreszcie za to zapłacisz.

- Jak pan śmie?! - krzyknęła Charlotte. - To pan próbował zabić Baxtera tamtej nocy.

- Milcz! - Morgan spojrzał na nią z niechęcią i znów zwrócił się do Baxtera. - Chyba dość już tych wspomnień.

- Tak - zgodził się Baxter.

- Powiedz mi, co znalazłeś w bloku rysunkowym Drusilli Heskett - rozkazał Morgan. - Powiedz mi to natychmiast, albo zabiję twoją pyską Charlotte.

- Znaleźliśmy bardzo interesujący rysunek.

- Baxter, nie! - zawołała Charlotte. - Nic mu nie mów. Zabije cię.

- Zamknij się, panno Arkendale - warknął Morgan - albo ci w tym pomogę.

Charlotte już otworzyła usta, by powiedzieć mu jeszcze raz, co o nim myśli, ale nawet nie zdążyła wydać głosu.

Nagle, w sposób przerażający i nie wyjaśniony, zajęły się ogniem ciężkie zasłony na oknie, przy którym przed chwilą stał Baxter.

Morgan na sekundę zamarł. Na jego przystojnej twarzy odmalowała się czysta panika.

- Nie - szepnął. - Do diabła, nie!

- Czy to ci coś przypomina? - spytał obojętnie Baxter. - Bo mnie tak.

Morgan wzdrygnął się i uczynił wyraźny wysiłek, by się opanować. Drżącymi rękami wycelował pistolet w Baxtera.

- Zabiję cię teraz. Informacje uzyskam od twojej kobiety. I sprawi mi to ogromną przyjemność. Umierając myśl o tym, że leżę między jej nogami.

Charlotte zobaczyła, że palce Morgana zaciskają się na pistolecie.

Otworzyła usta i wydała pisk mrożący krew w żyłach.

Morgan wzdrygnął się, gdy ten pisk przeszył mu uszy.

W następnej chwili niewielki ogień na kominku nagle wybuchnął z nieopisanym hukiem i blaskiem. Płomienie wydostały się przed ekran, jak szpony ogromnej bestii szukającej łupu.

- Nie! - Morgan zachwiał się, cofnął o krok, aż oparł się o brzeg łóżka.

Baxter, otoczony słupami ognia, powoli ruszył w stronę Morgana.

- Nie ma czasu - powiedział. - Musisz uciekać.

Płomienie unosiły się przed nim i szły prosto na Morgana.

Charlotte zrozumiała, że Baxter liczył na to, iż przerażony Morgan zaniecha swoich planów, ale jedna sztuczka mogła nie wystarczyć. Musiała dodać coś do tego przedstawienia budzącego w Morganie obłądny lęk.

Podniosła się na klęczkach, dosięgnęła frędzli baldachimu i pociągnęła je z całej siły.

Ciężki baldachim opadł jak szkarłatna lawina, przykrywając częściowo głowę i ramiona Morgana.

Reszta spadła na Charlotte. Była teraz unieruchomiona przez masę zakurzonego czerwonego welwetu.

Krzyk wściekłości Morgana odbił się od kamiennych ścian. Zaraz potem wystrzelił pistolet.

- Baxter. - Charlotte próbowała wydobyć się spod baldachimu kaszłąc od kurzu i dymu.

Ogień rozszerzał się, płomienie wirowały po pokoju, lśniły na stali pistoletu. Na tle pożaru Baxter i Morgan, złączeni w śmiertelnym uścisku, walczyli o dostęp do broni, którą Baxter przyniósł ze sobą. Upadli na podłogę i przetaczali się z boku na bok.

Rozległ się następny strzał.

Przez nieskończoną chwilę obaj mężczyźni zastygli.

- Baxter! O Boże! - Charlotte jak oszalała zaczęła się czołgać na brzeg łóżka, ale zatrzymała ją lina, którą była związana.

Morgan spojrział na Baxtera szeroko otwartymi, pustymi oczami. Krew plamiła gors jego śnieżnobiałej, plisowanej koszuli.

- Nie. To nie może się tak skończyć. Muszę wypełnić moje przeznaczenie.

Baxter zaczął się podnosić na nogi. Morgan kurczowo uchwycił się jego ramienia.

- Moim przeznaczeniem jest triumf nad złotym gryfem - szepnął ochryple. - Coś poszło źle. - Rozkaszłał się. - Wszystko poszło źle. Jestem magiem. - W ustach zabulgotała

mu krew.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słowa rozplynęły się w szkarłatnym przypiływie. Jego ręka ześliznęła się z ramienia Baxtera. Opadł na podłogę i już się nie poruszył.

Baxter zerwał się na nogi i odwrócił do Charlotte. Zobaczyła, że podczas walki zgubił okulary.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział ruszając do niej.

- Nie mogę rozwiązać liny. - Dopiero teraz Charlotte naprawdę złąkała się ognia. Wydawało jej się, że nie zdoła uciec z tej śmiertelnej pułapki. Panika oszołomiła ją. - Mam nóż w torebce, ale nie wiem, gdzie ona jest. Zabrali ją. O Boże, Baxter! - Spojrzała na niego, nie mogąc znaleźć słów, by wykrzyczeć swoje przerażenie.

- Mój płaszcz. Gdzieś go tu rzuciłem. - Baxter rozejrzał się wokół. - Szybko. Gdzie on jest?

- Na podłodze za tobą. Trzy kroki. Prosto do tyłu.

Baxter odwrócił się i poszedł, jak mu kazała.

- Ach, mam. Jesteś doskonałym przewodnikiem, moja droga. - Przeszukał kieszenie, wyciągnął scyzoryk i pospieszył z powrotem do łóżka. - Odebrali mi, ale go odzyskałem.

Pracując na wycucie, wymacał linę, naciągnął ją i szybko przeciął więzy.

Była wolna. Omal nie zemdląca z ulgi.

- Chodź. Nie ma czasu do stracenia. - Baxter chwycił ją za rękę i ściągnął z łóżka. - Charlotte, będziesz musiała prowadzić. Ja widzę wszystko niewyraźnie.

- Tak, oczywiście. - Idąc do drzwi niemal potknęła się o nieruchome ciało Morgana. Spojrzała w dół i zobaczyła na jego koszuli ogromną plamę krwi. - A jeżeli znów ucieknie?

- Tym razem nie ucieknie - powiedział Baxter głosem bez wyrazu. - Nie żyje.

- Jak możesz być tego pewny? - spytała biegnąc do drzwi.

- Nawet ja nie mógłbym chybić z tak małej odległości.

Charlotte była już prawie przy drzwiach, gdy nagle kątem oka zobaczyła złoty błysk.

- Twoje okulary. - Podniosła je i włożyła Baxterowi do ręki. - Jedno szkło się zbiło, ale drugie jest chyba całe.

- Dziękuję ci, moja droga. - Baxter przyłożył dobre szkło do oka. - Teraz już sobie poradzę.

Wydostali się z pokoju i pobiegli korytarzem do szerokich schodów. Za nimi snuł się dym.

Gdy znaleźli się na schodach, usłyszeli, jak czarno-szkarłatny pokój wybucha i zamienia się w piekło ognia.

Bxter ocenił, że zanim dobiegli z Charlotte do głównego holu, paliła się już co najmniej jedna trzecia górnego piętra.

Z oddali słyszeli, jak służba i pomagierzy Judda krzyczą w panice. Całe to zamieszanie było im bardzo na rękę, bo ułatwiało ucieczkę. Ale ciągle jeszcze istniało ryzyko, że któryś z opryszków, nieświadomy śmierci swojego pana, może próbować ich zatrzymać.

- Widzisz tam kogoś? - Przyłożył dobre szkło do oka i w ciemności wypatrywał ruchu.

- Nie. - Charlotte dyszała, ale nie zwolniła kroku. - Chyba wszyscy są zajęci ratowaniem życia.

- Doskonale. - Baxter poczuł zimny powiew. - Drzwi są otwarte.

- Większość służby pewnie już zdążyła się ulotnić. Nie spotkaliśmy nikogo na schodach, więc chyba możemy przyjąć, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy pospieszyć na ratunek swojemu panu.

- Jak twierdził Morgan, w dzisiejszych czasach bardzo trudno o godną zaufania służbę. Doszli do frontowych drzwi i rozejrzeli się.

- Nikogo tu nie ma. - Charlotte bacznie wpatrywała się w ciemność. - Którędy pójdziemy? Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

- Ja też nie, ale ogień na pewno zaraz przyciągnie czyjąś uwagę. Muszą tu być jacyś farmerzy i dzierżawcy. Idziemy. - Wziął Charlotte za rękę i ruszył po schodkach.

- Baxter!

Ton ostrzeżenia w jej głosie zatrzymał go w pół kroku. Gwałtownie się odwrócił wyjmując jednocześnie z kieszeni scyzoryk.

W drzwiach zamajaczyła ciemna postać.

- Hej, wy dwoje, gdzie się wybieracie?

Mężczyzna uniósł rękę. Baxter nawet nie musiał przykładać do oka jedyne pozostałe w okularach szkła, by rozpoznać kształt pistoletu.

- O mój Boże - westchnęła Charlotte. - To ty próbowałeś nas zatrzymać przed domem pani Heskett.

- Tak, ale tym razem nie będzie żadnych sztuczek.

- Na nic ci się już nie przydamy - powiedział Baxter.

- Skoro mag zadał sobie tyle trudu, by was dostać, myślę, że jednak macie pewną wartość. Zostaniecie ze mną, póki się nie dowiem, co tu się właściwie stało.

- Twój pan leży martwy w jednym z pokoi na górze - powiedział spokojnie Baxter. -

Za dzisiejszą noc nie dostaniesz już zapłaty. Uciekaj, bo zginiesz w ogniu.

- Muszą tu być jakieś pieniądze - jęknął opryszek.

Baxter westchnął.

- Jeżeli chodzi ci tylko o pieniądze, może będziemy mogli się jakoś ugodzić.

- Umowa stoi, panie - opryszek rozjaśnił się.

Zanim Baxter zdążył dać mu trochę pieniędzy, by przypieczętować zgodę, w ciemności za nimi zabrzmiał strzał z pistoletu.

Z okrzykiem zdziwienia i bólu opryszek chwycił się za ramię i wycofał do holu.

- Baxter, panno Charlotte - dobiegł z ciemności głos Hamiltona. - Nic wam się nie stało?

Baxter odwrócił się podnosząc do oczu okulary. Zobaczył Hamiltona i Ariel wybiegających zza osłony niewielkiego skupiska drzew.

Hamilton trzymał w każdej ręce pistolet. Fular powiewał za nim jak żagiel, buty błyszcząły, włosy zakreśliły się od wilgotnego powietrza, promieniował radością życia i podnieceniem. W tej chwili bardzo przypominał Baxterowi ojca.

- Charlotte! - Ariel rzuciła jej się na szyję. - Dzięki Bogu! Tak się o ciebie bałam. Hamilton zjawiał się zaraz po tym, jak ci okropni ludzie obezwładnili detektywów i zabrali cię. Udało nam się pojechać za tobą jego nowym powozem. Jest wyjątkowo szybki.

- Postąpiliście bardzo sprytnie. - Charlotte mocno objęła siostrę. - Sprytnie i odważnie.

Hamilton schował pistolet za pas.

- Przepraszam, że przybyliśmy tak późno, bracie, ale kilka mil stąd straciliśmy ślad. Jednak jakiś farmer poinformował nas, że słyszał przejeżdżający powóz i opowiedział też o tym domu, do którego nikomu oprócz służby nie wolno się zbliżać. Jak mówił, to bardzo tajemniczy dom. Pomyślałem więc, że to musi być melina maga.

- Genialny wniosek. - Baxter uśmiechnął się widząc podniecenie brata. - Muszę powiedzieć, że prawdą jest to, co mówi się o hrabiach Esherton.

Podniecenie Hamiltona nieco opadło.

- A co się mówi?

- Że wszystko robią w wielkim stylu.

Hamilton zamrugał ze zdziwienia, a potem głośno się roześmiał.

- Mamy to we krwi, bracie. Wszyscy mężczyźni z rodu St. Ives odznaczają się wielkim stylem. Po prostu trochę potrwało, zanim potrafiłem docenić twój, bo jest jedyny w swoim rodzaju.

Charlotte uniosła głowę z ramienia Ariel i spojrzała na Baxtera z radosnym,

promiennym uśmiechem. Baxter nie potrzebował swoich zbitych okularów, by to zauważyć.

- To jest właśnie jedna z tych rzeczy, które zawsze w nim podziwiałam - oświadczyła.

~ 20 ~

Dwa dni później Hamilton, opierając się o jeden z laboratoryjnych stołów, obserwował z zainteresowaniem, jak Baxter porządkuje chemikalia i aparaty, zastawiające całą wolną przestrzeń.

- W jaki sposób podpaliłeś zasłony i wywołałeś wybuch w kominku? - spytał.

- Mówiłem ci, że miałem przy sobie pudełko fiolek z fosforem. - Baxter ostrożnie polerował mały tygielek. - Charlotte odwróciła uwagę Judda na tyle długo, bym mógł stłuc kilka i włożyć między fałdy zasłony. Pozostałe wrzuciłem do ognia.

- Bardzo mądrze to wymyśliłeś. Więc Morgan Judd zamordował swojego plenipotentą, a potem Drusillę Heskett, i miał nadzieję zakończyć na tym całą sprawę?

- Nie wziął pod uwagę, że pani Heskett mogła komuś opowiedzieć o swojej obawie, iż jeden z odrzuconych adoratorów chce ją zabić. - Baxter uważnie ustawiał dwa rzędy zielonych szklanych butelek zawierających sole zasadowe i metaliczne. - Nie pomyślał również, że ciocia Rosalind może uprzeć się przy prowadzeniu śledztwa tak długo, aż morderca jej przyjaciółki zostanie wykryty. Morgan gardził kobietami, a przez to ich nie doceniał.

- No i w końcu zginął przez kobiety - stwierdził Hamilton z szerokim uśmiechem. - Dobrze mu tak.

- To prawda.

- Jak ci się wydaje, dlaczego pani Heskett narysowała emblemat Judda?

Baxter wzruszył ramionami.

- Możemy się tego tylko domyślać. Według Charlotte to plenipotent Judda naszkicował go w bloku pani Heskett. Może próbował jej wytłumaczyć zasady mesmeryzmu.

- Narysował te symbole po to, żeby łatwej zrozumiała?

- Może. Nigdy nie dowiemy się, jak naprawdę było.

- Wiesz, Baxter, to bardzo dziwne, ale teraz sobie uświadamiam, że często zamierzałem zajrzeć do szafy pokoju w „Zielonym Stoliku”, w którym się spotykaliśmy. Wiedziałem, że mag musi mieć jakieś tajemne przejście, jednak z jakiegoś powodu nigdy

tego nie zrobiłem.

- Na pewno postarał się, by żaden z członków klubu nie interesował się zbyt jego sprawami.

Rysy Hamiltona stwardniały.

- Twoim zdaniem, stosował sztuczki mesmeryzmu, aby nas odwieść od przeszukania pokoju?

- Chyba tak. - Baxter odłożył tygiel.

Miał już dość zaspokajania ciekawości otoczenia. Zaszł się w laboratorium, by je uporządkować. Zawsze, gdy chciał się zastanowić nad jakąś sprawą, zabierał się do porządków. Mycie retort, polerowanie instrumentów i przeglądanie kolekcji butli, kolb i fiolek uspokajało go i pomagało myśleć.

Niestety, Hamilton wpadł tu dwadzieścia minut temu, pałając chęcią przedyskutowania wydarzeń ostatnich kilku dni, i zakłócił mu spokojną kontemplację.

- Trudno uwierzyć, że Drusilla Heskett miała romans z plenipotentem - powiedział Hamilton. - Baxter, czy to możliwe, by większość dam z towarzystwa utrzymywała potajemne związki z najrozmaitszymi mężczyznami, począwszy od stangreta, a skończywszy na najlepszym przyjacielu męża?

- Na pewno jest ich co najmniej tyle samo, ilu jest mężczyzn mających romans z guwernantką własnych dzieci albo najlepszą przyjaciółką żony.

Hamilton wzdrygnął się.

- Niezbyt przyjemna perspektywa. - Nagle spowaźniał. - Nie chciałbym ożenić się z kobietą, która miewa kochanków.

- Okazuje się, że mamy ze sobą coś wspólnego. - Baxter oglądał pękniętą kolbę. - Może mój dostawca będzie mógł to naprawić.

- Panna Ariel chyba nigdy nie złamie przysięgi - powiedział miękko Hamilton. - Jest cnotliwą i szlachetną damą.

Baxter uniósł brew.

- Jeżeli zamierzasz się jej oświadczyć, lepiej dam ci pewne ostrzeżenie.

Hamilton podniósł rękę.

- Tylko bez kazań, proszę. Ojciec nakazał, bym jeszcze przez kilka lat nie mógł dysponować swoim majątkiem, ale nie powiedział, że nie mogę się w tym czasie ożenić.

- Nie chodzi tu o testament ojca. Jeżeli chcesz, możesz się żenić. A panna Ariel będzie doskonałą hrabiną.

- Naprawdę? - rozpromienił się Hamilton.

- Tak. Ale powinienem cię uprzedzić, że jeżeli zamierzasz się jej oświadczyć, musisz być przygotowany na bardzo staranne dochodzenie na temat twojego charakteru i zachowania, bo Charlotte je na pewno przeprowadzi. Nie pozwoliłaby siostrze wyjść za mężczyznę o złych skłonnościach.

Hamilton lekko się uśmiechnął.

- Innymi słowy, nasz drogi, świętej pamięci ojciec nie jest najlepszą rekomendacją.

- Masz rację.

- Więc może szczęśliwie się składa, że nie jestem do niego podobny w każdym calu. Mówiąc szczerze, nie bawią mnie zaloty do baletniczek z opery ani włóczenie się po burdelach. W małżeństwie szukam prawdziwej miłości i czułości.

Baxter spojrzał na niego uważnie.

- Na Boga! Myślisz o tym poważnie, prawda?

- O oświadczeniu się pannie Ariel? Tak. Jeszcze nigdy nie spotkałem tak uroczej i mądrej kobiety. Ani tak odważnej. Wiesz, Baxter, ona koniecznie chciała towarzyszyć mi w śledzeniu pojazdu, którym uwięziono pannę Charlotte. Nic, co mówiłem, nie mogło jej skłonić do zmiany zamiaru. A po drodze nawet poprosiła, żebym ją nauczył posługiwać się pistoletem. Jest po prostu cudowna.

- Cecha rodzinna, jak sądzę - mruknął Baxter.

Z holu dobiegły kroki i w drzwiach laboratorium stanęła Rosalind w jasnoróżowej sukni, malinowym płaszczu i wielkim kapeluszu z różowego atlasu.

Hamilton zeszywniał.

- Witam lady Trengloss.

- A, Hamilton. - Odwróciła się do Baxtera. - Dlaczego nie odpowiadałeś na moje listy? Wysłałam wczoraj co najmniej dwa, a jeszcze jeden dziś rano.

Baxter zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie miał laboratorium tylko dla siebie.

- Dzień dobry, ciociu. Lambert nie powiedział mi, że przyszłaś.

- Twój kamerdyner ledwo zdołał otworzyć mi drzwi - zachnęła się Rosalind. - Nie mam cierpliwości czekać, aż przewlecze się przez hol i mnie zapowie. Doprawdy, Baxter, musisz go jak najszybciej odesłać na emeryturę. Jak można tak prowadzić dom!

- Jest jedynym służącym, który pozostał tu dłużej niż dwa miesiące. Jeżeli się go pozbędę, nie będzie już nikogo do prowadzenia tego cholernego domu. - Baxter rzucił pękniętą kolbę do skrzyni na śmiecie. - Czym mogę ci służyć?

Rosalind rzuciła niecierpliwe spojrzenie Hamiltonowi, a potem z troską spojrzała na Baxtera.

- Przyszłam ci podziękować za rozwiązanie tajemnicy śmierci mojej drogiej przyjaciółki.

- Już to zrobiłaś tego ranka, gdy cała sprawa się skończyła. - Baxter wziął skurczawkę z piór i zaczął nią machać nad butelkami zawierającymi chemikalia. - Jestem w tej chwili raczej zajęty, więc jeżeli nie masz nic innego...

- Bardzo dobrze. To nie jest jedyny powód mojej wizyty. - Rosalind spojrzała z ukosa na Hamiltona. - Mam do omówienia kilka rodzinnych spraw.

- Hamilton należy do rodziny - powiedział Baxter.

Hamilton spojrzał na niego ze zdziwieniem, a potem na jego twarzy odmalowała się radość.

- Jak chcesz. - Rosalind spiorunowała siostrzeńca wzrokiem. - Powiem prosto z mostu. Czy teraz, gdy śmierć Drusilli została wyjaśniona, nadal chcesz zerwać zaręczyny z panną Arkendale?

Pióra zatrzymały się w pół ruchu. Baxter powoli odwrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z ciotką.

- To sprawa osobista. Dotyczy wyłącznie panny Arkendale i mnie.

Coś w jego głosie wystraszyło Rosalind. Mrugnęła, otworzyła usta, by odpowiedzieć, a potem zrezygnowała i niespodziewanie zaczęła się tłumaczyć.

- Tak, oczywiście, chciałam tylko powiedzieć...

- On się boi prosić ją o rękę - wyjaśnił Hamilton poufnym tonem. - Myśli, że zostanie odrzucony.

- Hamilton, zamknij się! - wysyczał Baxter przez zęby.

Hamilton, niezrażony, uśmiechnął się ironicznie.

- Dlaczego miałyby go odrzucić? - spytała Rosalind. - Ma dwadzieścia pięć lat i żadnego posagu. W tych okolicznościach z trudem znalazłaby kogoś lepszego niż Baxter.

- Dziękuję, ciociu Rosalind - mruknął Baxter. - Zawsze miło spotkać się z tak silnym poparciem rodziny.

- Ona wydaje się bardzo zakochana w Baxterze - wyjaśniał dalej Hamilton. - Kłopot polega na tym, że nie podoba jej się samo małżeństwo. Według Ariel, Charlotte uważa małżeństwo za ogromne ryzyko dla kobiety.

- Co za bzdura! Przecież mówimy o ślubie z Baxterem. - Rosalind nieelegancko parsknęła. - To żadne ryzyko. Słowo daję, w całym Londynie nie ma nikogo bardziej zrównoważonego, spokojnego i łagodnego niż on.

- To prawda. - W oczach Hamiltona zabłysła iskierka niegodziwego szyderstwa. -

Można powiedzieć, że Baxter jest najbardziej przyziemnym, statecznym i godnym zaufania spośród wszystkich mężczyzn.

Cechy dobrego spaniela, pomyślał Baxter. Z wściekłością wrócił do odkurzania.

- Mówicie o stateczności i zaufaniu? - spytała Maryann od drzwi. - Hamilton, o co tu chodzi?

- Niech to szlag - warknął Baxter. Gdyby wierzył w przeznaczenie, uznałby, że dziś padł ofiarą złośliwego losu. Czy już nigdy nie będzie miał spokoju w swoim własnym laboratorium?

- Witaj, mam - powiedział Hamilton. - Co ty tu robisz?

- Przyszłam do Baxtera.

- Witam lady Esherton. - Rosalind ledwo skinęła Maryann głową.

Maryann zastygła.

- Lady Trengloss. Nie zauważyłam pani wchodząc. - Odwróciła się plecami do Rosalind i spojrzała na syna. - Myślałam, że pouczasz Baxtera na temat cech wymaganych od dobrego służącego, bo tu jest koniecznie potrzebny nowy kamerdyner. Ten, który otworzył mi drzwi, nawet się nie pofatygował, by mnie zapowiedzieć. Kiwnął mi tylko ręką, żebym szła dalej.

- Och, wyliczaliśmy dobre cechy Baxtera - odparł Hamilton. - I doszliśmy do wniosku, że ma wszelkie dane, by zarekomendować go pannie Arkendale.

- Ach, tak - Maryann obojętnie skwitowała słowa syna. - Na pewno będzie im razem dobrze. Baxter, chciałabym porozmawiać z tobą na osobności.

- Dziś nie przeprowadzam prywatnych rozmów. - Baxter mocniej chwycił pierzastą skurczawkę. - Jak widzisz, jestem zajęty innymi sprawami.

Maryann zmarszczyła czoło.

- Co robisz z tym pióropuszem? Nie masz pokojówek?

- Nie, ale nawet gdybym je miał, nigdy nie pozwoliłbym im sprzątać laboratorium. Zawsze robię to sam. Pokojówki tłuką naczynia z chemikaliami i niszczą instrumenty. - Położył ręce na biodrach. - Chciałbym poprosić wszystkich o opuszczenie tego domu.

- Baxter, doprawdy nie musisz być taki nieuprzejmy - obruszyła się Maryann.

- To nieodłączna część składowa jego wyjątkowego stylu - mruknął Hamilton.

Maryann zignorowała tę uwagę. Wstała z nieskończoną godnością.

- Przyszłam tu podziękować za to, co zrobiłeś dla Hamiltona.

Hamilton wywrócił oczami.

- Nie ma powodu, by dziękować mnie - powiedział szorstko Baxter. - To Hamilton

pomógł uratować zarówno siebie, jak i wszystkich innych. W kryzysowych sytuacjach zachował zimną krew i gdybym jeszcze kiedyś znalazł się w tak nieprzyjemnym położeniu, właśnie jego chciałbym mieć przy sobie.

Hamilton zaczerwienił się jak burak, a w jego oczach pojawił się wyraz zażenowania i wdzięczności.

- Zawsze do usług, Baxter.

- Skoro wszystko zostało już powiedziane - Baxter uniósł pióropusz do kurzu tak, jakby to była magiczna różdżka, zdolna do wyrzucenia nieproszonych gości - może zechcecie łaskawie uznać, że już wyraziliście mi odpowiednio swoje podziękowania i wyjdziecie? Jestem zajęty.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, Baxter kątem oka zobaczył zawirowanie żółtego muślinu. Odwrócił się i ujrzał w drzwiach Charlotte z następującą jej na pięty Ariel.

- Panna Ariel! - zawołał Hamilton. - I panna Charlotte. - Pochylił głowę we wdzięcznym ukłonie i podszedł podać im rękę. - Pięknie dziś obie wyglądacie.

Baxter przypatrywał się, jak Hamilton pochyła się z galanterią nad urękawicznonymi rączkami. Powiniennem zrobić to samo, napomniał się. Naprawdę było kilka rzeczy, których mógłby się nauczyć od młodszego brata. Ale z jakiegoś powodu czuł się tak, jakby wrósł w podłogę.

Widok Charlotte rozradował jego duszę. Jej żywotność wprost zapierała dech. Gdy weszła, w laboratorium zajaśniało słońce. Nie, nie tylko w laboratorium. Rozjaśniała całe przekłete życie. Przyszłość bez niej byłaby nieopisanie ponura.

To ona była kamieniem filozoficznym. Niech go Bóg wspomaga, jeżeli ją utraci.

- Charlotte - powiedział miękko. Hamilton rzucił mu wymowne spojrzenie. Baxter zakasłał. - Panno Ariel. Witam was, moje panie.

- I ja cię też witam. - Charlotte uśmiechnęła się do wszystkich, a potem zatrzymała wzrok na Baxterze. - Widzę, że jest tu trochę tłoczno.

- Właśnie mieli wychodzić - gwałtownie zapewnił ją Baxter. - Nie wiedziałem, że przyszaś. Gdzie u diabła jest Lambert? Każę mu przynieść herbatę czy coś takiego.

- Chyba zajął stały posterunek przy drzwiach – powiedziała Charlotte.

Ariel roześmiała się.

- Twierdzi, że przy tych wszystkich wejściach i wyjściach dzisiejszego ranka nie można się po nim spodziewać, by mógł zrobić jeszcze coś innego.

- Wszyscy tu przyszliśmy podziękować Baxterowi, ale on z uporem wskazuje nam drzwi - wyjaśnił Hamilton uśmiechając się radośnie.

- Mam pracę - warknął Baxter.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Co za niesłychany splot wypadków - stwierdziła Ariel. - Kto mógł się spodziewać takiego końca?

- To prawda. - Hamilton zachichotał. - Mag musiał być wściekły, gdy się zorientował, że własnymi machinacjami wciągnął z powrotem do swojego życia dawną nemezis, czyli Baxtera.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Charlotte rzuciła torebkę na stół laboratoryjny. - Raczej traktował udział Baxtera w tej całej sprawie jako następny objaw swojego tak zwanego przeznaczenia.

- Może ma pani rację - przyznał Hamilton unosząc brew.

Ariel zaintrygował ten pomysł.

- Myślałam o czymś, co Charlotte wspomniała tego dnia, gdy uratowała Julianę Post. Powiedziała wtedy, że karta śmierci upadła na podłogę figurą do góry. A panna Post zawsze wróżyła magowi tak, by go zadowolić. Jednak tamtego dnia niechętnie wyczytała mu jego prawdziwe przeznaczenie.

- Słowo daję, od tego wszystkiego przenika mnie dreszcz - szepnęła zachwycona Rosalind.

- Co za piekielne bzdury! - Baxter wprost wykrzyczał swoją opinię, bo miał już wszystkiego dosyć. - Panna Post powiedziała nam, że nie odkryła tej karty, więc po prostu musiała przypadkowo zawadzić o nią rąbkiem sukni, gdy Judd ją ściągał na podłogę.

- A może nie było to jednak całkowicie przypadkowe - zasugerował Hamilton.

- Rzeczywiście, trudno przypisywać taki omen jedynie zbiegowi okoliczności. - Rosalind rozkoszowała się tymi wszystkimi mistycznymi domniemaniami.

- Cała ta sprawa każe myśleć o działaniu tajemniczej dłoni jakiejś metafizycznej istoty - oświadczyła Ariel.

- Bardzo dziwne, doprawdy, bardzo - szepnęła zafascynowana Maryann.

- Dość! - ryknął Baxter. - Cała ta sytuacja była normalnym wynikiem logicznego następstwa zdarzeń.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała Ariel.

Ale odpowiedziała jej Charlotte.

- Baxter w pewnym sensie ma rację. Między tymi wydarzeniami zachodzi logiczny związek. W końcu Morgan Judd, nakłaniając Hamiltona do wstąpienia do klubu „Zielonego Stolika”, musiał zdawać sobie sprawę, że wprawia w ruch koła pewnego mechanizmu.

- To znaczy? - Maryann zmarszczyła brwi.

- Judd wiedział, że gdy wplącze Hamiltona w swój plan, wcześniej czy później przyciągnie uwagę Baxtera - wyjaśniła Charlotte. - Jakaś część jego obsesyjnej natury pchała go do pójścia na takie ryzyko. Jak podejrzewam, całą swoją istotą chciał, by Baxter dowiedział się, iż uszedł z życiem z wypadku we Włoszech. Musiał powiadomić o tym Baxtera, by móc napawać się świadomością, że jest tym mądrzejszym z Duetu Alchemików. A poza tym pragnął zemsty.

- Rozumiem. - Hamilton pochylił lekko głowę na bok i zastanawiał się nad tym, co usłyszał. - Pragnienie wykazania swojej wyższości jest oczywiście całkiem zrozumiałe. Ale dlaczego sądził, że Baxtera w ogóle obchodzi, co się ze mną stanie?

Charlotte uśmiechnęła się cierpko.

- Och, na pewno nie przyszło mu nawet do głowy, że Baxter zechce pana wyciągnąć z „Zielonego Stolika”, a tym bardziej że będzie ratował pańskiego przyjaciela Norrisa. Według Judda, Baxter podobnie jak on sam zniszczył swoją duszę zawiścią i złością i nie był już zdolny do szlachetnych czynów. Jednak wiedział, że dzięki panu może przyciągnąć uwagę Baxtera i o to właśnie mu chodziło.

- Mimo że Baxter stanowił zagrożenie dla jego planów? - spytała Rosalind.

- Zamierzał udowodnić swoją wyższość, a potem zabić Baxtera. - Charlotte lekko się wzdrygnęła. - Judd był sam dla siebie najgorszym wrogiem. Jego pewność siebie i zgorzkniałość w połączeniu z okrucieństwem stworzyły diabelski dekokt, o wiele bardziej żrący niż kwas.

- Czyli - powiedziała Rosalind w zamyśleniu - nawet gdybym nie poprosiła Baxtera o przeprowadzenie śledztwa w sprawie Drusilli Heskett, i tak groziło mu wielkie niebezpieczeństwo.

- To prawda - przyznała Charlotte. - A ja nie miałam wyboru i też musiałam zostać w to wszystko wplątana, bo pani Heskett była moją klientką. Moim obowiązkiem było dowiedzieć się, czy poniosła śmierć z rąk jednego ze swoich adoratorów, co do których prowadziłam przecież dochodzenie. - Uśmiechnęła się do Baxtera. - Jedyna przypadkowa okoliczność zaistniała na samym początku, gdy nagle musiałam poszukać sobie nowego plenipotentą.

- I Baxter zgłosił swoją kandydaturę - dopowiedziała Rosalind.

Baxter odrzucił pióropusz.

- Nawet gdyby Charlotte nie szukała wtedy nowego plenipotentą, i tak w jakiś sposób bym się z nią skontaktował, bo ślad morderstwa prowadził prosto do niej.

Hamilton zmarszczył brwi i odezwał się grobowym głosem.

- Przeznaczenie albo logiczny ciąg wydarzeń. Któż to może wiedzieć?

- Ja, do diabła - powiedział z mocą Baxter. - Twierdzą, że w tej całej sprawie nie ma ani jednej okoliczności, której nie moglibyśmy logicznie wyjaśnić. I na tym kończymy dyskusję. Chciałbym, żebyście wszyscy natychmiast opuścili laboratorium. Idźcie sobie.

- Słyszeliście go - powiedział radośnie Hamilton. - Nie jesteśmy tu mile widziani. Zabierajmy się.

Baxter przez chwilę był zadowolony. Patrzył, jak cała grupa zmierza do drzwi. Ale wtedy uświadomił sobie, że Charlotte również przygotowuje się do wyjścia.

- Niech to szlag. Charlotte, ty zostań. Chcę zamienić z tobą słówko.

Zatrzymała się i obdarzyła go uprzejmym, pytającym spojrzeniem.

Hamilton, zaganiając pozostałych do drzwi, pokiwał głową w geście smutnego wyrzutu.

- Baxter, w najbliższych dniach naprawdę będziemy musieli porozmawiać o twoim braku ogłady.

Baxter poczuł, że twarz zaczyna nieprzyjemnie go palić.

- Bądź tak dobry i po drodze każ Lambertowi przynieść tu herbatę - powiedział szorstko.

- Porozmawiamy też o twoich nieszczęsnych kłopotach ze służbą - dodał Hamilton przez ramię.

Baxter zczekał, aż usłyszy dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi frontowych, i dopiero wtedy spojrzał na Charlotte.

- Dlaczego chciałaś, bym została? - spytała grzecznie.

Baxter zakasłał. Potem zdjął okulary i zaczął je czyścić chustką. Będzie mu łatwiej, jeżeli nie będzie widział wyraźnie jej twarzy. Może wówczas potrafi wymienić w logicznym porządku wszystkie argumenty, bo jego uwagi nie będą odciągać te przepiękne, zielone oczy. Obrócił się na pięcie i zaczął przemierzać laboratorium.

- Być może pamiętasz, jak przedwczoraj wieczorem staliśmy razem na schodach domu Morgana Judda.

- Trudno byłoby zapomnieć ten wieczór.

- Tak, jasne, ale może nie pamiętasz dokładnie, co wtedy powiedziałaś.

- Na pewno mówiłam wtedy bardzo dużo. Byłam zdenerwowana. Przecież ledwo uniknęliśmy śmierci.

Baxter skupił się na polerowaniu szkieł.

- Chodzi mi o jedno konkretne zdanie.

- Aha. Które masz na myśli?

- Powiedziałeś, że jedną z wielu rzeczy, jakie we mnie podziwiasz, jest mój styl.

Nastąpiła krótka chwila milczenia.

- Tak - odparła w końcu. - Wrodzony styl mężczyzn z rodziny St. Ivesów. Prawdziwie imponujący.

Baxter zatrzymał się przed oknem i włożył okulary.

- Zastanawiałem się, czy może jest jeszcze coś, co we mnie podziwiasz. - Przerwał w połowie zdania, bo jego wzrok padł na trzy doniczki stojące od dawna na parapecie. - Dobry Boże! Charlotte, groszek!

- Co takiego?

- Wykiełkował! - Baxtera ogarnęła euforia. Wziął do ręki jeden pojemniczek i odwrócił się, by pokazać Charlotte delikatny kiełek.

- Spójrz. Wszystkie trzy!

- To cudowne. - Obdarzyła go gorącym, promiennym uśmiechem. - Gratuluję.

- Może naprawdę zdarzają się takie rzeczy jak znaki, omeny i przeznaczenie - wyznał w oszołomieniu. - Charlotte, powiem prosto z mostu. Zakochałem się w tobie.

- Och, Baxter.

- Muszę wiedzieć, czy istnieje choćby najmniejsza szansa na wzajemność.

Na jej twarzy odmalowało się szczęście, a zielone oczy obiecywały wyjawienie wszystkich tajemnic kamienia filozoficznego.

- Chyba zakochałam się w tobie od razu przy pierwszym spotkaniu.

Spojrzał na nią, lękając się, czy dobrze usłyszał.

- Jesteś pewna?

- Tak się bałam, że mnie nie kochasz.

Baxter odstawił doniczkę z groszkiem i objął Charlotte.

- Sądziłem, że to widać z moich oczu.

- Mówiłeś, że romans wydaje ci się niewygodny. Te plotki, i że w stosownej chwili nigdy nie mieliśmy do dyspozycji łóżka - przypomniała mu.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Bo romans jest niewygodny. Piekielnie niewygodny. Charlotte, wiem, że nie masz wielkiej chęci na małżeństwo. Jeżeli chcesz kontynuować go jak do tej pory, jakoś się dostosuję. Ale wolałbym legalny związek. Chciałbym widzieć cię codziennie rano przy śniadaniu. Chciałbym cię trzymać w ramionach, gdy wieczorem zasypiam.

- Tak. - Uniosła głowę z jego ramienia i palcami przeczesała mu włosy.

- Chcę pokazywać ci wyniki moich doświadczeń - kontynuował. - Chcę z tobą spędzać długie, spokojne wieczory. Chcę ci pomagać w twoich dochodzeniach. Chyba okazałem się godnym zaufania plenipotentem.

- Tak, to prawda.

- Niestety, nie jestem romantykiem.

- Mylisz się. Jesteś najbardziej romantycznym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Spojrzał na nią w osłupieniu.

- Naprawdę?

- Tak. - Znów się uśmiechnęła i stanęła na palcach, by dosięgnąć jego warg. - Jeżeli próbujesz mi się oświadczyć, to moja odpowiedź brzmi: tak.

Epilog

Północ, Londyn, miesiąc później

Dziś jest jej noc poślubna.

Jakie to dziwne. Nigdy nie planowała małżeństwa.

Charlotte położyła łokcie na parapecie, oparła brodę na rękach i wpatrywała się w ciemność. Dzień był męczący: ślub, przeprowadzka do domu Baxtera, nieustające podniecenie... Powinna być wykończona, ale nigdy nie czuła się aż tak intensywnie świadoma, że żyje.

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, odwróciła się od okna. Zobaczyła Baxtera i jej dusza uleciała ku niemu.

Miał na sobie zwykły czarny szlafrok. Złote oprawki okularów lśniły w świetle świecy. Za szklami jego oczy jaśniały miłością i nie ukrywanym pożądaniem. Z głębokim zadowoleniem omiótł wzrokiem pokój, a potem podszedł do Charlotte.

- Ciepły pokój, wygodne łóżko... Chyba ci mówiłem, że dla mężczyzny takiego jak ja małżeństwo jest o wiele dogodniejsze niż romans.

- Tak, to rzeczywiście komfortowe uczucie. - Uśmiechnęła się i zarzuciła mu ręce na szyję. - Jednak mam nadzieję, że nie poślubiłeś mnie tylko po to, by korzystać z usług pani Witty przy prowadzeniu domu.

Baxter odpowiedział uśmiechem i mocniej ją przytulił.

- Przyznaję, zawsze miałem trochę kłopotów ze służbą, ale jednak nie posunąłbym się aż do małżeństwa, żeby zdobyć gosposię, nawet tak znakomitą jak pani Witty.

- Sprawia mi to prawdziwą ulgę.

Bliskość jego mocnego, solidnego ciała wywołała w Charlotte gorącą tęsknotę. Położyła mu głowę na ramieniu i rozkoszowała się swoim szczęściem.

Pomyślała, że właśnie na niego zawsze czekała. Był prawdziwym dopełnieniem jej własnej duszy. Od samego początku miała to uczucie nieokreślonej wspólnoty. Przeznaczenie? Nigdy się nie dowie. I w końcu, to nie ma żadnego znaczenia. Ważne, że ona

i Baxter odnaleźli się.

- Wiesz - szepnął Baxter - zaczynam wierzyć, że chemia nie jest w stanie wyjaśnić wszystkich zjawisk zachodzących w świecie.

- Być może niektóre tajemnice nie powinny być wyjaśniane za pomocą nauki.

- Zapewne masz rację. - Wziął ją w ramiona i zaniósł na pogrążone w cieniu łóżko.

- Od samego początku wiedziałam, że jesteś człowiekiem o silnych namiętnościach i niebezpiecznych skłonnościach.

Baxter ułożył żonę na poduszkach i pochylił się nad nią. Ręce złożył na białej powłoczce. Jego oczy przybrały kolor płynnego złota podgrzewanego w tyglu stojącym na ogniu.

- Co za dziwny zbieg okoliczności - powiedział miękko. - Odniosłem to samo wrażenie w stosunku do ciebie. Kobieta o silnych namiętnościach i niebezpiecznych skłonnościach. Tak właśnie pomyślałem przy pierwszym spotkaniu. Nie w moim typie.

Charlotte uniosła ręce i przyciągnęła go bliżej.

- Najwyraźniej zostaliśmy dla siebie stworzeni.

- Najwyraźniej - Baxter wziął ją w ramiona.

Pochylił się nad żoną, a w jego pocałunku objawiła się cała tajemnica ognia tworzącego alchemię miłości.